

M.L. LONGWORTH

# ŚMIERĆ



# W CHÂTEAU BREMONT

Głos Lonworth jest jak wykwinny rocznik  
musującej Dorothy Sayers i dojrzałej Donny Leon.

— Booklist

M.L. LONGWORTH

ŚMIERĆ  
W CHÂTEAU BREMONT

Przekład  
Anna Krochmal

smak  słowa  
Sopot

*Dla Mamy i Reiniego*

Saint-Antonin, Francja

17 kwietnia, 00:05

Żarówka na strychu się przepaliła. Jutro porozmawia o tym z Jean-Claude'em. Étienne wyczuwał, że dozorca nigdy tak naprawdę go nie lubił, a może ten chłód wynikał z szacunku wobec dzielącej ich różnicy klas. Jean-Claude był uprzejmy, ale nigdy nie patrzył swojemu pracodawcy w oczy. Gdy rodzice Étienne'a jeszcze żyli, łatwo im było się nawzajem unikać, ale teraz Étienne był jedynym Bremontem mieszkającym w Aix, a ogromne nakłady związane z utrzymaniem *château* wymagały częstszych kontaktów właściciela z dozorcą. Jean-Claude był potężnym, ale niezdarnym mężczyzną. Étienne nigdy nie przejmował się jego rozmiarami, ale coś w spojrzeniu Jean-Claude'a sprawiało, że czasami czuł się nieswojo. Ostatnio Étienne de Bremont odkrył, że fascynują go ogromne dłonie dozorczy. Zwisaly sztywno wzdłuż ciała, gdy Jean-Claude odbierał krótkie instrukcje od swego pracodawcy, a po kilku sekundach grube palce zaczynały drgać, z początku powoli, potem coraz szybciej, jakby czekały na wiadomość z mózgu, która popchnie je do działania. W każdym razie palce zdawały się myśleć szybciej niż powolne, nieruchome dłonie.

Na szczęście Étienne z przyzwyczajenia miał przy sobie latarkę. W popadającym w ruinę *château* – domu, w którym nikt nie mieszkał, nastroczającym więcej kłopotów, niż był tego wart – zawsze gdzieś przepalała się żarówka. Oświetlił latarką zakurzone pomieszczenie. Był to jeden z nielicznych spośród dwudziestu kilku pokoi, który budził w nim jakieś dobre wspomnienia. W kącie stał jego pierwszy rower kolarski: pozwalał mu zjeżdżać w dół do Aix-en-Provence w czterdzieści pięć minut; powrót trwał dwa razy dłużej. Étienne był wtedy wysportowany, w sumie wciąż można było to o nim powiedzieć, biorąc pod uwagę, że za pięć lat stuknie mu czterdziestka.

Obok roweru, na słupku żelaznego łóżka z dziewiętnastego wieku, jak zawsze wisiał różaniec i Étienne pomyślał o jej zielonych oczach i uśmiechniętej twarzy. Tęsknił za nią, ale telefon niewiele by dał. Wiedli zbyt różne życia, mieli zbyt różnych przyjaciół. Zwłaszcza przyjaciół.

Była pełnia i Étienne podszedł do okna. Zaslaniała je drewniana okiennica, szeroka na metr, a na dwa metry wysoka. Otworzył ją i lewą ręką starannie przyczepił do kamiennej fasady, mocno opierając się prawą ręką o ścianę w środku. Okno było otwarte na działanie żywiołów – wiele lat temu przez ten otwór wrzucano do pomieszczenia siano na zimę. Nigdy się nie pofatygowali, by to okno przeszklić. Każdy członek rodu Bremontów, gdy tylko urósł na tyle, by dosięgnąć haczyka z kutego żelaza, uczył się, jak otwierać okno i przy tym nie wypaść. Teraz pokój wypełniał blask księżycy, który da mu dość światła, by mógł przeczytać to, po co tu przyszedł. Walizka od Louisa Vuittona stała na podłodze, na prawo od niego. Chwycił ją i oparł o drewnianą komodę, pełną przeżartych przez mole

koców. Ktoś otworzył zamek walizki; pewnie zrobił to jego brat François. Étienne szybko uniósł wieko i wziął do ręki pierwsze dokumenty leżące na samej górze. Zaczął nerwowo je wertować. Nie rozumiał źródła swojego pośpiechu – Jean-Claude wyszedł godzinę temu i miał się zjawić dopiero jutro, lecz mimo to Étienne’a ogarnął niepokój i nie potrafił zapanować nad drżeniem rąk. Dokumenty od prawników i notariuszy pisane były odręcznie, tym wdzięcznym pismem, którego on i brat uczyli się w pierwszej klasie, używając wiecznych piór kupionych przez ojca w Michel, sklepie z papeterią przy Cours Mirabeau. Papiery były nieuporządkowane, a wśród ważnych dokumentów trafiały się luźne kartki; było to typowe dla jego rodu, nieprzywiązującego wagi do pieniędzy i porządku w papierach. Paragony przechowywano w puszkach na mąkę, rachunki na setki franków wyrzucano lub chowano pod spleśniałym perskim dywanem w bibliotece; dostawca prądu i firma telefoniczna musieli regularnie dzwonić i upominać się o zaległe płatności, ale nigdy nie ośmielili się wyłączyć prądu w *château*.

Zaczął porządkować papiery, oddzielając ważne dokumenty od dwudziestoletnich wykazów bankowych i list zakupów. Roześmiał się, gdy do ręki trafił mu pożółkły paragon z najlepszej patiserii w Aix; wciąż tam była, a piekarz reprezentował już czwarte pokolenie, które wykonywało tę profesję. Paragon był na dwie brioszki. Mógłby je kupić on i François, albo Marine, tyle tylko, że data była z lat pięćdziesiątych, na długo przed tym, zanim którekolwiek z nich się urodziło. Trzymając ten paragon w rękach, trochę się uspokoił i pozwolił sobie na to, by jego myśli znów popłynęły do Marine i ich przyjaznych młodocianych sprzeczek o to, co jest lepsze: brioszki czy croissanty, rozpuszczalna czekolada Banania czy Quik. Zawsze potrafiła sprawić, by to jej było na wierzchu.

Uśmiech Étienne’a de Bremont zamarł, gdy usłyszał, że ktoś otwiera drzwi głównego wejścia do *château*. Instynktownie przysunął się do ściany, częściowo chowając się w cieniu. Zdjął okulary do czytania i wsunął je za dekollet swetra. Sądząc po krokach, ktoś zbliżał się szybko, wbiegł po pierwszych stopniach, pokonał korytarz, drugie schody, kolejny korytarz i wspiał się po ostatnich stopniach – nie kamiennych, lecz drewnianych i węższych. Wstrzymując oddech, Étienne pomyślał, że to pewnie Jean-Claude, który musiał sobie ubzdurać, że nie może spędzić nocy poza zameczkiem. Te jego głupie rośliny za bardzo by za nim tęskniły. W chwili, gdy otworzyły się drzwi na strych, Étienne wycelował w nie latarkę. Widząc postać na progu, westchnął i powiedział:

– A ty co tu robisz?

Okiennica stuknęła o kamienny mur, gdy Étienne rozmawiał z nieproszonym gościem. Zerwał się mocny wiatr, który przez otwarte okno niósł ich głosy ponad sosnami i wzgórzem, i dalej, aż na pole lawendy.

Gdy wycie wiatru przybrało na sile, to samo stało się z ich głosami, w których teraz słychać było złość. Étienne, którego dziwnie cieszyło to obrzucanie

się obelgami, wyobraził sobie, że czuje zapach lawendy. Ta rozmowa zaczynała go nudzić. Na ułamek sekundy odwrócił głowę w stronę okna, by wciągnąć do płuc nocną bryzę, po czym znów spojrzał na swojego rozmówcę. Wtem usłyszał jakiś nagły dźwięk na drewnianej podłodze strychu i poczuł ręce na piersi. Gdy spadał, czuł, jak mistral owiewa jego ciało. Spojrzał w górę w okno strychu, zobaczył słabe światło swojej latarki i słyszał wiatr – nie był to świst, lecz raczej jęk. Nawet na tych kilka chwil przed śmiercią Étienne de Bremond był w stanie myśleć jedynie o tych dwóch brioszkach i o tym, że zawsze wolał je od croissantów.

## Rozdział

### pierwszy

Saint-Antonin, Francja

17 kwietnia, 17:30

Verlaque stał przed domkiem dozorca. Była to średniowieczna chata; jej grube mury zbudowano ze złocistego, grubo ciosanego kamienia, który lśnił w świetle późnego popołudnia. Okienka były małe, by nie wpuszczać letnich upałów, a drewniane okiennice pomalowano na spłowiały, szaroniebieski kolor. Za Verlakiem piętrzyła się góra. Przypomnił sobie, co Paul Cézanne mówił o Górze Świętej Wiktorii – że wystarczyło, by o pół metra przesunął sztalugę, i widział zupełnie inną górę. Verlaque spróbował to sprawdzić i przesunął się trochę w prawo. Zadziało. Pojawił się spiczasty szczyt jednego z wielu wapiennych wierzchołków góry – jej południowe zbocze przypominało grzbiet dinozaura. Nagle nad szczytem przemknął jakiś cień i zmieniła się jego barwa. Z zakurzonego różowego stał się szary.

Verlaque odwrócił się i spojrzał na *château*, a właściwie nie *château*, lecz *bastide* – wiejski dom, zbudowany przez zamożnych mieszkańców Aix-en-Provence w siedemnastym wieku. Każdego roku w lipcu opuszczali swoje miejskie rezydencje i wraz ze służbą przenosili się na wieś, gdzie było chłodniej. I faktycznie, tu na górze było zimno, choć Saint-Antonin od Aix dzieliło niespełna dziesięć kilometrów i położone było pięćset metrów nad poziomem morza. Verlaque uświadomił sobie, że zostawił kurtkę w samochodzie.

*Bastide*, podobnie jak ten domek, zbudowano ze złocistego kamienia, ale równiej ciętego. Po obu stronach wysypanej kamykami ścieżki, prowadzącej do frontowych drzwi, stały ogromne żółto-zielone ceramiczne donice, teraz wyszczerbione i popękane. Zauważył, że mimo kiepskiego stanu donic w każdej rósł zdrowy oleander. Krzewy jeszcze nie zaczęły kwitnąć. Inna wysypana kamykami ścieżka, z obu stron obramowana rzędami lawendy, przecinała wypielęgnowany trawnik i prowadziła do kilkusetletniego ozdobnego stawu. Verlaque ruszył ścieżką, świadom niedawno nabranych kilogramów i brzucha napierającego na włoski skórzany pasek. To, że mieszkał teraz sam, nie oznaczało, że zaczął mniej jeść, choć wcześniej myślał, że tak się właśnie dzieje z samotnymi mężczyznami po zerwaniu związku. Westchnął i obiecał sobie, że od jutra zacznie biegać. Próbował sobie przypomnieć, gdzie mogły się podziąć jego sportowe buty.

– *Trainers* – powiedział na głos po angielsku i się uśmiechnął. Jego angielska babcia nazwałaby je „trainers”, a francuska babcia nie wypuściłaby go

w nich z domu. Powiedziałyby: „Seulement pour le tennis”.

Woda w stawie była zielona i mętna, pokryta liśćmi z piętrzących się nad nim platanów. Przy dalszym brzegu znajdowała się fontanna z jasnopomarańczowych i żółtych marmurów, pochodzących z pobliskiej góry. Miała kształt lwiej głowy, a z pyska tryskała do stawu woda. Gdy Verlaque przyjechał do Prowansji, z początku nie podobał mu się marmur z Góry Świętej Wiktorii. Uważał, że jest zbyt jaskrawy, niemal kiczowaty, ale teraz go uwielbiał. Umywalka w łazience Marine była z tego samego marmuru. Wyciągnął rękę i wsunął ją pod bieżącą wodę. Przypomniało mu się kilka wersów z wiersza Philipa Larkina, ulubionego poety jego babci: „Przysuwam usta/ do płynącej wody: / płyn na północ, płyn na południe, / to nie ma znaczenia, / nie miłość tam znajdziesz”. Znalazł miłość z Marine, ale nie satysfakcję, więc pozwolił tej miłości odejść. Zbyt trudno było mu wyjaśnić jej swoją przeszłość i im bardziej starała się nakłonić Verlaque’a, by o niej opowiedział, tym bardziej on się wycofywał. Łatwiej było mu samemu na swoim poddaszu, z książkami, obrazami i cygarami. Nie rozmawiali ze sobą od ponad sześciu miesięcy.

– *Monsieur le Juge!* – zawołał ktoś z chatki. Dozorca stał w drzwiach, całkowicie je sobą wypełniając. – Kawa już gotowa!

Verlaque ruszył w jego stronę, wsuwając rękę do kieszeni i włączając dyktafon.

Starał się nie wzdrygnąć, gdy wchodził do zimnej kuchni. Dozorca, Jean-Claude Auvieux, nalał im kawy. Sędzia Verlaque rozejrzał się po prosto urządzonym, nieskazitelnie czystym pomieszczeniu; bez pośpiechu podziwiał idealnie zachowaną podłogę z kamiennych płyt. W kuchni dominował piec – stary bordowy La Cornue, jeden z takich, o jakich marzyli zapaleni kucharze, tacy jak Verlaque. Chciałby mieć taki z dwoma piekarnikami w swoim mieszkaniu w Aix, ale wtedy musiałby je zupełnie inaczej urządzać. Zatarł wielkie dłonie i oparł się pokusie, by w nie chuchnąć.

Auvieux odwrócił się od pieca i jakby wyczuwając dyskomfort sędziego, powiedział:

– Przepraszam, że tu tak zimno. Przed wyjazdem wyłączyłem na weekend ogrzewanie. W ciągu dnia jest całkiem ciepło, ale w nocy wciąż trzeba trochę dogrzewać, co nie? Niedługo zrobi się cieplej.

Auvieux był starszy od Verlaque’a, pewnie zbliżał się do pięćdziesiątki, ale ogorzała twarz sprawiała, że wydawał się jeszcze starszy. Był potężnej postury: wysoki i barczysty, o pełnych ustach i dużych brązowych oczach. Ubierał się tak jak inni Prowansalczyki zajmujący się tym, co on – niebieskie ogrodniczki i zielona, pikowana myśliwska kamizelka.

– Miał pan ciężką niedzielę – powiedział Verlaque. Wysunął drewniane krzesło i usiadł na nim, nie czekając na zaproszenie. – Co się dokładnie stało?



Auvieux spojrział w podłogę, a potem z powrotem na Verlaque'a, który wpatrywał się w niego swoimi ciemnymi oczami.

– No cóż... Znalazłem ciało, natychmiast wezwałem policję, a potem...

– Był pan sam? – przerwał mu Verlaque.

Dozorca zamarł.

– Tak – odpowiedział. Przesunął butem jakiś niewidoczny brud na podłodze.

Verlaque westchnął.

– Zdaję sobie sprawę, że to musiał być dla pana ogromny szok, gdy znalazł pan zwłoki hrabiego de Bremont. Nie wiem, czy był pan blisko z hrabią, ale wiem, że się pan tu wychował, z nim i z jego rodziną. Mógłby mi pan szczegółowo opowiedzieć, co pan robił po powrocie z Var? Proszę o jak najwięcej detali.

– Wróciłem do Saint-Antonin dziś około południa – odparł Auvieux po chwili milczenia. – Sam. Wyjechałem z domu siostry w Var, niedaleko Cotignac, około wpół do jedenastej.

– Będę potrzebował nazwiska i adresu pana siostry. Dla porządku – wtrącił Verlaque.

– Dobrze. – Auvieux przełknął, wciągnął powietrze i mówił dalej: – Zaparkowałem samochód obok domku, na prawo od *château*. Wciąż tam stoi. Wniosłem do środka walizkę, a potem zacząłem szykować sobie lunch.

– Co dokładnie? – spytał Verlaque.

– Co jadłem na lunch? – Auvieux przez kilka sekund wpatrywał się w sędziego, próbując zrozumieć sens pytania. Potem wzruszył ramionami. Dawno temu przestał próbować zrozumieć ludzi. Z roślinami było o wiele łatwiej. Verlaque zauważył już na blacie miseczkę truskawek i cienkie zielone szparagi przygotowane na kolację. Gdy Auvieux otworzył lodówkę, by wyjąć mleko, Verlaque szybko do niej zajrzał, chcąc sprawdzić, co jest w środku. Jajka, połowa koziego sera, salami w plastikowym opakowaniu, masło, woda mineralna i białe wino. Mniej więcej to samo, co Verlaque miał w swojej lodówce. Z wyjątkiem szampana Pol Roger.

– Hmm, usmażyłem sobie stek, antrykot – odparł w końcu dozorca. – I jadłem sałatkę. Sałatkę z ogórkiem i zieloną papryką. Wypiłem też dwa kieliszki czerwonego wina. Kupuję je hurtem ze spółdzielni w Puyloubier. Jest całkiem niezłe, wie pan?

Na twarzy Verlaque'a pojawił się ciepły szczery uśmiech. Znał wino z tej spółdzielni i dozorca miał rację. Jak na wino kosztujące niecałe trzy euro za litr, było naprawdę niezłe.

– O której skończył pan jeść? – wypytywał dalej Verlaque.

– Około drugiej. Po lunchu przebrałem się w robocze ubranie i poszedłem tam pieszo. Lubię się przespacerować po lunchu, nawet piętnastominutowy spacer dobrze robi na zdrowie. Moja siostra oglądała o tym program. Piętnaście minut

wystarczy.

– Tak mówią – odparł Verlaque, w którym znów zaczęło narastać zniecierpliwienie.

– No więc się tam przeszedłem – ciągnął Auvieux, wskazując na *château* widoczny z kuchennego okna. – Przez gaj oliwny. Kilka minut sprawdzałem drzewa, podcinałem je w lutym. Hrabia de Bremont, to znaczy dziadek pana Étienne’a, mówił mi kiedyś, że gałęzie należy przycinać tak, by przez drzewa było wyraźnie widać Górę Świętej Wiktorii.

W tym momencie dozorca przerwał i spojrzął na sędziego, jakby czekał na odpowiedź.

– Też o tym słyszałem – odparł Verlaque, zdziwiony własnymi słowami. Dopiero po kilku sekundach zdał sobie sprawę, że powiedziała mu o tym Marine, gdy pewnego słonecznego poranka przycinała oliwkę na swoim tarasie. Z jej mieszkania usytuowanego w centrum nie było co prawda widać góry, ale jeszcze na początku dwudziestego wieku rozciągał się stamtąd wspaniały widok. To było, zanim jeszcze pobudowano wysokie apartamentowce na obrzeżach Aix, i takie powiedzonko się przyjęło. Verlaque przypomniał sobie, że widział liczne prace Cézanne’a przedstawiające tę górę, wykonane w jego atelier na wzgórzu na północ od Aix. Dziś ten widok zasłaniały sześciennymi betonowymi apartamentowce. Verlaque’owi wydawało się w pewnym sensie stosowne, że obecnie nie widać góry z dawnej pracowni Cézanne’a, co więcej – samo miasto posiada tylko dwa, może trzy niewielkie obrazy swego słynnego obywatela – zapewne jednego z najważniejszych malarzy w historii sztuki. Pomyślał o niewielkim Musée Granet w Aix i spróbował sobie przypomnieć, czy w ogóle widział tam jakiś obraz Cézanne’a. Dziewiętnastowieczni mieszkańcy Aix wykpiłi dzieła malarza, zbyt nowoczesne jak na ich prowincjonalny gust. W dwudziestym pierwszym wieku wciąż mają ten sam konserwatywny gust co ich przodkowie, pomyślał Verlaque. Pomimo wszystkich nowych i starych pieniędzy w Aix-en-Provence wciąż nie było galerii ze sztuką współczesną ani nowoczesnych restauracji, od których roiło się w innych miastach, takich jak Tuluza czy Lille.

Verlaque wyjrzał przez okno na *château* i spytał nagle:

– Czyj to samochód, ten z numerami z Lazurowego Wybrzeża?

Auvieux pochylił się i wyjrzał przez małe okienko chatki.

– To stary samochód François – odparł. – Brata Étienne’a. Mieszka na Riwierze. Ostatnio obaj go używali. Korzystali z niego do dorywczych prac i dojeżdżali nim do Aix.

– W porządku – powiedział Verlaque. – Proszę mówić dalej. – I widząc zdumioną minę dozorca, dodał: – Był pan w gaju oliwnym.

– Ach, *merci*. A więc spędziłem jakieś piętnaście minut w gaju oliwnym, a potem przeszedłem na tyły *château*, żeby pójść do sosnowego lasu na południe

od domu. Ale zanim ruszyłem na wzgórze, spojrzałem w lewo i zobaczyłem ciało pana Étienne'a na ziemi.

– A więc to było między drugą piętnaście a wpół do trzeciej. I to wtedy pan do nas zadzwonił?

– Tak. Oczywiście przyjrzałem się zwłokom, ale ich nie ruszałem... to znaczy pana Étienne'a. Wiedziałem, że nie żyje. Pobiegnę do mojego domku i natychmiast zadzwoniłem pod osiemnaście.

– O której w piątek wyjechał pan z Saint-Antonin? – spytał Verlaque.  
Auvieux upił trochę kawy.

– Wyjechałem sporo przed kolacją, bo moja siostra szykowała dla mnie *blanquette de veau*. Wyjechałem około piątej.

– I nie widział pan nic niezwykłego?

Dozorca drgnął i jego oczy się rozszerzyły.

– Co pan ma na myśli? – spytał.

Verlaque zauważył, że Auvieux czuje się nieswojo.

– No cóż – odparł – wiem, że policja już pana pytała, czy nic nie zginęło. Ale czy zauważył pan, żeby coś było nie na miejscu przed wyjazdem do Var albo po pana powrocie?

– Nie – odrzekł powoli dozorca.

– Czy były jakieś włamania do *château*?

Dozorca niespokojnie potarł rękę.

– Tylko raz, dwa lata temu. To były jakieś dzieciaki z Marsylii. Było ich trzech. Próbowali się włamać przez jedną z okiennic w jadalni. Usłyszałem hałas i przepłoszyłem ich moją strzelbą myśliwską. Następnego dnia zadzwoniłem do pana Étienne'a i przysłał kogoś, żeby naprawił okiennicę.

Verlaque nie spytał Auvieux, skąd wiedział, że tamte dzieciaki były z Marsylii, domyślał się jednak, że musiało to mieć coś wspólnego z kolorem ich skóry.

Sędzia śledczy wstał i wskazał na truskawki i szparagi.

– Kupił je pan na tym przydrożnym stoisku przy *route nationale*?

Dozorca spojrzał wielkimi oczami na stół, a potem na Verlaque'a i odparł:

– Tak, w drodze do domu.

– Mają dobry towar? – chciał wiedzieć Verlaque.

– Całkiem niezły – potwierdził dozorca. – I tańszy niż na rynku w centrum

Aix.

Verlaque przewrócił oczami.

– Tak, zabawne, że jabłko na rynku w Aix kosztuje dwa razy więcej niż takie samo w Gardanne.

Gardanne było starym górniczym miastem piętnaście minut na południe od Aix; kiedyś wydobywano tam węgiel. Kopalnię zamknięto, ale imponujący komin

elektrowni, teraz opalanej chińskim węglem, widać było na południe od autostrady, gdy wjeżdżało się do Aix. Było to brzydkie, ponure miasto, gdzie budynki, a nawet niektórzy mieszkańcy wyglądali tak, jakby zawsze byli pokryci cieniutką warstwą sadzy. Verlaque nie zamierzał robić tam zakupów. Tak właściwie to nie był nawet pewien co do tych cen – po prostu wszyscy w Aix to powtarzali.

Teraz, gdy już rozmawiali o jedzeniu, Verlaque spytał:

– Lubił pan Étienne’a de Bremont?

Dozorca wydawał się zaskoczony tym pytaniem.

– Był moim szefem.

– Ale czy pan go lubił? – nalegał sędzia.

Auvieux spojrzał w podłogę.

– Nie, proszę pana. Szczerze mówiąc, nie za bardzo.

Verlaque widział, że dozorca jest zmęczony i przytłoczony. Dopił kawę i się pożegnał, informując Auvieux, że na strychu wciąż są policjanci i że kiedy skończą, powiedzą mu, że może tam pójść i wszystko pozamykać.

– Mam z panem pójść, *Monsieur le Juge*? – spytał Auvieux.

– Nie, nie ma takiej potrzeby, ale dziękuję.

Auvieux poprosił sędziego, by ten upewnił się, że jego ludzie nie zostawią bałaganu i pogaszą wszystkie światła. Verlaque zapewnił go, że tak zrobi, i podziękował za poświęcony mu czas i dobrą mocną kawę.

Gdy Verlaque szedł z powrotem w stronę *château*, myślał o tym, że choć rodowi Bremontów wyraźnie brakuje funduszy, to jednak dozorca Auvieux jest bardzo dumny z rezydencji i ze swojej pracy. Życzyłby sobie, by niektórzy urzędnicy służby cywilnej pracujący w Palais de Justice mieli podobne podejście. Był sędzią śledczym od niedawna – od niespełna dwóch lat. W rekordowym czasie i w bardzo młodym wieku z prokuratora awansował na prezesa sądu rejonowego, w chwili mianowania na to stanowisko miał trzydzieści dziewięć lat. Zastąpił tym, że był nieprzekupny i niezwykle elokwentny, mówił też świetnie po angielsku – a oprócz tego był szczery. Verlaque dał jasno do zrozumienia, że na nowym stanowisku będzie aktywnie uczestniczył w śledztwach, do czego sędziowie śledczy byli uprawnieni, choć rzadko korzystali z tych uprawnień. W lipcu tamtego roku udzielił wywiadów różnym gazetom, w tym „Le Monde” i „Le Figaro”, a jego zdjęcie ukazało się na okładce marsylskiego wydania „L’Express”. Najdziwniejszy artykuł zamieściło jednak czasopismo „Elle”. Czarno-białe zdjęcie zrobił sędziemu niezwykle popularny młody czeski fotograf mieszkający w Paryżu. Fotografia zrobiona z żabiej perspektywy podkreślała i tak szerokie ramiona Verlaque’a i jego potężną pierś, maskując wystający brzuch i fakt, że mierzył jedynie metr siedemdziesiąt dwa. Jego ciemnobrązowe, niemal czarne oczy patrzyły prosto w obiektyw. Włosy, gęste, czarne, lekko przyprószone siwizną, jak zawsze były rozczochrane. Fotograf powiedział: „Człowieku, masz świetny nos”. Gdy Verlaque

studiował prawo, grał w rugby w klubie sportowym z Château de Vincennes i złamał sobie nos, który pozostał już potem mocno krzywy. Wtedy, podczas meczu, zderzył się głową z innym zawodnikiem, grając w młynie. Tamtego wieczoru, pochylony nad jakimiś aktami, z przerażeniem zdał sobie sprawę, że jest w stanie przeczytać tylko dolną połowę kartki. Górna była czarna. Jego wzrok wrócił do normy po kilku godzinach, ale z rugby to był koniec. Redakcji „Elle” najwyraźniej nie przeszkadzał jego zakrzywiony nos. Artykuł opatrzono nagłówkiem „Poddajemy się!”. Ta niespodziewana sława była mu nie na rękę, odpowiadała mu jednak władza sędziego śledczego. Wyłączne prawo autoryzowania rewizji, wystawiania wezwań do sądu i wydawania zgody na podsłuchy, których rezultaty można było wykorzystać w postępowaniu karnym.

Tupiąc butami, wbiegł po kamiennych schodach *château* i usłyszał dobiegające ze strychu głosy i śmiech policjantów. Dla nich to była rutyna – wyglądało na to, że młody hrabia wypadł z okna i skręcił sobie kark. Verlaque natomiast chciał przede wszystkim dowiedzieć się, dlaczego Étienne de Bremont w ogóle wychylił się przez to okno. Kilka razy spotkał się z hrabią, lubił go i szanował. Zamierzał starannie zbadać miejsce, w którym Bremont zginął; czuł, że jest to winny hrabiemu oraz jego żonie i dzieciom. Sędzia wyczuł też niepokój Jean-Claude’a Auvieux podczas przesłuchania. Nerwowość i długie chwile milczenia, gdy zapytał go, czy w *château* wszystko było na swoim miejscu.

Gdy Verlaque wszedł na strych, rozmowy policjantów natychmiast ucichły. Było późne popołudnie i przez okno wpadały ostatnie promienie słońca.

– Dlaczego nikt nie włączył światła? – spytał, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

– Nie działa, panie sędzio – odpowiedział jeden z policjantów.

Verlaque przeszedł przez pokój i uśmiechnął się na widok *le commissaire*. Przez ostatnie pół roku Verlaque’a nie było – spędził miesiąc w Luksemburgu, w Trybunale Sprawiedliwości, miesiąc na wakacjach w Anglii i cztery miesiące na urlopie naukowym w Paryżu – i choć współpracował z komisarzem tylko raz czy dwa razy, Bruno Paulik był jednym z jego ulubionych kolegów. Rzeczowy, pełen sprzecznosci mężczyzna, z wyraźnym akcentem z południa kraju. Syn rolników z niewielkiej wioski w górach Luberon był obecnie jednym z najlepszych detektywów w Aix i uwielbiał operę. Jego żona Hélène była głównym winiarzem w prestiżowej prywatnej wytwórni win na północ od Aix. Podczas festiwalu operowego w Aix Paulik zazwyczaj brał tydzień urlopu, a jego zaledwie dziewięcioletnia córka była już utalentowaną śpiewaczką w prestiżowym konserwatorium muzycznym. Paulik, podobnie jak Verlaque, grał kiedyś w rugby i nigdy nie przestał kochać tego sportu.

– Dzień dobry, komisarzu – powiedział Verlaque, ściskając mu rękę.

– Witamy z powrotem, panie sędzio. – Komisarz się uśmiechnął, a potem

z konsternacją zmarszczył brwi. – Nie dostał pan akt od prokurator, prawda? Przed chwilą wyszła.

– Simone Levy z Marsylii? Roussela wciąż nie ma?

– Tak, ciągle jest na urlopie. Ale lada dzień wróci.

Verlaque usiłował ukryć rozczarowanie spowodowane zarówno rozminięciem się z czarującą prokurator Levy z Marsylii, jak i wiadomością o rychłym powrocie Roussela, prokuratora z Aix.

– Jakąś godzinę temu rodzina formalnie zażądała dochodzenia, więc oto jestem.

– Ach... Wdowa? – spytał Paulik.

– Tak właściwie to nie. Charles i Eric Bleyowie, kuzyni pierwszego stopnia denata.

– Ci prawnicy Bleyowie? Ach, nie miałem pojęcia, że są spokrewnieni z Bremontami. A wdowa po Bremoncie podpisała wniosek?

– Nie, odmówiła. – Verlaque uniósł brew. Rozejrzał się po pokoju. – Znaleźliście coś?

– Nic, panie sędzio – odparł Paulik. – Podłogę przy oknie niedawno zamieciono, a dozorca powiedział mi, że często tu zamiata i ściera kurze. Ciężko nam było się go pozbyć. Chodził za mną wszędzie jak zbłąkana owieczka.

Verlaque dostrzegł opartą w kącie miotłę.

– Nie zapomnijcie pobrać z niej odcisków.

– Już kazałem im to zrobić. Na razie nie znaleźliśmy żadnych śladów wtargnięcia. Drzwi na strych były otwarte na oścież, a klucz do nich leżał na tej walizce. Pobraliśmy z niej odciski palców. Dozorca dał nam klucz, a ja powiedziałem mu, żeby nikogo tu nie wpuszczał.

– Dobrze – stwierdził Verlaque, zerkając na walizkę. – Zabytkowa Louis Vuitton, pewnie z lat trzydziestych, wciąż opatrzona przywieszką z hotelu Ritz w Londynie, z nazwiskiem Comte Philippe de Bremont, napisanym czarnym atramentem. Philippe de Bremont musiał być dziadkiem denata – pomyślał Verlaque – człowiekiem, o którym wspominał dozorca.

– Niezłe pomieszczenie, prawda? Mają tu więcej rzeczy niż ja w całym domu. – Paulik rozejrzał się po strychu, pocierając łysinę.

– Francuska arystokracja wcale nie jest taka biedna, jak by chciała nam to wmówić, hm? – spróbował zażartować Verlaque. Nie podobało mu się, że policjanci wiedzą, iż pochodzi z bogatej rodziny, choć było to dość oczywiste; niewielu sędziów, którzy bądź co bądź byli urzędnikami służby cywilnej, mogło pozwolić sobie na to, by jeździć zabytkowym porsche i prawie co wieczór jadać kolację na mieście. Bynajmniej jednak nie wywodził się ze szlachty.

Paulik nie odpowiedział. Wychylał się akurat przez otwarte okno, marszcząc czoło. Komisarz nucił coś pod nosem i Verlaque sądził, że to jakaś aria operowa,

ale jego wiedza na temat opery była żenująco słaba. Paulik przestał nucić i powiedział policjantom, że mogą opuścić strych. Potem zmarszczył brwi.

– Myśli pan, że Bremont mógł stracić równowagę i wypaść przez ten otwór?  
– spytał sędziego.

Verlaque pokręcił głową.

– Niezbyt prawdopodobne. Wychował się tutaj. Musiał otwierać to okno tysiące razy. Tak mi powiedział Eric Bley przez telefon, i to dlatego on i jego brat zażądali wszczęcia dochodzenia. Jaka jest pańska teoria?

Paulik zastanawiał się przez chwilę.

– Ktoś mógł go pchnąć, ale nie ma żadnych śladów walki. Albo ktoś go zaskoczył, to mogła być kwestia kilku chwil. – I dodał jeszcze: – Jeśli doszło do walki, ktoś mógł potem posprzątać bałagan. Samobójstwo?

– Z tego, co wiem o hrabim, samobójstwo wydaje się mało prawdopodobne, ale będziemy musieli zadać te przykre pytania jego rodzinie. Obaj Bleyowie uważali, że to raczej nie wchodzi w grę. Poza tym przy zwłokach Bremonta znaleziono okulary. Nie zdjąłby pan okularów, gdyby zamierzał pan skoczyć? – Verlaque wziął do ręki swoje okulary do czytania, które zawsze nosił na szyi, odkąd skończył trzydzieści parę lat.

Paulik kiwnął głową.

– Tak, rozumiem, co pan ma na myśli. To tak jak te samobójstwa nad Morzem Śródziemnym. Zrozpaczeni ludzie pieczołowicie składają swoje ubrania, zostawiają wszystko ułożone w porządną stertę na plaży, a potem spokojnie wchodzą do morza.

Obaj milczeli przez kilka sekund, pogrążeni w myślach. W końcu odezwał się Verlaque:

– Co do kradzieży, dozorca starannie sprawdził *château* i wygląda na to, że wszystko jest na swoim miejscu. Niech pan jutro z nim porozmawia i sporządzi drugi raport. Na wszelki wypadek. Ja już z nim rozmawiałem. Będziemy musieli wybrać się do jego siostry, do Var. Z tego, co zrozumiałem, oboje się tu wychowywali.

– A brat hrabiego? – spytał Paulik. Verlaque odnotował w duchu, że Paulik jak zwykle odrobił pracę domową przed przyjazdem na miejsce zdarzenia.

– François de Bremont ma się zjawić jutro – odpowiedział sędzia. – Niech mi pan da znać, gdy tylko dotrze. Żeglował u wybrzeży Korsyki i ma przyjechać samochodem z Tuluzy.

– A co z pracą hrabiego de Bremont? Czy mógł narobić sobie wrogów podczas kręcenia któregoś z tych swoich filmów dokumentalnych?

Étienne de Bremont zasłynął jako filmowiec. W ciągu ostatnich pięciu lat zaprezentował na festiwalach kilka filmów dokumentalnych, a jeden z nich dotyczył przestępczości zorganizowanej w Prowansji. To właśnie podczas kręcenia

tego filmu poznał go Verlaque.

Verlaque pomyślał o tamtym filmie i o poważnym młodym człowieku stojącym za kamerą. Z tamtych wywiadów zapamiętał Étienne'a de Bremont jako wysokiego, chudego mężczyznę o kruczoczarnych włosach, które zawsze wydawały się trochę przetłuszczone. Podczas każdego z tych wywiadów Bremont miał na sobie jedną z kamizelek w stylu safari, które lubią nosić fotografowie z National Geographic. Verlaque'owi wydawało się to trochę *curieux*, do chwili, gdy zaczął się wywiad i szczerze szare oczy Bremonta ani przez chwilę nie przestały się wpatrywać w jego twarz. Bremont delikatnie zadawał pytanie, a Verlaque wydawał się odpowiadać jak najbardziej zgodnie z prawdą, nie wskazując przy tym na nikogo palcem. Zarówno reżyser, jak i sędzia wiedzieli, że przestępczość w rejonie Marsylii ma źródła na Korsyce, ale obaj niewiele mogli i chcieli powiedzieć. Verlaque'owi bardzo podobał się tamten film. Zdjęcia były imponujące, wykonane w tak jaskrawym świetle, że widz czuł się nieswojo; sędzia uważał, że to pasuje do korsykańskiej mafii i do świata przestępczego w ogóle. Po trzech wywiadach z Bremontem, a zwłaszcza po obejrzeniu filmu dokumentalnego, który dopiero co został nagrodzony, pozbył się częściowo niechęci do arystokratów niemających żadnego poważnego zawodu, tylko tytuł.

Odpowiedział na pytanie Paulika:

– To możliwe. Proszę posłać jednego z policjantów, może Flamanta, żeby porozmawiał z dyrektorem Souleiado Films, wytwórni, dla której pracował. Mają siedzibę w wyremontowanej fabryce w okolicy Belle de Mai w Marsylii. A tak właściwie, może wybrałby się pan tam sam jutro rano?

Paulik pokręcił głową.

– Przykro mi. Nie mogę. Jutro i we wtorek zeznaję w sądzie.

– *Merde*. W porządku. Cóż, nie pali się. W tym tygodniu wystarczy.

Obu mężczyzn wyrwały z zamyślenia pośpieszne kroki dwóch osób wchodzących na strych. Do pomieszczenia wpadł młody policjant. Verlaque widywał już tego rudego, piegowatego chłopaka na posterunku, ale zapomniał jego nazwiska.

– *Putain!* – wyrzucił z siebie przeciągle młody policjant i grzbietem dłoni otarł czoło. Potem, jakby wystraszony obecnością swojego przełożonego i *juge d'instruction*, przeprosił za przekleństwo. – Przepraszam, panie sędzio, ale przy frontowych drzwiach zebrała się grupka reporterów.

– Powiedz im, że zaraz do nich zejdę i złożę oświadczenie – odparł Verlaque.

Młody policjant wyszedł. Schodząc po schodach, upuścił notes i długopis. Podnosząc je, znów zaklął. Paulikowi nie udało się ukryć uśmiechu. Odkaslnął i spytał:

– A jak brzmi nasze oświadczenie, panie sędzio?



Verlaque wzruszył ramionami.

– Nieszczęśliwy wypadek. Tak stwierdził lekarz sądowy i więcej nie możemy powiedzieć, dopóki nie porozmawiam z żoną Bremonta i nie dowiem się, dlaczego był tu w sobotnią noc. – A potem dodał jeszcze: – Jeśli już to skończyliście, możemy wyjść i zamknąć drzwi na klucz.

– Tak, panie sędzio.

Zamknęli strych i ruszyli na dół, mijając pokoje, które zbadał już Paulik ze swoją ekipą. Na parterze Verlaque, zanim jeszcze otworzył drzwi frontowe, odwrócił się do komisarza i spytał:

– A są tu w ogóle jakieś pokoje, których używano w ciągu ostatnich dziesięciu lat?

– Biblioteka i sypialnia na pierwszym piętrze, z przyległą łazienką. I to by było na tyle. Biblioteka jest za salonem, na tyłach *château*.

– Zajrzyjmy tam. Reporterzy mogą poczekać, do cholery.

Meble w salonie były poprzykrywane, ale nie świeżymi, białymi płachtami, takimi jak te, które chroniły teraz meble babki Verlaque'a, lecz prześcieradłami w psychodeliczne, kwieciste wzory. To z pewnością drapiący poliester, pomyślał Verlaque, krzyk mody we Francji w latach siedemdziesiątych. Skrzywił się, gdy dotarło do niego, dlaczego tak nienawidzi takich płacht – od miesiący nie myślał o Aude – i popsuł mu się humor.

Przez dwuskrzydłowe drzwi weszli do biblioteki, której dwie ściany pokrywały regały. Książki okazały się mieszanką klasyków w skórzanych oprawach, wydanych po francusku, angielsku, rosyjsku i niemiecku, oraz tysięcy pozycji wydań kieszonkowych po angielsku i francusku, głównie kryminałów i westernów.

– Co jest w tym biurku? – spytał Verlaque.

– Prawie nic. Trochę papieru, ołówki, taśma, zszywacz. Żadnych dokumentów.

– Sejf?

– Nie, panie sędzio.

Verlaque podszedł do biurka. Na lśniącym drewnianym blacie stało kilka zdjęć w srebrnych ramkach.

– Panuje tu idealny porządek, a te srebrne ramki aż lśnią. Ktoś tu sprząta.

– Dozorca, panie sędzio. Zwróciłem uwagę, że nie ma tu kurzu i go o to spytałem. Powiedział, że nalega, by osobiście sprzątać bibliotekę, choć resztę pokoi sprząta młoda dziewczyna z wioski, kiedy François de Bremont przyjeżdża do rezydencji. Czyli tylko parę razy w roku i w święta. – Verlaque schylił się i założył okulary do czytania.

– Ta starsza para na zdjęciu przed domem to muszą być chyba dziadkowie?

– Zgadza się. Philippe i Clothilde de Bremont. Kolejne zdjęcie, sądząc po

szerokim krawacie tego faceta i fryzurze kobiety, zrobiono w latach siedemdziesiątych, to rodzice Étienne'a i François de Bremont. Oboje już nie żyją.

– A na trzecim zdjęciu są bracia jako nastolatki – stwierdził Verlaque. – Wygląda na to, że mieli wtedy około piętnastu i siedemnastu lat. Poznają tego chudego chłopaka po lewej. To Étienne de Bremont. A ten drugi to musi być François. Przystojny, barczysty, z szerokim uśmiechem. Wygląda jak Kennedy. A kim jest ta dziewczyna pośrodku? Myślałem, że było tylko dwóch braci?

– Ma pan rację. Raport nie wspominał o żadnej córce. To musi być jakaś kuzynka albo dziewczyna któregoś z nich.

Verlaque pochylił się jeszcze bardziej, by przyjrzeć się roześmianej dziewczynie. Rozczochrane, gęste kasztanowe włosy i skrzące się zielone oczy, szczupłe, piegowate ramiona obejmujące obu chłopaków. Verlaque mimowolnie się uśmiechnął.

– Przyjrzyj się jej dokładniej – powiedział do Paulika. – Chyba obaj ją znamy.

Odwrócił wzrok od zdjęcia i podszedł do półki, na której stał zbiór francuskich klasyków w skórzanych oprawach. Szklily mu się oczy, gdy przeglądał tytuły, i doszedł do wniosku, że zadzwoni do niej, gdy tylko będzie mógł, zaraz po wyjściu z tego zimnego, starego domu. Sprawiała, że się uśmiechnął, a niewiele kobiet to potrafiło. Dobrze się czuł w jej obecności. Kilka dni temu ich wspólny znajomy powiedział mu, że spotykała się teraz z jakimś bosko przystojnym młodym lekarzem, i Verlaque poczuł ból w brzuchu, jakiego nigdy jeszcze żadna kobieta nie wywołała. Na początku łatwo mu było zignorować jej nieobecność, gdy pochłaniała go praca i podróże i gdy na cztery miesiące zakopał się w prawniczych książkach w Paryżu. Wiedział z doświadczenia, że z czasem pożądanie zniknie. Zamiast jednak o niej zapomnieć, co przychodziło mu tak łatwo w przypadku innych kochanek, zaczął przyłapywać się na tym, że coraz częściej o niej myśli. Poezja nie pomagała, whisky też nie. Pewnego razu późnym wieczorem przeszedł przez miasto do jej mieszkania i nacisnął dzwonek, ale nikt nie otworzył.

– *Ah bon?* – Paulik pochylony przyglądał się zdjęciu. – Skoro twierdzi pan, że obaj ją znamy, to wciąż musi mieszkać w Aix. – Paulik wpatrywał się w dziewczynę. Śmiała się w chwili, gdy robiono zdjęcie, i zdawało mu się, że niemal słyszy jej zaraźliwy śmiech. I wtedy ją skojarzył. – To profesor Bonnet, *non?*

Marine Bonnet trzęsła konserwatywnym wydziałem prawa na uniwersytecie w Aix i uwielbiała zapraszać na swoje zajęcia prelegentów z zewnątrz. Verlaque pamiętał, że jednym z jej gości najlepiej przyjętych przez studentów był właśnie komisarz. Paulik dobrze się bawił, wygłaszając prelekcję, a także potem, po zajęciach, gdy studenci prawa zebrali się wokół niego, jakby był gwiazdą rocka. Verlaque i Marine zostali też zaproszeni na kolację organizowaną przez winiarza,

szefa H el ene Paulik, i Paulikowie r ownie na chwil  tam zajrzeli. Wyszli jednak wczesniej, bo – jak t umaczyła H el ene – zaczęła ją łapać grypa, choć prawdziwym powodem było to, e Bruno Paulik czuł si  nieswojo w obecnoci swojego szefa, s dziego śledczego.

– Tak, myśl , e to Marine. Zadzwo ni  do niej i powiem jej, eby zjawiła si  tu jutro rano. Z całą pewnoci  dobrze znała t  rodzin .

Paulik uni ł brew na wzmiank , e laik – nawet jeli jest nim profesor prawa – ma by  zaproszony na miejsce wypadku, ale tego nie skomentował. Verlaque dostrzegł jego min  i spojrz ł krzywo na komisarza.

– Jestem s dzi  śledczym i mog  tu zaprasza , kogo mi si  ywnie spodoba. A teraz – dodał, zmieniaj c temat, bo zdał sobie spraw , e przyczyn  jego złego nastroju jest co zupełnie innego, a mianowicie te kwieciste p achty – uporajmy si  z czekaj cymi dziennikarzami. Biedak w wywleczono z niedzielnych pikników zakrapianych pastis.

– Tak, panie s dzio. – Paulik szanował Verlaque’a i udawał, e nie słyy, gdy inni policjanci z Aix nazywali go snobem. S dzia był staranny, miał encyklopedyczn  wiedz  z zakresu prawa i cho  Paulik był bardzo pewny wlasnej wiedzy, to jednak po kadej sprawie prowadzonej z Verlakiem dowiadywał si  czego nowego. Wsp łpraca dobrze im si  układała i wiedział, e s dzia r ownie tak uwaa. Verlaque nie bał si  przest pc w ani wielogodzinnych przesłucha , podobnie jak Paulik, kt rego grony wygl d zwykle budził szacunek oskaronych. Verlaque nie marnował czasu z Paulikiem na pikantne dowcipy ani nazywanie kobiet *poulettes*. A co z tego, e s dzia śledczy jedził drogim samochodem i pijał dobre wina? Jednak jego uwaga o piknikach była obraliwa w stosunku do innych ludzi i ich rozrywek i nie spodobała si  Paulikowi, kt rego r ownie oderwano od rodzinnego pikniku zakrapianego pastis w g rach Luberon.

## Rozdział

### drugi

Dzwony Saint-Jean-de-Malte zaczęły już bić, jak każdego ranka o siódmej pięćdziesiąt. W przeszłości obwieszczały idącym do kościoła, że mają dziesięć minut do mszy. Teraz Marine wykorzystywała je jako przypomnienie, by w porę wyjść z mieszkania i udać się na uniwersytet lub – jeśli zajęcia zaczynały się później – do swojej ulubionej kawiarni.

Gdy dzwonienie wreszcie ustało, a ona już się ubrała, otworzyła okna w sypialni i do środka wpadł podmuch wiatru, rozrzucając wokół strony czytanej przed chwilą gazety. Wychyliła się i przymocowała okiennice do kamiennej fasady. Wiatr na chwilę ucichł. Spojrzała na cztery kamienne stwory sterczące w narożach średniowiecznej wieży kościoła Saint-Jean-de-Malte. Wisiały na kościele, trzymając się go jedynie pazurami tylnych łap, reszta ciała sterczała ku niebu, jakby w każdej chwili były gotowe do skoku. Marine czasem się o nie martwiła, zwłaszcza gdy zrywał się mistral, tak jak dzisiaj w nocy. Gargulce wisiały tak od ośmiuset lat, a w jednej chwili mogły zniknąć, roztrzaskując się o bruk. Zadowolona, że nic im nie dolega, spostrzegła sąsiadkę z drugiego podwórza, która właśnie w tej chwili także otworzyła okno. I zanim Marine zdążyła się schować, Philomène Joubert krzyknęła z odległości pięćdziesięciu metrów, zagłuszając wiatr:

– *Coucou*, Mlle Bonnet!

Nie czekając na odpowiedź Marine, Mme Joubert – czy też Mme Saint-Jean-de-Malte, jak Marine nazywała ją w duchu, bo odkąd sięgała pamięcią, starsza pani śpiewała w kościelnym chórze – krzyczała dalej, szybko wywieszając pranie na sznurkach rozciągniętych pod jej oknami.

– Ten wiatr wyrwałby włosy z głowy łysemu! – zawołała Mme Joubert i zaśmiała się serdecznie. Marine się do niej uśmiechnęła. Wiedziała, co za chwilę usłyszy. – Choć nie wieje tak mocno, jak w czasach, gdy byłam mała! Pamiętam, jak matka musiała mnie popychać po *rue de l'Opéra*, taki był silny wiatr! Ale pogoda się zmienia, no wie pani. Nazywają to zmianami klimatycznymi! Ale i tak wiatr szybko wysuszy nasze pranie, prawda, *Mademoiselle*?

Marine wściekle pokiwała głową i tym razem udało jej się wtrącić:

– *A oui!*

Zanim jednak miała szansę cokolwiek dodać, starsza pani skończyła

rozwieszać pranie, pożegnała się i schowała głowę do środka, zamykając okno z dobrze wyćwiczonym hukiem. Mme Joubert najwyraźniej nigdy nie zauważyła, że Marine rzadko wywiesza pranie na zewnątrz – choć wiedziała, że trochę oszukuje. Podczas remontu w mieszkaniu zainstalowała suszarkę do prania. Usprawiedliwiała to tym, że nie ma czasu na rozwieszanie prania, ale nienawidziła prac domowych, a sama myśl o zatrudnieniu kogoś do pomocy wprawiała ją w zakłopotanie. Natomiast Mme Joubert była tak świetnie zorganizowana, że robiła pranie według kategorii. Dziś był dzień koszul nocnych i piżam i faktycznie wisiało u niej w rzędzie sześć męskich bawełnianych piżam i kilka niemal przezroczystych białych koszul nocnych. A co jutro? Chyba dzień ściereczek kuchennych. Marine nigdy tak naprawdę nie nauczono prowadzenia domu i sądziła, że jest jedyną kobietą, która nie poznała sekretów prania, froterowania i prasowania. System Mme Joubert wydawał jej się organizacyjnym koszmarem. A poza tym czy w ogóle miała siedem albo osiem koszy na pranie, jeden na każdy typ odzieży?

Marine spojrzała w dół na migdałowiec, który właśnie zaczynał kwitnąć, i odetchnęła z ulgą na myśl, że kupiła to mieszkanie, gdy ceny wciąż były rozsądne, a Aix-en-Provence nie zasłynęło jeszcze jako „dwudziesta pierwsza *arrondissement* Paryża”. Mieszkała tu od ponad dziesięciu lat. Mimo to mieszkanie bezwiednie kojarzyło jej się z Antoine’em Verlakiem, jakby on również był tutaj od dziesięciu lat, a nie zaledwie od roku. Lubił czas spędzony w tym mieszkaniu, tego była pewna. Po sześciu miesiącach znajomości przeniósł tu większość swoich ubrań, zatrzymując jednak swoje mieszkanko na drugim końcu miasta. I choć oficjalnie nie mieszkali razem, przeżyli tu wiele wspaniałych chwil: latem jedli długie kolacje na tarasie, z zachwycającym widokiem na podświetloną kościelną wieżę, a zimą, siedząc w salonie przy kominku, gdy Antoine palił cygara, popijali armagnac i dyskutowali o prawie albo o czymkolwiek. Głaskał mnie po brzuchu nawet wtedy, gdy się sprzecaliśmy, pomyślała.

Marine zakłęta, tym razem głośno. Za długo wyglądała na podwórze i teraz będzie miała mniej czasu na kawę z Sylvie i resztą przyjaciół w Le Mazarin, ich ulubionej kawiarni, nazwanej tak od eleganckiej osiemnastowiecznej dzielnicy, w której mieszkała. Złapała torebkę, klucze i aktówkę i ruszyła do drzwi, ale jeszcze się odwróciła, odłączyła komórkę od ładowarki i wrzuciła ją do torebki. Zamknęła drzwi i zbiegła trzy piętra w dół, na ulicę; przywitała się z Samim, dozorcą, który sprzątał ulicę codziennie o ósmej piętnaście. Sami odpowiedział na powitanie i udał, że chce polać jej buty wodą z węża, a Marine uciekła, chichocząc. To był ich poranny rytuał, oboje za każdym razem się śmiali i była mu za to wdzięczna.

Szybko ruszyła *rue* Frédéric Mistral i jak zawsze przystanęła, gdy dotarła na Cours Mirabeau, słynną główną ulicę Aix. Sto lat temu po obu jej stronach posadzono po dwa rzędy platanów. Nim nadejdzie lato, będą rzucały cień na

chodniki i samą ulicę. Jednak na Cours Mirabeau wciąż wznoszono jakieś nowe konstrukcje, albo raczej dokonywano „dekonstrukcji”, jak lubiła mawiać Sylvie, najlepsza przyjaciółka Marine, fotograficzka i historyczka sztuki. Gdy tylko kończono górną część ulicy, robotnicy z wiertarkami udarowymi zabierali się do dolnej części, a potem ktoś w ratuszu zmieniał zdanie i szybko ją kończono, by ekipa mogła zerwać świeżo położoną nawierzchnię w górnej części. Trwało to już od czterech lat i Marine podsłuchiwała kiedyś, jak pewna amerykańska turystka mówiła do męża: „Nie mogę znaleźć żadnego ujęcia, żeby zrobić dobre zdjęcie ulicy!” Całe szczęście, że ta kobieta nie widziała *cours* w zeszłe święta, kiedy nowa pani mer, Yvette Tamain, pozwoliła prywatnej firmie – należącej do jej szwagra – postawić po jednej stronie ulicy drewniane budki w alzackim stylu. Może i byłby to dobry pomysł, gdyby sprzedawano w nich ręcznie wykonane świąteczne upominki, tak jak na zimowym festiwalu w Strasburgu. Jednak asortyment był okropnie tandetny i składał się z masowo produkowanych przedmiotów, jakie można było kupić dosłownie wszędzie. Sylvie była wtedy wściekła i Marine musiała iść kawałek przed nią, zakłopotana długimi wiązkami przekleństw. Głównie pod adresem pani mer. Gwoździem programu, który sprawił, że Marine aż przystanąła, rozdziawiła usta i również zaczęła przeklinać – choć nie tak głośno i siarczyście jak Sylvie – była wielka pomarańczowa plastikowa zjeżdżalnia dla dzieci, którą ustawiono u szczytu *cours*. Kompletnie zasłaniała widok na Hôtel du Poët, przepiękną szesnastowieczną rezydencję ze złocistego kamienia. Gdy Sylvie dziarsko ruszyła nawrzeszczyć na właścicieli zjeżdżalni, Marine popatrzyła na posąg króla Rene Andegaweńskiego, ukochanego średniowiecznego władcy Aix. Z uśmiechem trzymał w dłoni kiść winogron, błogo nieświadom zmian, jakie szacowna pani mer Tamain wprowadzała w jego pięknym mieście.

Tego ranka na *cours* panowała dziwna cisza. Robotnicy nie zaczęli jeszcze hałasować, a ruch był mniejszy niż zwykle. Marine przebiegła na drugą stronę szerokiej alei, przytrzymując spódnicę fruującą na wietrze, szczęśliwa, że widzi swoją ulubioną kawiarenkę. Kawiarnie mieściły się po zachodniej stronie ulicy, gdzie rano padały promienie słońca. Banki i biura nieruchomości zajmowały wschodnią stronę. Jedna strona dawała ci przyjemność, drugą interesowały wyłącznie twoje pieniądze. Marine przeszła przez taras Le Mazarin, otworzyła ciężkie drewniane drzwi i jej oczom ukazało się wnętrze kawiarni – ściany barwy spalonej ochry, czarno-białe kafelki na podłodze, pokryte cienką warstwą trocin, i długi drewniany bar z wyszczerbionym miedzianym blatem. Le Mazarin stanowiło jej poranną przyjemność i było tak również w czasach, gdy była z Antoine’em. Uwielbiała to zadymione, gwarne pomieszczenie, wypełnione zapachem espresso i ludźmi pragnącymi towarzystwa innych, zanim na dobre zaczną dzień. Wiedziała, że rozpoczynanie go tutaj jest radością i przywilejem, którym cieszyć się mogły jedynie osoby z ruchomym czasem pracy lub

szczęściarze pracujący w centrum Aix. Dziś jednak coś było nie tak i natychmiast to zauważyła. Atmosfera w kawiarni była niezwykle wyciszona, podobnie jak na ulicy. Kelnerzy szeptali do klientów, zamiast na nich warczeć, a przyjaciele Marine, już siedzący przy swoim narożnym stoliku, nie spierali się głośno o europejską politykę ani o piłkarską drużynę z Marsylii.

– Co się dzieje? – spytała Marine, gdy tylko dotarła do stolika. Wały się na nim okruszki po croissantach, stały filiżanki na kawę z grubej porcelany, leżały paczki papierosów, komórki i gazety. Marine zerknęła na stolik i dwoje swoich najlepszych przyjaciół. Uśmiechnęła się. Szczęściara ze mnie, pomyślała.

– Czyli jeszcze nie słyszałaś? – odparł Jean-Marc, prawnik. Ujął Marine pod ramię i doprowadził do sąsiedniego krzesła.

– Czego nie słyszałam? – zdziwiła się Marine.

– O Étienne de Bremont – odparła z zadowoloną miną Sylvie, zaciągając się głęboko papierosem. – A tak w ogóle to niezła fryzura.

Marine zerknęła na swoje odbicie w lustrze na przeciwległej ścianie i zobaczyła, że mistral porządnie rozwiał jej włosy. Przyglądała je, odłożyła torebkę, po czym spojrzała na Sylvie i Jean-Marca.

– Nie, nie słyszałam. O co chodzi? – spytała z obawą, wiedząc, że i tak zaraz usłyszy odpowiedź.

– Nie żyje – szepnął Jean-Marc, który najwyraźniej został wyznaczony do tego, by przekazać jej dziś rano te złe wieści. Sylvie niemożliwie wysoko uniosła brwi, z wprawą strzepnęła popiół do popielniczki i skrzyżowała na piersi zgrabne ręce. Jean-Marc pochylił się mocniej w stronę Marine i ciągnął dalej: – Wypadł z okna w *château* Bremont, w sobotę późną nocą albo w niedzielę nad ranem. Zwłoki znaleziono dopiero wczoraj, gdy dozorca wrócił po weekendzie od swojej siostry. Colette... Cosette... Yvette... jakoś tak miała na imię.

Marine spojrzała na wielki obraz olejny wiszący na ścianie, dziewiętnastowieczny portret jakiegoś nieznanego modela.

– Jakie to straszne, straszne... – tylko tyle udało jej się wydusić z siebie. – Cosette – dodała nagle. – Siostra dozorca ma na imię Cosette. – Od dawna nie myślała o Étienne i nie mogła uwierzyć, że nie żyje. Zapatrzyła się w słoje w drewnianym blacie stolika.

– Widziałaś go ostatnio? – spytała Sylvie, która co prawda nie dorastała w Aix, ale poznała Étienne'a. Uwielbiała takie plotki, zwłaszcza jeśli stało się coś złego.

Marine pomyślała o młodym Étienne de Bremont. Bremontowie byli jednym z najstarszych arystokratycznych rodów w Aix. Étienne i Marine potrafili godzinami bawić się w *château*, gdy ich matki pracowały wspólnie nad jakimiś kościelnymi projektami. A później, w szkole średniej, Marine i Étienne współpracowali przy wydawaniu gazetki dla obu ich szkół – w tamtych czasach

szkoły nie były jeszcze koedukacyjne. Szczery, oddany, staranny Étienne. Doprowadzał Marine do szału, pedantycznie czepiając się szczegółów. Lubiała jednak jego cichy entuzjazm i tamtej wiosny stanowili dobry zespół. On pisał, a ona zbierała materiały. Starszy brat Étienne'a zawsze kręcił się gdzieś w pobliżu, ale Marine uważała, że François lubił wyzywać się na słabszych i na ile mogła, starała się go unikać.

Potem Étienne wyjechał na studia. Został filmowcem i teraz mieszka... – nie, on przecież nie żyje – ...mieszkał z żoną i małymi dziećmi w podupadłej, lecz bardzo eleganckiej kamienicy, *un hôtel particulier* przy Cours Mirabeau. Własnością rodziny był również popadający w ruinę *château* w wiosce Saint-Antonin, na wschód od Aix. Biedny Étienne, pomyślała. Jego biedne dzieci.

Podniosła wzrok znad kawy i dotarło do niej, że Jean-Marc i Sylvie wpatrują się w nią, czekając na odpowiedź.

– Nie, od wieków go nie widziałam. Co się stało? – spytała.

– Antoine był tam wczoraj i dziś rano znów miał tam jechać. Zadzwoił do mnie, żeby odwołać spotkanie. Powiedział mi tylko, że to wygląda na wypadek. Na strychu, z którego spadł, nie było nic podejrzanego, tak jak i w całym *château*.

– Jeśli to był wypadek, to dlaczego wezwano Antoine'a? Czy to nie robota dla policji? – spytała Marine. Zirykowało ją, że Verlaque zadzwonił do Jean-Marca. Nie zadał sobie trudu, żeby zadzwonić do niej, ale do niego owszem. Może Verlaque nie wiedział, że Marine była starą przyjaciółką rodu Bremontów. Wiedziała od Jean-Marca, że Antoine już od dwóch tygodni jest w Aix, że wrócił z urlopu naukowego w Paryżu. Ale mimo to do niej nie zadzwonił.

Jean-Marc udał, że nie zauważył drżenia w głosie Marine, gdy wypowiedziała imię Antoine'a.

– Eric i Charles Bleyowie poprosili o wszczęcie dochodzenia.

– Żartujesz sobie?

– Nie. *Procureur* Roussel jest w Szkocji i gra tam sobie w golfa. Ma wrócić lada dzień. *Procureur* Levy przyjechała z Marsylii i też była w *château*. Ale gdy tylko rodzina zwróciła się do Antoine'a z prośbą o wszczęcie dochodzenia, ten natychmiast tam się udał.

– Poczekaj chwilę! Trochę nie nadażam. Dlaczego prokurator nie została? I kim są ci cali Bleyowie? – spytała Sylvie, zerkając to na Marine, to na Jean-Marca.

– Bleyowie są kuzynami pierwszego stopnia Étienne'a – odparła Marine. – Obaj są prawnikami.

– Prokurator i komisarz są zawsze pierwszymi urzędnikami na miejscu wypadku, ale jeśli rodzina składa wniosek o wszczęcie dochodzenia, do akcji natychmiast wkracza sędzia śledczy – dodał Jean-Marc.

– Dzięki – odparła Sylvie. – Następne pytanie: dlaczego nazwali *château* od



nazwiska rodowego? To przecież jakaś kompletna lipa.

Marine westchnęła.

– Po prostu zawsze był tak nazywany, Sylvie. Przyznaję, że to niezwykle. Ale *château* należał do rodu Bremontów, odkąd go zbudowano, czyli chyba w siedemnastym wieku.

– I tak lipa.

– To okropne, prawda? Taka tragiczna śmierć – odezwał się Jean-Marc, spoglądając na Sylvie. Miał nadzieję, że dzięki temu kobieta zapomni o wygłoszeniu tyrady wymierzonej w arystokrację. – Nie znałem Étienne’a, ale podobało mi się to, co robił. Widziałyście kiedyś ten jego film dokumentalny o przestępczości w Prowansji, ten, w którym przeprowadzał wywiad z Antoine’em?

Sylvie zerknęła z troską na Marine, jakby ta na wzmiankę o Antoine Verlaque’u miała się rozpłakać. Marine spojrzała jednak na przyjaciółkę stanowczo. Żadnych łez, Sylvie, nie martw się o mnie.

– Tak, widziałam go. Pokazywałam go moim studentom z trzeciego roku – odparła Marine, nie wspominając o tym, że go nagrała i kilkanaście razy oglądała sama, bo ukazał się tuż po tym, jak Antoine od niej odszedł. Oglądała ten film także z Sylvie i nie zostawiły na nim suchej nitki, krytykując każdy aspekt „występu” Verlaque’a i wspomagając się przy tym butelką whisky. Marine spojrzała na przyjaciółkę, dostrzegła jej szeroki uśmiech i prawie sama się roześmiała. – To był dobry film, realistyczny – dodała, na co z kolei Sylvie parsknęła.

Jean-Marc z powagą pokiwał głową, a Marine przypomniała sobie, jak drażniło ją, gdy widziała swoje zwykle rozsądne studentki prawa robiące maślane oczy na widok czarującego nowego sędziego śledczego z Aix. Nie, Verlaque nie był klasycznie przystojny – był niski i krępy, z brzuszkiem zdradzającym jego zamiłowanie do jedzenia i wina, miał jednak ciemne, pełne powagi oczy i doskonale zdawał sobie sprawę ze swej siły uwodzenia. Był też bardzo młody jak na jednego z najpotężniejszych sędziów na południu Francji. Marine starała się najlepiej jak mogła odpowiadać studentom na pytania o Verlaque’a i wyjaśniała na zajęciach z prawa karnego, jakie są obowiązki sędziego, który zgodnie z francuskim prawem doradza komisarzowi policji w sprawach przestępstw oraz w prowadzeniu dochodzeń. Starła się, by brzmiało to jak najobojętniej i nie zdradzało, że w rzeczywistości byli kochankami. Łatwo było udawać, że nie jest z Verlakiem tak blisko, bo tak naprawdę niewiele mogłaby ujawnić. Pomimo niemal rocznej znajomości co właściwie o nim wiedziała? Często myślała, że prawdziwego Antoine’a można by znaleźć ukrytego w pewnej willi w Normandii, gdzie zwykle spędzał całe wakacje ze swoją angielską babką. Prawdziwego Verlaque’a z całą pewnością nie było w Aix.

– O wilku mowa – szepnął Jean-Marc, podnosząc wzrok znad kawy. Marine zamarła, a jej ręka zaczęła drżeć tak bardzo, że musiała odstawić swoją *café crème*. Wpatrzyła się w masywną białą porcelanową filiżankę i mocno zacisnęła na niej palce, jakby ta mogła dać jej siłę i równowagę. Powoli podniosła wzrok i spojrzała na Sylvie siedzącą plecami do ściany, z widokiem na całą kawiarnię. Jednak mina przyjaciółki była nieodgadniona. Wtedy Marine usłyszała swoje imię i nie wypowiedział go Antoine Verlaque. Jej ciało się rozluźniło, ramiona opadły. Sylvie zdążyła już zauważyć niepokój przyjaciółki, szybko dotknęła jej dłoni i się uśmiechnęła.

– Hallo, Marine. Hallo, Jean-Marc.

Marine odwróciła się i zobaczyła Erica Bleya. Chodziła z Bleyami – całą jedenastką – do podstawówki i do szkoły średniej i o ile pamiętała, Eric i Charles Bleyowie mieli kancelarię przy Thiers. Szybko wstała i objęła Erica Bleya, a Sylvie równie szybko zmierzyła go wzrokiem. Gęste, przedwcześnie posiwiałe włosy; szerokie ramiona kogoś, kto trenuje; modne ubrania, ale z akcentem ekstrawagancji – wielki czerwony zegarek od Paula Smitha zamiast zwykle noszonego przez zamożnych mężczyzn rolexa. Złożyła mu kondolencje i przedstawiła Sylvie.

– Słyszałaś, że zażądaliśmy dochodzenia? – spytał Eric, patrząc na Marie. Kiwnęła głową i już miała coś powiedzieć, gdy Eric szybko dodał: – Nie ma mowy, żeby Étienne po prostu wypadł z tego okna! – Zdał sobie sprawę, że powiedział to zbyt głośno i obejrzał się przez ramię, jakby chciał przeprosić. Jednak stali goście Mazarin dalej spokojnie popijali kawę i czytali gazety. Nawet jeśli coś usłyszeli, to nikt nie dał tego po sobie poznać. Eric westchnął, przeczesał palcami włosy, którym Sylvie wciąż przyglądała się z podziwem, i dodał: – Przepraszam. Ciągle o tym myślę... Ten strych. Étienne. Pamiętasz ten strych, prawda, Marine? – I znów, nim zdążyła odpowiedzieć, podjął: – Jak to możliwe, żeby Étienne po prostu spadł? Nie. Nie!

Ekspres do kawy wydał z siebie przeszywający syk, jakby tuż obok ich stolika stał parowóz. Eric Bley zerknął na swój gigantyczny zegarek, mruknął coś na pożegnanie i tak szybko skierował się do drzwi kawiarni, że prawie wpadł na kelnera, balansującego tacą zastawioną kawą i sokami pomarańczowymi.

– Zabawne – stwierdziła Marine, lekko się krzywiąc. – Słyszymy ten dźwięk kilkanaście razy dziennie, ale dziś wydaje się zbyt głośny.

– Tak, dziś jest irytujący – potwierdził Jean-Marc, podnosząc z sąsiedniego krzesła swoją czarną tokę i zarzucając ją na ramię.

– Będziesz dziś w sądzie? – spytała Marine na widok togi.

– Przez cały tydzień – odrzekł Jean-Marc. – No cóż, pora się zbierać i zacząć dzień. *Ciao, ciao*.

– Do zobaczenia – odparła, obdarzając Jean-Marca *bises* – całusami w oba policzki.

Ona również wstała; za pół godziny zaczynały się zajęcia. – Dziś wieczorem, tutaj – szepnęła do ucha Sylvie. Przyjaciółka odpowiedziała jej szerokim uśmiechem i zapalając kolejnego papierosa, którego już trzymała w ustach, drugą ręką pokazała Marine uniwersalny gest oznaczający „zadzwoń do ciebie później”.

Marine przeszła przez taras Le Mazarin i ruszyła na południe *rue du 4 Septembre*, w stronę *faculté*, tą samą trasą, co zawsze. Wiedziała jednak, że dziś nie zobaczy Isabelle de Bremont wracającą z gromadką dzieci ze szkoły albo z rynku. Bremontowie, jak inne młode rodziny dobrych katolików, wydawali się mieć hordę dzieci. Marine wiedziała przynajmniej o czwórce – jedno dopiero co poszło do szkoły, trzyletnie bliźnięta, które zawsze biegały w przeciwne strony, i niemowlę. Choć obie kobiety obracały się w zupełnie innych kręgach, Isabelle na widok Marine zawsze przystawała i obdarzały się nawzajem *bises*. Pomyślała o Isabelle i dzieciach, i o tym, że od tej pory ich życie już nigdy nie będzie takie samo.

Wyminęła ją jakaś młoda dziewczyna zajęta rozmową przez telefon; świetnie sobie radziła, idąc brukowanym chodnikiem w butach na co najmniej piętnastocentymetrowych obcasach. Marine uświadomiła sobie, że nie włączyła jeszcze dziś rano komórki. Gdy to zrobiła, telefon natychmiast zaczął dzwonić. Miała nagraną wiadomość: „To ja. Zadzwoń do mnie, jak tylko to odsłuchasz”.

Gdy Antoine Verlaque dzwonił do Marine, nigdy nie trudził się przedstawianiem. Zresztą, gdy dzwonił do innych, robił to samo. Zastanawiała się, czy w ogóle podawał swoje nazwisko, gdy kontaktował się z ludźmi w sprawach związanych z sądem. Czy zakładał, że jest jedynym mężczyzną w wieku od trzydziestu do czterdziestu lat, który nagrywa wiadomości na jej telefonie? Zawsze jednak był bardziej uprzejmy wobec mężczyzn niż wobec kobiet – a przynajmniej, jak wyczuwała Marine, czuł się przy nich swobodniej. Sylvie posunęła się nawet do tego, by zasugerować, że Verlaque jest gejem. Jej ostatecznym dowodem, nad którym uwielbiała się rozwodzić – jakby tylko ona na całym świecie wpadła na taki pomysł – był fakt, że Verlaque uczył się w prywatnej szkole z internatem, *au pension*. Marine zawsze w takich chwilach go broniła. Nie potrafiła pogodzić się z teorią, że mężczyźni, którzy uczęszczali do szkół z internatem, wyrastali na sfrustrowanych homoseksualistów. Sądziła, że jego brak swobody w dzieleniu się emocjami z kobietą, czy też niechęć do tego, musi wynikać z surowego wychowania lub z jakiegoś dramatu przeżytego w przeszłości. Napomknął jej kiedyś o pewnym tragicznym incydencie, do którego doszło w nocy po śmierci jego babki, ale Marine nigdy nie udało się wyciągnąć z niego żadnych szczegółów.

Ostatnio spotykała się z młodszym od niej o osiem lat stażystą, który pracował w szpitalu z jej ojcem. Był niezwykle miły i taktowny, czasem do tego stopnia, że ją to drażniło. Arthur pod każdym względem stanowił przeciwieństwo Verlaque’a. Tam, gdzie ten ostatni przejmował dowodzenie, Arthur zadawał

pytania i nie był w stanie podjąć decyzji, jakby nie miał preferencji. Sylvie nazwała go „bezwolnym”. Marine usiłowała przypomnieć sobie, czy Sylvie kiedykolwiek lubiła kogoś z mężczyzn, z którymi Marine się spotykała, ale to jej własne historie z mężczyznami były raczej beznadziejne. Marine bronila Arthura tak samo jak wcześniej Verlaque’a: miło razem spędzali czas i lubiła jego historie o pracy w szpitalu, tak odmiennej niż jej praca na uniwersytecie. Czuła do Arthura fizyczny pociąg, ale nie było to dzikie pożądanie jak w przypadku Verlaque’a. W zakłopotanie wprawiała ją myśl, jak bardzo lubiła seks z sędzią i jak często – nawet w tej chwili – się nad tym zastanawiała. Zawsze uważała, że intelektualnie wznosi się ponad tak pierwotne emocje. Ostatnio u dentysty czytała w „Paris Match” artykuł o pewnym podstarzałym gwiazdorze filmowym. Opowiadał o swoim długoletnim, wielokrotnie zrywaniem i wznawianym związku z partnerką, określając go mianem „obsesji”, i opisywał, że choć spotykają się od trzydziestu lat, wciąż „robią to jak dwudziestolatkowie”. Poczula wtedy, że się rumieni, i szybko odłożyła czasopismo. Z wdzięcznością przyjęła odzianą w biały fartuch asystentkę stomatologa, która wysunęła głowę zza drzwi i wywołała jej nazwisko.

Marine szła dalej w stronę uniwersytetu, przygotowując się na tę rozmowę. Gdy wystukała jego numer, odebrał natychmiast.

– Gdzie jesteś? – spytał.

Żadnego „cześć, co u ciebie”, pomyślała. Jej ręce zaczęły drżeć.

– Właśnie stoję przed wydziałem prawa – odparła.

– Muszę się z tobą zobaczyć – zażądał Verlaque zdyszczanym głosem.

– Mam zajęcia do wpół do dwunastej – powiedziała, starając się być równie oschła jak on. Z zadowoleniem uznała, że całkiem nieźle jej to wyszło.

– Przyjedź potem do *château* Bremontów.

– Po co? – spytała zszokowana.

– Nie słyszałaś o Étienne de Bremont? – odparł Verlaque. Tonem głosu wyraźnie dawał do zrozumienia, że tylko idiota by o tym nie słyszał. Co by było, gdyby zamiast zajrzeć do Le Mazarin poszła prosto na uniwersytet?

– No cóż, tak. Dziś rano w gabinecie – odparła Marine. Jej przyjaciele żartowali, że Le Mazarin to jej gabinet. Uniwersytet miał nad wyraz skromne fundusze i tylko bardzo starzy profesorowie mieli tam swoje gabinety. Jednak nawet sama wzmianka o kawiarence i jej pieszczotliwe określenie sprawiły, że poczuła się lepiej. Mówiła dalej: – Jean-Marc mi powiedział, że Étienne wypadł z okna na strychu.

– Chcę, żebyś tu przyjechała i się rozejrzała – wtrącił Verlaque. – Bawiliście się tutaj jako dzieci, prawda? W bibliotece w *château* widziałem twoje zdjęcie z oboma braćmi.

Marine nie była pewna, czy to nie kolejna z drobnych szpil Antoine’a, który drwił z jej uprzywilejowanego, bardzo konserwatywnego, katolickiego

wychowania. Miał za sobą zupełnie inne *enfance*, dzieciństwo, w którym pomimo fortuny, jaką posiadała jego rodzina, nigdy nie mogło być mowy o zaproszeniu od Bremontów do wspólnej zabawy w *château*.

– Tak, przyjaźniłam się z chłopakami, ale głównie z Étienne’em. Pamiętam niektóre części domu i strych. Ale po co ja mam tam jechać? – Nie chciała znów oglądać *château*, zwłaszcza teraz, dzień po tym, jak zginął jej przyjaciel. I czy miała ochotę spotkać się z Verlakiem? Nie była tego pewna.

– Wyjaśnię ci wszystko, kiedy już przyjedziesz. Widzimy się w południe.

Rozłączył się.

Na wydziale prawa rozległ się dzwonek i hałas wręcz przytłoczył Marine. Dzwonienie, odgłosy ekspresów do kawy, gwar studentów. Weszła przez drzwi *faculté*, w chmurę dymu papierosowego, oszołomiona, ale też wdzięczna, że ma zajęcia z tylko jedną grupą. Historia francuskiego prawa z pierwszym rokiem. Pewnie mogłaby je poprowadzić nawet z zamkniętymi oczami. Zmusi się jednak, by pozostały otwarte i skupione na dwudziestu kilku parach oczu, które będą na nią spoglądać – niektórzy będą patrzeć zafascynowani, inni znudzeni, a jeszcze inni będą się zastanawiać, gdzie pójść dziś na lunch. Bo jeśli choć na chwilę zamknie oczy, zacznie myśleć o Étienne i rodzie Bremontów, o swoim dzieciństwie i o Antoine Verlaque’u, którego zobaczy za dwie godziny, po półrocznej nieobecności.

Dłonie Marine mimowolnie drżały, gdy otworzyła notatki na pierwszej stronie. Zaczęła zapisywać na tablicy datę rozprawy sądowej, przerwała jednak i spojrzała na swoje rozchwiane, koślawe bazgroły. Starła to, co zapisała, i odwróciła się do studentów.

– Zamknijcie książki. Dziś nie musicie robić notatek. – Przysiadła na skraju biurka i spojrzała na studentów, którzy teraz wydawali się całkiem skupieni i pełni zapachu. Niektórzy się nawet uśmiechali. – Opowiem wam o fascynującej sprawie Marie-Pierre Bessone, którą znaleziono ugodzoną nożem kilka metrów od jej barki na Kanale Południowym w lipcu 1882 roku. Sprawy tego morderstwa nigdy nie rozwiązano.

## Rozdział

### trzeci

Marine zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Verlaque'a i nie odwołać spotkania, zwyciężyła jednak jej wrodzona ciekawość. Czuła też, że jest to winna Étienne'owi. Do oczu napłynęły jej łzy i spróbowała skupić się na krętej drodze, lecz nie potrafiła przestać myśleć o przyjacielu z dzieciństwa. We wspomnieniach zawsze oboje mieli po dwanaście, trzynaście czy czternaście lat i nigdy nie byli dorośli, ona nie była wykładowniczą prawa, a on filmowcem. W tamtych latach byli nierozłączni. Uwielbiali się sprzeczać i dyskutowali o wszystkim. O jedzeniu, najlepszych drużynach piłkarskich czy bieżącej polityce, takiej, jak pojmowały ją ich młode umysły. Podczas gdy wielu ich kolegów, w tym również brat Étienne'a, François, eksperymentowało już z papierosami i seksem, ona i Étienne wciąż wspinali się na drzewa i bawili w wojnę. Nawet jeśli zdawali sobie sprawę z tego powolnego, niewinnego rozwoju, żadne z nich o tym nie wspomniało. Znali tylko jednego młodego człowieka, który również nie starał się przyspieszyć dorastania i czasem dołączał do ich zabaw. Był nim Jean-Claude. Robił to, bo za sprawą swojego wzrostu świetnie nadawał się na strażnika więziennego i czasem – obietnicami podkradzionego jedzenia – udawało się go przekonać, by odgrywał taką rolę. Marine przypominała sobie, że stawała w jego obronie – nie były to jakieś konkretne sceny, tylko ogólne wrażenie, które z jakiegoś powodu pojawiło się w jej myślach, gdy jechała samochodem w ten kwietniowy ranek. Étienne zawsze traktował Jean-Claude'a jak parobka. Marine nigdy nie myślała o nim w ten sposób. Ani o jego matce, i choć Mme Auvieux gotowała i prowadziła dom, to dla Marine nawet w dzieciństwie było jasne, że Auvieuxowie są traktowani jak członkowie rodziny Bremontów. Jean-Claude i jego siostra chodzili nawet do La Nativité, tej samej szkoły co oni, zamiast do publicznej wiejskiej szkoły w Beaurecueil. Uświadomiła sobie, że to Bremontowie musieli płacić chesne za podręczniki i mundurki Cosette i jej brata.

Étienne, który dobrze mówił po niemiecku, nauczył Jean-Claude'a kilku podstawowych zwrotów i upierał się, by ten wykrzykiwał komendy w tym języku. Marine i Étienne mówili po francusku, naśladując angielski akcent, i udawali, że są Amerykanami, Anglikami lub Australijczykami. Po kilku miesiącach takich pouczeń co robić i co mówić oraz przedstawiania przez Étienne'a po kątach, Jean-Claude wycofał się z zabaw i wrócił do zajmowania się ogrodem.

Étienne tylko raz próbował ją podrywać, gdy mieli po osiemnaście lat i przy puszkach cydru świętowali ukończenie szkoły średniej. Nie odwzajemniła jego

pocałunku, ale obeszła się z nim łagodnie. Étienne był dla niej bardziej jak brat i nigdy jej nie pociągał. Wiedziała, że był rozczarowany i zakłopotany. Od tego dnia zaczęli się od siebie odsuwać, jakby magiczne niewinne dzieciństwo oficjalnie dobiegło końca.

Smutek z powodu Étienne'a, połączony z lękiem i podekscytowaniem na myśl, że zobaczy Verlaque'a, sprawiły, że Marine ścisnął się żołądek. *Arrête-toi*, powiedziała sobie w duchu i potarła brzuch. Podobnie czuła się pierwszego dnia, gdy miała prowadzić zajęcia, albo gdy wchodziła do pomieszczenia pełnego nieznamym. Pojedzie do *château*. Była zaciekawiona, jak zawsze w obliczu takich zdarzeń – kiedyś dawno temu zastanawiała się nawet, czy nie zostać policjantką, ale zamiłowanie do prowadzenia badań, regularnych godzin pracy i długich wakacji pokierowały ją w stronę środowiska akademickiego.

Zazwyczaj Marine lubiła tę trasę, la route Cézanne. Droga wije się łagodnie, opuszczając Aix, i prowadzi ku Górze Świętej Wiktorii, obsesji malarza. Ziemia jest czerwona, ceglasta, co stanowi naturalny kontrast dla ciemnozielonych liści i lazurowego nieba. „Ktoś to genialnie zaprojektował, łącząc te kolory”, zwykł mawiać Verlaque, gdy wybierali się na spacer albo przejażdżkę wokół góry. To były jedne z tych nielicznych chwil, gdy stawał się choć trochę religijny.

Minęła kilka najbardziej prestiżowych posiadłości w Aix, w większości ukrytych za sosnami i żelaznymi bramami. Zwolniła, biorąc dwa ostre zakręty w miejscu, gdzie droga pięła się w górę do St. Antonin, małej wioski u stóp skalistej białej góry. Podobnie jak inne wioski we Francji, St. Antonin było za małe, by mieć własną *boulangerie* czy kawiarnię, lecz na tyle duże, by mieć pomnik upamiętniający drugą wojnę światową, z trzynastoma nazwiskami na tablicy. Zawsze gdy widziała takie pomniki, czytała po cichu nazwiska. Imiona z przełomu wieków były takie piękne: Gaspard, Arsène, Isidore.

Słowa Verlaque'a – „Bawiliście się tutaj jako dzieci, prawda?” – towarzyszyły jej przez cały ranek. Jean-Marc powiedział, że nie znaleziono śladów włamania, a wszyscy mieszkańcy Aix wiedzieli, że ród Bremontów nie ma już pieniędzy. Wystarczyło spojrzeć na podniszczoną kamienną fasadę *château*, brakujące dachówki i zepsute okiennice na górnych piętrach. Czasami robiło się coś takiego celowo – taki podstęp mający zmylić potencjalnych włamywaczy – a w rzeczywistości rodziny wciąż miały setki tysięcy, w gotówce czy w obligacjach. Ale w przypadku Bremontów to nie mogło być prawdą. Pomyślała o naprawianym wózku, który Isabelle de Bremont popychała przez Aix, i do oczu napłynęły jej łzy.

Wzięła głęboki oddech, otarła oczy i zaparkowała za niebieskim radiowozem. Gdy wysiadła z samochodu, zaskoczył ją ostry zimny wiatr; upuściła kluczyki i komórkę na wysypywany żwirem podjazd. Schyliła się po nie i wrzuciła je do jasnozielonej torebki marki Furla, którą Verlaque kupił jej w Wenecji. Gdy się

wyprostowała, stał przed nią młody, piegowaty policjant.

– Kim pani jest i co pani tutaj robi? – spytał podejrzliwie.

– Mam się tu spotkać z sędzią Verlakiem. Jestem Marine Bonnet – odparła, podając mu rękę. I dodała z uśmiechem: – Wykładałam prawo na uniwersytecie.

– Ach tak – odparł przepaszająco policjant. – Sędzia Verlaque mówił mi, że mam się spodziewać wykładowcy prawa, ale... – Zająknął się i nie dokończył zdania. Marine uznała to za komplement, jeden z tych, o których będzie mogła opowiedzieć dziewczynom przy drinkach. Potem jednak zrozumiała, dlaczego policjant nie dokończył zdania. Po zadbanym trawniku zbliżał się do nich szybkim krokiem Verlaque. Młody policjant pośpiesznie odmaszerował w przeciwną stronę.

– *Hi* – powiedział po angielsku Verlaque, pochylając się, by wymienić z nią *bises*. Poczula woń cygar i wody kolońskiej Hermès, połączenie zapachów, które już zawsze miało jej się z nim kojarzyć i które wciąż mimowolnie ją odurzało. Przestań, Marine, upomniała się w duchu. Jesteś tu dla Étienne’a.

Verlaque odszedł z nią od radiowozu.

– Miło cię widzieć – powiedział bez uśmiechu, Marine przypuszczała, że ten jego profesjonalizm wynika z powagi sytuacji. Miała nadzieję, że Verlaque cieszy się na jej widok. I choć bardzo się starała, na jej ustach pojawił się ten sławny, szeroki uśmiech. Dotknęła jego ramienia i ścisnęła je.

– Tak się cieszę, że cię widzę – odparła szczerze. I łamiącym się głosem dodała: – Nawet tutaj...

Verlaque odgarnął układającą się w loki grzywkę, która opadła jej na twarz, i musnął palcami jej policzków. Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu. Potem trzasnęły jakieś drzwi – to ten młody policjant wrócił do *château* – i przestali się uśmiechać, bo przypomnieli sobie, co ich tu sprowadziło.

– Ktoś tu jest? – spytała Marine, mając na myśli Bremontów. Zdawała sobie sprawę, że to może zbyt bezpośrednie pytanie, ale chciała już przejść do rzeczy.

– Nie. Wczoraj była tu ekipa z policji, a zwłoki aż do pogrzebu będą w kostnicy. Skręcił sobie kark – odparł sędzia, ignorując zmysłowe krągłości Marine pod jej golfem.

– Kto powiadomił Isabelle de Bremont? – spytała.

Verlaque wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem uniósł wzrok nad jej głowę i spojrzał na górę.

– Policjantka, wczoraj po południu. Odczekałem godzinę, a potem ją odwiedziłem.

– Co z nią?

– Kiepsko – powiedział Verlaque i spojrzał na Marine. – Dzięki Bogu nie było dzieci. Jej rodzice zabrali je na weekend.

– Étienne ma brata, mieszka chyba w Cannes – podsunęła Marine.

– Tak, François. Jest już w drodze. Znasz go? – Verlaque przyglądał jej się



w sposób, na jaki wcześniej sobie nie pozwalał. Coś w niej się zmieniło.

– Nie widziałam go od ponad piętnastu lat. Wiem tylko, co mówią o nim ludzie, a to może być prawda albo nie. Playboy, hazardzista, świetnie gra w polo. – W głosie Marine dało się wyczuć niechęć. W obecności François nigdy nie była swobodna. Miała wrażenie, jakby zawsze za bardzo się starał.

– Też tak słyszałem. Jeden z policjantów gra w polo w drużynie z Cannes. Mówi, że François gra dobrze, ale nieczysto.

Marine wybuchnęła śmiechem.

– Tak? Jako dziecko też taki był. Zawsze oszukiwał Étienne’a i mnie. Étienne był szybki, ale François silniejszy. A ja... no cóż, przecież wiesz... – Nagle poczuła się zakłopotana. Verlaque kiedyś robił jej wyrzuty, że była taka niewysportowana. Zmuszała się, by chodzić do miejscowej siłowni, ale gdy już tam była, podobały jej się zajęcia z aerobiku, lubiła głośną muzykę i taniec. Jeżdżenie na nartach ją przerażało, podobnie jak pływanie w morzu.

– *La belle professeur!* – ryknął donośnie Jean-Claude Auvieux, szybko wychodząc ze swojej chatki i zbliżając się do nich. Uśmiechał się od ucha do ucha i zachwycony ujął Marine za ramiona i potrząsnął. Objęła go i jęknęła z zadowolenia.

– Jean-Claude! Kopę lat! Świetnie wyglądasz! Świeże powietrze tu na górze z całą pewnością ci służy! – Verlaque’a zdziwiła szczerą, naturalną radość tych dwojga, gdy zobaczyli się po tak długim czasie. Tak bardzo kontrastowała z jego niezręczną, wymuszoną rozmową z Marine.

– *Ah oui!* W Aix jest teraz tyle zanieczyszczeń! – odparł Auvieux, wciąż się uśmiechając. Marine i Verlaque pokiwali głowami. Były takie dni, gdy smog wisiał nad miastem, zakrywając je jak koc.

– Nie widziałam cię, odkąd François wybił tamto okno w salonie! – zaśmiała się Marine, przekrzykując wiatr. – Pamiętasz to? Potem przez miesiąc miał szlaban. Auvieux zaśmiał się i uderzył w czoło.

– *Ah oui!* Ale to nie François wybił tamto okno! Étienne to zrobił!

Marine zerknęła na niego zdziwiona i już miała zaprotestować, gdy wtrącił się Verlaque, zziębnięty i znudzony ich pogawędką.

– Schowajmy się przed tym wiatrem. Choć wątpię, żeby w *château* było cieplej. Wychodząc, zajrzemy do pańskiego domku – powiedział i poprowadził Marine do *château* po wyłożonej płytami ścieżce.

Grube kamienne mury świetnie sprawdzały się w sierpniu, ale w kwietniu wciąż trzeba było używać centralnego ogrzewania. Ze ścian unosiła się woń wilgoci. Ten zapach, który jako dziewczynka kojarzyła z *château*, teraz w podupadłej rezydencji jeszcze bardziej się nasilił. Ogrzewania nie włączano zapewne od śmierci rodziców Étienne’a kilka lat temu. Ta specyficzna woń zawsze nasuwała jej myśli o śmierci i Marine uświadomiła sobie, że od teraz zawsze

będzie jej przypominać o kimś, kto umarł. O kimś, kto umarł przedwcześnie.

Naprzeciw frontowych drzwi znajdowały się masywne schody. Ściany po obu ich stronach zdobiły trofea myśliwskie, głównie głowy jeleni i dzików. Marine zmrużyła oczy i przyglądała im się po kolei, by przekonać się, czy ona wciąż tam jest. Dostrzegła ją w połowie schodów: zrywającą się do lotu sowę, która w dzieciństwie budziła w niej przerażenie. Zadrżała. Ten ptak wciąż napawał ją lękiem. Verlaque dostrzegł, że patrzyła na sowę, ale nawet jeśli wyczuł jej strach, nic o tym nie wspomniał.

Na pierwszym piętrze, przy sypialniach, wisiały wielkie obrazy olejne przedstawiające członków rodu – sztywno upozowane dzieci w jedwabnych niebieskich garniturkach, kobiety z nieszczęśliwymi minami, wpatrzone w oglądającego, w malarza, albo też w jednego i drugiego. Obrazy, które Marine lubiła, gdy była dziewczynką, wisiały na ścianach piętro wyżej, w korytarzu prowadzącym na strych i do kwater dla służby. Były to dziesiątki akwarelowych karykatur porozwieszanych na chybił trafił. Przedstawiały dziadków Étienne'a i François w latach trzydziestych, w Cannes; wydawali się o wiele mniej sztywni niż te smutne kobiety na portretach piętro niżej. Elegancka para, Philippe i Clothilde de Bremont, pozowali z różnymi ważnymi osobami, na przykład z jakimś młodym maharadzą, księciem Danii albo z drugorzędnymi gwiazdami i piosenkarzami tamtej dekady.

Verlaque nic nie powiedział, gdy mijali karykatury, ale Marine wydawało się, że usłyszała jego ciche parsknięcie. Dotarli do wąskich kamiennych schodów, które Marine dobrze pamiętała. Pachniało na nich kurzem i drewnem i prowadziły na strych. Sędzia wyjął z kieszeni marynarki duży klucz i zaczął otwierać ciężkie drewniane drzwi. To zabawne, że w ogóle je zamykano, bo ledwie trzymały się na zawiasach. Wystarczyłoby mocno pociągnąć, by wyrwać je ze ściany. Zanim Verlaque otworzył drzwi, odwrócił się do Marine i powiedział:

– Wczoraj pobrali odciski palców, zwłaszcza przy oknie, z którego wypadł. Ale i tak staraj się niczego nie dotykać.

– Antoine, chcesz, żebym szukała czegoś konkretnego? – spytała Marine. Nadal nie była pewna, dlaczego poprosił, by tu przyjechała. Nie potrafiła pozbyć się myśli, że może wykorzystał śmierć Étienne'a jako pretekst, by znów się z nią zobaczyć. Ale jeśli o to by mu chodziło, to wystarczyło przecież zajrzeć do Le Mazarin, rano czy wieczorem, dowolnego dnia. Wiedział, że tam ją zastanie.

– Tak i nie – odparł. – Po prostu się rozejrzyj i powiedz, czy wszystko jest tak, jak zapamiętałaś.

Z tymi słowami Verlaque pchnął drzwi lewym ramieniem. Strych zalany był światłem wpadającym przez jedyne okno, przy którym okiennice były otwarte. Pyłki kurzu wesoło tańczyły w snopach światła, nieświadome tragedii, jaka się tu rozegrała. Trochę tak jak król Rene Andegaweński, który nie zdaje sobie sprawy

z istnienia tych okropnych świątecznych budek, pomyślała Marine. Zakręciło jej się w głowie i prawie złapała się framugi. Potarła oczy. Pomieszczenie wypełniła fala wspomnień i głosów z dzieciństwa, lecz gdy spojrzała na okno, z którego musiał wypaść Étienne, myśl o wypadku przywróciła ją do teraźniejszości.

Na drugim końcu strychu zobaczyła dwoje ludzi, ale zaraz uświadomiła sobie, że to tylko odbicia w wysokim na trzy metry połączanym lustrze, opartym o kamienną ścianę. Chwyciła Verlaque'a za rękaw marynarki.

– O Boże! – zawołała i ukryła twarz w jego ramieniu.

– Wystraszyłeś się czegoś? – spytał Verlaque, który nie zamierzał się z nią droczyć.

– Właśnie zobaczyłam nasze odbicie w tamtym lustrze – odparła Marine i natychmiast pożałowała swojej szczerości i tego, że potraktowała ich, jakby byli parą.

Verlaque się uśmiechnął.

– Ach, piękna i bestia. Chodź, rozejrzemy się.

Na ile Marine mogła to stwierdzić, strych wyglądał tak, jak dwadzieścia lat temu. Brakowało niektórych dużych mebli – przypuszczała, że zdobią teraz mieszkania młodszych Bremontów. Dobrze pamiętała wielkie połączane lustro. Same ich rozmiary i ciężar skazywały je na pozostanie na strychu po wsze czasy. W jednym kącie pomieszczenia stało stare metalowe łóżko, na którego słupku wisiał drewniany różaniec. Pochyliła się, by mu się przyjrzeć, i przezwyciężyła pokusę, by przesunąć palcami po jego gładkich paciorkach. Od lat nie myślała o Étienne ani o swoim dzieciństwie. Zamknęła oczy i przypomniała sobie tę ich zabawę w szpital – Étienne był partyzantem z ruchu oporu z czasów drugiej wojny światowej, a Marine zakonnicą, która go pielęgnowała. „Wciąż słyszę te wybuchy” – powtarzał, trzęsąc się na całym ciele, a ona odpowiadała: „Już dobrze, proszę pomyśleć o czymś innym, młody człowieku”, i ocierała mu czoło, a on udawał wtedy, że zasypia. Mieli po dziewięć lat, Étienne chciał zostać żołnierzem, a Marine zakonnicą albo pielęgniarką – nie mogła się zdecydować. Uświadomiła sobie teraz, że ich zabawy miały związek z tamtym pomnikiem, bo napisano na nim, że partyzanci z ruchu oporu zostali zamordowani przez „hitlerowskie hordy”, kiedy ukrywali się w lasach. Ojciec Étienne'a i François opowiadał im o tym – choć był wówczas małym chłopcem, zapamiętał każdego z tamtych trzynastu mężczyzn.

Marine się wyprostowała i spojrzała w stronę okna. W końcu odezwała się lekko łamiącym się głosem:

– Jak myślisz, dlaczego Étienne wyglądał albo wychylał się z tego okna?

– Domyślam się, że czytał. Przy jego ciele znaleziono okulary do czytania. Jedyna żarówka na strychu się przepaliła, więc pewnie otworzył okiennice w największym oknie, by wpuścić światło księżyca. A jak spadł...? Po prostu nie

wiem – odparł Verlaque, który teraz bacznie przyglądał się Marine. A potem powiedział głosem pełnym czułości: – Chodź, wyrzemy przez nie razem.

Marine zbliżyła się do szerokiego, wyższego od niej okna; miało chyba ze dwa metry wysokości. Nie było przeszklone – bardziej przypominało otwarte drzwi. Jedyнным sposobem na ich zamknięcie była ciężka drewniana okiennica, teraz przyczepiona do fasady. Marine starała się nie zbliżyć za bardzo do Verlaque’a, gdy wychylała się przez okno. Nie sposób mu się oprzeć, pomyślała. I nic nie mogę na to poradzić. Tak bardzo starała się nie dotknąć sędziego ani framugi, że podmuch mistralu pchnął ją do tyłu; zrobiła krok wstecz i wpadła na walizkę, przesuwając ją kilkanaście centymetrów po drewnianej podłodze.

– Ostrożnie! – upomniał ją Verlaque z lekkim wyrzutem, ale zignorowała go i przyklękła.

– O mój Boże, to ta stara walizka od Louisa Vuittona. Wciąż tutaj jest! – Marine wstała i ciągnęła dalej: – Oczywiście, że Étienne nie podziwiał widoku, chyba że chciał sobie popatrzeć na wzgórze i setki sosen. Najlepszy widok z *château* to Góra Świętej Wiktorii, którą można oglądać tylko z okien wychodzących na północ. Zawsze najbardziej lubiłam widoki z sypialni rodziców Étienne’a.

– Więc strych wydaje ci się taki, jak go zapamiętałaś?

– Tak, wciąż są tutaj te lustra, stare łóżko, worki na mąkę pełne Bóg wie czego, stare radia, połamane krzesła. Nawet ta walizka.

Ktoś odchrząknął. Odwrócili się i zobaczyli w drzwiach piegowatego policjanta.

– Wejdz – polecił Verlaque.

– Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale znalazłem to... Niedaleko krzaków... W pobliżu miejsca, gdzie znaleziono zwłoki hrabiego. – Młody mężczyzna trzymał w dłoni okrytej rękawiczką jakiś mały żółty kawałek papieru. Verlaque wyjął z kieszeni chustkę do nosa i odebrał karteczkę.

– Dziękuję – powiedział. – Jak się nazywasz?

– Terrier, panie sędzio. Nicholas Terrier.

– Dobra robota, Terrier. Może rozejrzysz się jeszcze po terenie? Najwyraźniej pierwsza ekipa nie przeszukała go dość solidnie.

– Tak, panie sędzio! – Młodzieniec szybko obrócił się na pięcie i opuścił strych.

– Pewnie wiatr przeniósł ten papier w miejsce, gdzie był bardziej widoczny – zasugerowała Marine. Verlaque podsunął jej karteczkę, by oboje mogli się jej przyjrzeć. Marine pochyliła się i głośno wciągnęła powietrze. – O rany! Paragon z Pâtisserie Michaud. Jaki stary.

Verlaque założył okulary do czytania i uważnie zlustrował paragon.

– Z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego. To jasne, że nie leżał

w krzakach przez ponad czterdzieści lat. Musiał wypaść z tego okna... pewnie w sobotnią noc, kiedy był tu Étienne. Po co, u licha, przechowywali paragony na... – przerwał na chwilę i zerknął jeszcze raz na paragon – „*deux brioches*”?

– Och, moi rodzice i dziadkowie też trzymają wszystkie stare paragony – odparła Marine. – *C'est normal*.

Verlaque przewrócił oczami i pokręcił głową.

– Chyba sobie żartujesz? Nawet na dwie cholerne brioszki?

– O tak.

– Widziałaś któryś z filmów Étienne'a? – spytał niespodziewanie Verlaque. Marine znów poczuła się głupio, jakby nie rozumiała, co próbował jej pokazać. Przypomniało jej to również o jego irytującym nawyku, by nagle zmieniać temat. Drażniło ją to, a równocześnie zaskakiwało. Pomyślała, że może to technika, którą stosował w sądzie.

Poczuła, że się rumieni.

– Widziałam ten, w którym robił z tobą wywiad, ten o przestępczości w Prowansji. Pokazywałam go moim studentom z trzeciego roku prawa karnego. I widziałam też jego film o marsylskim rapie. Tak bardzo mi się spodobał, że potem poszłyśmy z Sylvie kupić płyty kilku zespołów.

– Jesteś chyba trochę za stara na rap, co? – zaśmiał się Verlaque. – A widziałaś ten jego film dokumentalny o tradycyjnych technikach budowlanych?

– Nie, akurat tego nie widziałam – odparła Marine, ignorując jego dowcip o rapie. Zaczynała tracić cierpliwość. Byli razem od ponad pół godziny, a Verlaque ani razu nie spytał o jej życie. A jednak był uprzejmy i dotknął jej policzka, tak że przeszył ją elektryzujący dreszcz.

– Normalnie uznałbym, że to nudne – ciągnął Verlaque – ale Bremontowi udało się sprawić, że film wciągał, zwłaszcza te sceny na dachach. Kładli różne rodzaje dachów, no wiesz, strzechy, takie jak w Normandii i Bretanii, łupkowe, jak w środkowej Francji, i tak dalej... Najbardziej zapamiętałem z tego wszystkiego Étienne'a. Kiedy prowadził wywiady z budowniczymi, biegał po tych dachach. Robotnicy byli o wiele bardziej przyzwyczajeni do takich wysokości, ale on robił to jak kozica.

Marine pojęła, do czego zmierzał Verlaque.

– Tak! – zawołała. – Faktycznie był jak kozica, nawet gdy byliśmy dziećmi. Obaj chłopcy mieli naturalne skłonności do sportu, ale Étienne zawsze był w tym lepszy i François aż skręcało z zazdrości. Zapomniałam o tym. – Étienne wspinający się na drzewa oliwne; Étienne zbiegający po schodach *château*, przeskakujący po trzy stopnie naraz; Étienne jak szalony jeżdżący na nartach w Chamonix. Marine wpatrywała się w ciemne oczy Antoine'a; zapanowała nad sobą i chwyciła go za ramię. – A więc wydaje się mało prawdopodobne, by stracił równowagę i wypadł z otwartego okna.

– Rzeczywiście, mało prawdopodobne.

## Rozdział

### czwarty

Lunch był całkiem miły, pomyślał Verlaque, jadąc z powrotem do Aix. Dotarli do Chez Thomé w Le Tholonet za kwadrans druga i zdążyli jeszcze złożyć zamówienie przed zamknięciem kuchni. Młody kelner od razu ich poznał, wymienił *bises* z Marine i uściskał rękę Verlaque'owi. Rok temu uratowali go, gdy stał bezradnie na poboczu przy swoim zepsutym samochodzie. Od tego czasu, gdy tylko zajmowali miejsca, na stoliku natychmiast pojawiała się miseczka z oliwkami i dwa pastis. Dziś też nie było inaczej, ale sączyli pastis w milczeniu. Verlaque uśmiechnął się, obserwując Marine. Była jedną z nielicznych znanych mu kobiet, które naprawdę lubią pastis. Brakowało mu tego.

Marine przełknęła oliwkę i w końcu się odezwała:

– No dobrze – rzuciła, wyjmując pestkę i odkładając ją do popielniczki – kiedy zamierzasz znów porozmawiać z Isabelle de Bremont?

– Po lunchu – odparł Verlaque, nabijając oliwkę na wykałaczkę i wsuwając ją do ust. Musiał się ze sobą zmagać, by nie przyglądać się cały czas Marine.

Miała na sobie bladoniebieski golf, chyba z kaszmiru. Wydawało mu się, że pamięta, jak go jej kupił. Na to włożyła obcisłą czarną sukienkę bez rękawów z jakiejś grubej syntetycznej tkaniny, która wyglądała, jakby świetnie nadawała się na spadochron. Połączenie tak naturalnego materiału ze sztucznym było uderzające – pełna fantazji kombinacja. Marine była dobra w takich rzeczach i po części dlatego tak często obracano się za nią, gdy szła ulicami Aix. To nie ten typ dziewczyny, która nosiłaby rozpinane swetry, pomyślał Verlaque.

Marine przyłapała go na tym, że się jej przygląda, i poruszyła się nerwowo na krześle.

– Lepiej pożuj trochę gumę, by ukryć zapach pastis i wina – powiedziała.

– Po prostu po lunchu zapalę sobie cygaro, to załatwi sprawę wszystkich zapachów. – Uśmiechnął się i zdał sobie sprawę, że w tym krótkim czasie, gdy tak razem siedzieli, Marine zjadła prawie wszystkie oliwki. Próbował się nie przejmować tym, że wykazywała się taką niefrasobliwością przy stole. Verlaque miał bardzo konkretne przekonania, jeśli chodzi o etykietę, i drobne nawyki Marine, takie jak ten, często mu przeszkadzały, gdy byli razem. – A co u ciebie? – zapytał.

– W porządku, Antoine, nieźle – odparła, starając się, by zabrzmiało to lekko. – No wiesz, praca, badania, wystawianie ocen i za dużo aperitifów z Sylvie.

– Czyli niewiele się zmieniło, prawda? – Verlaque natychmiast uświadomił

sobie swój błąd. Wniósł do małomiasteczkowego życia Marine pożądaną odmianę. Wiele razy mu powtarzała, jaka była szczęśliwa, że wkroczył do jej małego świata w Aix. Wychowała się tutaj i czasem się krzywiła, widząc znajome twarze na Cours Mirabeau. Trzydzieści lat temu ci sami ludzie łapali owady na szkolnym podwórku. Była mile zaskoczona, gdy zaproponowano jej pracę wykładowczyni na pełen etat w modnym Aix, choć wołałaby Paryż albo Lyon.

– Nie – odparła z uśmiechem Marine, zadowolona z zainteresowania w jego głosie. – Dobrze mi się żyje. – Jeśli o to chodzi, nic się nie zmieniło. Wciąż potrafił powiedzieć niewłaściwą rzecz w niewłaściwym momencie. Usłyszała w głowie głos Sylvie: to tylko pieprzony dowód na to, że lepiej ci bez niego.

Verlaque wyczuł, że Marine zaczyna przechodzić do defensywy, i zmienił temat.

– Co wiesz o tej rodzinie? Ludzie w Aix dużo mówią o Bremontach?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, przyszedł kelner i złożyli zamówienie. Verlaque niemal się skrzywił, gdy Marine zbyt długo podejmowała decyzję, a potem zamówiła dania, które do siebie nie pasowały – zupę rybną z sosem rouille, a na drugie danie także rybę – z czosnkiem, czyli w sosie aioli. Wiedział z doświadczenia, że nie powinien zamawiać za nią; wtedy by tylko zamilkła i siedziała nadąsana. Ze zdumieniem zaczął się zastanawiać, jak uda jej się po zjedzeniu rouille i aioli poczuć jakikolwiek smak podczas spożywania deseru.

Przyłapał się na tym, że odpłynął w marzenia. Powróciło wspomnienie pewnej urodzinowej kolacji, na którą wybrali się razem do najbardziej ekskluzywnej restauracji w Marsylii, Le Petit Nice. Wówczas każde danie zamawiane przez Marine zawierało foie gras. Podczas jednej z kłótni zarzuciła mu, że jest zbyt burżuazyjny, i stwierdziła, że ona ma prostszy gust od niego. Czasami – w sumie dość często – była dziewczyną ze wsi, nie do końca pewną, jak złożyć zamówienie w restauracji. Zabawne, że to ona wywodziła się z szanowanej, katolickiej prowansalskiej rodziny; jej ojciec był lekarzem, a matka wykładała teologię. A mimo to Marine wydawała się wiedzieć tak niewiele o manierach i etykietce. Zrzucił to na karb socjalizmu.

– Nie mieli już pieniędzy, ale mogę spytać Marie-Pierre, żeby to potwierdzić – odparła.

Nie skosztowała wina jak należy, pomyślał Verlaque. Zapomniał, że Marine potrafi pić byle sikacza.

– To ta twoja przyjaciółka, która pracuje w Crédit Mutuel? – spytał.

– Tak, Bremontowie od zawsze mieli tam konta. Poza tym jest jeszcze brat Étienne’a, ale powiedziałam ci już, co o nim wiem. Rodzice zmarli kilka lat temu, w odstępie paru miesięcy. Oboje na raka. Dużo palili. Przypuszczam, że ojciec Étienne’a nie zostawił dużego spadku.

Verlaque przekrzywił głowę.



– Czemu tak mówisz? Niewiele wydawał, co? A może jednak?

Marine męczyła się z ostatnią oliwką, która była zbyt śliska i ciągle uciekała jej spod wykałaczki.

– O, nie. Wręcz przeciwnie, był filozofem. Napisał kilka niewielkich książek, które próbowałam kiedyś przeczytać, ale nad nimi zasnęłam.

– Usypiały cię bardziej niż książki o prawie? – spytał z uśmiechem Verlaque. Przemknął mu obraz ślicznej Marine zasypiającej nad testami z prawa cywilnego.

– Ha, ha! Tak, bardziej niż te o prawie. I dobrze pamiętam, że przepadasz za książkami prawniczymi w równie dużym stopniu jak ja. W każdym razie nie sprawiał wrażenia kogoś, kto ma głowę do robienia pieniędzy. To nie ten typ, który potrafiłby zgromadzić jakieś oszczędności, o ile wiesz, co mam na myśli.

– Dlaczego nie sprzedali *château*? Choć jest w ruinie, musi być wart fortunę.

– Nie mam pojęcia. Rodowa duma? *Château* zawsze świadczył o ich szlachectwie. Matka Étienne’a była bardzo przywiązana do tego zameczku, uwielbiała ogród. Ale teraz, gdy rodzice nie żyją... sama nie wiem. Może Étienne i Isabelle po prostu nie dbali o pieniądze. Étienne był bardzo wrażliwy. Może chciał zachować *château* ze względów sentymentalnych. Mieszkali we wspaniałym miejscu w centrum Aix, mieli czworo pięknych dzieci, w niedzielę chodzili do kościoła, a w soboty na rynek... Czego jeszcze im było trzeba.

Verlaque nie był pewien, czy Marine nie wbija mu szpili, nawiązując do szansy, jaką odrzucił: szansy wygodnego życia z piękną kobietą, w dodatku wykładowczynią, i możliwości, by mieć z nią dzieci. Postanowił tego nie drążyć, więc zadał kolejne pytanie:

– Ale przecież zameczek musiał być dla niego raczej ciężarem... Więc dlaczego go nie sprzedał? Potrafię sobie wyobrazić, że jego brat, François, nie pogardziłby gotówką.

– Nie wiem... Arystokracja jest bardzo przywiązana do ziemi. Czasem to wszystko, co mają – podsunęła Marine. – Dokończysz tę kaczkę?

Verlaque się uśmiechnął.

– Tak, ale dzięki, że chciałaś mi pomóc.

Czasem to, co ich łączyło, było aż tak proste. I w takich chwilach Verlaque zapominał o dawnych kłótniach, o przykrych słowach, które ich od siebie odsunęły. Ale takie chwile zbyt często mijały bezpowrotnie.

Miał czterdzieści minut do spotkania z Isabelle de Bremont. Dość czasu, by wypić kawę i kilka razy pyknąć cygaro w Le Mazarin. Wśliznął się do *tabac* po drugiej stronie ulicy i kupił Cohiba Siglo II od córki właściciela, ciemnowłosej, ciemnokulawej dziewczyny z dużym biustem, z którą flirtowali wszyscy palacze cygar w miasteczku. Ich miłą pogawędkę przerwało dzwonicie komórki Verlaque’a. Spojrzał na numer i wyszedł na zewnątrz, by odebrać połączenie.

– Właśnie dzwoniła do mnie mer Tamain – odezwał się wysoki, piskliwy

głos. – Co się dzieje w Saint-Antonin?

Verlaque słyszał odgłosy w tle, szmer głosów i pobrzękiwanie kieliszków.

– Byłem tam wczoraj i jeszcze raz dziś rano – odparł. – Dopiero co wróciłem. Étienne de Bremont wypadł z okna na strychu i skręcił sobie kark. To musiało stać się w nocy z soboty na niedzielę.

– Okropne, okropne. Jak to dobrze, że jego rodzice tego nie doczekali, *non*? Rozmawiałeś z jego żoną?

– Za chwilę mam się z nią spotkać drugi raz.

– Drugi raz? – jęknął głos. – Po co musisz ją jeszcze raz odwiedzać? Nie ma potrzeby ciągle przypominać tej biednej kobiecie o tym, co się stało!

Verlaque przymknął oczy. Wiedział, że prokurator ma rację, ale irytowało go pouczanie, jak ma wykonywać swoją pracę.

– Bracia Bleyowie formalnie zażądali wszczęcia dochodzenia. – Nie wiedział, jak wyjaśnić Yves’owi Rousselowi, że kierował się przeczuciem, tym, co podsunęło mu kilka pamiątek z dzieciństwa Bremonta, i fragmentami filmu. – Mme Bremont w niedzielę nie była w stanie rozmawiać. Muszę ją spytać, czy jej mąż był przygnębiony. Wykluczyłem popełnienie przestępstwa – skłamał – ale nie samobójstwa.

Sądząc po odgłosach, Roussel upił głęboki łyk jakiegoś napoju.

– Samobójstwo?! Jeśli tak było, to lepiej tego nie nagłaśniaj, dobrze? Nie chcemy, żeby huczało o tym w całym miasteczku, a jeśli wiadomość dotrze do tych drani z „La Provence”, trafi na pierwsze strony. *Putain!* – Roussel najwyraźniej przypomniał sobie, z kim rozmawia, bo dodał: – Jutro wracam do Aix. Powodzenia we wszystkim.

Verlaque mruknął coś na pożegnanie i spojrział w stronę Cours Mirabeau, gdzie popołudniowe światło sączyło się przez szerokie liście platanów. Popatrzył na drzewa, westchnął i wsunął Blackberry do kieszeni. Pierwszą rzeczą, jakiej nauczył się w tej pracy, było to, jak spokojnie współpracować z prokuratorem w Aix. Yves Roussel, mimo swojego małomiasteczkowego podejścia – a może właśnie ze względu na nie – miał świetne koneksje; coś, co jest bardzo pożądane u prokuratora. Był synem marsylskiego rybaka i dzięki ciężkiej pracy udało mu się skończyć studia prawnicze w Aix; miał przeciętne oceny, ale potem zabłysnął pracą habilitacyjną w Bordeaux. W karierze dopomógł mu również fakt, że jego żona była kuzynką pani mer. Trzeba mu było jednak przyznać, że wygrał kilka głośnych w regionie spraw, a dwa lata temu stał się bohaterem narodowym, gdy jakiś uzbrojony szaleniec porwał grupę uczniów szkoły podstawowej oraz ich nauczycielkę i przetrzymywał ich jako zakładników. Ówczesny *commissaire* – przed mianowaniem Paulika – zrobił wszystko, co w jego mocy. Zarówno on, jak i psychiatra sądowy trzy godziny rozmawiali z tym człowiekiem przez telefon. Sfrustrowany Roussel minął policjantów i nieuzbrojony wszedł do szkoły. Kilka

minut później usłyszano śmiech obu mężczyzn, a po niecałej godzinie wyszli razem – porywacz bogatszy o bilety na następny mecz drużyny piłkarskiej z Marsylii. Roussel obiecał mu je w zamian za uwolnienie dzieci i zapłakanej nauczycielki. Verlaque wiedział, że Roussel dostał reprimendę z Paryża od swojego przełożonego za podejmowanie takiego ryzyka, ale wiedział również, że z gratulacjami zadzwonił do niego *le président de la République*.

W powietrzu unosiło się mnóstwo żółtego pyłku, a ludzie na *cours* pocierali nosy i oczy. Jakaś grupka turystów zatrzymała się przed Le Mazarin, by zrobić kilka zdjęć.

– Frédéric, czy oni w Stanach nie mają kawiarenek? – spytał Verlaque kelnera.

– Nie – odparł ten z poważną miną, drgał mu tylko wąs. – Nie wydaje mi się.

Verlaque usiadł, zamówił kawę i pomyślał o Nowym Jorku i Kalifornii, dwóch miejscach, które kochał z bardzo różnych powodów. W wielu momentach życia planował wycieczkę do Chicago i do Nowego Orleanu, ale nic z tego nie wyszło. Fascynowało go Chicago – stamtąd pochodzili w większości jego ulubieni muzycy jazzowi i przepadał za architekturą Franka Lloyd Wrighta.

Zadzwoniła jego komórka. Kiedy odebrał, usłyszał głos Paulika.

– Sprawdziliśmy François de Bremont, panie sędzio. Z tego, co udało nam się ustalić, jest czysty, ale nie wszystko jeszcze sprawdziłem. Jest współwłaścicielem kilku przeciętnych restauracji w Nicei i w Cannes i zarabia na wynajmowaniu luksusowych apartamentów. Jest hazardzistą, ale w sumie można tak powiedzieć o każdym na Lazurowym Wybrzeżu. Teraz przyglądamy się jego kontom w banku. Przez resztę czasu żegluguje albo gra w polo. Nie ma żony ani dzieci. Często pokazuje się z blondynkami, bardzo wysokimi blondynkami.

– Biedaczysko – odparł Verlaque. – Może te blondynki to śpiewaczki operowe, Bruno...

– Ha, ha. Mocno w to wątpię. Jest jeszcze jedna sprawa; Bouvet dzwonił do mnie z laboratorium. Na strychu były tylko odciski palców Étienne’a de Bremont i trochę odcisków dozorca, ale nie w pobliżu okna. Tylko na pudłach i innych przedmiotach. Na miotle w ogóle nie było żadnych odcisków. Dziwne, *non*? Wraca pan dziś po południu na posterunek? François de Bremont powiedział, że dotrze do Aix przed siódmą dziś wieczorem.

– W takim razie spotkajmy się w moim gabinecie, około wpół do siódmej – powiedział Verlaque i się rozłączył.

Paulik miał rację. Brak odcisków na miotle był podejrzany. Dozorca wspominał, że regularnie zamiatał na strychu. A więc dlaczego nie było na niej jego odcisków?

Verlaque dopił kawę, ostatni raz pyknął cygaro, po czym starannie strzepnął popiół i włożył cygaro do skórzanego etui, które schował do kieszeni marynarki.

Zostawił pieniądze na stoliku i poszedł na górę, do toalety. Przed wizytą u Mme de Bremont przyjrzał się w lustrze swoim zębom i trzydniowemu zarostowi. Następnie szybko opuścił kawiarnię. Nie chciał utknąć przy kolejnej kawie, przyłapany przez kogoś ze znajomych, który być może stał już przy barze. Ruszył Cours Mirabeau, zerkając na adresy, i dotarł pod numer szesnasty. Z nieprzyjemnych rzeczy, które wiązały się z jego pracą, takich zadań nie lubił najbardziej. Wypytywania żony lub męża kogoś, kto niedawno zmarł – była to jedna z nielicznych sytuacji, gdy jego czar w niczym mu nie pomagał. Ludzie szybko się orientowali, że ma uwodzicielski wdzięk, który działał na wszystkich – na mężczyzn i kobiety, starszych i młodych. Gdyby nie poszedł na prawo, zająłby się biznesem, zapewne sprzedażą, ale w rodzinie było już zbyt wielu biznesmenów i Verlaque pragnął się wyłamać z tego schematu. Od czasu, gdy został sędzią śledczym, rzadko rozmawiał z rodzicami; wyobrażał sobie, że wciąż siedzą po przeciwnych stronach stołu w swojej ogromnej jadalni, nie odzywają się do siebie i nadal zachowują się tak jak w czasach, gdy był dzieckiem.

Nacisnął dzwonek obok plakietki z nazwiskiem Bremont i do drzwi podeszła służąca. Przedstawił się, bo nie było jej w niedzielę po południu, gdy po raz pierwszy przyszedł z wizytą pod numer szesnasty. Poprowadziła go długim holem z wyblakłymi obrazami na ścianach i masywnymi, kamiennymi schodami. U dołu schodów leżała piłka, a obok niej stały dwa podniszczone wózki dla dzieci. Wspięli się na pierwsze piętro i przez wysokie drewniane drzwi weszli do mieszkania Bremontów.

Tym razem był przygotowany na przyjemny widok. Ściany wysokie na ponad cztery metry, typowe dla pierwszych pięter *hôtels* w Aix, pomalowane były na dymny tytoniowy odcień, który Verlaque'owi natychmiast się spodobał. Wisiały na nich duże i małe obrazy olejne, rysunki dzieci i seria dziewiętnastowiecznych akwafort z jakimiś mitologicznymi motywami. Sprzęty były przedziwną kolekcją tego, co stare i nowe. W głębi pomieszczenia stało empirowe biurko, które szczególnie przypadło mu do gustu, dziewiętnastowieczne drewniane krzesła z trzcinowymi siedzeniami, takiego rodzaju, jakie można zobaczyć na wielu obrazach Cézanne'a, oraz dwie niewielkie podniszczone sofy ustawione naprzeciw siebie i sprawiające wrażenie, jakby niedawno kupiono je w Ikea. Jedną ze ścian zajmował wielki drewniany regał, który chaotycznie zastawiono starymi książkami, nowymi wydaniem kieszonkowymi, dziesiątkami muszelek, piórek, jasnoczerwonych koralu i motylami przyszpilonymi do deseczek. Wyczuł czyjąś obecność w pokoju i się odwrócił. Ujrzał drobną rudą kobietę po trzydziestce.

– Przez dwa lata po ślubie mieszkaliśmy w Gwadelupie – powiedziała niemal szeptem. – To wtedy zebraliśmy te wszystkie rzeczy.

– Piękna kolekcja – odparł Verlaque. Podeszedł do kobiety, ostrożnie podał jej rękę i spytał: – Jak się pani czuje, Mme Bremont?

– Okropnie – odparła. Jej oczy i nos były zaczerwienione od płaczu.

– Przykro mi. I przepraszam, że tak wczesnie wracam, ale muszę zadać pani jeszcze kilka pytań o pani zmarłego męża.

Isabelle de Bremont wydawała się zaskoczona.

– Co chciałby pan wiedzieć?

Wskazała mu, by usiadł na jednej z małych sof, i szybko zabrała plastikowy samolocik, zanim Verlaque zdążył go przygnieść. Zajęła miejsce naprzeciw niego. Verlaque zauważył, że miała nagie, bardzo piegowate nogi. Nosiła jasnoróżowe buty na niskim obcasie, które wydawały się drogie.

– Próbuje zrozumieć, jak pani mąż wypadł z tego okna na strychu. – Widząc strach w jej zielonych oczach, dodał szybko: – *Château* w Saint-Antonin jest znany i chcę się upewnić, że tamtej nocy nie było tam żadnych intruzów, czy wręcz włamywaczy, którzy mogli przestraszyć pani męża, albo nawet go popchnąć.

Wstała, przeszła przez pokój i usiadła w fotelu; tapicerka była spłowiała i poprzecierana, ale drewniana rama i proporcje pozostały pełne wdzięku.

– Wydawało mi się, że nie było żadnych śladów intruza, panie sędzio. Kilka lat temu jakieś dzieciaki próbowały włamać się do *château*, ale dozorca je przepłoszył.

– Tak, to prawda. Nic nie skradziono, wszystko było na swoim miejscu. Ale chciałbym zrozumieć, dlaczego pani mąż tam był. Mówił pani, dlaczego tam jedzie?

– Tylko o tym napomknął – odparła. – Musiał poszukać jakichś dokumentów swoich rodziców, coś w tym stylu. Wyjechał stąd późno, koło jedenastej wieczorem. – Verlaque odnotował, że Étienne de Bremont mógł nie pojechać prosto do zameczku.

– Ale nie wydaje się to pani dziwne, że pani mąż wypadł przez okno w miejscu, które tak dobrze znał, *Madame*?

Isabelle de Bremont spojrzała mu prosto w oczy i odrzekła:

– Tak, szczerze mówiąc, wydaje mi się to dziwne. Ale takie jest życie, prawda? Dzieje się tak wiele dziwnych rzeczy, tyle rzeczy, które trudno zrozumieć czy wyjaśnić. Myślę, że mógł stracić równowagę i może przyszedł jego czas, żeby odejść. Takie było jego przeznaczenie.

Verlaque'owi wydawało się, że to zbyt łatwy sposób na pogodzenie się ze śmiercią męża. Dlaczego nie była roztrzęsiona, nie waliła pięściami w ścianę? Rok temu żona pewnego skazanego drobnego przestępcy zareagowała w taki sposób na wiadomość, że jej mąż został zabity. Verlaque dostrzegł teraz złoty krzyżyk i medalik z chrztu wiszący na szczupłej szyi Isabelle de Bremont. Rozejrzał się po pokoju i ujrzał kopię rosyjskiej ikony, a w końcu również krucyfik nad drzwiami salonu. Wiara była czymś, czego nie pojmował, ale to mogło wyjaśniać, dlaczego ta kobieta milcząco godziła się z tym okrutnym faktem.

Verlaque był niemal pewien, że hrabia nie popełnił samobójstwa, musiał jednak zadać to pytanie.

– Chciałbym spytać, czy to możliwe, by pani mąż z własnej woli wyskoczył przez okno.

– O nie, nigdy! – odparła kategorycznie Isabelle. – To niemożliwe. – Otarła oczy staromodną chusteczką z białej bawełny, haftowaną w maki. Znowu wiara, pomyślał Verlaque. Samobójstwo byłoby grzechem.

– Dlaczego odmówiła pani podpisania wniosku o wszczęcie dochodzenia? – zapytał.

Isabelle de Bremont spojrzała na sędziego, jakby odpowiedź była oczywista.

– Spadł – odparła, unosząc ręce. – To wszystko. Chcę, żeby po śmierci zostawiono go w spokoju.

– Bleyowie nie zgadzają się z takim prostym wyjaśnieniem tragicznej śmierci.

– Bleyowie? – syknęła. – Co mnie obchodzą Bleyowie? Co oni o nas wiedzą? Widywaliśmy ich dwa czy trzy razy w roku! Ja byłam jego żoną!

Verlaque milczał. Nie mógł wiedzieć, jak blisko byli Bleyowie z Isabelle i Étienne'em de Bremont. Zaskoczyła go jednak szybkość, z jaką zażądali wszczęcia dochodzenia. Zrobili to zaledwie kilka godzin po tym, jak powiadomiono o śmierci Étienne'a. W końcu odparł:

– Z całym szacunkiem, *Madame*, poprosili jednak o wszczęcie dochodzenia.

Kąciki jej ust uniosły się w lekkim uśmiechu.

– Bleyowie to prawnicy.

– Byliście szczęśliwi? – spytał Verlaque, nagle zmieniając temat.

Wdowa spojrzała na niego z lekkim poirytowaniem.

– Byliśmy bardzo szczęśliwi. – Gdy Verlaque nic nie powiedział, mówiła dalej: – Mieliśmy swoje problemy, jak wiele małżeństw, czworo dzieci, brak czasu, by pobyć sam na sam, zamartwianie się pieniędzmi i różnymi sprawami, tego typu rzeczy. Ale Étienne był ostatnio szczęśliwy.

Verlaque wychwycił „zamartwianie się pieniędzmi i różnymi sprawami” oraz słowo „ostatnio”.

– A jego kariera, *Madame*? – spytał łagodnie. – Był zadowolony?

Isabelle de Bremont przyglądała mu się bacznie przez kilka sekund.

– Tak i nie – odparła. – Widzi pan, liczył na to, że trafi do komercyjnego kina, ale kilka miesięcy temu dostał wiadomość, że paryscy producenci wycofali się z finansowania jego ostatniego projektu. Étienne napisał scenariusz, rzecz dzieje się w Saint-Antonin, więc był strasznie zawiedziony. Ale nie na tyle, żeby...

– Nie próbował znaleźć innych źródeł finansowania?

– Próbował, ale nic z tego nie wyszło. Choć w ostatnich tygodniach wyglądało na to, że znów nabrał nadziei i zaczął mówić o tym filmie, jakby jednak

miało do tego dojść.

– O czym miał być film?

– Nie wiem... Wydaje mi się, że to miała być historia o utraconej młodości. Nigdy nie czytałam scenariusza.

– Naprawdę? – zdziwił się Verlaque. – Nie ciekawiło to pani?

– Mam czworo dzieci, panie sędzio – westchnęła, jakby zaczynała tracić cierpliwość. Verlaque musiał nad sobą panować, by się jej nie przyglądać. Jej faliste rude włosy i piegowate ramiona przypominały mu Isabelle Huppert i kobiety z obrazów prerafaelitów, które tak lubił oglądać w Tate Britain w Londynie. Miała drobne, delikatne nadgarstki i kostki, co pasowało do jej łagodnego głosu. W końcu spytał:

– Czy trójka najmłodszych dzieci nie chodzi do żłobka?

Isabelle de Bremont się wyprostowała i podniosła głos.

– Oczywiście, że nie!

Choć Verlaque nie miał dzieci, wiedział, że większość jego przyjaciół posyłała swoje do państwowych żłobków, kiedy tylko nauczyły się siadać na nocniku. Kiwnął głową. Isabelle ciągnęła:

– Nie pracuję, więc nie zgadzam się na to, żeby obcy ludzie wychowywali moje dzieci. Sam pan widzi, panie sędzio, dlaczego nie mam czasu czytać każdego scenariusza mojego męża. – Nagle uświadomiła sobie, że powiedziała to tak, jakby Étienne żył, i Verlaque pomyślał, że zaraz się załamie, ale ona tylko dalej się w niego wpatrywała.

– Czy normalnie był trochę niezdarny? – spytał, gwałtownie zmieniając temat.

– Nie, właśnie to jest najdziwniejsze. Miał świetną koordynację – odparła z wyrazem lekkiego zdumienia na twarzy. Ona również pogrążyła się w myślach. – Nasz najstarszy syn, Raphaël, jest dokładnie taki jak on. Étienne uczył Raphaëla wspinaczki na Górze Świętej Wiktorii, no wie pan, na południowym zboczu, tam, gdzie wszyscy się wspinają. Ale już milion razy zastanawiałam się nad tym wypadkiem, jak to się mogło stać, i teraz nie jestem w stanie o tym myśleć.

Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać. Verlaque ruszył w jej stronę – chciał być blisko niej, dotknąć jej. Ale w tej samej chwili do pokoju wpadła chuda kobieta po trzydziestce i podbiegła do Isabelle.

– Skończył pan wreszcie to przesłuchanie? Przychodzi pan już drugi raz... Naprawdę tego nie rozumiem. W sobotę w nocy w *château* nie było żadnych włamywaczy, prawda? A więc dlaczego ją pan niepokoi? – spytała kategorycznie.

– Nie, niczego nie ukradziono, ale na strychu z hrabią mógł być ktoś jeszcze – odparł Verlaque. Obie kobiety spojrzały na niego rozszerzonymi oczami.

– Co to ma znaczyć? Kto jeszcze mógł tam być? – spytała ta druga.

– Sugeruję, że ktoś mógł popchnąć hrabiego. Przepraszam, jeśli ta myśl jest

przykra dla pani i dla... – Verlaque zawiesił głos, czekając, aż Isabelle dokończy za niego.

– Jej siostry – odparła druga kobieta. A potem przypomniała sobie o manierach i dodała, wyciągając rękę. – Nazywam się Sophie, Sophie Valoie de Saint-André. Jestem siostrą Isabelle.

Verlaque nie lubił tego typu kobiet – była zbyt chuda i krucha, zbyt arystokratyczna. Zwrócił uwagę na jej dumnie brzmiące nazwisko. Tak samo nazywał się jeden z jego kolegów, sędzia śledczy z Marsylii. Całkiem możliwe, że ta kobieta była z nim spokrewniona i Verlaque zanotował w myślach, żeby to później sprawdzić.

– Dziękuję obu paniom za poświęcony czas. Pójdę już. Ach... *Madame* de Bremont! Czy pani mąż zawsze nosił okulary?

– Tylko do czytania, zwłaszcza kiedy był zmęczony – odpowiedziała za siostrę Mme Valoie de Saint-André. Zrobiła to trochę za szybko, pomyślał Verlaque. Był niemal pewny, że usłyszy taką odpowiedź. Nie dawał mu spokoju fakt, że przy zwłokach Étienne’a de Bremont znaleziono jego okulary. Ciemny strych był dziwnym miejscem do czytania; dokumenty, których szukał hrabia, przechowywano zapewne w jakimś biurze w *château*. Ale potem ten młody policjant znalazł stary paragon za dwie brioszki... Nie, dokumenty musiały być na strychu. Zauważył, że Isabelle już go nie słucha.

– Ach, *Madame* de Bremont, jeśli przyjdzie pani do głowy coś, co mogłoby się nam przydać, proszę do mnie zadzwonić – dodał. Jeszcze raz spojrzął na rudowłosą kobietę i otworzył drzwi, by wyjść z pokoju, który teraz wydawał mu się zanadto pełen ludzi.

– Tak – odparła, podnosząc głowę.

Nikt nie odprowadził Verlaque’a do drzwi, więc w przestronnym holu miał czas, by się rozejrzeć. Dostrzegł na podłodze przy drzwiach podróżną torbę ze znajomą niebieską przewieszką pociągu TGV na skórzanej rączce. Pochylił się szybko i odczytał nazwisko Isabelle de Bremont. Lekko uniósł torbę i stwierdził, że jest pełna. Wrócił do salonu i zastał obie kobiety siedzące tuż przy sobie i pogrążone w ożywionej rozmowie.

– Co jeszcze? – spytała Isabelle de Bremont. Verlaque spojrzął na nią zaskoczony, ale postarał się tego nie okazać. Spodziewał się takiego tonu po jej siostrze, ale nie po łagodnej wdowie.

– Zauważyłem spakowaną torbę podróżną w holu. Była tu pani w ten weekend, *Madame*?

– To oburzające! – odpowiedziała Sophie Valoie de Saint-André. – Mówiła panu, że tu była. Étienne jej powiedział, że wybiera się do *château*.

Teraz do Verlaque’a dotarło, że Mme Valoie podsłuchiwała pod drzwiami salonu, gdy rozmawiał z jej siostrą.



Isabelle de Bremont wstała i spojrzała Verlaque'owi w oczy.

– Tak, byłam tu przez całą noc. Z moją siostrą. Bo zakładam, że pyta mnie pan o noc z soboty na niedzielę. Używałam tej torby w zeszłym tygodniu, kiedy pojechałam do Paryża. Jeszcze nie zdążyłam jej rozpakować.

– No tak – odparł Verlaque. – Czwórka dzieci.

Isabelle de Bremont na chwilę zrzędnęła mina, potem przeczesła palcami włosy i powiedziała z lekkim uśmiechem:

– Proszę, odprowadzę już pana do drzwi.

Przeszła przez salon, ruszyli holem i otworzyła przed nim jedno skrzydło masywnych drewnianych drzwi. Nie wiedział, czy zrobiła to świadomie, ale położyła szczupłą dłoń na jego ramieniu i powiedziała:

– *Merci*.

W drodze powrotnej Verlaque czuł dziwny pociąg do Isabelle de Bremont; nie było to ani etyczne, ani komfortowe, zwłaszcza iż był pewien, że go okłamała. Wątpił, by ta podróżna torba mogła stać całymi dniami w przedpokoju, ponieważ Bremontowie mieli służącą. Tak się jednak wygodnie składało, że Sophie Valoie dała siostrze alibi.

Przystanął i szybko zadzwonił do Flamanta z policji, bo przypomniał sobie, że Paulik przez cały dzień ma być w sądzie.

– *Salut*, Flamant – powiedział. – Mógłbyś zadzwonić do biura informacji kolei i sprawdzić bilety z Aix do Paryża zakupione w zeszłym tygodniu i w ten weekend na nazwisko Isabelle de Bremont?

– Niczego bardziej nie lubię, panie sędzio, niż zmuszać ich, żeby trochę dla mnie popracowali. Kiedy ostatnio strajkowali, przegapiłem urodziny babci w Lille. Miesiąc później zmarła i na jej pogrzeb też się spóźniłem. Przez kolejny strajk!

Verlaque się uśmiechnął. Nie dlatego, że Flamant stracił babcię; dobrze, że czuł się na tyle swobodnie, by opowiedzieć mu tę historię.

– Czekaj, mogła też podróżować pod innym nazwiskiem – dodał sędzia.

– Możliwe, ale teraz większość ludzi kupuje bilety na TGV przez internet i żeby je wykorzystać, wsiadając do pociągu, trzeba pokazać dowód tożsamości ze zdjęciem.

– Słusznie – odparł Verlaque. Przypomniał sobie, że widział nowy komputer firmy Apple w salonie Bremontów. Podziękował policjantowi i się rozłączył.

Minął taras Le Mazarin. Nie dostrzegł na nim żadnych znajomych – nie, było jeszcze za wcześnie na aperitify. Ten lunch z Marine upłynął całkiem przyjemnie, pomyślał. Powiedział jej komplement, że ten niebieski sweter świetnie podkreśla zielony kolor jej oczu. Wiedział, że to doceniła. Gdy się pożegnali i odchodziła, myślała pewnie o nim. Miał nadzieję, że dobrze. Teraz uświadomił sobie, jakie to było ważne. Równocześnie westchnął głośno: zmarnował sześć miesięcy, nie wyjaśniając Marine, dlaczego od niej odszedł, i umyślnie się przed nią ukrywając

w bibliotece prawniczej w Paryżu, po tym jak wrócił z Luksemburga i z Anglii. Czasami sam się nad tym zastanawiał. Nie przychodziła mu do głowy żadna prosta odpowiedź. Ale może znów mogliby zostać przyjaciółmi? Wkrótce zaprosi ją na kolację, a jeśli pogoda dopisze, urządzi posiłek u siebie na tarasie. Dziwne, że czyjaś śmierć mogła znów ich do siebie zbliżyć. Marine była taka cierpliwa i dyplomatyczna – pod tym względem tak bardzo się od niego różniła. I nie osądzała. Po raz kolejny przysiągł sobie w duchu, że postara się być bardziej cierpliwy; to była jego najgorsza wada. Wyobraził ją sobie teraz, jak zamyka te piękne oczy w kształcie migdałów i słucha go z przekrzywioną głową. To nie było byle co. Może mimo wszystko warto się tego trzymać.

Przystanął na ulicy, by zapalić cygaro, i zdał sobie sprawę, że uśmiecha się pod nosem.

## Rozdział

### piąty

– Lunch był po prostu okropny. Typowy lunch z Antoine’em Verlakiem! – powiedziała Marine do Sylvie, gdy usiadły na tarasie Le Mazarin. Przyszły o wpół do ósmej i miały szczęście, bo dostały stolik. Wcisnęły się między jakąś starszą panią, karmiącą miniaturowego pieska curry z ciecierzycy, które dostawało się gratis z aperitifem, a grupkę studiujących mapy niemieckich turystów. Marine siedziała z założonymi rękoma, czekając na wybuch Sylvie.

– To skończony fiut. Zapomnij o nim – oświadczyła Sylvie. – A poza tym masz teraz dwudziestosiedmioletniego kochanka.

Choć zachodziło słońce, Sylvie Grassi wciąż nosiła ciemne okulary – czarne, od Armaniego, z wielkimi okrągłymi szklami, takie jakie w latach sześćdziesiątych nosiły gwiazdy na Lazurowym Wybrzeżu. Miała czarne, krótko obcięte włosy i bladoniebieskie oczy. Lubiła ubrania podkreślające kontrast między kolorem jej włosów i oczu – śmiałe barwy, takie jak jasna zieleń i neonowy róż. Zbliżała się do czterdziestki i ostatnio trochę stonowała swój styl, ale wciąż była rozpoznawalną postacią. Przechadzała się ulicami konserwatywnego Aix w designerskich japońskich strojach i z jaskrawymi torebkami. Wykładała fotografię i historię sztuki w Szkole Sztuk Pięknych w Aix i uczestniczyła w licznych wystawach fotograficznych w Europie. Dzięki temu, że jej zdjęcia się sprzedawały, a fotografia jako forma sztuki zyskała wyższy status, Sylvie mogła sobie pozwolić na designerskie ubrania i niedawno spłaciła kredyt na dwupokojowe mieszkanie w centrum. Miała też ośmioletnią córkę Charlotte, która była chrześnicą Marine; ojcem był jakiś niemiecki fotograf, który nie miał pojęcia, że ma dziecko w Prowansji.

– Wydawało mi się, że udało mi się o nim zapomnieć. A potem, ni z tego, ni z owego, do mnie zadzwonił – westchnęła Marine. Nienawidziła samej siebie za to, że powiedziała te słowa na głos, nawet najlepszej przyjaciółce. Pragnęła, by to była nieprawda, wiedziała jednak, że jest inaczej.

– Ale nie do końca ni z tego, ni z owego, prawda? Poprosił cię, żebyś pojechała do Saint-Antonin i pomogła mu w śledztwie – stwierdziła Sylvie. I unosząc brwi, spytała: – Tylko czy aby na pewno mu o to chodziło?

– Myślisz, że to był tylko pretekst, żeby się ze mną spotkać? – spytała Marine.

– A co innego?

– Nie, Antoine jest na to zbyt egoistyczny. Myślę, że naprawdę mnie

potrzebował, w ten typowy dla niego sposób, no wiesz: „nie muszę mówić proszę ani dziękuję”. Wydawał się autentycznie poruszony śmiercią Étienne’a de Bremont. Zastanawiał się, jak to możliwe, żeby Étienne wypadł z okna.

– A ty jak sądzisz?

Marine zastanawiała się przez chwilę.

– Zgadzam się z Antoine’em. Nie potrafię sobie wyobrazić, by ktoś tak zwinny jak Étienne stracił równowagę w miejscu, które tak dobrze znał. A samobójstwo? Coś takiego w przypadku każdego człowieka trudno sobie wyobrazić.

– Tak, ale będziecie potrzebować mocnych dowodów, żeby to wykazać, prawda?

Marine zamilkła. Czuła się zakłopotana, gdy Sylvie próbowała udawać eksperta w dziedzinie, o której nie miała pojęcia. W końcu odparła:

– Niedaleko miejsca, gdzie upadł Étienne, znaleziono paragon z Michaud, na dwie brioszki.

– Brioszki? – Sylvie upiła łyk wina, nie spuszczając z oka trzech mężczyzn, którzy właśnie usiedli przy stoliku obok.

– Tak. Paragon z lat pięćdziesiątych.

Sylvie oderwała wzrok od mężczyzn i popatrzyła na przyjaciółkę.

– A to ciekawe.

Marine kiwnęła głową i wbiła wzrok w swoje dłonie. Przyjaciółka wyczuła jej smutek i próbowała wrócić do tematu okropnego lunchu. Woląла mieszać z błotem Antoine’a.

– A potem zabrał cię na lunch – zachęciła, by Marine kontynuowała ten wątek.

– Tak. I przez cały czas się na mnie gapił, przyglądał się, jak jadłam oliwki. Byłam taka podenerwowana, że chyba zjadłam całą miseczkę.

Sylvie wybuchnęła śmiechem.

– No nie, Marine! Nie zrobiłaś tego!

Obie głośno się zaśmiały, a kelner Frédéric podszedł do stolika, opierając tacę o biodro.

– Ciągłe się śmiejecie. Aż miło popatrzeć. Jeszcze dwa kieliszki białego?

– Jeszcze białego! – krzyknęła Sylvie, unosząc palec z udawaną pretensją. I dodała: – I prosimy jeszcze o miseczkę oliwek, Fréd!

– Wiem, że przez cały czas mi się przyglądał, oceniał mnie – ciągnęła Marine, ignorując dowcip z oliwkami. – Jest takim snobem, jeśli chodzi o jedzenie.

– Po prostu jest snobem, koniec kropka – odparła Sylvie. – Ale to strasznie zabawne, że zjadłaś wszystkie oliwki. I to prawda, nie potrafisz docenić dobrego wina i dobrego jedzenia, co go zawsze doprowadzało do szału.

– To wino – Marine uniosła kieliszek – jest bardzo dobre.

Sylvie się roześmiała.

– Nawet tego nie zauważyłaś, kłamczucho. Faktycznie tak się składa, że to doskonałe wino, Château Revelette, z winnicy na północ od Aix. – Upiła łyk i dodała jeszcze: – I w dodatku właścicielem jest bardzo przystojny Niemiec.

– Żonaty?

– Tak, niestety. – Obie wybuchnęły śmiechem, bo Sylvie często wdawała się w romanse z żonatymi mężczyznami. Marine chciała zapomnieć o wszystkim, o śmierci Étienne’a, Antoine, starych dziejach. I śmiech dobrze jej robił. Jesteś okropna, Marine, upomniała się w duchu. A co z Étienne’em? Biedny Étienne. Już nigdy nie będzie spacerował po lasach u podnóży Góry Świętej Wiktorii, nigdy nie zobaczy swoich dzieci.

Sylvie przywróciła ją do rzeczywistości.

– Och, Marine, wiem, że ten dzisiejszy lunch musiał być dla ciebie piekłem. Wiesz, że nigdy nie lubiłam *le juge*, z wyjątkiem tych chwil, gdy kupował moje zdjęcia. – Zaśmiała się. To przez to jego spojrzenie. Nigdy nie wiedziałam, czy mnie ocenia, jak sama to ujęłaś, czy próbuje zobaczyć, co mam pod ciuchami.

– Co? Flirtował z tobą?

– O nie, nie martw się. Nigdy otwarcie ze mną nie flirtował, ale przecież go znasz, zawsze chodzi mu o uwodzenie. Przypochlebia się i oczarowuje ludzi, kobiety i mężczyzn, ale równocześnie sam nigdy się nie zdradza. Mówi właściwe rzeczy o winie i cygarach albo o piłce nożnej, jeśli na taki typ ludzi natrafi. Albo o polityce. I przez cały ten czas nikomu nie pozwala poznać prawdziwego Antoine’a, Antoine’a, którym jest, kiedy jest sam. Bezbronno sędziego Verlaque’a.

– Wiem – odparła Marine, którą zaczynała irytować ta zbyt uproszczona ocena sędziego. – Przypuszczam, że właśnie przez to się rozstaliśmy. Nawet ja nie mogłam się do niego zbliżyć. Ale przecież już to wszystko wiesz. W dodatku ciągle mnie krytykował, mówił mi, co mam robić. Nie podobało mu się, jak się ubieram, co zamawiam w restauracji i nigdy nie mówił mi komplementów, chyba że w łóżku, ale wtedy musisz prawić komplementy partnerce, bo w przeciwnym razie wyjdiesz na skończonego dupka. Nie pogratulował mi, kiedy opublikowałam pracę, tylko trochę krytykował i wbijał mi szpile. Chyba nigdy nie poczułam się z nim naprawdę swobodnie, a kiedy ode mnie odszedł, niemal mi ulżyło.

– Ciężko się nad nim napracowałaś – podsumowała Sylvie.

– Tak – potwierdziła Marine, pogrążona w myślach. Spojrzała gdzieś w dal.  
– Ciężko się napracowałam, ale ciągle myślę, że może byłoby warto. Nic na to nie poradzę.

– To idiota – stwierdziła Sylvie, pragnąc przywrócić Marine do świata żywych. – Zapomnij o nim. Pojedźmy w przyszłym miesiącu do Paryża na otwarcie mojej wystawy, dobrze?

– Żeby otaczała mnie grupka gejów? Świetnie! Dokładnie tego mi trzeba – powiedziała Marine, przyglądając się tłumom ludzi mijającym kawiarenkę.

– Nie, nie tym razem. Właściciel galerii jest hetero. To były biznesmeni, który zarobił w Londynie mnóstwo pieniędzy. Teraz spędza czas w Paryżu nad Loarą i sprzedaje zdjęcia. Może będą tam jego przyjaciele? No wiesz, bogaci przystojni Anglicy. Wiem, że masz słabość do Brytyjczyków, Bóg raczy wiedzieć dlaczego.

– Hmm... teraz to brzmi lepiej. Mogłabym poćwiczyć mój szkolny angielski – zaśmiała się Marine. – To kolejna rzecz, o którą Antoine robił mi wyrzuty. Mój kiepski angielski! Masz rację, ale dół!

Sylvie wyciągnęła rękę nad poplamionym winem stolikiem i ujęła dłoń Marine.

– I co z tego? Antoine jest w połowie Brytyjczykiem, jasne, że doskonale mówi po angielsku! I o ile dobrze pamiętam, ty świetnie mówisz po włosku. Pomyśl tylko, ci londyńscy biznesmeni oszaleją na twoim punkcie w tej galerii. Piękna, młoda... no, może nie aż taka młoda... wykładowczyni. Bez męża, bez dzieci i z lekkim francuskim akcentem. – Te ostatnie słowa Sylvie powiedziała po angielsku, z bardzo mocnym akcentem. Wybuchnęły śmiechem i Frédéric uśmiechnął się do nich z drugiego końca tarasu.

– Trochę ciszej, moje panie!

– Poprośmy już o rachunek. Muszę przygotować zajęcia na jutro – powiedziała Sylvie.

– Tak, to dobry pomysł. Chyba wcześniej się dziś położę – odparła Marine. Ale gdy wymieniły *bises* na pożegnanie, Marine nie ruszyła *rue* Frédéric Mistral prosto do domu, lecz poszła *cours* i skręciła w pasaż Agard, wąski deptak dochodzący do Place des Prêcheurs, z górującym nad nim kościołem, do którego chodziła w dzieciństwie: wielki, na wpół neoklasycyzy, na wpół barokowy *église de la Madeleine*. Drzwi wciąż były otwarte. Weszła do środka. Wewnątrz było chłodno. Jako dziecko chodziła tu na msze – dobrze знаła ten kościół, ale nigdy go nie lubiła. Woląла mniejszy Saint-Jean-de-Malte, z architekturą gdzieś pomiędzy stylem romańskim i gotyckim, zbudowany z lokalnego złocistego kamienia. Weszła jednak do la Madeleine, bo robiła tak od czasu matury – na szczęście. Poza tym po lewej stronie nawy wisiał obraz, który uwielbiała. Była to scena Zwiastowania, północne flamandzkie malarstwo, jakiś van Eyck; nie Jan van Eyck, ale pewnie jakiś jego krewny, jak wyjaśniła jej Sylvie. Marine lubiła przyglądać się szczegółom na tym obrazie – wszystkim tym symbolom, które Sylvie nauczyła ją rozpoznawać. Na takich dziełach zawsze były białe lilie i gołąb, który sfruwał do Marii przez otwarte okno. Marine i Sylvie wybrały się dwukrotnie na „wycieczki ze zwiastowaniem”, raz do Florencji i raz do Wenecji, i próbowały wyszukać jak najwięcej obrazów z tym motywem. Jak najwięcej nastrojów Marii, jak mawiała

Sylvie. To je fascynowało. Czasami Maria wydawała się przerażona wiadomością, że ma urodzić Syna Bożego, w innych wypadkach sprawiała wrażenie dumnej, zamysłonej, a niekiedy nawet znudzonej, w zależności od malarza i jego historii.

Marine wpatrywała się w tak dobrze jej znany obraz, starając się ignorować hałasy deskorolkarzy przed kościołem. Podeszła bliżej, rozejrzała się, czy nikt nie patrzy, i wspięła się na jedną z ław, by mieć lepszy widok. Pewnie nigdy by tego nie zrobiła, gdyby nie to wino w Le Mazarin. Château Revelette, chyba tak się nazywało? Chciała lepiej przyjrzeć się złotemu gołębiowi, który sfrunął przez otwarte okno, żeby zapłodnić młodą dziewicę. Zmrużyła oczy i po wszystkich tych latach dostrzegła, że to wcale nie ptak, jak jej się wydawało, ale mały tłusty bobasek, naprawdę malutki. Przysunęła się jeszcze trochę bliżej – tak, to był dzidzius, grubutki i prześliczny.

Zeskoczyła z ławy i uśmiechnięta wyszła z kościoła. Przecięła Place des Prêcheurs i sąsiedni Place de Verdun, schodząc z drogi zbyt szybko jadącym samochodom, których kierowcy desperacko szukali jakiegoś miejsca do zaparkowania. Gdy znów znalazła się w ciemnym, wilgotnym pasażu Agard, pomyślała o strychu Bremontów i o wszystkich tych szczegółach stłoczonych w jednym pomieszczeniu, które tak łatwo było przeoczyć. Co według Antoine'a miałam zobaczyć na tym strychu? – zastanawiała się. Rozmawiali o widoku, który się stamtąd roztaczał, i zgodziła się z nim, że Étienne nie stał przy tym oknie po to, żeby go podziwiać. A potem Antoine na nią nakrzyczał, bo wpadła na walizkę od Louisa Vuittona, choć policjanci zdjęli z niej już odciski palców i nic się nie stało, że trochę ją przesunęła. Znów wyrzuty Verlaque'a, uniesiona brew. Ale coś w tej walizce nie dawało jej spokoju jeszcze bardziej niż uwaga Antoine'a. W dzieciństwie próbowali się nią bawić, zwłaszcza Marine, świadoma jej wartości i prestiżu. Ale walizka zawsze była tak ciężka, że musieli ją podnosić we dwoje, a chłopcom szybko się to nudziło i nie chcieli już bawić się z Marine w hotel.

– Właśnie – powiedziała na głos i siedzący w pasażu żebrak spojrział na nią z nadzieją. Znalazła się na ruchliwej *cours* i ruszyła w stronę mieszkania, równocześnie wybierając na klawiaturze telefonu komórkowego numer Verlaque'a.

## Rozdział

### szósty

Verlaque wrócił do budynku sądu o wpół do siódmej i zastał Paulika czekającego na niego w biurze; mężczyzna popijał espresso i czytał lokalną gazetę.

– Coś ciekawego? – spytał Verlaque. „La Provence” była gazetą, którą czytało się, by poznać wyniki meczów albo dowiedzieć się, gdzie i o której grywa się w *pétanque*, ale zwykle niewiele więcej można było w niej znaleźć.

– W sumie dziś całkiem sporo – odparł Paulik. Upił łyk i się skrzywił; kawa w biurze wciąż była okropna mimo nieustannych skarg Verlaque’a. – Nicole Kidman prawdziwą gwiazdą na Croisette – przeczytał nagłówek. – Ale są też dwie sprawy bardziej zawodowej natury, panie sędzio. Piętnastu policjantów wysłano do Casablanki w związku ze śledztwem w sprawie samobójczego zamachu w hotelu, w wyniku którego zginęło czterech francuskich obywateli. A w parku w Marsylii znaleziono w workach na śmieci poćwiartowane zwłoki.

– Mężczyzna czy kobieta? – spytał sędzia.

– Mężczyzna. Nie żyje od około miesiąca – odparł Paulik.

Verlaque wyobraził sobie, jaki zawiedziony będzie *Procureur* Roussel, że przegapił tak makabryczne znalezisko, choć Marsylia znajdowała się poza jego jurysdykcją. Nie lubił Roussela – niskiego, irytującego mężczyzny, któremu wydawało się, że autorytet mają ci, którzy najgłośniej krzyczą. Verlaque’owi przypomniawszy Marlon Brando w *Ojcu chrzestnym* i to, jak powiedział Francisowi Fordowi Coppoli, że człowiek mający władzę nie musi krzyczeć, może mówić niemal szeptem. I dokładnie to robił Brando.

– Cóż, jeśli *commissaire* z Marsylii będzie potrzebował więcej ludzi, zgłosi się tutaj – odparł Verlaque.

– Mamy mnóstwo roboty – powiedział Paulik, pukając w gazetę.

– A właśnie! Co tam dziś w sądzie?

– Sprawa odrzucona. – Paulik opadł na oparcie krzesła.

Verlaque uniósł brwi.

– Niech zgadnę... Z powodu jakiegoś technicznego szczegółu? Kto jest adwokatem tego punka? Philippe Castel?

Komisarz z żalem pokiwał głową.

Philippe Castel, prawnik z Marsylii, pobierał za godzinę honorarium znacznie przekraczające możliwości drobnych przestępców.

– Ciekawe, która gałąź rodziny zapłaciła za usługi Castela.

Drzwi się otworzyły i weszła sekretarka Verlaque’a, Mme Girard.



– Właśnie dzwonił z dołu. Przyszedł *Monsieur* François de Bremont.

Verlaque uśmiechnął się do niej. Choć zawsze ubrana była bez zarzutu, jak większość kobiet z Aix w jej wieku i o jej pozycji – czyli między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką, zamężna, z trójką dorosłych dzieci – dziś wręcz powalała swą szmaragdowozieloną marynarką i krótką spódniczką podkreślającą wysportowane i opalone nogi.

– Przyślij go na górę – odparł sędzia. A potem zwrócił się do Paulika: – Możesz wziąć w tym udział, chyba że musisz jeszcze doczytać wyniki meczów.

– Już doczytałem. Ale dziękuję, panie sędzio – uśmiechnął się Paulik.

W gabinecie Verlaque'a stało wielkie biurko ze szklanym blatem, które zamówił u Conran w Paryżu. Był to gabinet człowieka z autorytetem, budzący zaufanie lub lęk, w zależności od stanu umysłu i przewinienia gościa. *Juge d'instruction* miał być bezstronny. Pod jedną ścianą stał regał uginający się od czasopism prawniczych i teczek z aktami. Dwa okna wychodziły na południe i na zachód. Na ściany wybrał kolor oliwkowozielony, czy też „empirowo zielony”, jak uparcie nazywała go Mme Girard. Ponoć zieleń uspokajała ludzi i dodawała im otuchy, więc Verlaque uznał, że to dobry pomysł. Za ozdoby na ścianach odpowiadała Sylvie: były to jedynie cztery wielkie czarno-białe fotografie, które Verlaque kupił na jednej z jej wystaw.

Paulik usiadł w kącie, a Verlaque przy swoim biurku. Podniósł wzrok na jedną z fotografii – zbliżenie trzech liści unoszących się w jednej z fontann w Aix. Czuły na podczerwień filtr dodał zdjęciom dramatyzmu, sprawiając, że liście były białe, a woda w fontannie czarna jak atrament. To zdjęcie przypominało Verlaque'owi pewną scenę z dzieciństwa. W słoneczny poranek bawił się sam w ogrodach Tuileries, niedaleko rodzinnej posiadłości Verlaque'ów. Zauważył, że w fontannie unoszą się liście o idealnych kształtach. Zawołał swoją angielską babcię w nadziei, że je jej pokaże, ale słysząc jego podekscytowanie, ledwie podniosła głowę. Nie pobrudź się przed lunchem, powiedziała tylko po angielsku.

W drzwiach zjawiała się Mme Girard z młodym mężczyzną. Pokazała mu, by wszedł do gabinetu.

– *Monsieur* François de Bremont – zapowiedziała. – Sędzia Verlaque i komisarz Paulik.

– Dzień dobry – powiedział Bremont, mocno ściskając dłoń sędziego. Odwrócił się do Paulika i równie silnie ścisnął jego rękę. Verlaque'a uderzyło jego podobieństwo do Étienne'a; jedyna różnica polegała na tym, że François miał nieco jaśniejsze włosy, był opalony i szeroki w ramionach jak ktoś, kto na poważnie zajmuje się żeglarstwem.

– Dziękuję, że przyjechał pan prosto tutaj – powiedział Verlaque.

– Bardzo pan nalegał – odparł Bremont. – Ale nie mogę długo zostać. Chcę jak najszybciej dojechać do Saint-Antonin i wszystko sprawdzić... Zwłaszcza, co

z Jean-Claude'em.

– W porządku. Proszę usiąść – powiedział sędzia. – Przykro mi z powodu śmierci pańskiego brata. Spotkałem go tylko kilka razy, gdy kręcił film dokumentalny w Marsylii, ale bardzo go lubiłem.

– Wszyscy lubili Étienne'a – stwierdził znacząco Bremont. – Zawsze był życzliwy i świetny w tym, co robił.

– Pewnie się pan zastanawia, dlaczego pana tu wezwaliśmy – rzekł Verlaque. – O ile wiemy, pański brat zginął w wypadku. Ale ponieważ do upadku doszło w miejscu, które tak dobrze znał, i nie było żadnych świadków, musimy jak najgruntowniej zbadać sprawę.

– I szczerze mówiąc, ze względu na sławę pańskiego brata w świecie filmowców i jego pozycję w Aix, chcielibyśmy być wyjątkowo staranni – dodał Paulik.

– Oczywiście – odparł Bremont. Wyprostował się, dumny z brata, a może z rodzowego nazwiska. Verlaque zerknął szybko na komisarza w uznaniu dla jego taktyki. Paulik, syn rolników, zupełnie nie dbał o to, czy denat był bogaty i sławny. François zapytał: – A tak w ogóle to co się tam stało? Doszło do włamania?

– Nie. Nic nie zginęło z *château*, wszystko było na swoim miejscu. Dozorca w niedzielę oprowadził mnie po zamczku.

– Pan i Jean-Claude jesteście pewni?

Verlaque spojrział na Bremonta i odparł:

– Raczej tak, *Monsieur* Bremont. Nasi ludzie też wszystko gruntownie przeszukali. Dlaczego pan pyta?

– Bez konkretnego powodu – odpowiedział Bremont.

– Wygląda pan na zmartwionego. Musi pan mieć jakiś powód – drążył Paulik.

– Chodzi o to, że zamczek jest położony tak bardzo na uboczu. Wszystko może się tam zdarzyć. – Paulik zauważył, że żeglarz powoli pociera ręce, tak jak jego babcia, gdy dziadek leżał na łożu śmierci.

– Sądzi pan, że pański brat był w stanie popełnić samobójstwo? – zmienił temat Verlaque. Również zwrócił uwagę na to, co François de Bremont robił z rękoma, i usłyszał w jego głosie coś, co przypominało strach.

– Wykluczone – odparł Bremont mocnym, donośnym głosem. – Nie Étienne. Sędzio Verlaque, wierzę, że mój brat był szczęśliwy. Może w ostatnich latach nie byliśmy blisko... – przerwał, spoglądając na sędziego i komisarza. A potem dodał: – Pewnie panowie wiecie, że mieliśmy zupełnie inny styl życia.

Paulik pomyślał o wysokich blondynkach na jachcie. Bremont ciągnął:

– Ale znałem go na tyle dobrze, by wiedzieć, że nigdy nie odebrałby sobie życia. Był zbyt oddany Isabelle i dzieciom. – Głos François lekko się załamał. Wyjął z kieszeni chustkę i otarł kąciki oczu. Pociągnął nosem. – Przepraszam –

powiedział. – Śmierć Étienne’a jest dla mnie szokiem. Przez całą noc nie spałem.

Verlaque nie potrafił stwierdzić, czy łzy były wymuszone, czy prawdziwe, ale arystokrata naprawdę miał podkrążone oczy.

– Rozumiem. Czy sądzi pan, że ktokolwiek miał powód, by uważać Étienne’a za wroga... albo na odwrót? – zapytał sędzia.

– Mało prawdopodobne – odparł Bremont, ale po chwili dodał: – ale kto to może wiedzieć.

– Brat nigdy nie wspominał panu, że coś go trapi? Albo że jest zdenerwowany?

– Nie! Mówiłem już, że rzadko rozmawialiśmy. A teraz, jeśli nie macie panowie nic przeciwko temu – François szybko wstał z krzesła – naprawdę muszę już iść. – Wyrzwał nad głową Verlaque’a przez okno, jakby martwił się, że nagle pogoda może się zmienić.

– Dziękuję. Naprawdę bardzo mi przykro z powodu pańskiej straty – powiedział Verlaque, podając mu rękę na pożegnanie. Bremont zerknął na zegarek i wyszedł z gabinetu.

– Niewiele powiedział, co? Śpieszyło mu się – stwierdził Paulik.

– Zauważyłem. Wydawał się niemal wystraszony. Skoro już zostałeś takim specem od komputerów, mógłbyś go dokładniej sprawdzić? – Policjanci z Aix i z Marsylii mieli ostatnio bezpłatne szkolenia komputerowe i Paulik zgłosił się w imieniu swoim i *le juge*. Verlaque też wziąłby w tym udział, ale pierwszy weekend szkolenia wypadł akurat w święto wina w Bordeaux, gdzie jego przyjaciele mieli winiarnię, drugi weekend zaś zbiegł się z ważną corridą w Nîmes, na którą Verlaque dzięki swej pozycji zdobył dwa ekskluzywne miejsca. Przyznawał sam przed sobą, że jego niecierpliwość trzyma go z daleka od komputerów.

– A skoro już się tym zajmiesz, wypytaj też Pellegrina, tego policjanta z Cannes, który gra w polo, co ci może powiedzieć o François de Bremont.

– Jasne.

Na korytarzu odbijał się echem czyjś gromki śmiech i im stawał się głośniejszy, tym bardziej milkli sędzia i komisarz, wiedzieli bowiem, że ich rozmowa wkrótce się skończy. Słyszeli uprzejme śmiechy policjantów i rehot innych, którzy naprawdę dobrze się bawili. Komik, który tak ich rozbawił, miał wyraźny akcent z południa Francji, więc jego ulubione słowo – *putain* – brzmiało jak „putaigne”, ze słynnym południowym naciskiem na ostatnią spółgłoskę.

– *Ma belle!* – zawołał Procureur Yves Roussel, zbliżając się do starannie zdobionego biurka Mme Girard. – Jak dobrze znów zobaczyć słońce Prowansji. – *Ce putain d’Écosse!*

– Nie bawił się pan dobrze w Szkocji, *Monsieur le Procureur*? – spytała ze zdziwieniem Mme Girard.

– Czy się dobrze bawiłem? Było *ex-tra-or-din-aire*. Tylko za mało słońca jak na chłopaka z południa.

Paulik i Verlaque milczeli. Paulik wyjrzał przez okno, a sędzia siedział przy biurku, odchylony na oparcie, z rękoma splecionymi na karku. Obaj wiedzieli, co teraz będzie: Roussel wejdzie do swojego gabinetu – mianowano go prokuratorem, zanim zjawił się Verlaque, i dostał mu się ten większy, po sąsiedzku – obwącha go jak pies i upewni się, że w ciągu jego tygodniowej nieobecności niczego nie poprzestawiano ani nie dotykano. Potem głośno zapuka do drzwi Verlaque’a i wejdzie, zanim zostanie zaproszony. Obchód gabinetu trwał tym razem bardzo krótko, bo prokurator już po chwili wrócił do Mme Girard, o czym świadczył głośny śmiech i opisy Szkocji, których większość zaczynała się od „*putain*”. Na chwilę przed tym, nim zapukał do drzwi Verlaque’a, dało się słyszeć słowa „*putain haggis*”. Paulik spojrział na sędziego i powiedział:

– Zawsze chciałem tego spróbować. To znaczy haggis. Nie *putain haggis*.

Verlaque się roześmiał.

– Jest naprawdę pyszny, zwłaszcza z single malt albo dobrym mocnym piwem, ale trzeba powiedzieć rzeźnikowi, żeby... – Nim zdołał dokończyć zdanie, rozległo się głośne pukanie i równocześnie drzwi otworzyły się z impetem, ukazując niskiego mężczyznę, wyższego teraz o pięć centymetrów dzięki turkusowym kowbojkom.

– *Mates!* – ryknął po angielsku Roussel, wyciągając ku nim owłosione ręce. Verlaque uśmiechnął się, wstał zza biurka i uściśnął mu dłoń; wielki zegarek i grube srebrne bransolety prokuratora zsunęły się na nadgarstek.

– Jak tam wycieczka? – spytał Verlaque. Roussel był okropny i miał beznadziejny gust, ale Verlaque wiedział, że prokurator kocha swoją pracę i obywateli Aix i byłby gotów ich bronić za wszelką cenę. Verlaque przeżywał ostatnio taki kryzys, że nawet zaczął się zastanawiać, czy nie tęskni za dowcipami Roussela w biurze.

– *Su-per. Fan-tas-tique*. Jaki piękny kraj! I wiesz, kochają tam Francuzów!

– Tak, bo nie jesteśmy Anglikami – odparł Verlaque.

– A jak trawa? – zapytał Paulik.

– *Su-per. Beau, beau, beau* – odpowiedział Roussel, ignorując przycinek miłośnika rugby. – Wspaniały golf. Okropne jedzenie. Za drogie wina. Ale dobra whiskey.

Verlaque zerknął na Paulika, który się uśmiechnął. Obu ich rozbawiło tych kilka zdań, którymi Yves Roussel podsumował cały kraj.

– No i o co chodzi z całym tym bałaganem z Étienne’em de Bremont? Samobójstwo, co?

– Nie, nie wydaje mi się – odparł Verlaque.

– Biedny chłopak wypadł z okna. Znałem jego ojca. Lepiej to wyciszmy, co?

To taka ważna rodzina. – Teraz Verlaque przypominał sobie, dlaczego nie znosił Roussela: ciągle starał się ignorować swoje skromne pochodzenie albo o nim zapomnieć. Natomiast Paulik szczyił się swoim.

– Wszczęłem dochodzenie w tej sprawie – powiedział Verlaque.

Roussel spojrzął na niego ostro.

– A niby po co, u diabła? Powiedziałeś mi przez telefon, że wykluczyłeś popełnienie przestępstwa.

– Bo, jak podkreślałeś, to taka ważna rodzina.

Paulik się odwrócił i wyjrzał przez okno, by ukryć krzywy uśmiech.

– I co ważniejsze, Eric i Charles Bleyowie zażądali wszczęcia dochodzenia. Pod twoją nieobecność przyjechała tu *Procureur* Levy z Marsylii.

– Levy? – spytał z uśmiechem Roussel. – Fajna laska. Świetne nogi.

Verlaque przemilczał tę uwagę, a Roussel otrząsnął się z marzeń o pani prokurator i spytał:

– Masz jakieś dowody na to, że Bremont został zamordowany?

– Żadnych – odparł Verlaque. Nie zamierzał wspominać Rousselowi o podenerwowaniu dozorczy, o strachu brata zmarłego ani o kłamstwie wdowy. Chciał rozpracować to sam, nie dlatego, że Bremontowie byli „taką ważną rodziną”, ale ponieważ Aix było takim małym miasteczkiem.

– Ktoś mu groził, że go zabije?

– Nie.

– No widzisz! Kto chciałby zabić filmowca? A do tego nie robił żadnych ciekawych filmów, tylko dokumenty! – Roussel zerknął na Paulika, licząc na to, że komisarz wybuchnie śmiechem. Paulik się uśmiechał, ale z zupełnie innego powodu.

Verlaque wpatrywał się w prokuratora. Nagle uświadomił sobie, że wcale nie tęsknił za Yvese’em Roussellem. I że teraz chciałby już pozbyć się go ze swojego gabinetu.

– Pewnie masz rację, Yves – skwitował to Verlaque. Nie wspominał, kiedy zamierza zamknąć dochodzenie. Wiedział z doświadczenia, że Roussel tylko na chwilę potrafi skupić się na jakiejś sprawie. Verlaque właśnie kupił sobie dzień, góra dwa dni. – Jak najszybciej dostarczę Bleyom raport.

– Dobra. No to spadam, chłopaki. Pora się przejechać harleyem. Za długo stoi w garażu! Oficjalnie do przyszłego tygodnia jestem na urlopie, ale będę tu do was zaglądać! – Roussel obrócił się na wysokich turkusowych obcasach, wrzasnął „Salut, Madame!”, mijając biurko, za którym siedziała Mme Girard, i wyszedł.

– Masz ochotę przejechać się ze mną jutro po południu? – Verlaque zwrócił się do Paulika, nim wyłączył światło w gabinecie i zamknął za nimi drzwi.

Komisarz wyglądał na zadowolonego.

– Czemu nie, mam jutro wolny dzień, sprawa została przecież odroczone.

Dokąd się wybieramy?

– Do Cotignac. Pomyślałem, że moglibyśmy złożyć wizytę siostrze Jean-Claude’a Auvieux. Przejdźmy się kawałek razem, opowiem ci o mojej wizycie u dozorczy i o rozmowie z Isabelle de Bremont.

Gdy już porównali notatki, Verlaque pożegnał się i ruszył na północ, mijając katedrę. Zerknął na zegarek – było tuż po ósmej wieczorem. Zaczynał czuć głód. Zje na kolację to, co ma w lodówce – parę kawałków sera roquefort, sałatę z cytryną, parmezan i popije to wszystko czerwonym winem. Potem przypomniał sobie, że tego wieczoru odbywało się spotkanie klubu palaczy cygar w domu Fabrice’a na wsi. Skręcił w lewo i ruszył do garażu, gdy zaczęła dzwonić jego komórka. Zobaczył na wyświetlaczu, że to Marine.

– *Oui?* – odebrał Verlaque.

– Cześć, Antoine – powiedziała zduszonym głosem Marine. – Właśnie przyszło mi coś do głowy w la Madeleine.

– W la Madeleine? Masz na myśli kawiarnię czy kościół? – spytał sędzia.

– Kościół – odparła. – Pamiętasz tę walizkę od Louisa Vuittona na strychu u Bremontów?

– Chodzi ci o tę, którą potrąciłaś tak, że przejechała połowę strychu? – droczył się Verlaque.

– Tak – potwierdziła Marine, ignorując przytyk. – Była pusta.

– No i?

– Kiedy byliśmy dziećmi, zawsze była pełna i zamknięta. Bawiliśmy się w podróże i zawsze chciałam się bawić tą walizką. Ale była taka ciężka, że musieliśmy ciągnąć ją dwiema rękami po podłodze. Étienne i François mieli dziwny stosunek do tej walizki. Nie chcieli się nią bawić tak jak ja. Może po prostu dlatego, że byli chłopakami. W każdym razie... może to głupie, ale mam dziwne przeczucie w związku z tą walizką. Raz matka Étienne’a weszła na górę sprawdzić, co robimy, i kiedy zobaczyła, że ją ruszaliśmy, strasznie się rozzłościła. Całkiem możliwe, że w ciągu tych wszystkich lat ktoś z rodziny mógł ją otworzyć i wyjąć zawartość, ale...

– Jutro rano zamierzam odwiedzić dozorcę. Na pewno zapytam go o tę walizkę. Może były w niej pieniądze. Mówił mi, że zna ten strych jak własną kieszeń. Możemy wtedy o tym porozmawiać?

– Pewnie, dobranoc – odparła Marine, nieco zawiedziona, że Verlaque’a nie ucieszyły te wiadomości trochę bardziej. Zamierzała właśnie kciukiem przerwać połączenie, ale Verlaque powiedział coś jeszcze.

– Marine?

– Tak?

– Chciałabyś... Ach, nieważne... Dzięki za tę informację.

Rozłączył się.

## Rozdział

### siódmy

Przed wyremontowanym kamiennym domem na wsi stało już sześć czy siedem samochodów, gdy Verlaque przybył tam tuż przed dziewiątą. Wyłączył jazzową muzykę i silnik, wysiadł z porsche i jak zwykle ruszył na mały obchód, by zobaczyć, kto ma nowy samochód. Trochę na uboczu stał lexus, którego sędzieja jeszcze nie widział; zajmował dwa miejsca i Verlaque zmarszczył brwi. Ruszył dalej i uśmiechnął się na widok bladoniebieskiego citroëna 2CV, który był w doskonałym stanie dzięki skrupulatnym staraniom właściciela, drobnego, zadbanego sprzedawcy z księgarni, równie schludnego, jak jego samochód. Nad frontowymi drzwiami zapaliło się światło i rozległ się głos:

– Słyszeliśmy twoje porsche. Wejdiesz w końcu?

– Właśnie podziwiam 2CV Pierre’a. Powiedz mu, że go kupię, kiedy będzie chciał sprzedać.

– Nic z tego, ja byłem pierwszy.

Obaj mężczyźni wymienili *bises* i Verlaque wszedł do salonu z niskim stropem. W kominku palił się ogień – było to konieczne nawet w kwietniu, bo kilkusetletni dom z kamienia stał na otwartej przestrzeni, otoczony jedynie winnicami. Gospodarz, Fabrice Gaussen, dorastał w Marsylii i dorobił się w branży instalacji sanitarnych; na południu Francji na wielu sklepowych szyldach widniało jego nazwisko. Kupił ten dom w Le Tholonet, najelegantszej dzielnicy Aix, na początku lat dziewięćdziesiątych, zanim do miasta zaczął dojeżdżać pociąg TGV i ceny nieruchomości poszybowały w górę. Fabrice zaczął palić cygara w bardzo prosty sposób – jego brat Rémy ożenił się z Kubanką, i to Maria Gaussen była odpowiedzialna – ku utrapieniu żony Fabrice’a – za zamiłowanie szwagra do Kuby, jej muzyki, historii, a zwłaszcza pochodzącego stamtąd tytoniu.

Verlaque uśmiechnął się na widok przyjaciół i natychmiast poczuł radość, że mimo zmęczenia jednak tu przyjechał. Minęło jakieś pięć minut, nim wszystkich obszedł; każdy z mężczyzn całował sędziego w oba policzki i serdecznie ścisnął mu rękę lub ramię, z wyjątkiem Juliana, który pocałował go cztery razy, po dwa razy w każdy policzek, jak nakazywała tradycja w jego rodzinnym Awinionie. Ktoś wcisnął Verlaque’owi w ręce pudełko cygar.

– Małe cygaro przed jedzeniem – powiedział Fabrice, prezes klubu. – Gaspard, podałbyś panu sędziemu kieliszek szampana? I niech nikt nie wypytuje Antoine’a o sprawę Bremonta, dobra? Przyjechał, żeby się zrelaksować. – Fabrice wskazał na fotel z kwiecistą perkalową tapicerką, z pewnością kupiony przez jego

żonę, która na dzisiejszy wieczór uciekła do siostry w Marsylii. Przetrzepał małą poduszeczkę z wyhaftowaną mordką mopsa. – Siadaj, Antoine. – Fabrice pochylił się w jego stronę i nad sędzią zawisł ogromny brzuch. – No to co się dzieje? – spytał półszepem. – Bleyowie poprosili o wszczęcie dochodzenia, co?

– Daj spokój, Fabrice! – wrzasnął ze śmiechem Gaspard, niosący butelkę szampana. Dopiero co ukończył studia prawnicze i był ubrany w poszarpane dżinsy i ręcznie szyte włoskie buty, za które wciąż jeszcze spłacał raty. Nalał Verlaque'owi szampana. Młody miłośnik cygar uśmiechał się przy tym od ucha do ucha, podekscytowany, że przyjęto go do tego wesołego towarzystwa, które w większości było starsze od niego o dwadzieścia lat.

Verlaque podziękował mu za szampana i z uśmiechem kiwnął głową do swojego bliskiego przyjaciela, Jean-Marca. Ten siedział w podobnym fotelu i z uśmiechem pykał cygaro.

– Fabrice, coś się chyba przypala – powiedział Jean-Marc, wskazując w stronę kuchni.

– *Merde!* – Prezes klubu aż podskoczył i pobiegł do kuchni, a tuż za nim Loïc, dziennikarz i miłośnik gotowania.

Verlaque odciął koniuszek cygara i sięgnął do kieszeni marynarki, ale uświadomił sobie, że zapalniczkę zostawił w samochodzie. Wykonał kciukiem gest, jakby zapalał ogień, i ktoś z obecnych rzucił mu zapalniczkę. Sędzia złapał ją prawą ręką. Verlaque uwielbiał tę komunikację bez słów, zwłaszcza w grupie przyjaciół albo z Marine. Był zbyt zmęczony, by zakładać okulary i czytać napis na pasku owiniętym wokół cygara, ale natychmiast z uznaniem pomyślał o łagodnym smaku, który kojarzył mu się ze świeżo zmielonymi ziarenkami zielonego pieprzu.

– Petit Corona, Hoyo de Monterrey – usłyszał w doskonałym hiszpańskim od mężczyzny siedzącego po drugiej stronie stolika.

– Dzięki, José – odparł Verlaque. Potem spojrział na stolik, dostrzegł jakieś piętnaście zapalonych świeczek zapachowych i wybuchnął śmiechem.

– Żona Fabrice'a wpadła w histerię przed wyjazdem – wyjaśnił Jean-Marc. – Przyjechałem trochę wcześniej i widziałem, jak Fabrice chodzi za nią po domu, błagając, by nie otwierała wszystkich okien.

– Mimo to o wiele przyjemniej spotkać się tu, w domu jednego z nas, niż znosić te wszystkie spojrzenia w jakiejś restauracji – odpowiedział łamanym francuskim José. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jego żona za nic nie wpuściłaby do domu dwunastu palaczy cygar. Starał się zrekompensować to przyjaciółom, regularnie dostarczając cygara z Madrytu, gdzie można je było taniej kupić.

– Dopiero co byłem w Nowym Jorku i tam nigdzie nie wolno palić. Niedługo tutaj też tak będzie, zapamiętajcie moje słowa – odezwał się inny głos, z wyraźnym obcym akcentem.



– Nie ma mowy, Jacob. We Francji wybuchłaby rewolucja! – krzyknął z kuchni Fabrice.

Jacob wzruszył ramionami.

– Tak myślisz? Zwykle lubimy robić to, co Amerykanie. – Jacob, egipski Żyd, był finansistą dojeżdżającym do Aix z Londynu i słyszał już od brytyjskich kolegów po fachu, że w Wielkiej Brytanii wkrótce ma zostać wprowadzony zakaz palenia. – W każdym razie takie spotkanie w domu jednego z członków jest znacznie tańsze niż w restauracji. A i trunki są lepsze – dodał, wskazując na szampana. Jacob, milioner, który zawdzięczał wszystko własnej pracy, był niezwykle wyczulony na dysproporcje w zarobkach członków klubu miłośników cygar. Wiedział, że niektórzy z nich – na przykład Pierre, pracujący w jednej z licznych księgarni w Aix, czy Loïc, dziennikarz z „La Provence” – muszą odmawiać sobie innych rzeczy, by kupować cygara.

Z kuchni dała się słyszeć wiązanka przekleństw i Verlaque wstał, by tam zajrzeć. Fabrice, teraz ubrany w kwiecisty fartuch, zdejmował z blachy przypalone bułeczki.

– Kilka udało nam się uratować – oświadczył. – Od teraz Loïc odpowiada za piekarnik. Ja mam dość!

Loïc i Verlaque wymienili uśmiechy. Fabrice, z kwiecistymi rękawicami pasującymi do fartucha, ruszył do salonu, niosąc gorącą blachę.

– Fabrice! – zawołał za nim Loïc. – Przełóż je na półmisek!

– *Merde!* Masz rację.

Verlaque wybrał owalne porcelanowe naczynie stojące na lodówce i pomógł Fabrice’owi przełożyć bułeczki. Cieszył się, że może zająć się czymś tak prostym, zamiast myśleć o sprawie Bremonta, o co podejrzewali go inni członkowie klubu. W rzeczywistości myślał o Marine.

– Czy to *gougères*? – spytał Verlaque, biorąc kawałek ciasta i wsuwając go do ust. Fabrice wyprostował się i odparł:

– No jasne! Jak raz się nauczysz, jak je robić, okazuje się, że to bardzo proste! – Wziął półmisek i ruszył do salonu. Po chwili słyhać już było ochy i achy. – Po jednym naraz! – ryknął Fabrice. – Widziałem, Julien! Odłóż jednego.

– Jakiego sera do nich używasz? – zapytał rozpromienionego kucharza Pierre.

– Cantal i trochę parmezanu.

– Cantal? A nie gruyère? Rany! Świetny pomysł, jest słony i pikantny. Idealny! – Pierre uniósł w stronę Fabrice’a kieliszek szampana. Zamknął oczy i upił łyk, jakby delektował się każdym bąbelkiem. I faktycznie tak było. Księgarnie nie płaciły za dobrze – nie było ich na to stać – i członkostwo w klubie palaczy cygar było jedynym luksusem, na jaki mógł sobie pozwolić. Ciągłe powtarzał sobie, że z radością będzie przez cały tydzień wcinać ryż z fasolą, by raz

w miesiącu móc w gronie przyjaciół palić ręcznie zwijane kubańskie cygara.

– Pierre, jakie książki są ostatnio modne? – spytał Jacob, który sam posiadał imponującą bibliotekę.

– Ogrodnicze – odparł Pierre, pochylając się nad stolikiem, by sięgnąć po kolejnego *gougère*.

– Naprawdę? – spytał ze zdziwioną miną Jacob.

– Jest kwiecień – wyjaśnił Pierre. – Wiosna.

Jacob się uśmiechnął.

– A, racja! A tak w ogóle, Fabrice, te *gougères* są przepyszne.

Fabrice wzruszył ramionami, jakby to było tak proste jak bułka z masłem.

– Tylko poczekajcie, aż skosztujecie steków z kostką. Hej, Loïc, grill już gotowy?

Loïc wysunął głowę z kuchni.

– Tak! Idealnie rozżarzony.

– Dobra! Kto chce bardzo krwisty, kto krwisty, a kto dobrze półkrwisty? – Fabrice rozejrzał się. – Kto chce bardzo krwisty, ręka w górę.

Pierre podniósł rękę.

– Dla mnie nie musisz go nawet mocno podgrzewać.

– Dobra. Teraz krwisty.

Większość członków klubu podniosła rękę.

– W porządku. José, tylko ty nie podniosłeś ręki. Chcesz półkrwisty?

José zgarbił się na krześle.

– W sumie to chciałbym dobrze wysmażony.

– Nie ma mowy!

– Daj spokój, Fabrice – poprosił Verlaque. – Zrób naszemu kastylijskiemu przyjacielowi to, na co ma ochotę.

– Dobra – burknął Fabrice. A teraz wybaczcie mi, panowie, muszę przypilnować grilla. Och, przepraszam, Virginie!

– Nic się nie stało, zrekompensowałeś mi wszystkie faux pas tymi *gougères* – odparła ze śmiechem jedyna kobieta w klubie. Była farmaceutką i niedawno przeprowadziła się w okolice Aix, po sprzedaniu świetnie prosperującej apteki ojca, niedaleko Sorbony w Paryżu.

– I jak tam z twoją apteką w Lambesc? – zapytał Julien, wyjmując z serwetki ukrytego *gougère* i wsuwając go do ust.

– Świetnie! Większość moich klientów to rolnicy na emeryturze i połowa przychodzi tylko po to, żeby pogawędzić. Uwielbiam to. Zero stresu w porównaniu z Paryżem. – Virginie nie musiała dodawać, że po sprzedaży dwupokojowego mieszkania w piątej *arrondissement* kupiła sobie pięciopokojową siedemnastowieczną rezydencję o powierzchni trzystu dwudziestu pięciu metrów kwadratowych we wsi Lambesc.

Jean-Marc zauważył, że Verlaque umilkł, jak zwykle, gdy inni rozmawiali o Paryżu. Wstał z ulubionego fotela, a chwilę później z jadalni przybiegł Julien i zajął jego miejsce. Jean-Marc odwrócił się i powiedział:

– Jeszcze tam wrócę, Julien. Kto pierwszy, ten lepszy. – Przysunął sobie taboret do fotela Verlaque’a i spytał szeptem: – Widziałeś Marine w *château*?

Verlaque pyknął cygaro i delektował się aromatem w ustach, nim wypuścił dym.

– Tak, była tam dziś rano.

– I jak poszło?

Verlaque spojrzał na przyjaciela. Jean-Marc niewiele mówił o swoim życiu miłosnym, ale sędzięgo jakoś nigdy to nie martwiło. Całkowicie mu ufał.

– Powaliła mnie na kolana. Byłem na to zupełnie nieprzygotowany.

– Zapomniałeś, jaka jest piękna? – uśmiechnął się Jean-Marc.

– Och, pamiętałem o jej urodzie. Ale zapomniałem, jaka jest naturalna i pełna wdzięku. – Verlaque spojrzał w sufit, po czym dodał: – I na pewno, jak zwykle, ją wkurzyłem.

Jean-Marc z łatwością wyobraził sobie taki scenariusz i się uśmiechnął.

– Daj sobie z nią czas, Antoine.

Sędzia położył rękę na ramieniu Jean-Marca.

– Postanowiłem sobie, że się zmienię. Nie martw się.

– Do stołu! – wrzasnął Fabrice, który zjawił się, niosąc półmisek z wielką stertą steków. – No chodźcie, Antoine i Jean-Marc! Możecie sobie pogruchać później. – Domyślił się, że rozmawiali o Marine Bonnet. Może zresztą Jean-Marc też się w niej podkochiwał.

Członkowie klubu niemal biegiem rzucili się do stołu, jakby od kilku dni nie mieli nic w ustach. Verlaque popatrzył na nich z uśmiechem. Wiedział, że bez względu na to, gdzie się urodzili i ile zarabiali, każdy z nich uwielbiał jedzenie, wino, cygara i śmiech. Czasem wyobrażał sobie, że przyprowadzi kiedyś na takie spotkanie Philipa Larkina, Winstona Churchilla albo Johna F. Kennedy’ego.

Gdy skończyli jeść pierwsze danie – plaster foie gras przyrządzonego przez żonę Fabrice’a i podanego na sałatce – do jadalni wszedł Loïc z żaroodpornym naczyniem ziemniaków zapiekanych w sosie.

– Pieczone w niskiej temperaturze przez cztery godziny, z kubkiem crème fraîche – wyjaśnił, uprzedzając pytania gości. – Bez sera, chłopaki, niskotłuszczowe.

Członkowie klubu wybuchnęli śmiechem, a Loïc przypomniał sobie o manierach i najpierw obsłużył Virginie, która radośnie nałożyła sobie na talerz dwie chochle parujących ziemniaków. Fabrice obchodził stół z przeciwnej strony, serwując steki.

– Julien! – wrzasnął. – Poczekaj, aż wszyscy zostaną obsłużeni, zanim

rzucisz się na jedzenie.

– Wystygnie mi – bronił się Julien. – Jeśli dopuścisz do tego, by wystygło ci jedzenie, to najgorsza obraza dla kucharza.

– Niezła wymówka – krzyknął Verlaque.

Po chwili Fabrice usiadł u szczytu stołu i uniósł widelec i nóż.

– *Bon appétit!*

Sędzia odkroił kawałek steku i natychmiast zachwycił się kruchością mięsa.

Wsunął kęs do ust i zaczął przeżuwać, spoglądając na Fabrice'a.

– Wyśmienite.

Fabrice się rozpromienił.

– Powiedz im, Loïc.

Loïc pochylił się do przodu, jakby zamierzał zdradzić tajemnicę państwową.

– Ponieważ i tak mieliśmy rozgrzany piekarnik, włożyliśmy do niego steki, gdy tylko zdjęliśmy je z grilla. Na jakieś piętnaście minut, w niskiej temperaturze – wyjaśnił.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem – zauważył Jean-Marc.

– Powiedział mi o tym pewien szef kuchni, z którym przeprowadzałem wywiad – odparł Loïc, odkrawając kawałek steku.

– Jak długo piekły się na grillu? – spytał Julien, nie podnosząc wzroku. Połowa jego steku zdążyła już zniknąć.

– Te krwiste cztery minuty z każdej strony – powiedział Fabrice, krzywo patrząc na José. – Są dość grube.

– Są zupełnie jak masło – dodała Virginie. Uniosła kieliszek z czerwonym winem Côte Rôtie. – Za kucharzy!

Po rozmowie na temat zmian, jakie pani mer planowała wprowadzić w Aix, Gaspard i Jacob zebrali talerze. Gaspard uważał, że jako najmłodszy członek klubu ma obowiązek w tym pomóc. Jacob, który zawsze zatrudniał na pełen etat służbę, lubił takie prace i za nimi tęsknił.

– Zrobimy sobie przerwę przed deserem? – spytał Fabrice, składając serwetkę i odkładając ją na stół.

– Nawet nie pytaj – odparł Verlaque. – Chyba wszyscy nie możemy się doczekać, żeby zapalić te Edmundos z pudełka na stoliku.

– Świetnie. A więc może przeszlibyśmy do salonu? – zaproponował z przesadną wytwornością Fabrice, ledwie ukrywając marsylski akcent.

– Julien! To mój fotel! – wrzasnął Jean-Marc, gdy tylko odszedł od stołu. Verlaque spojrział zaskoczony na przyjaciela i wybuchnął śmiechem. Jeszcze nigdy nie słyszał, by Jean-Marc podniósł głos.

## Rozdział

### ósmy

Mistral przestał wiać i nastał piękny słoneczny poranek z pogodnym, błękitnym niebem. Verlaque uwielbiał, kiedy mistral wiał tylko przez jeden dzień – silny wiatr usuwał zanieczyszczenia powietrza i szybko znikał, zupełnie jak gosposia Antonia, która sprzątała mieszkanie Verlaque'ów w Paryżu, kiedy był małym chłopcem. Antonia strasznie przy tym hałasowała, śpiewała pod nosem po portugalsku i przesuwiała każdy mebel, wywołując kompletny chaos; kończyła jednak pracę w rekordowym czasie, zawsze uśmiechnięta, a kiedy wychodziła, mieszkanie o powierzchni trzystu dwudziestu pięciu metrów kwadratowych lśniło czystością.

Gdy Verlaque w drodze do garażu mijał katedrę, jej drzwi były otwarte. Przystanął i odwrócił się, obserwując, jak dozorczyńni otwiera ogromnym staromodnym kluczem brudnozielone zewnętrzne drzwi. Zebrała się wokół niej mała grupka podekscytowanych francuskich turystów. Jak dotąd tylko raz, również przypadkiem, Verlaque widział, co się kryje za zewnętrznymi drzwiami: chroniły one przed ostrym prowansalskim słońcem i wiatrem bogato zdobione wewnętrzne wrota. Dozorczyńni musiała być w dobrym nastroju, skoro udało się ją namówić, by pokazała piętnastowieczne drewniane płaskorzeźby. Zwykle pomagał w tym też hojny napiwek. Gdy otworzyła te zielone drzwi, promień słońca padł na wewnętrzne panele. Wrota miały ponad trzy metry wysokości, a ciemne drewno pokrywały bogate zdobienia. Przedstawiały sześć drobnych świętych w miniaturowych gotyckich wnękach – każdą z kobiet wyrzeźbiono z niezwykłą dbałością o szczegóły, aż po biżuterię, teksturę peleryny, spódnicy i włosów. Święte nosiły spiczaste pantofelki ukrywające palce u nóg, które Verlaque bardzo chciałby zobaczyć. Ich postacie otaczały subtelnie wyrzeźbione winogrona, orzechy i liście – odwieczne dary Prowansji. Zupełnie jakby rzeźbiarz przyniósł trochę owoców z własnego ogrodu i na nich wzorował swoje wspaniałe dzieło.

Babcia Verlaque'a nigdy nie widziała tych wrót i było mu z tego powodu przykro. Zmarła ubiegłej jesieni i za każdym razem, gdy szli do katedry z nadzieją, że je zobaczą, dozorczyńni miała akurat wolne. Verlaque uwielbiał pokazywać babci obrazy i rzeźby, o których wiedział, że jej się spodobają. Pragnął jej aprobaty i zawsze mógł jej oczekiwać. Uwielbiała go. To ona ze wszystkich członków jego rodziny najczęściej go odwiedzała; wsiadała w Paryżu do wagonu pierwszej klasy pociągu TGV, ale wolała się zatrzymywać w skromnych dwugwiazdkowych hotelach w Aix, choć powinna była zamieszkać w luksusowej La Villa Gallici.

– Chcę być w centrum, blisko ciebie – powtarzała. Często dzwoniła do Verlaque’a, zwłaszcza w czasie, gdy był z Marine, i lubiła droczyć się z nim w związku z jego pracą w wymiarze sprawiedliwości. Często zaczynała rozmowę od słów „cześć gliniarzu”.

Całe ciepło, jakie w nim pozostało, Verlaque przypisywał właśnie jej, Emmeline. Kiedy Verlaque i jego brat byli mali, czytała im bajki w ogrodach swojej willi w Normandii. Kochała Normandię – mawiała, że tam czuje angielską bryzę. Urodziła się i wychowała w Anglii, a dziadka Verlaque’a poznała w Paryżu, gdy w latach trzydziestych przez rok studiowała malarstwo na Montmartre. Emmeline pochodziła z niezbyt zamożnej, lecz bardzo szanowanej rodziny właścicieli ziemskich. W Paryżu całkowicie oddała się studiowaniu sztuki. W przeciwieństwie do innych studentek spędzała niewiele czasu w kawiarenkach i barach, a męża, młodego i bogatego przemysłowca, którego rodzina dorobiła się na młynach, poznała podczas jednego z przyjęć w Paryżu.

Łagodne zakręty na route de Cézanne sprawiały mu prawdziwą przyjemność, gdy pokonywał je swoim ciemnozielonym porsche z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku. Kupił ten samochód właśnie na takie drogi – wąskie, zbudowane dla konnych wozów i obsadzone oliwkami. Cieszył się, że poprzedniego wieczoru pojechał na spotkanie klubu palaczy cygar; pomyślał o tym, mijając zjazd do domu Fabrice’a, choć dziś rano lekko bolała go głowa i był trochę ośpiał, jak zawsze po wypaleniu dwóch cygar jednego wieczoru. Poza tym cieszył się, że Marine do niego zadzwoniła i opowiedziała mu o walizce. To dawało mu przynajmniej jakiś pretekst, by jeszcze raz odwiedzić Jean-Claude’a Auvieux, a potem będzie miał mnóstwo czasu na lunch i wyjazd do Cotignac.

Za każdym razem, gdy przejeżdżał obok posiadłości w Le Tholonet, kusiło go, by zadzwonić do Gilles’a, zaprzyjaźnionego agenta nieruchomości, i zapytać, czy jest coś na sprzedaż. Gdy Emmeline zmarła, zostawiła Verlaque’owi i jego bratu Sébastienowi duży spadek, w tym dziewiętnastowieczny dom w Saint-Germain-le-Vasson, maleńkiej wiosce w Normandii. Tę część Normandii, położoną jakieś pięćdziesiąt kilometrów na południe od Deauville, rzadko odwiedzali turyści. Wokół rozciągały się tereny uprawne, pełne sadów i pastwisk; Verlaque podzielał miłość Emmeline do łagodnych wzgórz i drewnianych stodół w tym regionie. Można było przejść przez furtkę i po prostu ruszyć przed siebie, rzadko natrafiając na samochód, może częściej na traktory. W Prowansji byłoby to niemożliwe – było tu zbyt wielu ludzi, zbyt dużo samochodów. Nawet jeśli istniały jakieś wiejskie dróżki, gdzie można by spokojnie spacerować, to Verlaque’owi nigdy nie udało się ich znaleźć. Gdy dowiedzieli się o spadku, brat sędziego natychmiast kupił sobie eleganckie mieszkanie w szóstej *arrondissement* w Paryżu. Natomiast pieniądze Verlaque’a wciąż leżały w banku i rzadko o nich myślał.

Nigdy tak naprawdę nie przyszło mu do głowy, by je wydać – należały przecież do Emmeline.

Pewnego wieczoru w zeszłym roku Verlaque późno wrócił do domu. Pracował wtedy nad skomplikowaną sprawą przemytu narkotyków. Zastał Marine i Emmeline pogrążone w rozmowie o młodości tej drugiej. Na widok tego, jak dobrze im było ze sobą, nie poczuł radości czy szczęścia, lecz – ku swemu zawstydzeniu – zazdrość. Nie interesowały go rodzinne historie. Chciał tylko spędzać czas z Emmeline, jedyną kobietą, która w dzieciństwie go przytuliła, niczego od niego nie oczekując. Czuł się zakłopotany na myśl, że potrafi tak czegoś zazdrościć Marine; była jedyną partnerką, którą przedstawił babci, i zrobił to właśnie dlatego, że wiedział, iż tak dobrze będą się dogadywać. Teraz z bijącym sercem uświadomił sobie, że kochał je obie.

Pragnąc przestać o nich myśleć, podgłośnił muzykę i gładko pokonywał zakręty aż do samego Saint-Antonin.

Zatrzymał się na podjeździe rezydencji Bremontów. Jean-Claude Auvieux był dokładnie tam, gdzie Verlaque się go spodziewał – w sadzie.

– Dzień dobry, *Monsieur le Juge* – zawołał Jean-Claude spośród gałęzi migdałowca. – Ma pan ochotę na świeżego migdała?

– Tak, poproszę – odparł sędzia i złapał migdała w złożone ręce. Krył się w grubej, puszystej, zielonej łupince. Verlaque zaczął go obierać i pomyślał o pomalowanych na zielono drzwiach katedry, za którymi skrywały się wspaniałe rzeźby. Zjadł migdała – okazał się niezwykle świeży i soczysty.

– Przepraszam, że odrywam pana od zbiorów, panie Auvieux – powiedział Verlaque – ale chciałbym pana zapytać o coś związanego ze strychem.

Auvieux posłał sędziemu zatroskane spojrzenie i zaczął schodzić z drabiny. Gdy znalazł się na ziemi, wciąż był sporo wyższy od Verlaque'a.

– W porządku, mam już pełen koszyk. – Uśmiechnął się.

– Jest pan sam? – spytał sędzia.

– Tak, François pojechał do miasta.

Auvieux poszedł do swojego domku po klucze, które trzymał w kuchennej szufladzie, i obaj weszli do *château*; pokonali trzy piętra schodów i dotarli na strych. Po otwarciu drzwi wydarzyło się to samo, co wcześniej tak przestraszyło Marine, tyle tylko, że tym razem to sędzia i dozorca zobaczyli swoje odbicia w lustrze. Verlaque odsunął się na bok; nie miał ochoty, by przypomniano mu, jakim jest krasnałem przy tym wysokim dozorczy.

– Obejdźmy strych. Chciałbym, żeby mi pan powiedział, jeśli dostrzeże pan coś, co jest nie na swoim miejscu – powiedział Verlaque.

– Ale *Monsieur*, już to robiłem. – Auvieux włączył światło.

– Ach! Wymienił pan żarówkę – zauważył Verlaque.

– Tak. Kilka dni temu komisarz powiedział mi, że się przepaliła. Zwykle

przychodzę tu za dnia, więc tego nie spostrzegłem.

Verlaque bacznie obserwował, jak Auvieux pochyla się nad zawartością różnych pudeł stojących na strychu. Podeszli do okna i Verlaque zapytał, czy mogą je otworzyć. Auvieux odczepił drewniane okiennice i zahaczył każdą z nich o metalowe okucie w ścianie po zewnętrznej stronie. Żeby to zrobić, musiał się mocno wychylić, ale wolną ręką przytrzymał się framugi.

– Myśli pan, że hrabia de Bremont mógł wypaść przez to okno, kiedy robił to, co pan teraz? Gdy przyczepiał okiennice? – zapytał sędzia.

– Nie, to niezbyt prawdopodobne – odparł Auvieux. – Robił to, odkąd miał dziesięć lat, tak jak my wszyscy. – Gdy Auvieux znów stanął na obu nogach, Verlaque dostrzegł, że jego spojrzenie padło na walizkę od Louisa Vuittona.

– Chwileczkę. Przesunę tę walizkę, żeby panu nie przeszkadzała – zaoferował Verlaque.

– Niech pan poczeka, ja to zrobię – zawołał Auvieux, chwytając sędziego za ramię. Pochylił się, by ją podnieść, ale gdy poczuł, że jest pusta, natychmiast ją odstawił, niemal upuścił. – *Mon Dieu!* – Spojrzał na Verlaque'a i potarł dłońmi o uda. – Nigdy dotąd nie była pusta. Byłem tu na górze w zeszłym tygodniu. Hrabia François... – Auvieux urwał nagle i wbił wzrok w podłogę.

– O co chodzi, *Monsieur Auvieux*? Co zawsze było w tej walizce?

– Nie wiem, nie wiem – odparł Auvieux, wciąż nie podnosząc wzroku. Verlaque nic nie mówił, więc dozorca w końcu spojrzał na niego i ciągnął dalej: – François zadzwonił do mnie z prośbą, żebym znalazł jakieś stare trofea jego dziadka z zawodów polo, zatem przyszedłem tu na górę, by ich poszukać. Jedno z większych stało na podłodze, za tą walizką, dlatego musiałem ją przesunąć, by się do niego dostać. To wszystko. Walizka była ciężka, pełna... różnych rzeczy... tak jak zawsze.

Verlaque zapytał o to, co wydawało się oczywiste.

– Czy od tego czasu ktoś jeszcze był na strychu?

– Nie – odparł Auvieux. I dodał: – Z wyjątkiem pańskich policjantów.

– Niech się pan nie martwi, moi ludzie niczego by nie wzięli. Kto jeszcze miał klucze do strychu?

– Ja, Étienne i François. I chyba Mme Bremont.

– Isabelle?

– Tak.

– Wie pan, co było w tej walizce? – naciskał Verlaque.

– Nie, nie wiem. – Sędzia przez chwilę wpatrywał się w Auvieux. – Należała do hrabiego Philippe'a de Bremont. Może były w niej jego stare ubrania... Był dziadkiem François i Étienne'a. Proszę spojrzeć – dodał dozorca, jakby miało to stanowić dowód. – Tu na przywieszce jest jego nazwisko.

Verlaque pochylił się i udał, że przygląda się przywieszce.



– Pamięta pan, w jaki dzień przyszedł pan tu na górę poszukać tych trofeów?  
– spytał.

– Tak. To było w piątek. Śpieszyłem się na kolację do mojej siostry. Opowiadałem panu o tym, pamięta pan? Robiła *blanquette de veau*.

– Tak, pamiętam – kiwnął głową Verlaque. To oznaczało, że ktoś oprócz Étienne’a był na strychu w sobotę lub w niedzielę nad ranem, zanim stwierdzono zgon. A może sam Étienne przeniósł zawartość walizki, zanim wypadł przez okno.  
– Rozejrzyjmy się jeszcze raz na strychu i poszukajmy czegoś, co mogło być w tej walizce. Proszę mi powiedzieć, jeśli dostrzeże pan coś takiego – poprosił Verlaque.

– Dobrze – wzruszył ramionami Auvieux. I dodał: – Niczego stąd nie zabrałem!

Verlaque widział jednak, że obaj wiedzą, iż nie znajdą zawartości walizki.

Auvieux wyglądał, jakby sądził, że to jego wina – jakby czuł się osobiście odpowiedzialny za wszystkie rzeczy w *château* – i choć wydawał się zaskoczony, że walizka okazała się pusta, Verlaque był przekonany, że dozorca wie znacznie więcej o jej zawartości. Napili się kawy. Auvieux trzęsły się ręce, gdy ją nalewał.

– Wszystko w porządku? – spytał sędziego. – Wydaje się pan zdenerwowany, panie Auvieux.

Dozorca odstawił kawę.

– Widzi pan, panie sędzio, rzeczy hrabiego są dla mnie bardzo ważne. To dlatego sam sprzątam w bibliotece, są tam jego książki. Widział pan, ile ich jest? Hrabia był dla mnie bardzo dobry, kiedy byłem dzieckiem.

– Czy kiedy pan Bremont wróci z Aix, mógłby go pan spytać o tę walizkę? Wiem, że dopiero co przyjechał, więc nie mógł zabrać jej zawartości, ale on i jego brat mogli wiedzieć, co w niej było.

Dozorca krzątał się po kuchni, głośno przestawiając skąpe zapasy w lodówce. Popatrzył na sędziego, jakby dopiero teraz dotarła do niego ta prośba.

– *Oui, oui* – mruknął, gorączkowo szorując nienagannie czysty kamienny zlew.

Verlaque wstał, ale powiedział jeszcze:

– Dziękuję, panie Auvieux. Teraz może pan wrócić do zbierania migdałów. Myślę, że panu przerwałem, a z pewnością będzie pan miał wspaniałe plony.

Dozorca szybko pokiwał głową, chwycił kapelusz i koszyk i odparł:

– Ma pan rację! Te migdały nie będą czekać cały dzień.

Wszystko, co należało do niej, również jest święte, pomyślał Verlaque, wracając do samochodu. Przypomniał sobie willę w Normandii i meble poprzykrywane białymi płachtami, do chwili, gdy on i jego brat zdecydują, co zrobić z domem. Jej akwarele zdobiące ściany starego domu, głównie pejzaże i kwiaty, wszystkie podpisane „Emmeline”, w wielu przypadkach z dedykacją „Pour Charles”, dla francuskiego dziadka Verlaque’a. Sięgnął po komórkę leżącą

na siedzeniu pasażera, gdzie zostawił ją celowo wcześniej. Miał dwie wiadomości. Od Paulika i od Marine. Zadzwoił do Paulika.

– Moje szkolenie komputerowe jednak się przydało – oświadczył komisarz, odbierając telefon.

– Ach tak?

– Tak, prawdziwy ze mnie Bill Gates. Niech pan posłucha, co znalazłem. Te dziewczyny... towarzyski François de Bremont... o których pan wspominał, że mogą być śpiewaczkami operowymi... No więc to Rosjanki, być może prostytutki, i zdecydowanie bardzo młode.

– Są tu nielegalnie?

– Nie, jako modelki. Najwyraźniej wszyscy w Cannes o tym wiedzą, z wyjątkiem szefa policji. Albo może wie i... – Paulik nie dokończył zdania.

– I znalazłeś to wszystko w internecie? – spytał Verlaque.

– Nie, bynajmniej. Pikantnych szczegółów dowiedziałem się od mojego kuzyna Fréda, który ma restaurację w Antibes.

– Ach! Właściciele restauracji powinni być na policyjnej liście płac. Zawsze mnie zdumiewa, ile wiedzą o mieście i o tym, co się w nim dzieje – zaśmiał się Verlaque. – Czego jeszcze się dowiedziałeś?

– Najwyraźniej François de Bremont ostatnio wywołał pewien incydent w Cannes.

– Może lepiej opowiedz mi o tym w cztery oczy – odparł Verlaque. – Zaraz tam będę. Możemy pójść na lunch, umieram z głodu. A potem pojedziemy do Var, spotkać się z siostrą Jean-Claude’a Auvieux, tak jak obiecałem. Dziś rano wreszcie do mnie oddzwoniła. Albo poczekaj, może po prostu spotkajmy się o pierwszej w „Lotosie”.

– W „Lotosie”? Chodzi panu o tę nową modną restaurację przy *rue Frédéric Mistral*? – w głosie Paulika słychać było powątpiewanie. – Takiemu facetowi jak ja bardziej pasowałoby bistro.

– Spodoba ci się – zapewnił komisarza Verlaque. – Kiedy ją otwarto, pomyślałem, że to po prostu modna minimalistyczna restauracja. Ale jest naprawdę świetna. Proste włoskie dania i boskie korsykańskie wino, które dostępne jest tylko u nich. Nikt inny na południu Francji nie jest w stanie go zdobyć.

– Czy to przypadkiem nie Clos Canarelli?

– Właśnie to.

– Hélène go kosztowała, gdy była na wycieczce na Korsyce z innymi winiarzami. Była nim naprawdę zachwycona. Muszę jej o tym powiedzieć. Dobra, spotkajmy się tam. *À bientôt*.

Verlaque szybko dojechał do Aix i nieprawidłowo zaparkował przy Cours Mirabeau, zostawiając za szybą identyfikator. Koniecznie musiał zapalić cygaro przed spotkaniem z Paulikiem. Gdy szedł w stronę *tabac*, zobaczył dwoje ludzi

kłócących się po drugiej stronie *cours*. W Aix pary zawsze otwarcie się kłóciły czy całowały. Gdy się zbliżył, poznał Isabelle de Bremont. I tył głowy kogoś, kto do złudzenia przypominał Étienne'a de Bremont – sędzia w jednej chwili uświadomił sobie, że to musi być François. Isabelle przeczesywała palcami rude włosy, a on próbował jej coś powiedzieć, trzymając ją za ramię. Verlaque nie mógł im się dokładnie przyjrzeć, nie ryzykując przy tym, że zostanie zauważony.

I wtedy go zobaczył: staruszka sprzedającego orzechy gościom wszystkich kawiarni przy Cours Mirabeau. Verlaque od lat od niego kupował, zazwyczaj solone migdały, a Marine zawsze miała słabość do tego łysego dziadka w niebieskim fartuchu, który nosił orzechy w staromodnym wiklinowym koszu. Verlaque pożałował, że nie zna jego imienia, lecz gdy do niego podszedł, sprzedawca orzechów natychmiast go rozpoznał i serdecznie uściśnął mu dłoń.

– Mógłby mi pan wyświadczyć ogromną przysługę? – spytał ściszonego głosem Verlaque. – To sprawa policji, więc będzie pan musiał być bardzo dyskretny. Mógłby pan przejść obok tej pary po drugiej stronie ulicy, widzi ich pan? Ta drobna rudowłosa kobieta i mężczyzna, z którym się kłóci.

– Chodzi panu o Isabelle i François de Bremont? – spytał staruszek.

Verlaque się uśmiechnął.

– To oni? No cóż, tak. Mógłby pan przejść obok nich i podsłuchać, o co się kłóca?

Staruszek kiwnął głową i powoli przeszedł na drugą stronę ulicy. Verlaque ze zdumieniem stwierdził, że samochód sprzedawcy orzechów jest zaparkowany tuż obok pary. Nieźle, pomyślał. Sprzedawca orzechów ma nowego Clio. Dziadek przez chwilę grzebał w torbach z orzechami w bagażniku i po kilku minutach wrócił do sędziego.

– On nie chce sprzedawać *château* w Saint-Antonin – oświadczył. – A ona tak.

– A ona tak?

Staruszek nie śpieszył się z odpowiedzią. Wsunął do ust nerkowca.

– Mamy w Aix głuchego sędziego? Owszem, ona tak.

## Rozdział

### dziewiąty

Paulikowi nie spodobał się wygląd restauracji. To było jedno z takich miejsc, gdzie wszyscy ubierają się na czarno i patrzą na ciebie, kiedy wchodzisz. W takich lokalach jedzenie miało drugorzędne znaczenie – ludzie nie przychodzili, żeby zjeść, lecz by widzieć i być widzianymi. Paulika zaskoczyło, że Verlaque'owi spodobało się to miejsce; słyszał z tego, że był dobrym kucharzem, bardzo wybrednym w kwestii jedzenia i wina. Komisarz pokonał cztery stopnie prowadzące do frontowych drzwi i się rozejrzał. Większość stolików była zajęta: ludzie w garniturach na biznesowym lunchu; przy kolejnym stoliku trzy kobiety, które, sądząc po ich ubraniach, pracowały w jednym z modnych sklepików w okolicy; tuż obok niego zaś siedziało dwóch mężczyzn w pochłapanych farbą dżinsach i roboczych butach. Rozmawiali o placach budowy i problemach z uzyskaniem pozwoleń od władz miasta. Irytowała go muzyka. Nie lubił muzyki w restauracjach.

Dostrzegła go młoda kobieta w topie kończącym się jakieś pół metra nad pępkiem i podeszła do niego, niosąc karty menu. Uśmiechnęła się szczerze do Paulika, który nie należał do przystojnych, i powiedziała:

– Dzień dobry. Będzie pan jadł z kimś?

– Tak – odparł Paulik – ale się spóźnia. Będzie nas dwóch.

– Proszę tędy. Dam panom ten świetny stolik pod gołym niebem. Miłego lunchu.

Paulik usiadł w niebieskim welurowym fotelu i podniósł wzrok. Dotąd nie zauważył, że w dachu znajdował się spory otwór, jakieś cztery metry na cztery, przez który widać było błękitne bezchmurne niebo. Ale mimo wszystko restauracji musi się kiepsko powodzić latem, pomyślał. Mieszkańcy Aix muszą mieć taras.

Kelnerka w wyjątkowo skąpym topie wróciła z kieliszkiem szampana i postawiła go przed komisarzem. Otworzył usta, żeby zaprotestować, ale odeszła, wołając przez ramię.

– Cin-cin! To żeby uczcić pana pierwszą wizytę u nas.

Na pewno dopisze tego szampana do rachunku, pomyślał Paulik. Założę się, że kieliszek kosztuje dziesięć euro.

Po kilku minutach wszedł Verlaque i przystanął, by wymienić *bises* z tą samą kelnerką. Paulik obserwował ich, niezbyt zdziwiony faktem, że sędzia ją zna. Verlaque wspominał mu, że jest stałym gościem w „Lotosie” od czasu, gdy kilka miesięcy temu otwarto ten lokal. Komisarza zaskoczyło natomiast, że *bises*

przeciągnęły się bardziej niż zwykle i Verlaque oparł rękę na szczupłej talii dziewczyny. Paulik schował głowę w menu. Sędzia podszedł do stolika i usiadł, uśmiechając się na widok stojącego przed komisarzem wąskiego kieliszka z szampanem.

– Zamówiłeś już?

– Nie, ale przejrzałem menu.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiła się kelnerka, wyjaśniła, jakie są dziś dania dnia, i dodała:

– Mamy też dania wegetariańskie.

Verlaque zerknął na Paulika i uśmiechnął się do kelnerki.

– A wyglądamy na wegetarian?

– Na początek poproszę *jambon de Bayonne*, a potem risotto z trzema rodzajami mięs – wyszczerzył zęby Paulik.

Verlaque zajrzał do menu. Wciąż czuł brzuch napierający na pasek od spodni w sposób, do którego nie przywykł. Dziś będzie trzymał się dań rybnych: owinięte w bekon krewetki z sałatką, a potem grillowany pstrąg. Przynajmniej będzie w tym bekon. Kelnerka przyjęła zamówienia i odeszła.

Sędzia się rozejrzał i z radością zauważył dwóch robotników budowlanych siedzących przy sąsiednim stoliku: dobre jedzenie nie zna granic klasowych.

Paulik oderwał kawałek ciepłego pieczywa i zaczął mówić:

– Zadzwoiłem w parę miejsc w Cannes, na posterunek i do mojego kuzyna Fréda. François de Bremont posiada kilka apartamentów w Cannes i w Nicei. Wynajmuje je agencji modelek, a modelki korzystają z mieszkań. Dziewczyny są tu legalnie, z sześciomiesięcznymi wizami. Często pojawiają się na jego jachtach, więc gliniarzom trudno ustalić, kto jest kim.

– W takim razie oczywiste pytanie – powiedział Verlaque, upijając szampana, który mu przed chwilą podano. – Te dziewczyny to modelki czy prostytutki? Pamiętasz tę sprawę w Paryżu z czternasto- i piętnastoletnimi Rumunkami?

– Tak. Robili im nagie sesje zdjęciowe, żeby przyuczyć je do prostytucji. Jedna uciekła, zgadza się? Spytała, czy może wyjść na papierosa. Pracownica z opieki społecznej obiecała, że jej pomoże, czekała na nią w samochodzie i zawiozła dziewczynę w bezpieczne miejsce. Pozostałe... – Paulik zawiesił głos, gdy przyszła kelnerka, by dolać im szampana. – W każdym razie w tym miejscu sprawa staje się niejasna – podjął. – W Cannes nie byli w stanie tego ustalić. To faktycznie modelki i to bardzo ekskluzywne. Chodzą na przyjęcia z zamożnymi, często starszymi rosyjskimi biznesmenami. Agencja jest najwyraźniej legalna, istnieje od lat.

– Czyli nie wiemy, ile rozrywki dostarczają te dziewczyny – stwierdził Verlaque.

– Zgadza się. Właścicielem agencji jest bogaty wpływowy Rosjanin. Mają mi dziś przysłać jego dossier.

Verlaque starał się nie kojarzyć Rosjan z mafią, zawsze jednak był zaskoczony, gdy pojawiali się oni w powiązaniu z nicejskim światem przestępczym; zimna wojna dobiegła końca i czarne charaktery przeniosły się w bardziej słoneczne miejsca.

– Jest coś jeszcze – ciągnął Paulik, zabierając się do wędzonej szynki pokrojonej w cienkie plasterki i podanej na rukoli; przed chwilą postawiła ją przed nim młoda kelnerka. – Dziś rano dzwonił do mnie Pellegrino. To ten gliniarz, który grywa w polo w Cannes.

– Mów dalej – poprosił Verlaque.

– François de Bremont ostatnio zbyt wiele razy dostał po łapach. Gra w kasynie na wysokie stawki, ale ostatnio oskarżono go o obstawianie meczów polo, a być może nawet o wpływanie na wyniki meczów, w których brał udział.

– Miły gość. Sportowy oszust i być może alfons. W takim razie to, czego byłem świadkiem na *cours* dziesięć minut temu, nie ma żadnego sensu. – Verlaque dostrzegł zaciekawienie Paulika i kontynuował: – François i Isabelle de Bremont się kłócili. Ale najbardziej interesujące jest w tym coś innego. Isabelle chce sprzedać *château*, a on nie.

– Naprawdę? Sądziłem, że przydałaby mu się gotówka – odparł Paulik. – Czy teraz odziedziczy tytuł?

– Nie – odpowiedział Verlaque. – To syn Étienne’a zostanie *le comte*. Ale domyślam się, że François przypadnie *château*.

Obaj umilkli, myśląc o sprawie. Wiedzieli, że jeśli doszło do popełnienia przestępstwa, niewiele mają punktów zaczepienia. Zwinny, uprawiający wspinaczkę mężczyzna wypada przez okno. Pusta walizka jest w jakiś sposób ważna dla rodziny, ale brak wskazówek, co w niej było. Paragon na dwie brioszki z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku. Brat oszust kłóci się z wdową po denacie na dzień przed jego pogrzebem.

Paulik podniósł wzrok i zauważył, że sędzia obserwuje kelnerkę w niemożliwie krótkiej spódniczce, zapalającą świeczki na stolikach.

– Kelnerki są tu nad wyraz ładne, bez dwóch zdań. Pewnie ciągle robią bajzel w zamówieniach – zauważył. Wzruszył ramionami i zgarnął resztę sosu kawałkiem pieczywa, po czym otarł usta płócienną serwetką, skrzyżował ręce na piersi i odchylił się na oparcie.

– Ale z pewnością nie są nawet w połowie tak interesujące, jak twoja *belle Hélène*, pamiętam, że poznałem ją przelotnie na kolacji u tego winiarza. Co u niej słyszeć? – spytał Verlaque.

– Ma pełne ręce roboty w winnicy. Trzeba przygotować miejsce na nowe sadzonki.

Przyniesiono im główne dania i Paulik z powątpiewaniem spojrzął na swoje. Risotto ułożono w wysoką stertę, artystycznie poprządkowaną różnymi rodzajami smażonych mięs, a pędy szparagów sterczały ku niebu.

– Dużo tego – powiedział tylko i zabrał się do jedzenia. Nie lubił, gdy posiłek przypominał raczej rzeźbę. Pstrąg Verlaque’a był idealnie przyrządzony i podany z młodymi ziemniaczkami i podsmażanym koprem włoskim.

Paulik w pierwszej kolejności zabrał się do szparagów, na które w Prowansji był akurat sezon. Upieczono je na oliwce z czosnkiem i mnóstwem soli i pieprzu, dokładnie tak, jak przyrządzała je w domu Hélène.

– Spróbuj tego – powiedział komisarz, nakładając widelcem risotto z mięsem na talerz Verlaque’a. – Odparowali sok z mięsa i użyli różnych rodzajów. Wydaje mi się, że to podsmażone *figatelli* z Korsyki.

– Zgadza się, to *figatelli*, i to wyśmienite. A co powiesz o winie?

– Wyborne.

– A o restauracji?

– W porządku na późny lunch, ale prawdziwym testem jest zawsze sobotni wieczór, gdy panuje największy ruch – odparł Paulik.

Jedli dalej, rozmawiając o innej sprawie – serii włamań w centrum Aix, których sprawców dopiero co schwytano. Obaj zrezygnowali z deseru i napili się espresso. Verlaque wstał, by zapłacić rachunek – zwykle był zbyt niecierpliwy, by czekać, aż kelner przyniesie do stolika czytnik kart. Paulik rozejrzał się po lokalu; musiał przyznać, że te wielkie welurowe fotele są całkiem wygodne. Widział, jak Verlaque rozmawia z kelnerką; oboje się śmiali. Verlaque podał jej kartę kredytową, wstukał PIN, a po chwili ona podała mu paragon, ale najpierw szybko coś na nim zanotowała. Sędzia się uśmiechnął i wsunął świstek do kieszeni. Przeszli przez restaurację, a Paulik rozglądał się, jakby ją oceniał.

– Dziękuję – powiedział. – Następnym razem to ja płacę.

Podróż do Cotignac była piękna. Żaden z nich się nie odzywał, wyglądali tylko przez okna. Po jednej z najmroźniejszych od lat zim – w grudniu śnieg leżał przez całe trzy dni – dopiero co nadeszła wiosna, niemal jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Otaczały ich pola czerwonych maków, a w winnicach pojawiły się jasnozielone młode pędy. Ten wyjazd nie był konieczny, ale Verlaque chciał porozmawiać z siostrą Auvieux, by sprawdzić jego alibi i połączyć wszystkie luźne wątki związane z Étienne’em de Bremont i *château*. Étienne, poważny mężczyzna z kamerą, zasługiwał chociaż na to. Tak, pomyślał Verlaque, prowadząc samochód, nawet jeśli arystokrata zginął wskutek wypadku albo popełnił samobójstwo, zasługiwał przynajmniej na porządne dochodzenie. Sędzia podsumował w głowie, co mają: wszyscy podali alibi, choć Flamant wciąż się z nim nie skontaktował w sprawie biletów na pociąg. Różne osoby miały wątpliwości, tak jak Marine, albo były wściekłe, jak bracia Bleyowie, ale wciąż nie

dysponowali żadnym dowodem na to, że Étienne de Bremont po prostu nie stracił równowagi.

Choć próbował się kontaktować z Mlle Cosette Auvieux w niedzielę, oddzwoniła do niego dopiero dziś rano. Ponieważ nie wybierała się na pogrzeb, Verlaque umówił się z nią na spotkanie u niej, w departamencie Var. Wolał rozmawiać z ludźmi w miejscu, gdzie mieszkali, by czuli się swobodniej, ale też po to, by zobaczyć, w jakim otoczeniu żyją. Cosette wydawała się zdziwiona, że sędzia jest gotów jechać półtorej godziny, by się z nią spotkać.

Tuż przed Cotignac Verlaque przypomniał sobie, że nie zadzwonił do Marine. Prowadząc lewą ręką, prawą wybrał jej numer. Odebrała po drugim sygnale.

– Cześć – powiedział. – Przepraszam, że od razu do ciebie nie oddzwoniłem.  
– Bądź miły, upomniał się w duchu.

– Cześć – odparła Marine z lekkim poirytowaniem, ale też zaciekawieniem. I spytała, starając się, by zabrzmiało to obojętnie: – Mogę ci w czymś pomóc, Antoine?

Dla Verlaque'a było oczywiste, że Marine jest na niego zła. Powinien ją zaprosić do siebie wczoraj wieczorem, po tym, jak wyszła z kościoła.

– Dziś rano pojechałem do Saint-Antonin i zrobiłem obchód strychu z Jean-Claude'em Auvieux. Był zszokowany, gdy odkrył, że walizka jest pusta. Powiedział, że w zeszły piątek, zanim pojechał do siostry, była pełna i zamknięta. Teraz właśnie do niej jadę.

– Czyli ktoś, Jean-Claude albo może sam Étienne, zabrał zawartość walizki między piątkiem a niedzielą – stwierdziła Marine.

– Właśnie. I nie sądzę, żeby zrobił to Auvieux. Wydawał się szczerze zszokowany i zdenerwowany, gdy odkrył, że walizka jest pusta.

– Zgadzasz się z tobą – odparła Marine. – Uważam, że Jean-Claude jest wiarygodny, choć nie widzieliśmy się przez piętnaście lat. Zawsze był taki pełen respektu wobec *château*. – Verlaque przekazał też Marine, co odkrył Paulik. François de Bremont nie prezentował się za dobrze. – Może chcesz zajrzeć do mnie na drinka jutro wieczorem? – spytał Verlaque.

Marine się zawahała. Nie była w mieszkaniu Verlaque'a, odkąd się rozstali, i być może dobrze by jej to zrobiło. Arthur dopiero co wyleciał do Kalifornii, więc nie było żadnych przeszkód. A zresztą, nawet gdyby był w Aix, i tak mogłaby pójść, gdyby miała na to ochotę; bądź co bądź miała trzydzieści pięć lat.

– Chętnie, ale nie zostanę do późna – odparła. – Muszę ocenić prace – skłamała.

Uzgodnili porę, a Paulik przekazał Verlaque'owi, by ten pozdrowił od niego Marine. Hélène i Marine świetnie się ze sobą czuły, gdy poznały się na przyjęciu u Oliviera Bonnarda, szefa pierwszej z nich. Gdy Paulikowie usłyszeli o rozstaniu,



oboje – ale zwłaszcza H el ene – pomy leli,  e Marine b dzie lepiej bez Antoine’a Verlaque’a. Podczas tamtej kolacji Verlaque otwarcie skrytykowa  Marine przy innych gościach, bo nazwa a jakiego  roqueforta po prostu „serem ple niowym”.

– Je li kiedykolwiek zrobisz mi co  takiego, zabij  ci  – o wiadczy a H el ene, gdy wracali do domu. Mia a w asn a teori ,  e Antoine Verlaque pragnie mie  u swego boku kobiet  idealn  – kt ra zna kilka j zyk w obcych, objecha a kawa   wiata, m wi w a ciwe rzeczy w towarzystwie, jest wysportowana i oczywi cie pi kna. Jednak s dzia nigdy nie b dzie zadowolony, bo wed ug H el ene, Marine by a wr cz cudown  partnerk . I nawet je li s dzia znajdzie idealn  kobiet  – na Marsie, w Genewie czy w Monte Carlo – by a przekonana,  e nigdy nie uda mu si  do niej zbli y .

– Eee, daj spok j – powiedzia  Paulik. – Wszyscy si  do siebie zbli aj , kiedy si  zakochuj .

– Ale nie Verlaque – upiera a si  H el ene. – On nie potrafi si  zbli y  do  adnej kobiety. Umie flirtowa , uwodzi . Stwarza  pozory. Ale nie potrafi pokaza  kobiecie swojego prawdziwego ja.

Paulik pokr ci  tylko g ow . W ko cu odpar :

– Nikt nie jest doskona y. Poza tym nie wiemy, co si  dzieje w g owach innych ludzi. S dzia mo e by  po ci żkich przej ciach... Ta jego bogata, sztywna rodzina. A poza tym jest w po owie Anglikiem. Anglicy pono  wola  dusi  wszystko w sobie, prawda?

– Ha! A Francuzi niby nie? Sp jrz tylko na swoj  rodzin ! – zaprotestowa a H el ene. Paulik popatrzy  na ni  zaskoczony. – Przepraszam, kochanie – ci gn a – nie o to mi chodzi o. Kocham twoj  rodzin , ale s  dziwni, *non*? Jako doro li ludzie nie mo emy zrzuca  niew a ciwych zachowa  na karb trudnego dzieci stwa.

Paulik nie dra y  tematu – podoba o mu si , gdy kilka razy wsp łpracowa  z s dzi , i czu  si  nieswojo, rozmawiaj c o nim za jego plecami. Poza tym nie znali a  tak dobrze Verlaque’a ani Marine.

S dzia zatrzyma  samoch d pod adresem, kt ry mia  zapisany na odwrocie paragonu z *tabac*. Dom wygl da  na tani; betonowe  ciany pokrywa a cienka warstwa tynku, jak na wszystkich nowych domach w Prowansji, a posesje s siad w by y identyczne. Nikt si  nie wysili , je li chodzi o trawnik od frontu – podniszczonego *citro na AX* zaparkowanego przed domem otacza y chwasty. W drzwiach sta a wyprostowana drobna i chuda kobieta i obserwowa a obu m czyzn wysiadaj cych z ma ego porsche Verlaque’a. S dzia stara  si  nie marszczy  brwi. Po co  y  za miastem, je li mieszkasz w takim miejscu? Tej kobiecie lepiej by oby w jakiej  wiosce, gdzie mog aby si  chocia z przespacerowa  do piekarni po bagietki, ale wola a mieszka  w tej pseudowsi, pozbawionej uroku i drzew.

– Mme Auvieux? – spytał. Oceniał, że była po pięćdziesiątce. Trudno było sobie wyobrazić, że ta drobna kobieta jest siostrą Auvieux-Olbrzymą.

– Tak – potwierdziła. Jej twarz przez lata zniszczyło prowansalskie słońce; krótko obcięte włosy sterczały, były ufarbowane na bordowy kolor, który wiele kobiet na południu wydawało się uważać za elegancki. Verlaque lubił u kobiet wyłącznie długie włosy.

– Jestem Antoine Verlaque, sędzia śledczy z Aix-en-Provence, a to mój kolega, komisarz Paulik.

Wciąż stojąc na progu bez słowa, uściśniła im ręce, po czym zaprosiła ich do środka. Jej dom był równie czysty i skąpo umeblowany jak chatka brata. Usiedli w kuchni przy stole nakrytym ceratą. Verlaque nie cierpiał takich obrusów – człowiek bał się ich dotknąć z obawy, że się przyklei.

– Dziękujemy, że zgodziła się pani nas przyjąć, Mme Auvieux. Bo tak się pani nazywa, prawda?

– Tak, nigdy nie wyszłam za mąż – potwierdziła.

Verlaque postanowił trzymać się formy „Madame”, bo choć Auvieux była niezamężna, dawno już przekroczyła ten wiek, w którym do kobiety zwracano się „Mademoiselle”.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci *Comte Étienne’a* de Bremont i z tego, co zrozumiałem, łączą panią związką z tym rodem.

– Od urodzenia, sędzio. Urodziłam się w Saint-Antonin, podobnie jak mój o dziewięć lat młodszy brat.

– Pani brat nam powiedział, że w czasie, gdy zginął Étienne, przebywał z panią przez cały weekend.

– Tak.

– O której tu przyjechał?

– W sam raz na kolację, w piątek około siódmej wieczorem. Dotarłby wcześniej, ale François de Bremont wysłał go na poszukiwanie jakichś swoich skarbów. – Zarówno Verlaque, jak i Paulik zauważyli sarkazm w jej głosie. – Kiedy François de Bremont czegoś chce, zawsze mu się z tym pali.

– A czego chciał?

– Jakiegoś głupiego trofeum z polo – odparła.

– Kiedy pani brat stąd wyjechał?

– W niedzielę rano, około dziesiątej.

– Oboje byliście tu przez cały weekend?

– Tak. W sobotę po południu wybraliśmy się na niewielkie zakupy do Cotignac i napiliśmy się kawy na placu w Bar Centrale. – I po chwili dodała: – Oni mogą to potwierdzić. Znam barmana.

– A w sobotę wieczorem?

– Oglądaliśmy w domu film. – Jean-Claude Auvieux również wspominał

o tym Verlaque'owi.

– Jaki?

Mme Auvieux wydawała się poirytowana.

– *Matrix*, ale proszę mnie nie pytać który. Dla mnie wszystkie są takie same.

Verlaque nie skomentował jej odpowiedzi, zgodnej z tym, co opowiadał mu dozorca. W rzeczywistości chodziło o pierwszą część *Matrixa*; Auvieux usiłował szczegółowo opowiadać mu o filmie, ale na całe szczęście przerwało mu dzwonięcie komórki sędziego.

– Była pani blisko z Étienne'em de Bremont?

– Nie, oczywiście, że nie – odparła, odwracając wzrok i wyglądając przez okno. Normalnie byłoby to niemożliwe, żeby córka służących przyjaźniła się z młodym hrabią, ale Verlaque mimo wszystko zadał to pytanie, zwłaszcza że brat tej kobiety wydawał się mieć tak bliskie związki z rodziną. – Ale bardzo go lubiłam – dodała sama z siebie, ze smutkiem w głosie. – Był miłym dzieckiem i wyrósł na miłego człowieka. Bo tak to działa, prawda? Miłe dzieci wyrastają na miłych dorosłych.

– Tak to powinno działać, Mme, ale nie zawsze tak bywa – powiedział Paulik. – A jak dobrze pani zna François de Bremont?

– Nie za dobrze. Mieszka w Cannes. Zadaje się tylko z bogatymi biznesmenami i z modelkami – w jej głosie zabrzmiała lekka uraza.

– Dlaczego nie wybiera się pani jutro na pogrzeb? – spytał prosto z mostu Paulik. Uważał, że to dziwne, że ktoś, kto wychował się z Étienne'em de Bremont, nie chciał go pożegnać, nawet jeśli nie był z nim blisko. W górach Luberon pogrzeby były równie ważne i święte, jak wesela.

– Mam za dużo pracy. Jestem współwłaścicielką salonu fryzjerskiego w Cotignac, moja współpracowniczka jest na chorobowym i jutro mam pełne ręce roboty – odparła. Biorąc pod uwagę stan jej włosów, Paulika zdziwiło, że była fryzjerką.

– No dobrze, w takim razie dziękujemy za poświęcony nam czas – powiedział Verlaque, wstając. – Jeszcze tylko jedna sprawa. Pani brat zauważył, że między piątkiem a niedzielą, kiedy był tutaj, ktoś przetrząsnął walizkę od Louisa Vuittona na strychu u Bremontów i zabrał jej zawartość. Przypomina pani sobie taką walizkę?

– Nie – odparła chłodno. – Kiedy mieszkałam w posiadłości, rzadko zaglądałam na strych. – Znowu uraza w głosie, pomyślał Verlaque.

Obaj mężczyźni wstali i Paulik powiedział:

– Dziękujemy, Mme Auvieux. Sami trafimy do wyjścia.

Nie wstała; została przy stole w kuchni, zapatrzona w okno, za którym widniało pozbawione drzew tylne podwórze, po czym wyjęła z opakowania trochę tytoniu i zaczęła z wprawą skręcać papierosa.

## Rozdział

### dziesiąty

– Była bardzo smutna, *non?* – westchnął Paulik. – Wydawała się w ogóle niezainteresowana rodziną Bremontów, a to dziwne, biorąc pod uwagę, że tam się wychowała i że jej brat wciąż dla nich pracuje.

– Właśnie – zgodził się Verlaque, nie odrywając wzroku od drogi. – Choć trochę się ożywiła za każdym razem, gdy pytaliśmy o François de Bremont.

– Tak! I wydawała się szczerze zmartwiona śmiercią Étienne’a, choć nie może pojechać na pogrzeb.

– Cóż, nie był to całkowicie zmarnowany czas. Potwierdziła alibi Auvieux – zauważył Verlaque, spoglądając na komisarza. – A poza tym jakieś piętnaście kilometrów stąd jest Domaine Margui Romanis.

– A właśnie! Zapomniałem o tym. – Paulik zatarł ręce, podekscytowany jak dziecko. Margui Romanis była jednym z najlepiej skrywanych sekretów departamentu Var: winnica dorównująca najlepszym w południowym Rodanie, ale ceny jej win pozostawały na umiarkowanym poziomie dzięki niedocenianym etykietom Côtes de Provence.

– Mógłbyś trochę poprowadzić? Chciałbym usiąść sobie z tyłu i zapalić cygaro.

– Z przyjemnością, panie sędzio – odparł Paulik, natychmiast odpinając pasy. Verlaque zwolnił i zatrzymał samochód na poboczu. Minęli znak kierujący do opactwa Le Thoronet, dwunastowiecznego cysterskiego opactwa otoczonego bujnym sosnowym lasem. Verlaque zaproponował, by nadłożyli trochę drogi i tam zajrzeli, ale Paulik, który siedział teraz za kierownicą, uśmiechnął się szeroko i odparł oschle: – Nie, dzięki.

Ostatni raz Verlaque był w klasztorze Le Thoronet ze swoją babcią, Marine i Sylvie. Pamiętał, jak przyglądał się Emmeline w złocistym świetle zabarwionym miodowym kamieniem; stała samotnie pośrodku długiej nawy, spoglądając w górę na rzeźbione kapitele kolumn, jedyną ozdobę prostego, lecz majestatycznego kościoła opactwa. Miała na sobie długą białą płócienną tunikę i szerokie spodnie z tego samego materiału, co sprawiało, że przypominała trochę ducha unoszącego się w ciemnym chłodnym kościele.

Kilka minut po tym, jak minęli znak opactwa, sędzia i komisarz zatrzymali się na perfekcyjnie utrzymanym podjeździe winnicy, po obu stronach obsadzonym kilkusetletnimi drzewami oliwnymi. Na widok ciemnozielonego porsche winiarz Marc Nagel wyszedł z odnowionych stajni.

– *Monsieur le Juge* – powiedział, odstawiając dwie skrzynki wina obok kamiennej fontanny. – Szmata czasu!

Nagel miał idealne białe zęby i złocistą opaleniznę, słowem – jego wygląd kojarzył się zwykle Verlaque’owi z Kalifornijczykami. Uśmiech Nagela był w rzeczywistości dziełem wujka z Marsylii – dentysty, któremu zapłacił skrzynkami wina – opalenizna zaś stanowiła naturalny rezultat wielu godzin spędzonych wśród winorośli. W stereotypach Verlaque’a kryła się jednak pewna ironia: Marc Nagel faktycznie spędził satysfakcjonujący rok w Kalifornii, studiując enologię na Uniwersytecie Kalifornijskim w Davis. Co roku gościł amerykańskich winiarzy na południu Francji i co roku wybierał się na podobną wycieczkę do Stanów Zjednoczonych i do innych krajów produkujących wina.

– O tak, zbyt długo – przyznał Verlaque, wysiadając z samochodu. – Białe już mi się skończyło, a czerwonego zostały tylko dwie butelki.

Verlaque przedstawił mu Paulika i już po kilku sekundach stało się jasne, że Marc zna Hélène Paulik i bardzo ją szanuje.

– Hélène to twoja żona? O rany, a niech mnie! Dużo zrobiła dla marki Côteaux d’Aix-en-Provence. Jej wino z rocznika 1998 było boskie. Poznaliśmy się na jakichś targach winiarskich, ale nie miałem pojęcia, że jej mąż jest policjantem. Przepraszam, komisarzem.

Paulik się uśmiechnął.

– Tak, z reguły nie opowiada o mojej pracy. Przekażę jej pańskie pozdrowienia. I zgadzam się z panem co do tego czerwonego wina. Było tak dobre, że wszystkie wyprzedala.

Trzej mężczyźni przeszli w chłód odnowionej stajni, by skosztować win z tutejszego *château*. Piętrzyły się nad nimi gigantyczne kadzie z nierdzewnej stali, w których starzało się tegoroczne różowe wino. Podłoga była wilgotna i Verlaque starał się stąpać po suchych miejscach, by chronić swoje westony. Paulik zauważył, że jego szef idzie zygzakiem, i odwrócił się, by ukryć szeroki uśmiech.

– Co was sprowadza do departamentu Var? – spytał Marc, zdejmując z półki trzy kieliszki.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci pewnego mieszkańca Aix – odparł Verlaque. Wydawało się bardzo mało prawdopodobne, by Marc znał Étienne’a de Bremont. Jego winnica mieściła się dobre półtorej godziny jazdy samochodem od Aix, w innym departamencie, ale sędzia dostrzegł zaciekawienie winiarza, więc dodał: – Chodzi o Étienne’a de Bremont. Zna pan jego filmy?

– Bremont, Bremont... to jakiś krewny François de Bremont z Cannes? – spytał Marc, otwierając drzwiczki małej lodówki i wyjmując butelkę wina.

– To jego brat – odparł Verlaque.

– Jaki ten świat jest mały. François przyjeżdża tu co drugi weekend i zatrzymuje się w moim pensjonacie. – Tuż po tym, jak Marc wypowiedział te

słowa, musiał zdać sobie sprawę, że chyba zdradził zbyt wiele; Verlaque i Paulik dostrzegli przelotny grymas na jego twarzy.

– Sam? – spytali równocześnie.

Marc kopnął leżący na podłodze gumowy wąż.

– Czy ta informacja w czymś panom pomoże? To znaczy w śledztwie?

– Tak – odparł Verlaque. – I nie podamy tego do publicznej wiadomości, chyba że okaże się to absolutnie konieczne.

Marc westchnął i zaczął:

– François de Bremont przyjeżdża tu z Cannes mniej więcej co drugi piątek. Albo wydaje mi się, że wspominał o Cannes, w każdym razie jego samochód ma numery zaczynające się od 06. Kobieta przyjeżdża osobno, białym bmw, z tablicami Deltę Rodanu. Zazwyczaj zostają tylko na noc, a potem wcześniej rano wyjeżdżają, po zjedzeniu śniadania u siebie w pokoju. Są bardzo dyskretni – dodał, jakby chciał ich chronić.

– Jakim samochodem przyjeżdża François de Bremont? – spytał Verlaque.

Właściciel winnicy, patrząc w sufit, zastanawiał się przez chwilę.

– O ile mnie pamięć nie myli, małym volkswagenem. – Nalał do kieliszków białego wina i podał po jednym gościom. Wszyscy trzej unieśli kieliszki i spojrzeli na bladozłocisty napój.

Nie jest ani trochę mętne, pomyślał Verlaque. Następnie powąchali trunek, sędzia uznał, że wyczuwa w jego bukicie brzoskwinię, i skosztowali. Nagel i Paulik głośno przepłukali winem usta i wypluli je do słuwalczki. Verlaque się skrzywił. Wiedział, że zawodowi kiperzy tak głośno mlaszczą, ale zawsze w takich chwilach czuł się zakłopotany. Nie wypluł wina; wypił je. Otworzył usta, by pochwalić napój, ale winiarz go uprzedził.

– To jakiś kabriolet, może golf – powiedział.

Verlaque i Paulik wymienili spojrzenia. Obu zdumiało to samo: samochód, który widzieli zaparkowany przed *château* Bremontów, był właśnie kabrioletem marki Volkswagen Golf, z rejestracją zaczynającą się od 06. Dlaczego François de Bremont miałby wybierać się do Aix, by odebrać samochód, a potem jechać półtorej godziny z powrotem na wschód do pensjonatu Nagela?

– Jak wygląda ta kobieta? – zapytał Paulik, uprzedzając Verlaque'a.

– Bardzo szczupła i elegancka. Żakiet ze złotymi guzikami, skórzane mokasyny marki Tod's. Nie lubi wina. Na oko sporo po trzydziestce.

– Nie jest wysoką blondynką mówiącą ze wschodnioeuropejskim akcentem?

– spytał Paulik, z odrobiną satysfakcji w głosie.

Marc spojrział na niego i się uśmiechnął.

– O, nie! To zdecydowanie Francuzka.

Verlaque i Paulik zaskoczeni spojrzeli po sobie.

– Zna pan jej nazwisko? – zapytał sędzia.

– Niestety nie. Zawsze meldują się pod jego nazwiskiem. Płaci gotówką. Nie, chwileczkę. Raz ona musiała zapłacić. On zapomniał portfela i płaciła swoją kartą. Jak już skosztujemy czerwonego, możemy zajrzeć do księgi, moja żona Véronique jest w środku.

Verlaque dopił białe wino, a Paulik – zgodnie z zasadami – wylał resztę swojego do srebrnej spluwaczki. Nagel otworzył czerwone, z bardzo prostą etykietą. Wyglądała, jakby była napisana odręcznie, bez żadnych grafik ani kolorów. Nie było też na niej rysunku ołówkiem, przedstawiającego *château* za bramą z kutego żelaza, jak na wielu winach z Bordeaux. Verlaque z aprobatą pokiwał głową.

Nagel powoli nalał trunek do przepłukanych kieliszków.

– To w stu procentach Syrah, więc nie wolno mi go nazywać Côtes de Provence. Jesteśmy daleko od Doliny Rodanu.

Gdy sędzia pochylił nos nad kieliszkiem, poczuł aromat malin. Przymknął oczy i głębiej wciągnął ten zapach. Przez dłuższą chwilę trzymał wino w ustach, nim je przełknął. Miało lekko pieprzną nutę, a łagodny smak długo pozostawał na języku.

– Wezmę dwie skrzynki – oświadczył Verlaque. Już myślał o tym, że będzie pił to wino do jagnięciny, którą kupił u miejscowego rzeźnika.

– Ja też wezmę dwie – dodał Paulik, a potem spojrział na Verlaque’a. – Ale będziemy musieli się nagimnastykować, żeby zmieścić cztery skrzynki w porsche.

– Nie takie rzeczy widywałem. Jeden facet przyjechał na motorze, a kupił skrzynkę. Musiał pomieścić butelki w bocznych sakwach i w plecaku.

Skończyli smakowanie wina – tym razem nikt nie skorzystał ze spluwaczki – a potem ruszyli w stronę budynku mieszkalnego. Czerwone okiennice były częściowo przymknięte, by nie wpuszczać popołudniowego słońca. Véronique siedziała w recepcji zajęta papierkową robotą. Gdy się już przedstawili, Marc wyjaśnił żonie, że chodzi o śmierć Étienne’a de Bremont. Wysunęła szufladę i zastanawiała się przez chwilę.

– Zobaczmy. Po tym, jak zapłaciła rachunek, kłócili się na podjeździe i było zimno. Tak, było zimno, bo zastanawiałam się wtedy, czemu nie wolą się kłócić w ciepłym samochodzie. Pewnie dlatego, że przyjechali dwoma. A więc to było zimą, a w grudniu i styczniu mamy zamknięte. Zacznę od lutego. – Wyjęła czerwoną teczkę i zaczęła przeglądać nazwiska. – Zatrzymuje się u nas wielu obcokrajowców, więc francuskie nazwiska powinny być łatwe do wypatrzenia. – Po niecałej minucie szukania oświadczyła: – *Voilà!* Piątek, 21 lutego. – Véronique spojrzała powoli na każdego z trzech mężczyzn, dumna, że właśnie ona ich o tym informuje, ale wypowiedziała nazwisko szeptem, jakby ściany miały uszy. – Mme Sophie Valoie de Saint-André. Czy to panom pomoże?

– Tak, dziękujemy – odparł skonfundowany Verlaque. – Zanotuję jej

nazwisko na wypadek, gdybyśmy później go potrzebowali. A tymczasem ta informacja nie opuści ścian tego domu.

Verlaque zapewnił Marca i jego żonę, że nie złamali żadnych zasad, mówiąc im o piątkowych wieczorach, które François de Bremont spędzał w ich pensjonacie. Posłał Paulikowi spojrzenie mówiące „później wszystko ci wyjaśnię”.

Nagel odprowadził gości do samochodu i pomógł im załadować wino do miniaturowego bagażnika porsche.

Sędzia i komisarz pożegnali się z winiarzem i powoli wsiedli do samochodu, jakby zbyt szybkie oddalenie się wyglądało na próbę ucieczki przed groźbą, jaka mogła zawisnąć nad gospodarstwem Nagelów.

Paulik się zniecierpliwiał.

– Co jest grane? Wiesz coś o tej tajemniczej kobiecie, która zjawia się w piątkowe wieczory? – spytał, gdy tylko zasunęli szyby samochodu i pomachali na pożegnanie Marcowi i Véronique.

– To siostra Isabelle de Bremont – odparł sędzia siedzący za kierownicą.

– Żartujesz sobie? Jak widać, opłaca się kupować wino w dni robocze.

– O tak!

– Ale sądząc po opisie Marca, ta babka nie wydaje się kobietą w typie François de Bremonta.

– Nie, François z pewnością nie nazwałby jej laleczką, ale sam przecież wiesz, *le goût des autres* – wzruszył ramionami Verlaque. Kilka lat wcześniej pojawił się popularny film *Gusta i guściki*. Verlaque pamiętał, że był to jeden z ulubionych filmów Marine.

– Święta prawda – roześmiał się Paulik. Nie myślał przy tym o filmie, ale o dziwnej zbieraninie dziewczyn, które jego rozwiedziony brat przywoził do domu na święta.

– Gdyby Monica Bellucci usiadła obok mnie w jakimś ciemnym barze w Paryżu i zaczęła ze mną flirtować, a potem by mi powiedziała, że tak naprawdę jedzenie jej nie interesuje i że nie pija wina, natychmiast przesłaby mi na nią ochota – oświadczył ni z tego, ni z owego Verlaque. Pomyślał o Marine i uświadomił sobie, że choć nie miała doświadczenia w gotowaniu i nigdy nie potrafiła zapamiętać, że prawdziwy czerwony burgund mógł być tylko pinot noir, naprawdę uwielbiała dobre jedzenie i wino i gotowanie dla niej było przyjemnością. – Może mógłbym przełknąć te mokasyny Tod’s, ale żeby nie pić wina?

– Nawet gdyby to była Monica Bellucci? – spytał Paulik.

– Tak, nawet gdyby to była ona. A tobie by nie przeszła ochota? To znaczy gdybyś nie był żonaty?

– Tak, chyba ma pan rację – odparł Paulik, wyglądając przez okno. I ciągnął, zerkając na sędziego: – Ale wie pan... Monica Bellucci jest Włoszką, więc są spore



szanse, że pija wino.

– Wiem, Bruno. To był tylko taki przykład – zaśmiał się Verlaque.

– Właściwie to założyłbym się, że pija wino do lunchu i do kolacji – ciągnął Paulik. – Pewnie nawet lubi grappę.

– Przestań, bo zjadę z drogi, jeśli zacznę sobie wyobrazać, jak Monica pije grappę u mnie w mieszkaniu.

– Przepraszam, panie sędzio. Przywróćę pana do rzeczywistości. Niezły numer z tą Sophie Valoie de Saint-André. Bo przypuszczam, że jest mężatką.

– Tak – potwierdził Verlaque.

– Wie pan, kto jest jej mężem? To dlatego tak pan na mnie wtedy spojrział? Jej nazwisko z czymś mi się kojarzy.

Verlaque kiwnął głową.

– Bo powinno.

– No dobra, gdzie on pracuje?

– Ze mną. Jest sędzią z Marsylii – odparł Verlaque, spoglądając na komisarza.

– Henri Valoie de Saint-André? *Mon Dieu!* – zawołał Paulik i gwizdnął przez zęby. – *Mon Dieu!*

## Rozdział

### jedenasty

W środę rano Marine stała pod gorącym prysznicem. Nie była w stanie się ruszyć. Nie chciała zobaczyć się z Verlakiem na pogrzebie. Zamierzała go unikać i liczyła, że okaże się to proste, bo kościół Saint-Jean-de-Malte będzie pewnie wypełniony po brzegi. Zwlekała pod prysznicem, patrząc, jak gorąca woda spływa jej po brzuchu, który zaczynał odrobinę wystawać, i dalej po nogach. Wyszła z kabiny i ubrała się w czarne spodnie i białą bluzkę, jedno i drugie ze sklepu Agnès B. po drugiej stronie ulicy. Nałożyła na twarz różne kremy – kupowała niewiele kosmetyków, ale uwielbiała kremy do twarzy – i dodatkowo podkład w pudrze. Rozległ się dźwięk domofonu; Sylvie miała po nią przyjść. Szybko założyła czarne buty na wysokim obcasie, bo zrobiło się pochmurno i zimno, i pobiegła do przedpokoju, by wpuścić Sylvie na górę.

– Dzięki, że wczoraj wieczorem tak dobrze się mną zajęłaś – powiedziała Marine, gdy stały w kuchni i robiła im kawę. Sylvie zaprosiła wczoraj Marine na kolację, a gdy Charlotte poszła już do łóżka, oglądały powtórki *Ostrego dyżuru*.

– Hej, ty zrobiłabyś dla mnie to samo – odparła Sylvie. Obie wybuchnęły śmiechem i Sylvie dodała: – Dobra, dobra, robiłaś dla mnie to samo i to wiele razy! To normalne, że jesteś zdenerwowana – dodała, upijając kawę. – Od kilku miesięcy nie widziałas Verlaque’a, a teraz spotykasz się z nim, kiedy prowadzi śledztwo w sprawie śmierci twojego dawnego przyjaciela. – Zaczęła grzebać w wielkiej torebce. – Słuchaj, masz może chusteczki?

– Tak, wrzuciłam do torebki prawie całe opakowanie – odpowiedziała Marine.

Zaczęły bić kościelne dzwony. Nie było to melodyjne dzwonicie przywołujące na poranną mszę, lecz powolne smutne bicie, rozlegające się co pięć sekund, które Marine wydawały się wiecznością.

Choć było przed dziewiątą, gdy Sylvie i Marine zeszły na *rue Cardinale*, ulica pełna była ludzi powoli zmierzających na pogrzeb. Na małym placu przed kościołem z samotnym kasztanowcem, który właśnie zaczynał kwitnąć, stały grupki żałobników; niektórzy spoglądali na liczne bukiety kwiatów, które położono przed frontowymi drzwiami kościoła. Inni ustawili się w długą kolejkę, czekając, by wpisać się do księgi kondolencyjnej. Dzwony lamentowały dalej. Marine zobaczyła w tłumie rodziców i gdy ojciec ją objął, natychmiast załżała się łzami.

– Tak mi przykro, *mon coeur* – szepnęła, głaszcząc ją po włosach.

– Chcesz siedzieć z nami, *chérie*? – spytała matka. – Obiecaliśmy, że

będziemy siedzieć z ciotką Étienne'a. Bardzo ciężko to wszystko przeżywa.

Marine nie znosiła *tante* Étienne'a, Mathilde, wścibskiej kobiety, która non stop plotkowała albo powtarzała wszystko za innymi.

– Nie, dziękuję – odparła Marine. – Sylvie obiecała, że przy mnie będzie.

– Stara dobra Sylvie – uśmiechnął się ojciec, gdy zobaczył w tłumie przyjaciółkę córki przyglądającą się kwiatom. Jeszcze raz objął Marine i wzruszył ramionami, gdy żona szturchnęła go lekko, by poszedł dalej; w ten sposób dawał córce do zrozumienia, że on też wolałby nie siedzieć z Mathilde Bley. Dzwony przestały bić i tłum ucichł. Goście zaczęli powoli wchodzić do kościoła. Minęła dłuższa chwila, nim Marine przecisnęła się przez tłum i dotarła do Sylvie. Ta wzięła ją pod rękę i obie wspięły się po schodach. Nagle Marine poczuła, że ogarnia ją panika; zdarzało jej się to, gdy w jakimś miejscu było zbyt wielu ludzi i wszyscy pchali się do przodu. Podobnie czuła się na lotniskach, gdy spóźniała się na samolot. Zaczęła się pocić i szybko oddychać, gdy ktoś pociągnął ją za rękaw i szepnął do ucha:

– Marine.

Odwróciła się, po części z ulgą, ale też zaniepokojona. To był Verlaque. Sylvie posłała mu chłodne spojrzenie i nic nie powiedziała. Przesunął się i chciał wziąć Marine pod rękę, ale tłum żałobników popchnął ją do przodu. Sylvie szybko przyciągnęła ją do siebie i odwróciła się, by ujrzeć, jak Verlaque zawraca i idzie pod prąd na tył kościoła. Marine ucieszyła się, że Sylvie ją prowadzi. Nawa szybko się zapełniała, więc przyjaciółka pokierowała ją w stronę kaplicy od południowej strony, gdzie znalazły dwa wolne drewniane krzesła z trzciniowymi siedzeniami. Były na skraju kaplicy i mogły stamtąd widzieć trumnę Étienne'a, chór na lewo od ołtarza i grupkę uczniów siedzących na stołkach z przodu, tuż na prawo od ołtarza i trumny.

– To pewnie koledzy z klasy syna Étienne'a – szepnęła Marine.

– Są tacy słodcy – odparła Sylvie.

Dzieci milczały, większość z nich spoglądała prosto na trumnę, inni próbowali wypatrzeć syna Étienne'a, który siedział w pierwszej ławie z matką i rodzeństwem. Marine starała się nie zerkać na Isabelle de Bremont. Byłaby wtedy jak podglądaczka. Wyczuła czyjeś spojrzenie i powoli się odwróciła. Verlaque wpatrywał się w nią oparty o kamienny filar.

Z przodu nawy, po północnej stronie i naprzeciw kaplicy, znajdowała się grupa około trzydziestu prawników ubranych w czarne togi. Marine dostrzegła Jean-Marca, który kiwnął jej głową i uniósł rękę na powitanie. Zrobiła to samo i się uśmiechnęła. Zauważyła Yves'a Roussela, siedzącego z panią mer i jej mężem kilka ław za rodziną zmarłego. Roussel wyjął telefon i czytał właśnie jakiegoś SMS-a. Co za brak wyczucia, pomyślała Marine. Verlaque przemierzał w tę i z powrotem boczne przejście, wpatrując się w tłum, jakby kogoś szukał.

Przystanął i powiedział coś do Jean-Marca, który również przebiegł wzrokiem po zgromadzonych. Najwyraźniej nie znalazł osoby, której szukali, bo odwrócił się do Verlaque'a i wzruszył ramionami. Wtedy sędzia sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął komórkę i ruszył w stronę drzwi, a za nim Roussel, który z hałasem wstał ze swego miejsca i niemal wybiegł z kościoła.

Père Jean-Luc, najstarszy z dominikanów w Saint-Jean-de-Malte, przeszedł przed ołtarzem w stronę trumny Étienne'a i zwrócił się do wiernych:

– W imieniu Isabelle de Bremont i rodziny Bremontów chciałbym wam wszystkim podziękować za to, że dzisiaj przyszliście. – Kapłan spojrział na dzieci i ciągnął: – Zaczniemy tę ceremonię od czegoś niezwykłego. Każdy z kolegów Raphaëla siedzących tutaj przy mnie napisał list lub narysował obrazek nieba dla rodziny Bremontów. Teraz chciałbym prosić dzieci, by tutaj podeszły i złożyły swoje podarunki przy trumnie.

Dzieci powoli wstały, jedno po drugim klękały i układały rysunki oraz listy w kręgu wokół trumny z ciałem Étienne'a. Do oczu Marine cisnęły się łzy, a Sylvie otwarcie płakała, tak jak na każdym weselu i pogrzebie.

Były zbyt daleko, by widzieć rysunki, ale z miejsca, gdzie siedziały, Marine dostrzegła, że na większości dominują jasna zieleń i błękit. Przypuszczała, że to drzewa, trawa i morze. Rysunek Marine wyglądałby podobnie, ale dodałaby też plamy jaskrawego różu, przedstawiające bugenwille pnące się po żółtych ścianach Paradiso, bo tak nazywała w myślach liguryjską średniowieczną wioskę, gdzie ona i Verlaque spędzili kiedyś dwutygodniowy urlop. Pierwszego wieczoru padli sobie wtedy w ramiona i śmiali się, stojąc na tarasie na dachu ich apartamentu – z trzech stron rozciągał się widok na Morze Śródziemne, a za nimi wznosił się różowo-żółty barokowy kościół, zbudowany przez dumnych mieszkańców wsi w XVII wieku. Rano pływali w kryształowo czystym morzu, do którego schodziło się z wioski po kamiennych schodach. Wracali do apartamentu na lunch, przepyszne makarony, które gotował Verlaque, mięciutkie brzoskwinie na deser, a potem ucinali sobie drzemkę, a morskie powietrze delikatnie unosiło białe płócienne zasłony w sypialni. Budzili się z reguły około trzeciej, gotowi na mocną włoską kawę i pracowali lub czytali do szóstej, a potem znów schodzili nad morze, by popływać, i czasem wdawali się w pogawędki z mieszkańcami wsi, którzy mieli podobny zwyczaj. Jedli kolację na swoim tarasie albo w restauracji w wiosce – również z widokiem na morze; prowadził ją ekscentryczny genueńczyk, który zakochał się w dziewczynie z wioski w 1959 roku i już nigdy stamtąd nie wyjechał. Przysięgli sobie, że zachowają nazwę wsi w tajemnicy i nie zdradzą jej nawet bliskim przyjaciołom, i choć Marine dobrze znała to włoskie wybrzeże, bo przyjeżdżała tam z rodzicami od czasu, gdy nauczyła się chodzić, to jednak w tej wiosce nigdy wcześniej nie była i nie potrafiła sobie wyobrazić, jak jej rodzice mogli przeoczyć takie miejsce.

Spojrzała teraz na nich, siedzących z Mathilde Bley, i pomyślała, że całkiem możliwe, że ich stopa nigdy nie postąpiła w Paradiso. Ich wakacje bardzo się różniły od wakacji Marine. *Monsieur* i *Madame* Bonnetowie pochodzili z pokolenia francuskich urzędników służby cywilnej, którzy wakacje spędzali na wędrówkach, rok w rok jeździli w to samo miejsce, rano robili sobie kanapki i nosili je w plecakach, a znaczną część prowiantu kupowali we Francji. Marine nie wiedziała, czy robili tak dlatego, że sądzili, iż włoskie jedzenie jest droższe, czy też uważali je za gorsze. Pewnie trochę jedno i drugie. Żadnych wizyt w miejscowych restauracjach, w ogóle zero hedonizmu z wyjątkiem kieliszka różowego wina wieczorem. Na szczęście podczas każdego sierpniowego urlopu zabierali ze sobą starszą kuzynkę Marine, która w dzień zabierała ją nad morze i obie cieszyły się, że nie muszą wędrować po rozgrzanych i zakurzonych gajach oliwnych.

Przez resztę nabożeństwa Marine na przemian zatapiała się w myślach i powracała do rzeczywistości. Eric Bley i jakiś filmowiec z Souleiado Films wygłosili doskonałe mowy pogrzebowe, skupiając się na życiu Étienne'a i jego oddaniu rodzinie i sztuce. Marine pomyślała, że to dziwne, że François, najbliższy żyjący krewny Étienne'a, nie powiedział nic od siebie. Rozejrzała się po pierwszych ławach i stwierdziła, że tego ranka go nie widziała. Pochyliła się do Sylvie i szepnęła.

– Nie ma brata Étienne'a.

– Dziwne. Może utknął gdzieś z tyłu – odparła przyjaciółka. – Kościół jest wypełniony po brzegi.

Gdy ceremonia dobiegła końca, dzwony zaczęły powoli bić i mniej więcej połowa zgromadzonych ruszyła *rue* du Maréchal Joffre w stronę cmentarza. Na zewnątrz było cieplej niż w kościele, a niebo nie zdawało się już takie szare, jak wcześniej.

Duża grupa przyjaciół i członków rodziny zebrała się przy grobie. Większość z nich nosiła modne okulary przeciwsłoneczne, bo słońce było bardzo ostre. Marine pomyślała, że to dziwne widzieć żałobników noszących *ray-bany*. Słyszała kadetów biegających na pobliskiej bieżni, niektórzy się śmiali i rozmawiali. Życie toczy się dalej. Père Jean-Luc zmówił kolejną modlitwę, a Isabelle de Bremont podeszła do dołu, wzięła garść ziemi i rzuciła ją na trumnę. Reszta zgromadzonych ustawiła się w kolejce i poszła za jej przykładem. Siostra Isabelle, Sophie, którą Marine знаła z widzenia, ale nigdy z nią nie rozmawiała, stała z boku i zanosila się niekontrolowanym płaczem.

Gdy Marine czekała w kolejce, by rzucić garść ziemi na trumnę, poczuła, że jej komórka wibruje w kieszeni płaszcza. Idąc do kościoła, Marine przestawiła ją na wibracje na wypadek, gdyby dzwonił ktoś z uniwersytetu – odwołała zajęcia, by móc przyjść na pogrzeb. Wyszła z kolejki i odebrała telefon.

– Jesteś na cmentarzu?

Verlaque. Jak zwykle się nie przedstawił.

– Tak, oczywiście – odparła szorstko.

– Potrzebuję twojej pomocy. Wciąż zamierzasz do mnie zajrzeć dziś wieczorem?

Zastanawiała się, czy tego nie odwołać.

– Dziś wieczorem? – spytała z wahaniem.

– Tak. Nie pamiętasz już?

– Nie wiem, czy dam radę, Antoine.

– Marine, François nie żyje.

– Co takiego? – zapytała, zaciskając rękę na telefonie.

– Nie zauważyłaś, że nie było go na pogrzebie? – spytał Verlaque i ciągnął, nie czekając na odpowiedź. – Dziś rano znaleziono go martwego w stawie przy *château*. Dozorcę zabrano na przesłuchanie. Tym razem jest oczywiste, że śmierć nie nastąpiła wskutek wypadku. To już dwa zgony, oba w Saint-Antonin i sądzę teraz, że mają związek z tamtym miejscem albo z przeszłością. Muszę szybko zrozumieć historię tej rodziny, a ponieważ byłaś z nimi związana, może nawet poproszę cię, byś pojechała ze mną do Var i pomogła mi przesłuchać siostrę Auvieux. To zimna ryba, ale ponieważ ją znałaś, gdy była młodsza...

– Jean-Claude? – przerwała mu Marine. – Dlaczego jest przesłuchiwany? Widział coś?

– Nie. Twierdzi, że kiedy to się stało, był w gaju oliwnym.

– Twierdzi? Antoine, chyba ufasz Jean-Claude'owi, prawda?

– Chciałbym, wierz mi. – Sędzia umilkł na chwilę, a potem szybko dodał: – Możemy na chwilę zapomnieć o naszej przeszłości? Dziś wieczorem wszystko ci wyjaśnię.

## Rozdział

### dwunasty

*Rue d'Italie* była dla Marine najbliższym pasażem handlowym i wciąż mieściło się przy niej wszystko, czego potrzeba do przyzwoitego życia – dwie *boulangeries*, trzy sklepy mięsne, apteka, dwie kwiaciarnie, sklep z winami, sklep z serami, sklep z narzędziami, jedno biuro podróży, dwie agencje nieruchomości, sklep ze zdrową żywnością, do którego nigdy nie zajrzała, oraz kilka kawiarenek. Marine starała się jak mogła wspierać te małe sklepiki od czasu, gdy jej przyjaciel André musiał zamknąć swój sklep z serami w związku z ogromnymi podwyżkami czynszów w Aix oraz faktem, że coraz mniej ludzi kupowało dobre sery. Odkąd André przeniósł się do Marsylii, gdzie interesy szły mu jeszcze gorzej, w jego dawnym lokalu były już trzy różne sklepy z odzieżą, z których żaden nie przetrwał roku. André powiedział Marine, że jego zawód wymiera – młodych ludzi nie interesowały już tradycyjne *métiers*. Sprzedawcy serów muszą wstawać o świcie, by odebrać dostawy, a właściciele sklepów mięsnych o czwartej rano jeżdżą do rzeźni. Łatwiej jest pracować w sklepach sieci odzieżowych. Postanowiła, że zadzwoni do André i zapyta, jak mu idzie.

Wpadł na nią jakiś nastolatek i powiedział *pardon*; Marine zdała sobie sprawę, że od ponad pięciu minut wpatruje się we włoskie kosze na śmieci z nierdzewnej stali na wystawie sklepu z narzędziami. Nie była w stanie uwierzyć, że to się dzieje naprawdę: że Antoine Verlaque znów pojawił się w jej życiu, Étienne nie żyje, a François został zabity.

– Zamordowany... – mruknęła półgłosem. Wzdrygnęła się i szybko ruszyła boczną uliczką do sklepu odzieżowego, którego właścicielem był jeden z jej najlepszych przyjaciół, Vincent. Sprzedawał męską odzież, bardzo tradycyjne garnitury o doskonałym kroju, ale zaczynał też specjalizować się w designerskiej odzieży i jako jedyny w Aix miał wyłączność na nową ekskluzywną linię wysmienitych dżinsów marki Levi's dla kobiet i mężczyzn. Być może małe zakupy dobrze jej zrobią.

Marine otworzyła przeszkłone drzwi sklepiku i uderzył w nią podmuch z klimatyzacji.

– Naprawdę potrzebujesz klimatyzacji w kwietniu? – spytała, widząc Vincenta.

– *Chèrie!* Świetnie wyglądasz! – przyjaciel objął ją i obdarzył nie dwoma, lecz czterema *bises*. – Moim klientom robi się gorąco w przebieralniach. Jeśli będą się czuli komfortowo, przymierzając ubrania, więcej kupią. – Wymienili

uprzejmości, bo ich rodziny od wielu lat łączyły bliskie związki i Marine chodziła do tej samej klasy, co starsza siostra Vincenta, Josie. Potem Vincent spoważniał i powiedział piskliwym szeptem:

– To straszne, co się stało z Étienne’em de Bremont, prawda? Widziałem cię na pogrzebie, ale byłaś bardzo daleko.

Marine uśmiechnęła się na tę uwagę, nie do końca pewna, czy ta gra słów była zamierzona. Może i w kościele siedziała bardzo daleko od Vincenta, ale była też całkowicie pogrążona w myślach.

– Tak, zgadza się.

– Josie nie mogła przyjechać z Paryża, ale będzie w ten weekend. Może uda nam się wszystkim gdzieś wybrać na drinka?

– Pewnie. Byłoby miło ją znów zobaczyć. Kopę lat.

– Był piękny, prawda?

– Że co?

Vincent wyciągnął rękę i chwycił Marine za ramię.

– *Coucou!* Marine! Ziemia do Marine! Pogrzeb!

– Ach! Tak, był piękny. Te dzieci...

Vincent wspiął się na palce i kilka razy szybko pomachał dłońmi.

– I ci prawnicy! W czarnych togach!

Marine wybuchnęła śmiechem. Chciała zmienić temat, nie dlatego, że nie miała ochoty rozmawiać o pogrzebie, ale ponieważ nie mogła powiedzieć Vincentowi, że François również nie żyje.

– Muszę sobie kupić te wyczesane džinsy. – Uwielbiała Vincenta, ale absolutnie nie mogła mu zdradzić, że François został zamordowany, bo wtedy dowiedziałoby się o tym pół Prowansji i pół Paryża. Sama wciąż nie mogła w to uwierzyć.

– Zobaczmy – powiedział Vincent, trzymając ją za nadgarstek. Mruknął pod nosem: – Nosisz rozmiar trzydziesty.

– Ostatnio nosiłam dwudziestkę dziewiątkę – odparła.

Zimą przytyła, co wynikało z wielu rzeczy, między innymi z tego, że ona i Sylvie mniej więcej w tym samym czasie zerwały ze swoimi partnerami i że zimą lubiła jadać mięso z ziemniakami i sery popijane czerwonym winem. Jej obecny facet, Arthur, był wegetarianinem. Teraz przypomniła go sobie przy jedzeniu i pojęła, że chyba nie za bardzo lubił jeść, a przynajmniej niewiele o tym mówił.

– Tak mi się wydawało, ale nic nie chciałem mówić. Poza tym jesteś taka ładna, że to nic nie znaczy. Chcę, żebyś przymierzyła te. – Wyciągnął trzydziestkę z wytartymi nogawkami i tylnymi kieszeniami, które wyglądały tak, jakby wypchano je paczkami papierosów. Marine się spodobały mimo tego efekciarskiego wytarcia. Zabrała je do przymierzalni, dalej rozmawiając z Vincentem i co jakiś czas wysuwając głowę zza aksamitnej zasłony.



Wyszła i obróciła się przed lustrem.

– Są świetne – zawołała. Przyjrzała się swojemu odbiciu, akceptując w wieku trzydziestu pięciu lat swoje kręcone kasztanowe włosy, z którymi nigdy nie potrafiła zrobić niczego sensownego, orli nos i pełne usta. Mimo wszystkich wad wciąż udawało jej się sprawiać, że mężczyźni odwracali za nią głowy, co w mieście takim jak Aix, pełnym wspaniałych drobnych dwudziestoparolatek było nie lada osiągnięciem.

– Świetnie leżą, wydłużają ci nogi – zauważył Vincent. – Masz dość krótkie nogi jak na swój wzrost. Jakbyś składała się głównie z torsu. Ja na przykład lubię taki wygląd. Używając amerykańskich rozmiarów, masz wewnętrzną długość nogawki trzydzieści dwa, ale dałem ci trzydzieści cztery, żebyś mogła je nosić do butów na obcasach.

– Jesteś ekspertem, Vincent – powiedziała Marine, klepiąc go lekko po ramieniu. – Dlaczego nie otworzysz butik z damską odzieżą?

– Myślę o tym, *chérie*. Wiesz, że wolę ubierać kobiety. Są pod tym względem o wiele odważniejsze i bardziej wrażliwe od mężczyzn. Muszę tylko znaleźć właściwy lokal. W tej chwili nie ma w Aix nic ciekawego na sprzedaż ani do wynajęcia. Prawie codziennie przychodzą tu agenci z biur nieruchomości i pytają mnie, czy nie chcę sprzedać tego lokalu. Dużo się zmieniło od czasu, gdy byliśmy dziećmi, *non*? – Vincent ujął Marine za ramiona i przyjrzał jej się. – A ponieważ tak długo się znamy, widzę, że coś cię męczy. Co się dzieje, dzieciaku? Widzę to w twoich wielkich zielonych oczach.

Zniżyła głos i odparła:

– Antoine Verlaque prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Étienne’a.

– Ach, o to chodzi. Domyślałem się, że coś jest na rzeczy. Widziałem go na pogrzebie, ale wcześniej wyszedł. Dlaczego miałby prowadzić śledztwo w tej sprawie?

– Charles i Eric Bleyowie poprosili o wszczęcie dochodzenia.

Vincent kiwnął głową, nie do końca pewny, czym jest dochodzenie. W każdym razie lubił ubierać Erica Bleya. Facet miał wspaniałe, szerokie ramiona i całkiem śmiały gust co do marynarek i akcesoriów. Wymierzył palec w Marine i powiedział:

– Mam nadzieję, że Verlaque, ta wielka małpa, to już dla ciebie przeszłość...

– Pracuję nad tym – uśmiechnęła się Marine.

– Tak mi przykro z powodu rodziny Bremontów, zwłaszcza Isabelle. Przynajmniej François i Étienne zdążyli się spotkać w zeszłym tygodniu.

– Jak to? – głos Marine załamał się lekko na dźwięk imienia François.

– W zeszłym tygodniu François zajął do mnie i kupił ten fantastyczny garnitur z niebieskiego aksamitu od Pierre’a Cardina. Niesamowicie na nim leżał! Wyglądał jak żywcem wyjęty z jakiegoś obrazu.

– Był w zeszłym tygodniu w Aix? – zdziwiła się Marine. – Kiedy?

– Niech no się zastanowię... Chyba jakoś na początku tygodnia, w poniedziałek albo wtorek. Tak, bo w środę wziąłem sobie wolne i zostawiłem sklep dziewczynom. Pojechałem do Saint-Tropez, żeby trochę popracować nad opalenizną. Interesuje cię, o czym mówił?

– Jasne – odparła Marine, starając się, by zabrzmiało to normalnie.

– Opowiadał mi o pięknych blond modelkach, które ma na jachcie. Na pewno myśli, że jestem hetero. – Vincent przerwał na chwilę i przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. Był drobnej budowy, ubrany w kwiecistą kobiecą bluzkę; jasne włosy z długą grzywką ciągle opadały mu na twarz. – Nie – odpowiedział na własne pytanie – niemożliwe, żeby tak myślał. – Pochylił się w stronę Marine i szepnął: – Wszyscy wiedzą, że te dziewczyny to rosyjskie prostytutki. Dziś rosyjska mafia jest wszechobecna na Côte.

– Skąd to wiesz?

– Po prostu wiem – odparł Vincent z szelmowskim uśmiechem, kołysząc się na piętach. – Poza tym Étienne i Isabelle de Bremont byli tu jakiś miesiąc temu. Podśledzałem, jak się kłócili o François i *château*.

– Niezbyt to z ich strony dyskretne – zauważyła Marine. – Rozmawiać głośno o takich sprawach.

– Nic nie mogli na to poradzić. Étienne był w kabinie i coś przymierzał. Nie mógł wyjść, bo był półnagi, a Isabelle ciągle wsuwała głowę do przymierzalni, no wiesz, jak to zwykle żony. Pewnie myśleli, że nikt ich nie słyszy, bo zasłony są grube i grała akurat muzyka, ale byłem na zapleczu, tam gdzie mam biuro i mały warsztat krawiecki. Ściana w przebieralni nie sięga aż do sufitu, więc wszystko słyszałem. W każdym razie kłócili się o *château*. – Posłał Marine zatroskane spojrzenie i dodał: – Nie mów o tym nikomu. Nie powinno się tak mówić o zmarłych. W każdym razie Isabelle powiedziała, że chciałyby sprzedać zameczek, bo ma już dość bycia bez grosza i w ogóle, po co go trzymają, skoro nikt z rodziny z niego nie korzysta. I nie chciała, żeby Étienne wyrzucał pieniądze na garnitur.

– Nigdy bym się nie spodziewała, że Isabelle mogła powiedzieć coś takiego.

– Wiem. Ten garnitur bosko na nim leżał.

Marine klepnęła Vincenta gazetą w głowę.

– Ty paskudo! Świetnie wiesz, że miałam na myśli *château*.

Vincent się zaśmiał.

– Tak, wiem. To okropne mówić coś takiego, ale może teraz będzie mogła go sprzedać. Jestem pewien, że François nie jest zainteresowany zatrzymaniem zameczku.

Marine kiwnęła głową i podeszła do kasy. Musiała stąd wyjść, zanim wszystko wypapla. Żałowała, że nie ma kogoś, z kim mogłaby porozmawiać

i wyplakać się na jego ramieniu. Pozostawał jej tylko Verlaque.

– Muszę już lecieć na zajęcia – powiedziała, wyjmując z torebki portfel. – Świetne dzinsy, Vincent. Zostanę w nich. Oderwij tylko metkę.

– Do usług – odparł Vincent. – I dam ci zniżkę studencką, bo przecież jesteś kimś w rodzaju wiecznego studenta. – Odprowadził ją do wyjścia i spytał: – Powiedzieć ci, co wiem o Verlaque’u?

Marine zmarszczyła brwi i zastanawiała się przez jakieś trzy sekundy.

– Nie – odparła.

– Grzeczna dziewczynka – powiedział Vincent i obdarzył ją głośnym *bise*. Gdy wyszła, jeszcze przez chwilę stał w drzwiach i myślał o tym, że w zeszłym tygodniu widział sędziego z jakąś angielską modelką. W „Lotosie” było wtedy mnóstwo ludzi i Vincent stał akurat obok tej pary, czekając przy barze, aż zwolni się stół. Rozdrażniło go to, bo aż do tej chwili robił spore postępy z Dario, włoskim barmanem. Vincent i Verlaque się przywitani i przez chwilę gawędzili, a potem sędzia skupił się na swojej towarzyszce, która Vincentowi wydała się jedną z tych kobiet, które wymagają ciągłej uwagi. I choć nie rozumiał ich prowadzonej po angielsku rozmowy, świetnie pojął to, co niewypowiedziane: czułe gesty i gruchanie zakochanych, takie same dla wszystkich, niezależnie od orientacji seksualnej czy narodowości. Był prawie pewny, że Marine coś przed nim ukrywa. Ale cóż, on też miał swoje sekrety.

Marine ruszyła *rue d’Italie* do kawiarni; nie przepadała za nią, ale po południu można tam było posiedzieć na słońcu. Zająła miejsce przy okrągłym marmurowym stoliku i zamówiła kawę, szczęśliwa, że może chwilę spokojnie posiedzieć. Czowała się wykończona. Założyła okulary przeciwsłoneczne i obserwowała przechodniów, w większości nieświadomych, że dopiero co odbył się pogrzeb młodego mężczyzny, ojca czwórki dzieci. Zobaczyła, że zbliża się do niej wysoki barczysty mężczyzna. W pierwszej chwili wzdrygnęła się, sądząc, że to Verlaque, ale mężczyzna był od niego wyższy, więc zaraz się rozluźniła, ale natychmiast znów się wyprostowała, zakłopotana. To był Arthur. Przez ostatnich kilka dni kompletnie o nim zapomniała. Czy to normalne? Teraz uświadomiła sobie, jak bardzo przypominał Verlaque’a. Według jednej z teorii Sylvie, kobiety zawsze wybierały podobny fizycznie typ mężczyzn. I jak wiele innych teorii przyjaciółki, ta również była słuszna.

– Cześć, kochanie – powiedział Arthur. – Patrzysz sobie na świat?

– Tak. Zabawne, jak życie toczy się dalej.

Arthur Vassan ujął dłoń Marine i ją pocałował.

– Jak było na pogrzebie?

– Był piękny – odparła Marine. – I czy to nie brzmi okropnie? Czy pogrzeb może być piękny?

– Przypuszczam, że tak. Choć nigdy na żadnym nie byłem.

– Żartujesz sobie. Nie byłeś nawet na pogrzebie dziadków?

– Wszyscy jeszcze żyją – odparł. Marine przypomniała sobie, że Arthur ma dopiero dwadzieścia parę lat. On tymczasem ciągnął. – Odeszło kilku moich stryjecznych dziadków i stryjecznych babć, ale moi rodzice uważali, że dzieci nie powinno się zabierać na pogrzeby. – Marine pomyślała, że to dziwne, by lekarz używał w tym kontekście słowa „odejść”.

– Och, zupełnie się z tym nie zgadzam. Na pogrzebie uczysz się akceptować śmierć. I jesteś wtedy duchem ze zmarłymi. Oni o tym wiedzą, jestem tego pewna. Potrafię to wyczuć.

Arthur uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Marine wolałaby ciągnąć dalej tę dyskusję; tak by zrobiła z Verlakiem.

– Nie rozmawiajmy o pogrzebach – zaproponował Arthur, obejmując ramieniem Marine. Pochylił się, by ją pocałować.

– No to kiedy wyjeżdżasz do tego Palo-coś-tam? – spytała, odsuwając się od niego.

– Do Palo Alto. Dziś wieczorem. Lecę z Marsylii do Frankfurtu, a potem z Frankfurtu do San Francisco.

Marine dopiła kawę i zostawiła trochę drobnych na stoliku. Chciała jak najszybciej wrócić do domu, ale też pozbyć się Arthura. Nie potrafiła przestać myśleć o Verlaque’u i ich spotkaniu dziś wieczorem.

– Musisz już iść? – spytał Arthur. I dodał, mrugając do niej: – Myślałem, że może pomożesz mi się spakować.

– Muszę iść na uczelnię – odparła i zaraz pomyślała, że przynajmniej to nie jest kłamstwem. Naprawdę miała spotkanie z dziekanem wydziału prawa. – Baw się dobrze w Kalifornii i olśnij ich na konferencji.

– Dzięki. Zadzwoń do ciebie po powrocie.

Marine uśmiechnęła się i pomachała mu na pożegnanie. Ruszyła ulicą w stronę uczelni i przez ramię zawołała jeszcze:

– Dobra! *Ciao!*

Dlaczego nie powiedział po prostu „umarli”? – zastanawiała się, lawirując w tłumie ludzi robiących zakupy. Potem uświadomiła sobie, że to jedna z tych rzeczy, które najbardziej drażnią Verlaque’a: po co używać długiego, niewłaściwego słowa, skoro wystarczy krótkie i trafiające w samo sedno?

## Rozdział

### trzynasty

Marine jak w półśnie ruszyła z uniwersytetu *rue du 4 Septembre*. Choć bardzo chciała uczestniczyć w śledztwie i pomóc ustalić, w jaki sposób zginął Étienne de Bremont, a teraz również François, na myśl o tym, że ma pójść do mieszkania Antoine'a, czuła motylki w brzuchu. Choć nie chciała się do tego przyznać sama przed sobą, jeszcze nigdy nikt nie pociągał jej fizycznie tak jak Verlaque. Nie potrafiła tego wyjaśnić. Seks z Arthurem był czuły i słodki, ale Arthur nie działał na nią tak jak Antoine. Na samą myśl o jego dłoniach dotykających jej ciała zarumieniała się, tak jak wtedy w poczekalni u dentysty, gdy czytała „Paris Match”.

Minęła grupkę swoich studentów trzeciego roku, którzy próbowali ochlapać kolegów wodą z fontanny na Place des Quatre Dauphins.

– *Salut, professeur Bonnet!* – zawołali do niej.

Pomachała im i poszła dalej. Pamiętała te igraszki przy fontannie, gdy była młodsza – to chyba było w szkole średniej. Na pewno w szkole średniej, pomyślała. Pewnie nawet w gimnazjum.

Jej tegoroczni studenci wydawali się tacy młodzi i apatyczni. Niedawno zrobiła studentom pierwszego roku wykład o historii francuskiego prawa; na początku studiów uwielbiała te zajęcia. Ale dzisiaj męczyła się, by utrzymać ich uwagę i zapoczątkować jakąś dyskusję. Zupełnie jakby chcieli wszystko dostać na talerzu, zrobić notatki, a potem sobie pójść i wrzucać kolegów do fontanny. Z każdym rokiem zauważała, że jej studenci są wprawdzie równie inteligentni jak poprzedni rocznik, ale za to mniej kulturalni i niezainteresowani otaczającym ich światem. Verlaque twierdził, że to wina internetu i MTV, ale Marine pamiętała, że ponad trzydzieści lat temu jej matka narzekała na to samo.

Skreśliła w prawo, w swoją ulicę, i minęła trypoziomowy dom, z którego przez otwarte okna na ulicę sączyła się klasyczna muzyka fortepianowa. Aix-en-Provence reklamowano jako *ville de musique*, i było to całkowicie słuszne. Można było przejść się dowolną ulicą dzielnicy Mazarin i usłyszeć, jak ktoś podśpiewuje sobie coś z opery, gra na wiolonczeli albo na fortepianie. „Love is the voice of music, love is the voice of music” – nie potrafiła sobie przypomnieć, z jakiej piosenki pochodziły te słowa. Była prawie pewna, że to musiała być jakaś płyta CD z muzyką house, którą nagrała dla niej Sylvie. Marine zgaśniła się w duchu. To nie była pora na takie bzdury. Nie żyło dwóch braci, jeden z nich został zamordowany. Pomyślała o tym, jak musiał się czuć Jean-Claude, kiedy

znalazł zwłoki – zwłoki swoich pracodawców i dawnych towarzyszy zabaw. Co wtedy zrobił? Krzyczał, wołając pomocy? A może nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa?

Z przeciwnej strony zbliżał się właściciel sklepu komputerowego mieszczącego się przy jej ulicy. Marine przystanęła i wymieniła z nim *bises*. Normalnie przez chwilę by z nim porozmawiała, ale chciała jeszcze wypić kieliszek białego wina na swoim tarasie, zanim pójdzie do Antoine'a. Bywały takie chwile, gdy musiała zobaczyć iglicę Saint-Jean-de-Malte, i dziś właśnie tak było. Potrzebowała ukojenia, a widok iglicy zawsze tak na nią działał. Chciała też zajrzeć do swoich pnących róż, które niedawno zaczęły kwitnąć. Marine lubiła rozpieszczać swoje rośliny – czuła się wtedy jak jedna z tych kulturalnych Angielek, które spędzają całe dni, rozplątując pędy róż w swoich ogromnych ogrodach w Somerset czy w Devonshire, wieczorem jedzą prostą kolację – tuńczyka z puszki i świeże pomidory – a potem w zapadającym zmierzchu piszą wiersze, wyglądając na pokryty rosą ogród lub wzburzone morze. Antoine i jego babcia wprowadzili Marine w angielską literaturę, którą w przeciwieństwie do nich czytała we francuskim przekładzie.

Marine wstukała kod do domofonu, otworzyła ciężkie, zielone drzwi i szybko weszła po schodach do mieszkania na trzecim piętrze. Odłożyła portfel i kluczyki do starego fajansowego naczynia z Quimper, stojącego na stoliczku z czarnego szkła, który kupiła na wyprzedaży w Habitat. Przeszła do kuchni, otworzyła lodówkę i naląła sobie kieliszek białego wina. Nie chciała iść do Verlaque'a z pustym żołądkiem – bała się, że za szybko się upije albo że powtórzy scenkę z oliwkami z poniedziałkowego lunchu. Zmusiła się więc, by przełknąć trochę sera, wyglądając przy tym przez balkonowe drzwi na iglicę kościoła. Wino doskonale pasowało do sera, nawet ona to czuła. To był stary comté – z wierzchu twardy i wyschnięty, ale w środku wciąż wilgotny, niemal tłustawy. Otworzyła drzwi i wyszła na taras.

W świetle wczesnego kwietniowego wieczoru iglica kościoła miała bladożółty kolor. Nim nadejdzie ósma, stanie się lśniąco pomarańczowa, ale to potrwa zaledwie kilka minut, a później w mgnieniu oka stanie się szara szarością Paryża i innych miast na północy Francji. Marine popijała wino i po raz kolejny zaczęła myśleć o tym, jak Étienne de Bremont wypadł z okna. Powróciło wcześniejsze uczucie pustki. Głowa wydawała się ciężka: Étienne był jej przeszłością, jej łatwym, wygodnym dzieciństwem. Teraz, gdy on nie żył, nagle poczuła się stara. Nie potrafiła zmusić się do myśli, że to François de Bremont mógł pchnąć brata, nawet jeśli sam był zadłużony i być może miał kłopoty z prawem. I jeśli nie myliło ich przecucie i Étienne został zabity, to ta sama osoba musiała zamordować również François. W dzieciństwie nigdy go nie lubiła, miał mroczną stronę, która ją przerażała. Marine podsłuchiwała raz, jak jej matka mówi do

ojca, przekonana, że Marine ich nie słyszy: „Zupełnie jakby jeden brat dostał wszystko, co dobre, a drugi wszystko, co złe”.

Z przyjemnością stwierdziła, że rośliny mają się dobrze. Wiosną zawsze pierwsza kwitła hortensja; Marine dotknęła kiści. Każda składała się z czterdziestu–pięćdziesięciu maleńkich, delikatnych, pięciopłatkowych kwiatów w kolorze kości słoniowej. Na dwóch pnących różach rosnących po obu stronach drzwi do kuchni było mnóstwo grubych pączków tylko czekających, by się rozwinąć. Natomiast malina, którą zasadziła dla córeczki Sylvie, Charlotte, wyglądała na ledwie żywą. Marine postanowiła, że zadzwoni do rodziców, by się poradzić w tej sprawie. Lubiła mieć jakiś powód, żeby do nich zadzwonić; byli tak zajęci, że czasem dzwoniąc ni z tego, ni z owego, czuła się, jakby im przeszkadzała.

Lawenda – roślina, która zawsze kwitła ostatnia – czekała na potworne lipcowe upały, porę roku tak gorącą, że Marine w dzień nie była wtedy w stanie wytrzymać na tarasie. Natomiast wieczorami, gdy jadła kolacje przy świecach, czuła unoszący się w powietrzu zapach lawendy. Przykłęła teraz i potrząsnęła lekko liśćmi rośliny; ich zapach przypominał jej te popołudnia, gdy jeździła z Verlakiem po Haute-Provence. Opuszczony dach porsche i woń otaczającej ich dzikiej lawendy. Verlaque nie przepadał za krajobrazami Prowansji, zawsze narzekał, że brakuje mu zielonej trawy i pasących się krów. Prawdziwy Antoine, przypomniawszy sobie, ukrywa się gdzieś w pewnej willi w Normandii. Była jednak przekonana, że nauczył się kochać Prowansję i że przeczytał już więcej opowiadań Jeana Giono niż ona sama. Raz, gdy miała grypę, sięgnął po *Człowieka, który sadził drzewa*, usiadł na skraju łóżka i jej przeczytał.

Marine wróciła do kuchni, wstawiła pusty kieliszek do zlewu i sięgnęła po torebkę.

– *Merde* – mruknęła, zerkając na zegar na piekarniku. Spóźni się kilka minut na spotkanie z Verlakiem. Otworzyła drzwi mieszkania, ale zaraz pobiegła z powrotem po komórkę, którą zostawiła na blacie w kuchni. Gdy wyszła na ulicę, telefon zaczął wibrować, informując, że dostała SMS-a. To był Verlaque: „Właśnie wychodzę z Palais de Justice. Mogłabyś mi kupić cygaro po drodze?”.

Gdy przechodziła na drugą stronę Cours Mirabeau, na tarasie Le Mazarin siedziała połowa członków palaczy cygar. Wymienili *bises*, wielokrotnie pytano ją: *tout va bien?* i: *ca va?*. Jean-Marc zerwał się z miejsca, odciągnął Marine na bok i pocałował ją w policzek.

– To był piękny pogrzeb, prawda? – spytał.

– Tak, dokładnie to samo pomyślałam. Piękny. – Marine była teraz spokojna. Zawsze tak się czuła w obecności Jean-Marca. – Jean-Marc, co mówisz, kiedy ktoś umiera?

– Nie rozumiem.

– No wiesz... mówisz, że „odszedł”, „przeniósł się do wieczności” albo coś w tym stylu?

Jean-Marc się roześmiał.

– Nie, po prostu mówię, że umarł. Prosty, bezpośredni język prawnika, *non*? Czy dobrze odpowiedziałem, pani profesor? Mam wrażenie, jakby to był jakiś test.

– Tak, to właściwa odpowiedź. – Nie czuła już motylków w brzuchu. – Słuchaj, powiedz mi, jakie cygaro powinnam kupić dla Antoine’a? Właśnie idę do niego na drinka. – Podśledzało to dwóch innych mężczyzn i zaczęła się cała seria pohukiwań i cmoknięć. – Sprawy zawodowe – odparła Marine, a wtedy jeszcze bardziej zaczęli się z nią przekomarzać. Odwróciła się z powrotem do Jean-Marca. – Jakież propozycje?

– Upmann. Zdecydowanie coś kubańskiego – oświadczył Fabrice, prezes klubu i stały bywalec kawiarni. – Upmann 46. Po prostu poproś Carole, żeby ci takie sprzedała – powiedział, mając na myśli piękność o oliwkowej cerze prowadzącą *tabac* swoich rodziców. Znów rozległy się śmiechy. Marine przeprosiła, poszła kupić cygaro dla Verlaque’a i spoglądając w witryny sklepowe, ruszyła *rue Clémenceau*. W tej maleńkiej uliczce minęła dwa sklepy z bielizną – w jakimś czasopiśmie Aix okrzyknięto ostatnio „najseksowniejszym miastem Francji”. Wygląda na to, że jego mieszkańcy – les Aixoixes – kupują w przeliczeniu na głowę więcej bielizny niż paryżanki. No cóż, z pewnością było to prawdą w odniesieniu do niej samej i do Sylvie, do Carole zapewne też.

Skreśliła w lewo w *rue Espariat* i przystanęła, by spojrzeć na Place d’Alberts, gdzie dwóch młodych mężczyzn ustawiało właśnie fortepian na brukowanym placu.

– Dziś wieczorem będzie koncert? – spytała ich.

– Tak, ragtime – odparł ten z bardziej rozczochranymi włosami.

– O której?

– Kiedy uda nam się poskładać nasze graty – powiedział ten drugi, śmiejąc się i męcząc z fortepianem.

– A tak poważnie, *Madame*, to około dziewiątej – wyjaśnił pierwszy.

Marine odeszła ze śmiechem, ale po chwili się zatrzymała. Zwrócił się do niej per „*Madame*”. *Merde!* Muszę wyglądać na czterdziestkę, pomyślała. Zadzwoiła komórka; Sylvie nagrała jej wiadomość. Wiedziała, że Marine wybiera się do Verlaque’a. Próbowwała zaśpiewać słowa hitu Donny Summer *I Will Survive* swoim bardzo kiepskim angielskim. Na koniec piosenki Sylvie dodała: „Bądź ostrożna, pamiętaj, że jesteś równie silna jak on, i na dodatek seksowniejsza! A właśnie, mogłabyś popilnować Charlotte w sobotę wieczorem? *Bises, ciao chérie*”. Po kolejnych pięciu minutach spaceru Marine dotarła na ulicę Verlaque’a i skreśliła w prawo. Wcisnęła jedyny przycisk, przy którym nie widniało żadne nazwisko. Drzwi otworzyły się bez rozmowy przez domofon i zaczęła



wspinać się na czwarte piętro. Czy Verlaque przywita mnie przy drzwiach? – zastanawiała się. Zwykle zostawiał je lekko uchylone i musiała wchodzić do mieszkania i go szukać. Nigdy nie czuła się dobrze z tym, że nie czekał na nią na progu. Niewychowany facet, myślała, zwłaszcza po tym, jak prawie się zabiła, wspinając się cztery piętra w butach na obcasach. Dotarła na górę i odetchnęła głęboko; nie chciała, by Verlaque się zorientował, jak bardzo jest nie w formie. Nie było go przy drzwiach, więc weszła.

– *Coucou?* Gdzie jesteś? – zawołała. – Verlaque, jakie to dla ciebie typowe, że mnie nie witasz – mruknęła. Te słowa wyrwały jej się naturalnie, choć wiedziała, że później może ich żałować.

– Jestem na tarasie – odkrzyknął Verlaque. Ruszyła po mokrych śladach stóp, otworzyła przeszklone drzwi i wyszła na patio, gdzie stał Verlaque i się wycierał.

– Och – mruknęła Marine, odwracając się. – Nie należysz do nieśmiały.

– Przepraszam – odparł Verlaque, ubrany w same bokserki. Miał na tarasie zainstalowany tekowy prysznic i gdy było dostatecznie ciepło, wolał z niego korzystać. Szybko chwycił czysty golf i naciągnął przez głowę. Marine wyglądała przepięknie, ale z drugiej strony zawsze tak wyglądała na jego tarasie.

Różowe światło zmierzchu padało na jej piegowatą twarz; ptaki szczebiotały i zataczały szybkie kręgi nad ich głowami; na placu poniżej dzieciaki grały w piłkę. Stała z rękoma opuszczonymi przy szczupłych biodrach i przyglądała mu się z krzywym uśmiechem. Wyraźnie dało się wyczuć, że jest pewna siebie, i Verlaque musiał ukryć pożądanie, które nagle poczuł.

– Nie sądziłem, że zjawisz się tak szybko – wyjąkał. – Szampan się chłodzi. – Wskazał bosą stopą na stare srebrne wiaderko stojące na tekowych deskach. – Mogłabyś przynieść dwa kieliszki z kuchni?

– Żaden problem – odparła Marine, zadowolona, że nie będzie musiała patrzeć, jak Verlaque kończy się ubierać. Weszła do kuchni i otworzyła szafkę na lewo od zlewu, ale nie było w niej kieliszków, tylko talerze i miseczki. Antoine coś poprzestawiał, pomyślała, i po chwili znalazła kieliszki po prawej stronie. Wbiegła z powrotem po schodkach, pragnąc jak najszybciej usłyszeć wieści o François.

Wyszła na taras, a Verlaque otworzył szampana, nie odrywając od niej wzroku.

– No więc co się stało z François? – spytała zdyszana. – Powiedz mi o wszystkim.

– Został zamordowany, to pewne. Uduszono go.

– O mój Boże – mruknęła Marine, czując, że robi jej się niedobrze. Usiedli przy tekowym stole. Marine westchnęła i ukryła twarz w dłoniach. Może i François de Bremont nie był godnym zaufania człowiekiem, ale teraz zrobiło jej się nieopisanie smutno. – Biedny Jean-Claude – westchnęła. Spojrzała na sędziego

przez zasłone loków i dostrzegła jego surową minę. – Antoine, chyba nie sądzisz, że on to zrobił? Nie potrafiliby skrzywdzić nawet muchy.

– Przesłuchaliśmy go w komisariacie – odparł Verlaque – ale po kilku godzinach wypuściliśmy go do domu. Był w kiepskim stanie, ale też podenerwowany. Wszyscy wolelibyśmy myśleć, że tego nie zrobił, ale fakty są takie, że teraz mamy zwłoki w kostnicy. Bruno uważa, że François zamordował ktoś, kto go znał, nie było żadnych śladów walki. Zgadzam się z nim. W każdym razie zaraz po telefonie pojechałem do Saint-Antonin. Strażacy i lekarz sądowy zjawili się równocześnie. Biedny François unosił się z twarzą skierowaną w dół w tym ozdobnym stawie przed *château*. Nie żył od niecałej godziny. Od razu przesłuchałem Auvieux. Twierdził, że jak zwykle obudził się o szóstej i około wpół do ósmej wstawił kawę dla François; wybierali się razem na pogrzeb. Mniej więcej za kwadrans ósma Auvieux poszedł przespacerować się po gaju oliwnym.

– Rano, tego dnia, gdy miał się odbyć pogrzeb? – przerwała mu Marine.

Verlaque kiwnął głową.

– Spytałem go dokładnie o to samo, ale powiedział, że spaceruje po tym gaju każdego ranka. Twierdzi, że to działa na niego jak kawa na niektórych ludzi. Kiedy Auvieux wracał, usłyszał jakiś samochód i wybiegł na podjazd. Przez bramę szybko wyjeżdżał czarny mercedes. Numery były zachlapanie błotem, coś takiego łatwo mogło się zdarzyć na *la route de Cézanne*, bo w nocy padało. Ale Auvieux udało się zauważyć, że numery kończyły się na 06. Powiedział mi, zresztą całkiem słusznie, że nie spodobał mu się ten samochód i jak najszybciej pobiegł do *château*. Twierdzi, że wszedł do środka i zawołał François ze schodów, ale w domu było cicho. Wyszedł z powrotem na zewnątrz i ze schodów zobaczył ciało unoszące się w stawie. Podbiegł do niego i wyciągnął głowę z wody, ale François już nie żył. Lekarz sądowy twierdzi, że Bremonta najpierw uduszono, wszystko wskazuje na to, że gołymi rękoma. To mogło trwać niecałe pięć minut, a Auvieux mówił, że w sadzie był przynajmniej przez kwadrans.

– Gołymi rękoma? – spytała Marine. – François może nie był olbrzymem, ale pamiętam, że był silny.

– Był w dobrej formie – zgodził się z nią Verlaque. – Ale zamordować mógł go ktoś większy i silniejszy. Na przykład ktoś taki jak Auvieux.

Marine się skrzywiła.

– Albo mogło ich być więcej?

– Możliwe – odparł Verlaque. – Wygląda też na to, że Auvieux uratował codzienny spacer po gaju oliwnym. Morderca pewnie sprawdził budynek, ale nie przyszło mu do głowy, by zajrzeć na tyły, albo nie miał na to czasu.

– Mam dla ciebie informację – powiedziała Marine. – Nie jestem pewna, czy to ważne.

– Mów dalej.

– Dowiedziałam się jakby przypadkiem. Poszłam się zobaczyć z Vincentem, no wiesz, tym moim przyjacielem, który ma sklepik przy *rue d'Italie*. Chciałam sobie kupić jakieś nowe dżinsy, ale chyba zajrzałam tam, bo podświadomie wiedziałam, że Vincent zna wszystkich w Aix.

Marine zauważyła, że Verlaque się wzdrygnął.

– Tak. Zna na pamięć mój rozmiar garnituru i koszuli.

– No właśnie – podjęła Marine. Opowiedziała Verlaque'owi o rozmowie z Vincentem i o kłótni Bremontów w jego sklepie. Verlaque z kolei opowiedział jej o kłótni François i Isabelle na *cours*.

– Wierzysz w to, co ci mówiła Isabelle de Bremont? – spytała Marine, która w końcu była w stanie spojrzeć na Verlaque'a.

– Nie. Ona coś ukrywa, podobnie jak jej siostra. Właściwie to każdy coś ukrywa, Jean-Claude również. To wszystko zaczyna przypominać jedną z tych staromodnych sztuk, w których każdy ma jakiś sekret i wszyscy bohaterowie zerkają z ukosa, gdy tylko ktoś poruszy się choćby o cal w eleganckim salonie.

– O, tak. W salonie pełnym kwiatów. Kobiety są ubrane w ciemny aksamit, a mężczyźni w wytworne tweedowe garnitury i wszyscy palą, używając długich lufek z kości słoniowej.

– Właśnie – zaśmiał się Verlaque. Przyglądał się Marine, nie potrafił oderwać od niej wzroku. Czuł grudę w gardle.

– No i... co teraz? – Przerwała milczenie Marine.

– Ach tak! Dziś po południu rozmawiałem o tym z Bruno. Chciałbym, żebyś zamieniła kilka słów z siostrą Auvieux. Najpierw wyjaśnij jej, co się stało, a potem spróbuj wydobyć od niej jak najwięcej informacji. Chcę się dowiedzieć, czy dozorca lubił François, czy go nienawdził, albo czy może żywił wobec niego jakąś urazę. Tak jak ci mówiłem przez telefon, znałyście się przecież jako dzieci.

– O ile ona mnie pamięta. Proszę – powiedziała Marine, podając mu cygaro, Verlaque zaś podał jej kieliszek szampana.

– Rany! Czterdziestka szóstka! Co za cacko! Dziękuję – ucieszył się i pocałował ją w policzek.

Komórka Marine zaczęła dzwonić, więc sięgnęła po nią do torebki.

– To pewnie Sylvie – wyjaśniła wpatrującemu się w nią Verlaque'owi. – Chce, żebym w sobotę zajęła się jej córką.

Marine spojrzała na wyświetlacz; dzwoniła Marie-Pierre, jej przyjaciółka z banku.

– Cześć, Marie-Pierre – odebrała.

– Słuchaj, nie mam dużo czasu, bo wychodzimy do kina. Ale sprawdziłam konta Étienne'a i Isabelle de Bremont. Mogę wylecieć z pracy za to, że ci to mówię.

– Nie martw się, to w imieniu prawa – zapewniła ją Marine.

– Wiem, wiem. W każdym razie słuchaj! Bremontowie wcale nie są biedni.

– Co takiego?

– No cóż, na ich wspólnym koncercie jest niewiele środków, za to zostało mnóstwo pieniędzy na osobnym koncercie, którego, jak się wydaje, używał Étienne. Niemal przeoczyłam to drugie konto, bo jest na inny adres. Wygląda na to, że wyciągi są wysyłane do Saint-Antonin.

W pierwszej chwili Marine zamurowało, ale zaraz przypomniała sobie, że nie podziękowała przyjaciółce.

– Dziękuję, Marie-Pierre. Baw się dobrze na filmie.

– Wątpię. Zabieram dzieciaki na Harry'ego Pottera. *Bises, ciao!*

Marine zakończyła rozmowę i powtórzyła Verlaque'owi, co mówiła jej przyjaciółka.

– To takie typowe dla szlachty – stwierdził Verlaque.

– Co masz na myśli? – spytała, sięgając po garść nerkowców.

– Udawać, że nie masz pieniędzy, chociaż tak naprawdę je masz. Czy to wstyd mieć niezły samochód? Dlaczego arystokracja jest tak dumna, że musi ukrywać swoje pieniądze?

Dyskutowali o tym już chyba z tysiąc razy.

– Według mnie uważają, że tak jest dyskretniej. – Przypomniała sobie jednak rozklekotany wózek dla dziecka i w pewnym sensie musiała przyznać Verlaque'owi rację. – Ale poczekaj... Vincent mówił, że wtedy w jego sklepie kłócili się o pieniądze, i Isabelle powiedziała, że ma dość bycia bez grosza.

– Czyli nie wiedziała o tym drugim koncercie. – Verlaque dołał im trochę szampana. Marine usiłowała zrozumieć, dlaczego właściwie tu jest. Verlaque prawie ciągle się na nią gapił, ale poza tym robił niewiele. Wszystko to mogli sobie powiedzieć przez telefon. Szampan miał jednak magiczny wpływ i Marine zobaczyła, że Antoine się uśmiecha, opada na oparcie krzesła i głaszcze się po brzuchu, tak jak zawsze, gdy czuł się całkowicie swobodnie.

– Choć dziś rano niewiele widziałem, i tak mnie to wzruszyło – powiedział.

– Prawnicy w togach, dzieciaki ze szkoły... A ty, jak uważasz?

– Zgadza się z tobą. W jakiś sposób to było magiczne. Po tym, jak wyszedłeś, dzieci zostawiały przy trumnie swoje rysunki nieba. To mi nasunęło na myśl Paradiso, naszą włoską kryjówkę.

– Tam było naprawdę jak w niebie, czyż nie? – Verlaque przyknuł oczy, pyknął cygaro i nagle spytał: – Co tam u twojego nowego chłopaka? – Pochylił się w stronę Marine z jawną kpina w oczach.

Udając zszokowaną, wytrzymała jego spojrzenie. Nie wspominała Verlaque'owi, że ona i Arthur z całą pewnością nie są jeszcze parą. To nie była jego sprawa.

– Skąd o nim wiesz? W każdym razie i tak właśnie wyleciał do Kalifornii.

– Wiem. Na Uniwersytet Stanforda. – Verlaque zauważył zaskoczenie na twarzy Marine. – Kochanie, czy zawsze muszę ci przypominać, że Aix to małe miasteczko. Wieści się roznoszą. Pamiętaj, że mamy trochę wspólnych przyjaciół. No to co jest między wami? A może to nie jest na poważnie?

– Zamknij się! – Marine z całej siły próbowała się nie roześmiać. Czuła się niemal do szaleństwa szczęśliwa, siedząc z Antoine’em na tarasie, i pragnęła, by czas się zatrzymał. Nie, chciała cofnąć zegary i sprawić, żeby Étienne wciąż żył. I François.

– Gdzie weganin chodzi na kolacje?

Marine głośno się roześmiała.

– Jest wegetarianinem, nie weganinem, i chyba zamorduję Jean-Marca!

– Nie bądź na niego zła. Chciał dla ciebie jak najlepiej. Zmusiłem go, żeby mi powiedział wszystko o panu doktorze.

– A niby dlaczego Jean-Marc miał to zrobić?

Uśmiech Verlaque’a lekko przybladł, ale wciąż igrał na jego uroczych szerokich ustach. Wpatrywał się w Marine. Po chwili odparł cicho:

– Bo, moja śliczna, świetnie wie, jak bardzo wciąż mi na tobie zależy.

Marine patrzyła na niego oszołomiona, niezdolna wydobyć słowa. Milczenie się przeciągało. Wpatrywali się w siebie i żadne z nich nie śmiało się poruszyć ani głębiej odetchnąć. Verlaque przełamał impas; wstał i oparł się plecami o balustradę z kutego żelaza.

– Hej – powiedział, patrząc na swój brzuch – myślisz, że trochę schudłem?

Marine się zaśmiała. Wyciągnęła rękę i poklepała go po brzuchu. Spojrzała na niego, nie cofając dłoni.

– Zawsze miałaś słabość do mojego brzuszka, prawda?

W tym momencie zadzwoniła komórka Verlaque’a. Gdy zobaczył, że to Paulik, przeprosił, zmierzwił włosy Marine i poszedł odebrać telefon w kuchni.

– Zadzwoniłem do mojego kuzyna Fréda i spytałem go, jakim samochodem François de Bremont jeździ na Côte – powiedział Paulik. – Czarnym range roverem. A latem śmiga na vespie – dodał.

– Czyli nie jest żadnym fanem Volkswagena Golfa? – spytał Verlaque, patrząc przez przeszklone drzwi na Marine.

– Najwyraźniej nie. Ale po co się tak fatygować i sprowadzać golfa z Saint-Antonin?

– Nie mam pojęcia. To mi naprawdę nie daje spokoju. – Verlaque podziękował Paulikowi za telefon, obaj życzyli sobie miłego wieczoru i się rozłączyli.

Marine ze zdziwieniem zauważyła, że szybko opróżnili butelkę szampana, a teraz Verlaque otwiera czerwone wino. Spojrzała na etykietę i stwierdziła, że to Gigondas; ta nazwa z czymś jej się kojarzyła. Była prawie pewna, że to małe

miasteczko w Rodanie. Sylvie miała teorię, że zawsze należy sprawdzać zawartość alkoholu w winie, zwłaszcza jeśli było się sam na sam z atrakcyjnym mężczyzną, który nie był twoim partnerem. Jeśli zawartość alkoholu przekraczała 12,5 procent, taki wieczór mógł przybrać niebezpieczny obrót. Verlaque się odwrócił, by rzucić na grilla kotlety z jagnięciny – w piekarniku były też cienkie szparagi z mnóstwem oliwki i czosnku – i wtedy Marine złapała butelkę i stwierdziła, że zawartość alkoholu wynosi 14 procent. Wypiła już jednak tyle szampana, że jej zdolność logicznego myślenia była... no cóż... nie największa.

Zjedli kolację, śmiejąc się i rozmawiając o wycieczce do Piemontu w czasach, gdy byli razem. Marine przytyła podczas tej wycieczki chyba z pięć kilogramów. Nie miała w domu wagi, ale po powrocie nie mogła się wbić w swoje ulubione džinsy. Droczyli się i Verlaque zaczął głaskać ją po nodze. Nie wydawało mu się to ani trochę nienaturalne, choć w ostatnich miesiącach nie byli parą. Pozwoliła mu na to. Pieścił ją tak podczas całej kolacji i potem, gdy jedli ser i popijali go winem, a na koniec gdy zajadali się świeżymi truskawkami.

– Jesteśmy zupełnie jak stara para – stwierdził w końcu.

– Nie, Antoine, nie jesteśmy parą – odparła. I po chwili spytała łagodnie: – Jesteś szczęśliwy?

– Tak sobie – powiedział, spoglądając w kieliszek.

Marine zaczęła wpadać w panikę.

– Vincent napomknął mi dzisiaj, że ostatnio z kimś byłeś. Masz kogoś?

– Nie – odpowiedział Verlaque, nie patrząc na nią.

Zadrzała. Nagle zapragnęła być w domu, sama.

– Muszę już iść – powiedziała, składając serwetkę i odkładając ją obok talerza.

– Poczekaj. Proszę. Nie idź jeszcze – powiedział i tym razem na nią popatrzył.

– W porządku. Daj mi dwie sekundy – odparła i szybkim krokiem ruszyła do łazienki. Jak zawsze w kluczowym momencie wieczoru musiała biec za potrzebą. Chciał ją poprosić, żeby u niego przenocowała? I co będzie, jeśli to zrobi? A kogo to będzie obchodzić? Nikogo z wyjątkiem Sylvie, a ona nie musi się dowiedzieć. Marine ruszyła przedpokojem i pokonała dwa stopnie prowadzące do łazienki. Zamknęła się w środku i oddychała głęboko, oparta o drewniane drzwi.

Usiadła na muszli i wtedy przypomniała sobie o muzycznej wiadomości od Sylvie. Bądź ostrożna, pomyślała. Zaczęła przerzucać czasopisma leżące na kafelkach. Te same co zwykle u Verlaque'a. Pisma żeglarskie, dwa numery „Cigar Aficionados” i „Economist” po angielsku. I na samym dole sterty francuski „Vogue”. Antoine przecież nienawidzi czasopism o modzie, pomyślała. Podniosła je i spojrzała na okładkę – numer z tego miesiąca. Wciąż miało naklejkę z adresem – Lady Emily Watford, 76 rue d'Assas, 75006, Paryż. Marine dobrze знаła tę ulicę.

Przez rok prowadziła badania na Université Panthéon-Assas, naprzeciw Jardin du Luxembourg. W szóstej *arrondissement* nawet małe mieszkanie kosztowały fortunę. Zrobiło jej się niedobrze. Ktoś z eleganckim nazwiskiem, mieszkający w tym eleganckim miejscu, bardzo niedawno odwiedził Verlaque'a. Ta głupia lady Emily czytała pewnie to czasopismo w TGV w drodze do Aix. Marine wyobraziła sobie blondynkę w przedziale pierwszej klasy, ubraną w mini od Prady podkreślającą jej długie, szczupłe nogi. Długie i opalone. To ona musiała robić te pieprzone porządki w kuchni! To o tym próbował jej napomknąć Vincent! Musiał widzieć ich na mieście. Aix faktycznie jest małe.

Wróciła na taras i sięgnęła po torebkę.

– Wychodzisz? – spytał Verlaque i spojrzał na nią. – Nie chcesz zostać i wysłuchać, co ci chciałem powiedzieć?

– Nie, nie mogę. To znaczy nie mam czasu. Muszę ocenić prace i jestem zmęczona. – Usłyszała, że Verlaque mówi coś za jej plecami, ale nie zrozumiała słów. W jednej chwili była przy drzwiach i zbiegła schodami na ulicę. Przystanąła dopiero, gdy skręciła na Place de l'Archevêché. Wypatrzyła kosz na śmieci i – jak miała nadzieję, dyskretnie – zwymiotowała do niego całą kolację. Jak ujęła to później Sylvie, nie pochorowała się bynajmniej przez szampana czy przez wino, tylko jej serce i brzuch były tak pełne miłości, że musiała to z siebie jakoś wyrzucić. Może wreszcie pozbywała się z organizmu Verlaque'a?

– To nasz najgorszy koszmar – dodała Sylvie, kładąc jej na czole ciepły ręczniczek. – Dowiedzieć się, że mężczyzna, którego kochamy, pieprzy kogoś innego.

– Musisz to ujmować aż tak dosadnie? Co mi próbujesz powiedzieć? Że Verlaque kocha tę Emily?

Sylvie odłożyła ręczniczek i upiła łyk zielonej herbaty.

– Może powinnaś to wziąć pod uwagę.

– Wielkie dzięki, Sylvie – jęknęła Marine. – Tylko dlaczego jestem taka zdenerwowana? Ja też się z kimś spotykam!

– A kochasz Arthura Vassana? – spytała przyjaciółka. I parsknęła.

– Co cię tak bawi?

– Arthur Vassan. Antoine Verlaque. Mają takie same inicjały.

Marine milczała przez chwilę, a potem burknęła:

– To nic nie znaczy.

Sylvie położyła jej dłoń na ramieniu.

– Tak, masz rację. Ale... mogłabyś przecież wytatuować sobie na pośladku serce z „AV”.

Obie wybuchnęły śmiechem.

## Rozdział

### czternasty

Zadzwoiła komórka, co zmusiło go, żeby odsunąć się od drzwi tarasu, przy których kilka minut temu, kompletnie zdumionego, zostawiła go Marine. Przyprawiała go o taką frustrację, była taka niewiarygodnie uparta, taka odurzająca.

– *Oui*, tu Verlaque.

– Tu Olivier Madani, prezes Souleiado Films z Marsylii. Przepraszam, że dzwonię do pana o tej porze, panie sędzio, ale dziś wieczorem do późna pracowaliśmy nad filmem. Jeden z pana ludzi odwiedził mnie w poniedziałek i byliśmy tak zajęci, że nie mogłem mu poświęcić dużo czasu.

– Dziękuję, że pan dzwoni – odparł Verlaque. Zaskoczyło go trochę, że Madani skontaktował się z nim osobiście. Zamknął drzwi mieszkania, które Marine zostawiła otwarte, i przeszedł przez salon, by pozamykać okna. Zrobiło się chłodniej.

– Czujemy się tu w wytwórni dość kiepsko, panie sędzio. Étienne był bardzo lubiany, wszystko działało tak jakby dzięki niemu. Artyści potrafią czasem być trudnymi ludźmi, ale on taki nie był.

– Nie jestem tym zaskoczony – odparł szczerze Verlaque. – Étienne de Bremont wywarł na mnie ogromne wrażenie, gdy robił ze mną wywiad do waszego filmu dokumentalnego o przestępczości.

– No cóż, właśnie dlatego dzwonię. Ten dokument... powinienem był powiedzieć o tym sierżantowi, ale mieliśmy tyle na głowie, za długo siedziałem w ciemni, więc byłem trochę rozkojarzony. Ten dokument pojawił się dziewięć miesięcy temu, ale gdy Étienne go kręcił, zadzwonili do nas... eee... – Madani się zawahał – ...oni.

Verlaque zrozumiał, ale mimo to spytał ostrożnie:

– Kto?

Madani przez chwilę milczał. Odchrząknął.

– Myślę, że obaj wiemy, o kim mówimy.

Oczywiście, pomyślał Verlaque. Mafia z powiązaniem z Ajaccio na Korsyce. Gdy turyści spali sobie po całym dniu robienia zdjęć siedemnastowiecznych kamienic w Aix oraz fontann, korsykańska mafia podkładała bomby w nocnych klubach lub barach, które nie chciały płacić za ochronę. W lutym bombę zdetonowano w angielskim pubie, w którym, według Verlaque'a, podawano świetnego Guinnessa. Nikomu nic się nie stało, ponieważ wybuch nastąpił o czwartej nad ranem, ale właściciel się spakował i wrócił do



Manchesteru.

– Panie sędzio? Jest pan tam?

– Tak, proszę mówić dalej.

– Podczas kręcenia filmu – ciągnął Madani – po tym, jak Étienne przeprowadził pierwszych kilka wywiadów, zaproszono mnie na lunch, a właściwie kazano mi się zjawić. To był lunch z... – w tym miejscu zniżył głos – Fabrizio Orsanim.

– Ach – mruknął Verlaque. Dobrze znał to nazwisko. Orsani był ojcem chrzestnym rejonu Marsylii.

Madani, któremu ulżyło, szybko mówił dalej, bez dalszego zachęcania ze strony sędziego.

– Zjawił się z czterema młodymi facetami. Dość dobrze zbudowanymi. Wszyscy byli z Korsyki, wiem to, bo moi rodzice wychowali się w Cargèse. Był bardzo uprzejmy. Muszę przyznać, że nawet go polubiłem. Powiedział mi tylko, żebyśmy uważali, żebyśmy byli ostrożni z tym, co zamieścimy w filmie, i z tym, co postanowimy pominąć. Chciał się spotkać z Étienne’em, ale powiedziałem mu, że to mój najlepszy reżyser i że mam do niego pełne zaufanie. Zabawne, bo wtedy Orsani się roześmiał i powiedział „Mam nadzieję, że nie jest takim idiotą jak ten jego brat”.

– A potem nic? – spytał Verlaque.

– Nic. Nie mogli być niezadowoleni z filmu, uważam, że był dość neutralny. Potem, gdy już zdobyliśmy nagrodę, słyszałem, że Orsaniemu nawet trochę pochlebiali to, jak odnieśliśmy się do niego w filmie.

– Wydało mi się dziwne, że Étienne nie wspomniał w filmie o rosyjskiej mafii – zauważył Verlaque. Wyjął z szafki gorzką czekoladę i odłamał kawałek, przyciskając telefon ramieniem do ucha.

– Mnie też i pytałem o to Étienne’a, jeszcze zanim zaczął kręcić – odparł Madani. – Ale on uważał, że film będzie miał mocniejszy przekaz, jeśli skupi się na jednym mieście i jego mafii. Jak pan wie, korsykańska mafia zawsze miała bazę w Marsylii, a Rosjanie na Lazurowym Wybrzeżu. Étienne uwielbiał Marsylię. I jeszcze jedno – ciągnął – nie wydaje mi się, żeby to się silnie dało odczuć w filmie, ale zupełnie jakby Étienne kochał... *non*, to niewłaściwe słowo... raczej szanował korsykańską mafię albo wykazywał osobliwe nią zainteresowanie. Wychwyciłem to podczas rozmów z nim i gdy zobaczyłem materiał przed edycją.

– I jest pan pewien, że Étienne nigdy nie spotkał się z Fabrizio Orsanim?

– Raczej tak, ale nigdy nie wiadomo. Étienne był niekonfliktowy i bardzo sympatyczny, ale potrafił też być niezwykle tajemniczy. Czasem czułem się tak, jakbym tak naprawdę go nie znał, choć przez ponad pięć lat przepracowaliśmy razem niesamowitą liczbę godzin. Ale może taka już jest ludzka natura. Nie sądzi pan, panie sędzio? Wszyscy mamy swoje sekrety.

Verlaque zapalił cygaro, pyknął kilka razy i mruknął coś na potwierdzenie. Pomyślał o Paryżu, o swoich rodzicach, o jej oczach, pościeli w pomarańczowe kwiaty, o splecionych ciałach i zdradzie. Pomyślał o Marine zbiegającej po schodach, zanim miał szansę o wszystkim jej opowiedzieć. Bo przecież to, co się stało tak wiele lat temu, to nie była jego wina, prawda? Otworzył oczy i spojrzął na wenecki obraz w jadalni, czerpiąc z niego siłę. I spytał, już skupiony:

– Nad czym Étienne pracował ostatnio przed śmiercią?

– Nad drugą częścią.

– Nad drugą częścią?

– To miało być coś w rodzaju zakulisowego spojrzenia na kręcenie części pierwszej. Wybierał się na Korsykę, ale potem... potem umarł. Dzwonił do mnie pański komisarz, ma tu przyjechać, by obejrzyć ujęcia. Naturalnie pan też może przyjechać.

– Tak, może tak zrobię. Bardzo lubię Marsylię – odparł Verlaque.

– Świetnie. – Madani podniósł głos, powodowany dumą marsylczyka. – Tak mi was żal, mieszkańców Aix. Mieszkacie w takim nudnym miejscu.

– Na pewno jest tu spokojnie – zgodził się z nim Verlaque. – A tak przy okazji, *Madame* Bremont powiedziała mi, że jej mąż liczył, iż nakręci komercyjny film, ale wycofano mu fundusze. Wiedział pan o tym filmie?

– Tak. I szczerze mówiąc, nie byłem z tego zadowolony. To znaczy cieszyłem się, że Étienne ma scenariusz i może dostanie jakieś środki, ale pełnometrażowy film oznaczałby, że musiałyby od nas odejść. Trochę mi ulżyło, kiedy nic z tego nie wyszło. To okropne, *non*?

– To normalne, *Monsieur*, rozumiem pana. I z tego, co pan wie, nigdy nie udało mu się zdobyć tych środków?

– Nie, nie wydaje mi się – odparł Madani. – Przez kilka tygodni chodził ponury, ale ostatnio wydawał się w lepszej formie. No wie pan, szczęśliwszy.

– Dziękuję za telefon, *Monsieur* Madani – powiedział Verlaque i zakończył rozmowę.

Włączył ekspres do kawy, który zaprogramował na stałe, by robił małe, mocne espresso. Potrafił pić kawę o każdej porze i spać jak dziecko i uważał, że ludzie, którzy twierdzą, że nie są w stanie pić jej po trzeciej, są hipochondrykami albo przynajmniej mają mocno namieszane w głowie. Wrzucił do filiżanki kostkę cukru i zamieszał srebrną łyżeczką, a następnie zrobił to, co zawsze: powoli ją oblizał, delektując się mocną gęstą kawą osłodzoną cukrem.

– *Un bonbon* – mruknął. Być może ta jedna chwila przyjemności była główną motywacją skłaniającą go do picia kawy. Przełknął ją w dwóch łykach i wstawił filiżankę do zmywarki.

Moherowy pled w szkocką kratę, który wieczorami Emmeline zawsze kładła sobie na kolanach, zsunął się z sofy na podłogę. Gdy Verlaque pochylił się, by go

podnieść, zobaczył na dolnej półce regału album ze zdjęciami, które zrobiła; dała po jednym każdemu z braci. Sięgnął po niego i wciąż kucając, zaczął przerzucać strony. Fotografie były kolorowe, ale wiele spłowiało. Album zawierał nawet kilka polaroidów – Charles kupił Emmeline jeden z pierwszych polaroidów, jakie ukazały się na rynku, żeby mogła fotografować na bieżąco swój ogród i obrazy. Verlaque pamiętał to zdjęcie – zrobił je stary, przygarbiony ogrodnik. Była na nim Emmeline w swoim ogrodzie i dwóch chłopców, Antoine i Sébastien. Tę część ogrodu przy murze od południowej strony Emmeline zaprojektowała, używając dziesiątek gatunków kwiatów, z których wszystkie były białe. Verlaque o tym zapomniał. Ogród położony był od południa na akrze płaskiego terenu i Verlaque’owi zawsze wydawał się słoneczny, choć teraz zdawał sobie sprawę, że chodzili tam tylko wtedy, gdy świeciło słońce. Gdy padał deszcz, co często się zdarzało, siedzieli w domu i grali w gry planszowe. Mur z czerwonej cegły otaczający posesję wydawał się niski i podniszczony. Gdy Verlaque był mały, mur sprawiał wrażenie takiego wysokiego i potężnego. Otaczał całą posiadłość. Na północ od domu, od strony wzgórza, teren był zawsze wilgotny i pogrążony w cieniu; coś w rodzaju ziemi niczyjej. Za dom chodziło się tylko po drewno albo w drodze do wsi. W murku z cegły była zielona drewniana furтка, a dalej szło się w górę po kamiennych schodach aż do głównej ulicy wioski Saint-Germain-le-Vasson, gdzie mieszkali *boucher*, *pâtissier*, *boulangier* i gdzie mieściła się mała szkoła. Verlaque uczęszczał do niej przez rok, gdy Emmeline go uratowała i zabrała z Paryża.

Przewrócił kolejne strony i dotarł do innego zdjęcia; stał na nim z rodzicami po obu stronach. Nie potrafił sobie przypomnieć, w jaki sposób Sébastien wykręcił się od pozwania. Twarz ojca była napięta, jakby słońce świeciło mu w oczy, choć wcale nie było słonecznie. Uśmiech matki był sztuczny, a poza wyprostowana i elegancka. Wciąż taka była. Prawdziwa piękność, ale za mąż wyszła dla pieniędzy, pieniędzy Charles’a i Emmeline – i wszyscy o tym wiedzieli, nawet chłopcy. Ojciec Verlaque’a wkrótce po ślubie zaczął mieć kolejne kochanki; Antoine i Sébastien poznali niektóre z nich. Chłopcy regularnie jadali z ojcem lunch w Café de Flore w Paryżu i często przy takich okazjach pojawiała się jedna z tych kobiet, niby przypadkiem, ale dla chłopców było oczywiste, że te spotkania zostały z góry zaplanowane. Verlaque’owi nigdy to nie przeszkadzało. Te kobiety zawsze wyglądały fantastycznie i w przeciwieństwie do matki rozpieszczały jego i Sébastiena. Usiadł na podłodze, wyciągnął nogi, pyknął cygaro i wyrecytował na głos po angielsku: „They fuck you up, your mum and dad. / They may not mean to, but they do. / They fill you with the faults they had / And add some extra, just for you”<sup>[1]</sup>. Nie był to jego ulubiony wiersz Larkina, ale dobrze pasował do tej chwili i jego rodziców. Rodzice, pomyślał Verlaque. Nikt nie wspominał o rodzicach Étienne’a i François. Zupełnie jakby nigdy nie istnieli.

Zamknął album i pomyślał o swoim ojcu, który zbliżał się do siedemdziesiątki. Verlaque zakładał, że skończył już z kochankami. Jakoś tak się stało, że jego rodzice wciąż byli razem, ale wiedli w Paryżu zupełnie osobne życia. Ojciec zawsze wydawał się szczęśliwszy w Normandii i Verlaque żałował, że nie zaproponował mu, by częściej wybierali się do domu Emmeline. Z początku nie wspominał o tym, bo wiedział, że dla ojca byłoby to zbyt trudne emocjonalnie, ale Emmeline zmarła już ponad pół roku temu, a dom wciąż stał pusty. Zerknął na zegarek – było po jedenastej, za późno, by dzwonić do ojca.

Wstał i zadzwonił do Marine, ale nie odbierała. Konsternacja z powodu jej nagłego wyjścia powoli zmieniała się w złość. Dlaczego nie powiedziała mu, czemu naprawdę wyszła? Był z nią przez ponad rok i wiedział, że jest świetnie zorganizowana; to, że tak późno miałyby oceniać prace, wydawało się bardzo mało prawdopodobne. Zbiegła po schodach tak szybko, jakby uciekała przed czymś strasznym. Nie powiedział niczego niewłaściwego; nic złego nie zrobił. Nalał sobie dużą szklankę gazowanej wody Vichy. To nie była jego ulubiona marka, ale jeden z dowcipniejszych detektywów w Aix, Pierre Minard, przebadał różne wody gazowane i doszedł do wniosku, że Vichy ze swoją wysoką zawartością wodorowęglanów to najlepszy sposób, żeby uniknąć kaca. Zaśmiał się głośno na myśl o Minardzie, który pijany opierał się o bar podczas policyjnej imprezy, a inni funkcjonariusze wykrzykiwali marki wód mineralnych, na co on z pamięci recytował im zawartość wodorowęglanów. Verlaque nalał sobie drugą szklankę, zmusił się, by ją wypić – nienawidził wody mineralnej – i w tym momencie zadzwoniła jego komórka.

Podbiegł do niej.

– Tu Antoine Verlaque – powiedział, nie poznając numeru.

– *Coucou, chère* – odezwał się głos z wyraźnym angielskim akcentem.

– Hej, właśnie o tobie myślałem – skłamał Verlaque.

– Nieprawda, kłamczuchu – odparła po angielsku. – Już o mnie zapomniałeś? Spędziliśmy razem noc w zeszłym tygodniu. Zwykle nie wyjeżdżam do kochanków, to oni przyjeżdżają, żeby się ze mną spotkać. Jesteś bardzo szczęśliwym sędzią, panie sędzio.

Verlaque przypomniał sobie ich wspólną noc; potem przez dwa dni dochodził do siebie. Ale przynajmniej Emily była *un bon coup*, pomyślał.

– Słuchaj, dzwonię z komórki przyjaciółki, za chwilę rozładuje się bateria – ciągnęła Emily, nie czekając na odpowiedź. – Kiedy możesz przyjechać do Paryża?

Musiała być w jakiejś restauracji, słychać było gwar w tle. Verlaque słyszał też brzęk naczyń. Tęsknił za Paryżem.

– Nie wiem, kiedy będę mógł przyjechać – odparł. – Jestem teraz w środku sprawy. Ale przyszedł mi do głowy lepszy pomysł. Co powiesz na Normandię? Jakoś tak za niedługo?

– Że jak? Powiedziałeś Normandia? Ale chociaż gdzieś na wybrzeżu? Deauville?

– Nie, w głębi lądu. To mała miejscowość, nazywa się Saint-Germain-le-Vasson. Myślę, że by ci się tam spodobało. Kiepsko cię słyszę. Gdzie jesteś?

– W Georges – odpowiedziała. Verlaque uwielbiał ten lokal, to było najlepsze miejsce w Centre Pompidou. Można tam było zjeść świetny posiłek w restauracji na ostatnim piętrze i nie czuć się zobligowanym do oglądania sztuki współczesnej. Niewielu współczesnych malarzy lubił, może z wyjątkiem Pierre’a Soulages’a.

– Posłuchaj, to twoje Saint-Germain w Normandii jest na pewno prześliczne – powiedziała. Usłyszał w tle czyjś śmiech. – Ale przez następne kilka tygodni muszę zostać w Paryżu. Piszę artykuł o luksusowych francuskich hotelach. Oddzwon do mnie! Obiecuj, że zadzwonisz! *Ciao!*

– Cześć, Emily – powiedział, kończąc rozmowę. Znow spróbował się dodzwonić do Marine, ale nie odbierała. Kiedy podłączał komórkę na noc do ładowarki, przejrzał zawartość swoich kieszeni. Była tego cała sarta: różne klucze, drobne, paski po cygarach i paragon za lunch w Lotosie. Odwrócił go na drugą stronę i zobaczył numer Caroline. Podeszedł do kosza na śmieci. Jeszcze raz spojrzął na numer, zawrócił, sięgnął po komórkę i wprowadził jej numer do kontaktów.

Wyłączył światło w salonie i ruszył korytarzem do sypialni, zatrzymując się po drodze w łazience, by umyć zęby. Wziął do ręki szczoteczkę i rozejrzał się za pastą. Nigdzie nie było jej widać.

– *Voilà* – mruknął pod nosem.

Dostrzegł „Vogue”; nie przypominał sobie, by wcześniej je widział. Musiało być zagrzebane w koszu razem z innymi czasopismami. Podniósł je i znalazł pastę. Myjąc zęby, jeszcze raz zerknął na czasopismo i wtedy zobaczył naklejkę z adresem. Zamknął oczy. Teraz już rozumiał, dlaczego Marine wyszła w takim pośpiechu.

– To zbyt skomplikowane – powiedział na głos. Wyczerpany wszedł do sypialni i się rozebrał. Rzucił ubrania na podłogę, co zdarzało mu się bardzo rzadko, i runął na łóżko.

<sup>[1]</sup> Pieprzą ci życie mamcia z tatkiem,/ może i nie chcą, ale pieprzą./ Oprócz win własnych na dokładkę/ dają ci jeszcze kilka ekstra (przekład Jacka Dehnela).

## Rozdział

### piętnasty

Verlaque zauważył Marine przy rondzie; wyteęzała wzrok, by zobaczyć każdy przejeżdżający samochód. Promienie słońca padały na przednie szyby, utrudniając rozpoznanie kierowcy. Jechał nieoznakowanym policyjnym wozem, więc zwolnił, zamrugał raz światłami jasnoniebieskiego clio i zatrzymał się przy krawężniku. Przyglądał się Marine, gdy podchodziła do samochodu. Dwóch chłopaków w wieku studenckim również przyglądało jej się z uśmiechem. Verlaque wyszczerzył zęby – lubił patrzeć, jak mężczyźni gapią się na Marine. Jest piękna, pomyślał i prawie powiedział to na głos. Jej czarna sukienka z krepdeszynu przylegała do ciała, choć Marine chyba nie była tego świadoma. Dzięki temu wydawała się jeszcze bardziej kusząca.

Paulik wysiadł z miejsca od strony pasażera i wcisnął swoje wielkie cielsko na tylne siedzenie. Marine szybko usiadła z przodu. Verlaque zauważył, że ma podpuchnięte oczy. Położył rękę na jej ramieniu i spytał:

– Wszystko w porządku?

– Tak, tak. Nic mi nie jest. – Ona i Sylvie nie spały do późna. Przyjaciółka zmusiła ją, by wypila kilka galonów wody, i wyglupiały się w internecie, szukając Pani-Jak-Jej-Tam. Dzięki Sylvie Marine dziś rano nie czuła się kiepsko, a przynajmniej nie z powodu alkoholu. Ścisnęło ją w żołądku na myśl o tym, że znalazła zdjęcie lady Emily w internetowym „British Vogue”. Angielka była w Saint-Tropez i miała na sobie bardzo skąpe bikini. Jakie były szanse, że Verlaque znajdzie jedną z nielicznych chudych Angielek? A może ogólnie były chudsze niż Amerykanki? Sądząc po turystkach spacerujących po Aix, Amerykanki prawie zawsze były wielkie i przyciskały do biustów litrowe butelki wody mineralnej. Dlaczego nie wchodziły do kawiarni i nie zamawiały sobie kawy i karafki wody? I Marine przypomniała sobie jedną z licznych teorii Sylvie na temat Amerykanów – byli ekstremalni, grubi albo chudzi, i muskularni; piwosze albo abstynenci; przejadali się albo mieli obsesję, by jeść tylko beztłuszczowe produkty. Może z Anglikami było tak samo?

– No więc co pamiętasz o Cosette Auvieux? – spytał Verlaque, spoglądając na Marine.

– Niewiele – odparła. – Biorąc pod uwagę, ile czasu spędzałam w *château*, powinnam ją lepiej pamiętać. Zawsze chowała się po kątach albo gdzieś znikwała z François. Naprawdę myślisz, że mogę ci w tym pomóc? A co, jeśli ona mnie nie pamięta?

– Możliwe, że to nie będzie miało znaczenia. Jakoś mi się wydaje, że wolałaby być przesłuchiwana przez kobietę – podsunął Paulik.

– Zgadza się – potwierdził Verlaque. – A poza tym sprawiasz, że przy tobie ludzie dobrze się czują. – Szybko zerknął na Marine, a potem znów skupił spojrzenie na drodze. – Zazwyczaj – dodał szeptem.

Marine ścisnęło się serce. Zaczynała mieć wątpliwości co do swojego głupiego, gwałtownego zachowania. Może istniało jakieś sensowne wyjaśnienie, dlaczego znalazła w łazience to czasopismo. Może jakaś kuzynka z Anglii? Nie odpowiedziała – nie chciała wchodzić w takie dyskusje przy Brunonie.

Zmarszczyła brwi i spytała:

– Czy Cosette ma jakieś alibi na wczoraj rano?

– Tak – odpowiedział Paulik. – O ósmej była w Bar Centrale w Cotignac i piła kawę. Musiała wcześniej otworzyć salon, bo jej współniczka jest chora. Pierwszy klient zjawił się tuż przed dziewiątą.

– Zanim odwiedzimy *Madame Auvieux* – powiedział Verlaque – zajrzemy do mojego przyjaciela Marca, który ma winnicę pod Cotignac. Gdy byliśmy tu ostatnio z Paulikiem, odkryliśmy, że François de Bremont ma romans, to znaczy miał romans z Sophie Valoie de Saint-André.

– Zwariowałeś? – spytała zdumiona Marine.

– Zgadza się, to dziwna para. Ale od stycznia spędzali co drugi piątkowy wieczór w pensjonacie Marca.

– To będzie dziwne popołudnie – stwierdziła Marine. – Mam robić notatki?

– Ja się tym zajmę – powiedział Paulik.

– Bruno, możesz nam powiedzieć, co się dzieje w Cannes? – poprosił Verlaque.

– François de Bremont miał podejrzenie zażyłe kontakty z człowiekiem o nazwisku Lever Pogorovski. – Paulik powoli wymówił rosyjsko brzmiące nazwisko, patrząc na Verlaque'a i Marine.

– Obawiam się, że nigdy nie słyszałem o twoim Pogorovskim – zauważył Verlaque.

Paulik podkasał rękawy i pochylił się jeszcze bardziej między dwa przednie siedzenia, podekscytowany, że może im powiedzieć coś nowego. Wyjął mały notes i zaczął czytać:

– Lever Pogorovski, Gruzin, urodzony w 1952 roku. Ma kanadyjskie obywatelstwo, podobnie jak jego żona, Maria. W 2001 roku kupili słynną Villa Nina w Saint-Jean-Cap-Ferrat na Lazurowym Wybrzeżu, za sto milionów euro. – W tym miejscu komisarz przerwał, czekając na stosowne westchnienia. – Dwa miesiące później kupili za trzy miliony dwieście tysięcy wiejską posiadłość w Megève. W kolejnym roku kupili kurort narciarski w górach niedaleko Nicei, za trzystaście milionów siedemset tysięcy. Na pięćdziesiąte urodziny żony kazał

wybudować na tarasie miniaturowe Tadź Mahal.

Verlaque parsknął, a Marine głośno się zaśmiała. Paulik czytał dalej, trochę podrażniony tym, że mu przerwano:

– Tamtego wieczoru wydali sześćdziesiąt osiem tysięcy euro na fajerwerki i dziesięć tysięcy na kwiaty. Ma szwajcarskiego prawnika w Zurychu i firmę Astro Holding z siedzibą w Luksemburgu, która z kolei jest właścicielem jego firmy paliwowej Comgaz.

– Był kiedyś aresztowany? – zapytał Verlaque.

– Nie – odparł Paulik. – Jest czysty. Córka Borysa Jelcyna, Tatiana, jest częstym gościem w Villa Nina. Ale dziś rano mój kuzyn Fréd potwierdził, że Pogorovski to ważna szycha w rosyjskiej, a raczej w tym wypadku gruzińskiej mafii. A poza tym jego żona jest właścicielką agencji modelek w Nicei. I zgadnijcie, kto tam pracuje od czasu do czasu?

– François de Bremont – powiedział Verlaque.

Marine z niesmakiem rozłożyła ręce.

– Trudno w to uwierzyć. Jak mogliśmy do tego dopuścić? Jak to możliwe, że grupka rosyjskich oszustów rządzi Lazurowym Wybrzeżem?

– To postępowało od końca dziewiętnastego wieku – odparł Verlaque. – Wdowa po carze Mikołaju, Aleksandra, należała do pierwszej fali Rosjan, którzy odkryli Lazurowe Wybrzeże.

– Zgadza się – odparła z poirytowaniem Marine. Strasznie ją drażniło, gdy Verlaque udawał, że zna historię lepiej niż ona. – Ale nie sprzedawała heroiny.

– Nie – przyznał Verlaque – ale urządziła naprawdę niezłe imprezy. – Wszyscy troje się zaśmiali. – Mów dalej, Paulik. Jak François de Bremont jest w to zamieszany?

– Policja z Cannes powiedziała mi, że jak na razie jest, a raczej był, zamieszany tylko w taki sposób, że umawiał rosyjskie dziewczyny. Jeszcze nie wiadomo, czy były tylko paniami do towarzystwa, czy luksusowymi prostytutkami. Miały rosyjskich i francuskich klientów. Zarówno mój kuzyn Fréd, jak i Pellegrino, ten gliniarz, który grywa w polo, potwierdzili, że za każdym razem, gdy ktoś wspomina o François de Bremont przy mafiosach albo nawet przy policjantach, zawsze słychać westchnienia i jakieś niemiłe słowa. Fréd ujął to najlepiej, François to najgorsza zaraza, ale ma dobre znajomości.

– A to oznacza władzę – stwierdziła Marine.

– Właśnie – potwierdził Paulik.

Verlaque skupił się na drodze. Pomyślał o tym, co powtarzał Madani, szef Étienne'a: ojciec chrestny marsylskiej mafii, Fabrizio Orsani, nazwał François idiotą. Ta uwaga nasunęła Verlaque'owi na myśl film *Ojciec chrestny*. Jeden dostał wszystko, co dobre, a drugi wszystko, co złe, jak Marine wyraziła się o braciach Bremont. Jeden brat spokojny i inteligentny, drugi dziki i irracjonalny.



Verlaque pomyślał o twarzach obu aktorów i powiedział:

– Bruno, kupię ci wielką butelkę wina od Marca, jeśli mi powiesz, jak się nazywał aktor, który grał w *Ojcu chrzestnym* Sonny’ego.

– James Caan – odparł z uśmiechem Paulik.

– *Merde.*

## Rozdział

### szesnasty

Przywitali się i Verlaque przedstawił Marine jako wykładowczynię prawa z Uniwersytetu w Aix. Marine starała się tym nie przejmować; nawet gdyby wciąż byli parą i tak przedstawiłby ją w ten sposób. Byli tu w sprawie policyjnego dochodzenia dotyczącego dwóch zgonów, z których jeden z pewnością był wynikiem morderstwa.

Nagel wydawał się nieco zaskoczony, gdy nie przyjęli zaproszenia, by skosztować wina, ale Verlaque zapewnił:

– Kupuję od ciebie dużą butelkę Syrah. – Posłał krzywe spojrzenie Paulikowi, a ten uśmiechnął się od ucha do ucha. Gdy weszli do środka, żona Marca, Véronique, znów siedziała w recepcji. Verlaque wyjaśnił jej, o co chodzi, i wspomniał, że poprzedniego dnia rano znaleziono zwłoki François.

– To okropne... był taki miły – powiedziała wyraźnie zmartwiona Véronique.

– Naprawdę? – spytała Marine, nie potrafiąc ukryć zaskoczenia.

– O tak, zawsze zachowywał się bardzo uprzejmie – odparła Véronique. Na chwilę umilkła, a potem dodała: – Ale raz podsłuchałam, jak wrzeszczał na swoją kochankę. Poczulałam się wtedy nieswojo.

– Tak? Nie mówiłaś mi o tym – odezwał się Marc. – Ale się z tobą zgodzę. Okazywał odświeżające zainteresowanie – chciał się dowiedzieć jak najwięcej o winie, jak się je robi, a zwłaszcza o życiu w winnicy. O sezonach i tak dalej. Był dość inteligentnym człowiekiem. Ograniczał jednak rozmowy do pogody i winiarstwa. Zakładałem, że robi tak, ponieważ oczywiście było, że miał romans.

Marine zastanawiała się przez chwilę, usiłowała przypomnieć sobie François. Coś się tutaj nie zgadzało. Podniosła palec i oświadczyła:

– François, którego pamiętam, nie lubił wina. W ogóle nie pijał alkoholu. Chociaż ludzie się zmieniają.

– Och, on na pewno się zmienił – zawołała Véronique. – Nie pił za dużo, ale naprawdę uwielbiał wino. Takie rzeczy widać.

Marc pokiwał głową na potwierdzenie.

Verlaque się nie odzywał. Paulik sięgnął do teczki i po drewnianej ladzie recepcji podsunął Marcowi i Véronique zdjęcie François de Bremont na jego jachcie.

– To jego zdjęcie zrobione w ostatnim czasie. Żebyśmy mieli pewność, że mówimy o tym samym człowieku.

– Cóż... – Marc się zawahał. Wziął zdjęcie do ręki, by razem z Véronique

móc mu się dokładniej przyjrzeć. – Stoi w ostrym słońcu... to chyba on. Ale włosy nie są dość ciemne.

– Nie jestem pewna, czy to on. Nie był aż taki barczysty. – Véronique zagryzła wargę. – Ten to kawał byka – dodała i cicho gwizdnęła. Wzięła zdjęcie do ręki, by się lepiej przyjrzeć.

– Jesteście pewni? – spytał Paulik. – Mówiła pani, że meldował się jako François de Bremont.

– Bo tak było, choć teraz, gdy się nad tym zastanawiam, nigdy nie poprosiliśmy go o dokumenty – odparł Marc.

Verlaque milczał. Wyjął z teczki kolejne zdjęcie i podał je parze winiarzy.

– To on! – zawołał Marc.

– Tak, teraz bardziej się zgadza – przytaknęła Véronique z uśmiechem.

– Teraz już rozumiem. Dlaczego uznaliście go za interesującego i inteligentnego – powiedział Verlaque.

Marine posłała mu pełne zdumienia spojrzenie i sięgnęła po zdjęcie. Paulik pochylił się w jej stronę, by też mu się przyjrzeć. Była to duża czarno-biała fotografia, na której Étienne de Bremont odbierał w Paryżu nagrodę za swój film dokumentalny.

– A niech mnie! – dziwił się Paulik, gdy byli już z powrotem na podjeździe.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć – dodała Marine. Poczula w sercu jakiś dziwny niepokój. Minęło wiele lat, odkąd spędzała dużo czasu z Étienne'em, ale jak mógł się aż tak bardzo zmienić? Romans z Sophie Valoie de Saint-André? Z siostrą własnej żony? Marine pomyślała o pięknej, delikatnej twarzy świeżo owdowiałej Isabelle. To było niemal nie do zniesienia.

– Ja też nie – powiedział Verlaque. – Sophie Valoie de Saint-André to ostatnia kobieta, z którą miałbym ochotę się przespać. – A potem dodał: – Co za chuda, sztywna jędra.

Paulik i Marine spojrzeli na niego w lekkim szoku. Natychmiast się zorientował, że wyraził się zbyt dosadnie, ale myślał akurat o kimś innym, nie o *Madame Valoie*.

– No to tajemnica volkswagena golfa się wyjaśniła. Najwyraźniej Étienne jeździł po niego do Saint-Antonin przed wyjazdami na te piątkowe wieczory – stwierdził Paulik.

Całą piątką stali przy samochodzie; zostali o godzinę dłużej, by bardziej szczegółowo porozmawiać z Markiem i Véronique i wyjaśnić, jak ważne jest zachowanie najwyższej dyskrecji. Skserowali też pokwitowania za wszystkie noce, które Étienne i Sophie spędzili w pensjonacie Nagelów.

– Może i Étienne de Bremont zginął w wypadku – poinformował Nagelów sędzia – ale jego brat został zamordowany. Jeśli przypomnicie sobie coś niezwykłego o Étienne, moglibyście do nas zadzwonić?

– Oczywiście – odparli równocześnie. *Madame* Nagel wsunęła rękę pod ramię męża i przysunęła się do niego.

– Teraz, gdy o tym myślę – odezwała się Marine – to na cmentarzu zwróciłam uwagę, że *Madame* Valoie wyjątkowo ciężko to przeżywa. Na pogrzebach niektórzy ludzie płaczą bardziej niż inni, ale ona była naprawdę w kiepskim stanie.

– A Isabelle de Bremont? – spytał Verlaque.

– Spokojna – odparła Marine.

Zadzwoiła komórka Paulika. Gdy odszedł na bok, by odebrać, Antoine i Marine usiłowali nie dać po sobie poznać, że stoją jakieś dwadzieścia centymetrów od siebie, ale nie mają sobie nic do powiedzenia. W końcu Verlaque wyjął swój telefon, by sprawdzić wiadomości, a Marine ruszyła w stronę winnicy.

Przyglądała się poskręcanym winoroślom, na których właśnie zaczynały się pojawiać małe, jasnozielone listki. Taka niewielka roślina, a daje światu tak ogromną radość, pomyślała.

– To stare winorośle – wyjaśnił Marc, który wyszedł z pensjonatu i teraz uśmiechnięty stał obok niej. Marine spojrzała na mężczyznę. Miał opaloną, ogorzałą twarz i jasnoniebieskie oczy, tak jak wielu innych winiarzy, których poznała. – Mój dziadek zasadził te winorośle szczepu Syrah pod koniec lat czterdziestych – ciągnął. Wcześniej spoglądał na Marine, ale teraz przebiegł wzrokiem wzdłuż rzędów roślin. I Marine również to zrobiła i pomyślała, że winorośle często przypominają morze. Kolejne rzędy zieleni.

– Wydawała się pani zdenerwowana, gdy zobaczyła pani drugie zdjęcie – zauważył Marc.

– Tak – przyznała Marine, nie wiedząc, co powiedzieć. Milczała przez chwilę, a potem dodała: – Czasami życie bywa takie dziwne. Wydaje się człowiekowi, że coś wie, ale wcale tak nie jest. Widzi pan, bardzo dobrze znałam Étienne’a, kiedy byliśmy młodzi. Ostatnio obracaliśmy się w bardzo różnych kręgach, ale i tak byłam zszokowana, gdy się dowiedziałam, że miał romans ze swoją szwagierką. Chyba jestem strasznie pruderyjna!

Marc dalej jej się przyglądał. W końcu powiedział:

– Dawno przestałem próbować zrozumieć ludzi i przewidywać, co nimi kieruje. – Zaśmiał się. – To ułatwia życie, *non*?

– Tak, chyba tak – uśmiechnęła się Marine.

– I jeśli ten człowiek, Étienne, był tak honorowy, jak wszyscy o nim mówią, to ta kobieta, *Madame* Valoie, musi być bardziej skomplikowana, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka.

– Wszyscy winiarze są takimi mądrymi ludźmi? – zaśmiała się Marine.

– Spędzamy dużo czasu na świeżym powietrzu, więc mamy kiedy myśleć. Czasami się zastanawiam, czy nie rozmawiam z winoroślami.

– Ja na pewno mówię sama do siebie. To taki nauczycielski nawyk. Człowiek wyobraża sobie, że słucha go cała sala studentów. – Oboje się zaśmiali.

– Przeszkadzam w czymś? – spytał Verlaque, który właśnie do nich podszedł i spoglądał to na Marine, to na Marca.

– Rozmawialiśmy o winoroślach i o ludziach – odparła Marine. – Jak przypuszczam, przesłuchasz teraz Sophie Valoie.

– Tak, jak tylko wrócimy do Aix. Słuchaj, jestem pewien, że Marc nie chce, byśmy go zanudzali takimi szczegółami. Marc, chciałbym teraz kupić tę wielką butelkę.

Marc puknął się w czoło i przeprosił.

– No oczywiście! Przejdźmy do stajni.

– Poczekam tutaj – powiedziała Marine. Żaden z mężczyzn nie zareagował na jej uwagę, więc się odwróciła i znów zapatrzyła na winnicę. Widok wzgórz był hipnotyzujący i obiecała sobie, że nigdy nie będzie mieszkać gdzieś, gdzie jest płasko. Przyłapała się na tym, że myśli o Étienne, i poczuła się nieszczęśliwa, że musi zastąpić w swojej głowie obraz Isabelle de Bremont obrazem jej siostry Sophie. Co on z nią robił? I co robił tamtej nocy na strychu? Ścisnął jej się żołądek i odwróciła się w stronę parkingu; winnica już jej nie uspokajała. Pragnęła jak najszybciej pojechać dalej, do Cotignac, i rozwiązać zagadkę obu tych zgonów. Ruszyła w stronę samochodu, gdzie czekał Paulik, a Verlaque i Marc Nagel wkrótce do nich dołączyli.

– Jedźmy już – rzucił Verlaque. Wziął Marine pod ramię i umyślnie – jak uznała – stanął pomiędzy nią a winiarzem. Marc odprowadził ich do samochodu. Pożegnali się i podziękowali Nagelom za pomoc. Marine odwróciła się do Verlaque'a, który się w nią wpatrywał.

Gdy siedzieli już w samochodzie, Paulik pochylił się do przodu i powiedział:

– Dzwonił Flamant. Odezwali się do niego z biura informacji kolei. – Marine odwróciła się i spojrzała na komisarza, a Verlaque popatrzył na niego we wstecznym lusterku.

– No i? – spytał.

– Isabelle de Bremont pojechała do Paryża w sobotę o dziesiątej czterdzieści dwie rano. Wróciła w niedzielę rano.

– Dlaczego miałyby kłamać w takiej sprawie? – spytała Marine.

– Być może chroni osobę w Paryżu, która zapewnia jej alibi. Powiedziała mi, że tej nocy, gdy zginął Étienne, była w Aix z siostrą – odparł Verlaque.

– Wciąż nie rozumiem – rzuciła Marine, spoglądając na obu mężczyzn. Potem westchnęła. – Ach. Romans. Ale dlaczego tego po prostu nie powiedzieć? Jest żonaty? Sławny? Przynajmniej dałby jej wiarygodne alibi. To chyba powinno być ważniejsze.

– Można by tak pomyśleć – powiedział Verlaque. Przypomniał sobie krzyż

i Madonnę w salonie Isabelle de Bremont. Przez jakiś czas wszyscy troje milczeli. Ciągające się gaje oliwne i winnice w końcu sprawiły, że Marine nie mogła już dłużej wytrzymać i spytała:

– Czy siostrę Jean-Claude’a Auvieux powiadomiono o tym, co się stało wczoraj rano?

– Tak i nie – odpowiedział Bruno. Marine odwróciła się i zobaczyła, że wciąż ściska w rękach wielką butelkę. – Miejscowy policjant odwiedził ją rano w jej salonie, powiedział, żeby poszła do domu, i uprzedził, że złożymy jej wizytę, ale wie tylko tyle. Nie jestem nawet pewny, jak dobrze znała François de Bremont.

– Och, znała go, bez dwóch zdań. Przynajmniej gdy byliśmy młodzi. Znali się jak łyse konie – zapewniła.

Verlaque zerknął na Brunona we wstecznym lusterku.

– Możesz odłożyć tę butelkę na siedzenie obok.

– Tak jest mi dobrze – odparł komisarz. – Popytaj mnie jeszcze o różne szczegóły z filmów.

– Nie, dzięki – uśmiechnął się Verlaque.

Zwolnił, bo zbliżali się do *lotissement* Cosette Auvieux.

– Przygnębiające – mruknęła Marine.

– Nie jest lekko – odparł Verlaque. – Samo mieszkanie w Var byłoby dostatecznie przykre, ale żeby żyć w takim miejscu...? – Urwał, gdy zatrzymali się przed domem, gdzie zamiast drzew i kwiatów był tylko mały trawnik. To tu *Madame* Auvieux parkowała samochód. Zanim zdążyli zadzwonić do drzwi, otworzyła je i bez słowa gestem zaprosiła ich do domu.

– Mam nadzieję, że macie dobre powody tej wizyty – powiedziała, patrząc prosto na Verlaque’a. – To mnie sporo kosztuje w salonie fryzjerskim.

– Mamy dobre powody, *Madame* – odpowiedział Verlaque. – Jak przypuszczam, pamięta pani komisarza. I może pamięta pani profesor Bonnet, Marine Bonnet z Aix-en-Provence.

Cosette Auvieux zmrużyła oczy i zmierzyła wzrokiem Marine. Nie uśmiechając się, podała jej rękę i powiedziała:

– Tak, pamiętam panią. Ciągle przesiadywała pani w *château* i bawiła się z Étienne’em.

– Tak – odparła Marine. – Bawiłam się też z pani bratem. Kilka dni temu widziałam Jean-Claude’a i przypomniał mi, jak François rozbił okno w salonie.

*Madame* Auvieux uśmiechnęła się krzywo i przewróciła oczami.

– Étienne rozbił to okno, a François wziął na siebie winę. Zawsze tak było.

Marine przypomniała sobie, co powiedział Jean-Claude: „Ale to nie François wybił tamto okno! Étienne to zrobił!” Nie mogła się w tym połapać. Wyraźnie zapamiętała, że to był François.

– Pani brat, *Madame* Auvieux, jest przesłuchiwany w sprawie morderstwa –

poinformował Verlaque.

– A kto twierdzi, że Étienne de Bremont został zamordowany? Myślałam, że wypadł z okna. Poza tym każdy półgłówek by zobaczył, że mój brat nie skrzywdziłby nawet muchy. I ma alibi, był tutaj ze mną.

– Jean-Claude ma pecha, wciąż trafia w niewłaściwe miejsca w niewłaściwym czasie. – Verlaque zerknął na Marine, jakby dawał jej znak.

– Cosette – zaczęła Marine – w *château* zginęła druga osoba.

– To niemożliwe! – krzyknęła Cosette Auvieux.

Paulik i Verlaque wymienili spojrzenia.

– François de Bremont nie żyje – ciągnęła Marine. – Wczoraj rano znaleziono go w *bassin* przed *château*.

Cosette Auvieux pobladła. Usiadła przy kuchennym stole. Dopiero wtedy Marine uświadomiła sobie, że do tej pory przez cały czas stali, czekając na zaproszenie, które nie padło. *Madame* Auvieux nagle się rozplakała i ukryła twarz w dłoniach.

– Przynieść coś pani? – spytał Verlaque.

Wskazała na butelkę nalewki z winogronowych wytłoczyn. Verlaque dostrzegł, jak rozszerzają się oczy Paulika, gdy ten zobaczył, jaki napój wybrała. Destylat ze skórek winogron miał, podobnie jak grappa, bardzo wysoką zawartość alkoholu i był mocny nawet dla kogoś tak wielkiego, jak Paulik.

Marine usiadła przy *Madame* Auvieux.

– Cosette? Wszystko w porządku? – Chciała położyć dłoń na jej ręce, ale się zawahała. Kobieta znów zaczęła płakać.

– Byłam z nim bardzo blisko, gdy byliśmy dziećmi.

– Pamiętam – powiedziała Marine. – Kontaktowaliście się przez te wszystkie lata?

Cosette spozierała na nią tak, jakby Marine oszalała.

– Oczywiście, że nie! – warknęła. – Obracaliśmy się w zupełnie innych kręgach.

– Profesor Bonnet postępuje słusznie, zadając te pytania – wtrącił Verlaque, nagle ujmując się za Marine. – François de Bremont został zamordowany. Lekarz sądowy potwierdził to wczoraj rano. Musimy przesłuchać wszystkich, którzy go znali, a pani go znała, pani brat zaś był obecny na miejscu zbrodni.

– Wiem tylko, że François mieszkał na Lazurowym Wybrzeżu – odparła Cosette. – Czy mój brat coś widział? Albo ktoś inny?

– Nie – odpowiedział Verlaque. Nie wspomniał o mercedesie z rejestracją z Lazurowego Wybrzeża. – Pani brat twierdzi, że w chwili śmierci François był w gaju oliwnym. Obaj wybierali się na pogrzeb Étienne’a.

Marine pochyliła się nad stołem i spytała łagodnie:

– Cosette, czy Jean-Claude miałby jakieś powody, by skrzywdzić

Bremontów?

– Co takiego? Oszalała pani? – wrzasnęła Cosette Auvieux.

Marine spojrzała na Paulika i Verlaque'a.

– *Madame* Auvieux – odezwał się Paulik – pani brat znalazł oba ciała. Na pewno pani rozumie, dlaczego musimy panią o to zapytać.

– Będzie bezpieczny? – spytała Cosette.

– Tak – zapewnił Paulik. – Zarządzimy obserwację *château*. A teraz, czy mogłaby pani odpowiedzieć na pytanie profesor Bonnet?

Cosette pochyliła się nad stołem i przez dobre pięć sekund wpatrywała się w komisarza. Dopiero potem odparła:

– Nie, nie miał żadnych powodów, żeby ich skrzywdzić. Nie zrobił tego.

– Dziękuję – powiedział Paulik. Cosette na chwilę wstała, przytrzymując się stołu, ale zaraz znów opadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

– Obaj bracia... teraz nie żyją – wyłkała. I dodała, jakby to był jakiś rozkaz: – Sami znajdziecie drogę do wyjścia.

– Była bardziej zdenerwowana, niż się spodziewałem – stwierdził Verlaque, spoglądając na Marine, gdy już odjechali. – Zdecydowanie nie wydawała się taka przejęta śmiercią Étienne'a.

– Kiedy byliśmy dziećmi, Cosette i François zawsze wydawali się mieć szczególny związek. Zapomniałam o tym, jacy byli sobie bliscy. Przypuszczam też, że nie miała łatwego życia. Gdy miała około szesnastu lat, jej matka umarła na raka. Potem Cosette szybko wyprowadziła się z *château* i przyjechała tutaj, do Var. Zamieszkała z ciotką i poszła do szkoły fryzjerskiej. Jean-Claude był młodszy, więc skończył gimnazjum i został w *château*. Ich matka była wspaniała. Uwielbiałam ją. Piękna, łagodna i dobra.

– A ojciec? – zapytał Verlaque.

– Zostawił ją i dzieci, gdy Jean-Claude był niemowlęciem. Bremontowie kochali *Madame* Auvieux, więc zaproponowali jej, żeby została. Prowadziła dom i kuchnię.

– Zakładam, że córka nie za bardzo ją przypomina – zauważył Paulik.

– Tak, masz rację. Ale nigdy nie była do niej podobna. To Jean-Claude bardziej przypominał matkę i był bardziej przywiązany do rodu Bremontów i do posiadłości.

Zadzwoiła komórka Paulika. Odebrał ze słowami:

– *Salut* Fréd!

Marine myślała o swoim dzieciństwie i o ludziach, których kiedyś знаła, ale w jakiś sposób o nich zapomniała. Verlaque wyrwał ją z zamyślenia pytaniem:

– Możesz odwołać jutrzejsze zajęcia? Jesteśmy w połowie drogi na Lazurowe Wybrzeże. Moglibyśmy pojechać prosto tam i przesłuchać przyjaciół Bremonta z Cannes. To trochę nieortodoksyjne podejście zabierać ze sobą kogoś



nie z policji, ale mniejsza z tym. Wymyślę jakiś powód.

– Nie ma takiej potrzeby. Zajęcia są odwołane od jutra aż do końca tygodnia – odparła Marine, nie bardzo wiedząc, w co się pakuje.

– Zajęcia są odwołane? – spytał Verlaque. – No nie mów! Jakiś strajk?

– Tak – uśmiechnęła się. Liczne strajki na uniwersytecie złościły Verlaque'a, w ogóle strajki były jedną z rzeczy, które najbardziej go irytowały; absolutnie nie miał do nich cierpliwości. Marine zresztą też nie i przy takich okazjach zwykle pozostawała w kontakcie ze swoimi studentami przez internet i często organizowała zajęcia poza kampusem w angielskojęzycznej księgarni, która jako jedyna w Aix miała kawiarenkę oraz wygodne krzesła i stoliki.

Paulik skończył rozmowę i powiedział:

– Fréd może się ze mną spotkać dziś po południu. Może pojedziemy prosto do Cannes?

– Właśnie się nad tym zastanawialiśmy – odparł Verlaque. – Jeśli trochę dodam gazu, może zdążymy na Lazurowe Wybrzeże na późny lunch.

– Świetnie. Oboje jesteście zaproszeni razem ze mną na lunch u Fréda.

– To naprawdę miło z twojej strony, Bruno, ale w Cannes chciałbym gdzieś zaprosić Marine – powiedział Verlaque i zanim zdążyła zaprotestować, dodał: – Bruno, mógłbyś zadzwonić do komisariatu i uprzedzić ich, że przyjeżdżamy? Zobacz, czy mogą umówić nas na rozmowę z Leverem Pogorovskim dziś po południu. I będziemy potrzebować samochodu i kierowcy. Nie cierpię ruchu na Côte.

Paulik zaczął wybierać numer. Verlaque spojrzął na Marine.

– Myślisz, że mogłabyś dla nas sprawdzić to i owo, gdy będziemy z Brunonem u Pogorovskiego? Dowiedz się wszystkiego, co zdołasz, o Pogorovskim i jego żonie. Możesz skorzystać z komputerów w Carlton, znam tam kierownika. Uprzedzę go, że się pojawisz.

Marine zapatrzyła się w okno. Myślała o nastoletnich braciach Bremont.

– Kiedy byli młodzi, ludzie często ich mylili – powiedziała zadumana.

Verlaque zerknął na nią.

– Bremontów?

– Tak. Nawet Nagelowie musieli dokładnie przyjrzeć się zdjęciom, żeby ustalić, który jest który. – Odwróciła się do Verlaque'a i powiedziała: – Pomyśl tylko. Na ciemnym strychu...

Paulik pochylił się do przodu.

– Może morderca wziął Étienne'a za François?

– Zabili niewłaściwego faceta. A wczoraj rano wrócili, żeby to zrobić jak należy – podsunął Verlaque.

Potem skupił się na drodze, a po kilku sekundach posłał Marine przeszywające spojrzenie, które Sylvie określała mianem „gapienia się Antoine'a”.

Marine zerknęła na niego i ku swojemu zdumieniu dostrzegła lekki uśmiech w kąciu jego ust.

## Rozdział

### siedemnasty

– Co zrobiłaś? – wrzasnęła w słuchawkę Sylvie.

– Słyszałaś, co mówiłam – odszepnęła Marine, wyglądając przez wielkie okna Villa des Lys na Croisette i dalej, na morze. Był ciepły, pogodny dzień. Niebo miało jednolicie błękitną barwę, a liście wysokich prostych palm kołysały się jakby w tańcu. Czekala na Verlaque'a, próbował zaparkować, co w Cannes zawsze było wyzwaniem. Rozejrzała się po innych gościach; byli dokładnie tacy, jakich można się było spodziewać w trzygwiazdkowej restauracji – starsi i bogaci. Siwa kobieta siedziała sama przy sąsiednim stoliku i z apetytem jadła ostrygi. Uśmiechnęła się do Marine, a ona odpowiedziała jej tym samym. Uwielbiała patrzeć na ludzi, którzy jedli samotnie, nie okazując przy tym zakłopotania czy wstydu.

– Prosisz się o guza? – ciągnęła Sylvie. – Zwymiotowałeś do kosza na śmieci w centrum Aix, pamiętasz?

– Jestem tu dla Étienne'a de Bremont. Uniwersytet jest zamknięty i z łatwością mogłam podjąć decyzję, że jadę – odparła Marine, wciąż wyglądając przez okno. Gdy tylko wypowiedziała te słowa, uświadomiła sobie, że nie ma żadnego punktu zaczepienia. Po prostu nie miała żadnego pretekstu, z wyjątkiem tego oczywistego, który usprawiedliwiałby ten szybki wypad do Cannes. Dodała szczerze: – Chyba nie jestem pewna, dlaczego pojechałam.

– Poczekaj chwilę... Posłał ci to swoje spojrzenie, prawda?

– Rozłączam się, Sylvie!

– Nie! Czekaj! Antoine zawsze to robi, kiedy czuje się zagrożony albo jest zazdrosny. Pamiętam to. Wspominałaś o innym mężczyźnie? – wyrzuciła z siebie Sylvie w obawie, że przyjaciółka się rozłączy. – Rozmawialiście o Arthurze?

– Arthur jest w Kalifornii na konferencji medycznej.

– Nie odpowiedziałaś mi na pytanie. A co z tym drugim policjantem?

Marine się roześmiała.

– Nie ma mowy. – I po chwili dodała: – Ale rozmawialiśmy z winiarzem, który był bardzo przystojny...

– Aha! Wiedziałam! Ten winiarz był tobą oczarowany?

Marine przez dłuższą chwilę milczała i w końcu bez przekonania odparła:

– Nie wydaje mi się.

– Właśnie, że tak – powiedziała Sylvie. – Kiedy wrócisz do Aix i będziesz się chciała wyplakać na moim ramieniu, będę przy tobie. To się stało ważną częścią mojego życia, pojawiaasz się pod moimi drzwiami i zużywasz mi wszystkie

chusteczki.

Marine się roześmiała i siwa kobieta znów się do niej uśmiechnęła. Marine zakończyła rozmowę dokładnie w chwili, gdy kierownik lokalu wskazywał Verlaque'owi stolik. Rozmawiali ze sobą i Marine dosłyszała, że sędzia zwraca się do kelnera po imieniu. Antoine się rozejrzał i powiedział ściszym głosem:

– Naprawdę powinni tu zmienić wystrój. Dlaczego tyle dobrych restauracji tu na południu ma takie staromodne meble?

Marine przyznała mu rację i przez chwilę podśmiewali się z jasnopomarańczowych ław i czerwonych welurowych krzesel.

– Nawet moim starym ciotkom nie spodobałaby się ta porcelana – powiedziała, obracając talerz z wymalowanymi scenkami z dżungli tak, by Verlaque mógł mu się przyjrzeć.

– Masz rację, ale to pewnie Hermès – odparł sędzia.

Marine szybko zajrzała pod spód i oświadczyła:

– Dobra robota, zgadłeś.

Podano im dwa kieliszki szampana. Marine nie była pewna, czy były na koszt firmy, czy też Verlaque zamówił je, wchodząc, wiedziała jednak, że nie powinna o to pytać. Takie pytania go irytowały. Drażniło go również, gdy zbyt długo zastanawiała się nad zamówieniem, więc szybko zamknęła menu na znak, że jest już gotowa. Zjawił się kelner, przyjął od nich zamówienia i zniknął. Marine sięgnęła do torebki, wyjęła długopis i mały notes i położyła je na stole.

– Nie żyje dwóch braci – powiedziała, równocześnie pisząc. – Jeden okazał się bardziej tajemniczy, niż sądziliśmy, miał romans ze swoją szwagierką, której mąż jest sędzią w Marsylii. Zbieg okoliczności?

– Być może – stwierdził Verlaque, pykając cohibę. – Szeff Étienne'a wspominał mi, że potrafił być czasami tajemniczy. Sądziłem, że chodziło mu o jego pracę, ale wygląda na to, że odnosiło się to również do jego życia osobistego.

Marine upiła trochę szampana; delikatne bąbelki natychmiast ją orzeźwiły. Ciągnęła:

– François wydaje się mniej skomplikowany. Hazardzista, oszust, w jakiś sposób związany z rosyjską mafią. Brudny, ale prostszy niż Étienne.

– I mamy dwie organizacje mafijne, które mogą być w to zamieszane – dodał Verlaque.

– Albo i nie – podsunęła Marine.

– Nie ma mowy. Jedna z mafii musiała maczać w tym palce – odparł Verlaque, pozwalając, by jego cygaro zgasło w popielniczce. Marine wiedziała, że Antoine zawsze zachowywał niedokończone cygara i kiedy miał okazję, dopalał je później. Sylvie nie cierpiała tego nawyku i gdy widziała, jak Verlaque odkłada niedopalone cygaro do skórzanego etui, drażniła się z nim, mówiąc: „Lepiej

zachowaj je na później. W tym cygarze zostało jeszcze co najmniej sześć euro!” Odpowiedzią Verlaque’a, jak w przypadku większości docinków Sylvie, było z reguły milczenie.

Pojawił się kelner, niosąc pierwsze danie.

– Ostrygi dla *Monsieur* – powiedział i zaczął stawiać naczynie przed Verlakiem. Ten szybko wyciągnął swą wielką dłoń, by go powstrzymać.

Kelner zamarł.

– Jestem pewien, że to *Monsieur* zamawiał ostrygi.

– On ma rację, Antoine. Wiesz, że ich nie cierpię. – Marine uśmiechnęła się do kelnera.

– Nie rozumiecie – rzucił zniecierpliwiony Verlaque. Spojrzał gniewnie na kelnera. – Od kiedy to mężczyznę obsługuje się przed kobietą?

Kelner zrozumiał swój błąd i oblał się rumieńcem.

– *Excuse-moi* – wyjąkał. Postawił przed Marine risotto z owocami morza, potem ostrygi przed Verlakiem i zniknął.

– A teraz, żebym mógł naprawdę delektować się tymi ostrygami – i oczywiście pamiętam, że nie cierpisz ostryg – chcę, żebyś mi wyjaśniła, co się stało wczoraj wieczorem – powiedział kategorycznie Verlaque, krzyżując ręce na piersi.

– „Vogue” – szepnęła Marine.

– Tak myślałem. Przyjaciółka z Paryża przywiozła je ze sobą do Aix. Przyjaciółka. A w ogóle, dzwoniła do mnie tuż po tym, jak wyszłaś.

– Nie interesują mnie szczegóły, Antoine! – zawołała trochę zbyt głośno Marine.

– Chcę, żebyś znała szczegóły – ciągnął Verlaque, pochylając się w jej stronę nad stolikiem. – Wprosiła się do Aix, obraca się w znanym paryskim towarzystwie mojego brata Sébastiena.

– Kiedy przyjechała? W tym tygodniu?

– Nie, w zeszłym.

– Spałeś z nią? – Marine zasłoniła usta i dodała: – Przepraszam, to nie moja sprawa.

Verlaque się w nią wpatrywał.

– Tak, spałem z nią. – Uniósł rękę, by powstrzymać Marine, która zaczęła wstawać od stolika. – Ale w zeszłym tygodniu jeszcze cię ponownie nie spotkałem. Minęło wiele miesięcy, pamiętasz?

– Skończyłeś z nią?

– Jeśli o mnie chodzi, to tak. Była miła, gdy przebywałem w Paryżu. Potrzebowałem jakiejś rozrywki. Ale jest pusta jak lalka Barbie. Czytałem jej poezję, żeby się zamknęła.

Marine się zaśmiała i zasłoniła usta. Antoine mówił dalej:

– A wczoraj wieczorem na tarasie chciałem ci powiedzieć jedno: że wszystko o tobie pamiętam, i o czasie, który spędziliśmy razem. Wiem, że nie cierpisz ostrego, że za długo składasz zamówienia w restauracjach i zupełnie nie znasz się na winach. Ale nie dbam o to. Wiem też, że niektóre z twoich wykładów są nagradzane szczerymi brawami.

Marine odłożyła widelec i wpatrzyła się w Verlaque'a.

– Skąd to możesz wiedzieć? – spytała.

– Aix to małe miasteczko – odparł z uśmiechem. Wsunął do ust ostrygę, przełknął ją i podjął: – A ty jesteś piękna, mądra i dowcipna. I za tobą tęsknię. – Upił łyk wina, jakby stawiał kropkę na końcu zdania, i odstawił kieliszek. Oboje wpatrywali się w siebie bez słowa. Żadne z nich nawet nie drgnęło. Marine przez pół roku marzyła, że Verlaque powie coś takiego, ale tłuło jej się po głowie ostrzeżenie Sylvie. Verlaque wiedział, że spotykała się z Arthurem.

– Chyba nie dam rady zjeść mojego risotto – powiedziała.

– *Non?* To zamówię ci oliwki. – Udał, że rozgląda się po sali za kelnerem. W tym momencie wyciągnęli do siebie ręce i splekli dłonie. Wybuchnęli śmiechem. Verlaque odchylił się do tyłu i pogłaskał się po brzuchu.

Ktoś zakaszłał i oboje podnieśli wzrok. Nad nimi stał Paulik i patrzył na ich nietknięte jedzenie.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział. Marine i Verlaque szybko puścili swoje ręce i zaczęli mówić równocześnie.

– A co z twoim lunchem u Fréda? – zapytał sędzia, patrząc na komisarza.

– Usiądź, proszę – dodała Marine i wysunęła krzesło.

Paulik usiadł.

– Mówiąc w skrócie – powiedział – rozmawialiśmy przez jakieś dziesięć minut, to znaczy głównie Fréd mówił, i wtedy zjawiała się dwudziestoosobowa grupa. Twierdzili, że zarezerwowali salonik na górze. Zrobiła się sytuacja w stylu „wszystkie ręce na pokład”. Nie za bardzo miałem ochotę pomagać.

– Jadłeś coś, Bruno? – przerwała mu Marine. – Chcesz zerknąć do menu?

– Dziękuję, umieram z głodu. Zdążyliśmy tylko wypić piwo i zjeść parę orzeszków.

Verlaque przywołał gestem kelnera. Po kilku minutach Bruno złożył zamówienie i postawiono przed nim nakrycie. Verlaque poleił im wina. Paulik przyjrzał się sauvignon z doliny Loary, skomentował jego intensywny, złocisty kolor, zamieszał nim w kieliszku, powąchał z przymkniętymi oczami i upił mały łyżeczek. Zrobił to wszystko powoli, ale naturalnie i swobodnie. Było jasne, że od bardzo dawna kosztował wina i je doceniał.

– Czy to nie przypadkiem rocznik 1998? – zapytał Verlaque'a.

Marine spojrzała na komisarza zdumiona.

– Bruno! Skąd to wiesz?

Verlaque pochylił się i pokazał etykietkę, potwierdzając, że komisarz się nie mylił.

– Pierwszą wskazówką była jego intensywna ciemna barwa – powiedział Paulik. – A kolejną mocny maślany posmak, który bardziej przypomina burgundzkie chardonnay niż andegaweńskie sauvignon. Ale w sumie to oszukiwałem, bo 1998 to był taki niczym się niewyróżniający rocznik.

– 1998? – spytała Marine.

– Nie pamiętasz? – Antoine spojrział na nią. – Tamtego lata zabraliśmy moją babcię do północnej Anglii.

Marine kiwnęła głową. Pamiętała tę inspirowaną Larkinem podróż, jazdę wybrzeżem do Hull, z Antoine i Emmeline, wizyty w wiejskich pubach i kościółkach przy drodze. A potem uśmiechnęła się i zawołała:

– 1998! To ten rok, gdy była fala upałów! Mieliśmy szczęście, że byliśmy akurat w północnej Anglii, a nie we Francji. Brawo, Bruno! – stuknęła się kieliszkiem z Paulikiem.

Komisarz nie czuł się za dobrze w tej nowej roli eksperta od win. Wierząc się na krześle, zmienił temat.

– Kiedy już wyszedłem od Fréda, zadzwoniłem do komisariatu w Cannes i rozmawiałem z Pellegrinem. Powiedział mi, że kilka miesięcy temu gospoia zgłosiła przypadek przemocy domowej na imprezie u Levera Pogorovskiego.

Marine ścisnęło w żołądku. Choć była doświadczoną prawniczką, zawsze miała problem ze słuchaniem – a nawet z czytaniem – o znęcaniu się nad kobietami i dziećmi.

– Czy ta służąca została pobita, Bruno? – zapytała.

– Nie – pokręcił głową Paulik. – Była raczej zszokowana i oburzona, i Pellegrino odniósł wrażenie, że po prostu chciała z kimś o tym porozmawiać. Przyszła do komisariatu następnego dnia, a Pellegrino był akurat na służbie.

– Czego dokładnie była świadkiem? – zapytał Verlaque i pochylił się w jego stronę.

– To było po kolacji. Tamtego wieczoru dużo pili i tańczyli, a goście, Rosjanie, zaczęli jeden po drugim podpalać banknoty o nominale pięćset euro, podrzucali je w powietrze i przez cały czas zrywali boki ze śmiechu.

Marine ukryła twarz w dłoniach.

– To obrzydliwe.

Paulik pokiwał głową i ciągnął:

– Naprawdę obrzydliwe było to, że po imprezie służbie kazano posprzątać popiół. Ta kobieta, znana policji jako Inès, nie potrzebuje specjalnej zachęty, by powiedzieć, co się dzieje u Pogorovskiego. Regularnie kontaktuje się z policją i zgłasza jakiś kolejny oburzający przypadek. W każdym razie François de Bremont był tam częstym gościem, zjawiał się z wysoką, jasnowłosą Rosjanką.

Trzy dni temu Inès podsłuchiwała, jak Pogorovski mówił François, że wyśle go do pracy w Hiszpanii, bo Lazurowe Wybrzeże to dla niego zbyt niebezpieczne miejsce.

– Czy Inès słyszała dlaczego? – zapytał Verlaque.

– Tak – potwierdził Paulik. – Wygląda na to, że François bardzo dużo przegrał w kasynach w Cannes i w Monako i bez powodzenia próbował ustawić jeden mecz polo. Najwyraźniej było to oczywiste dla wszystkich obecnych na tym meczu i chcieli go wyrzucić z francuskiej ligi.

– Coś jeszcze? – spytała Marine.

– Na razie nie. Musieliśmy przerwać rozmowę, bo Pellegrino miał jakieś spotkanie. Ale udało mi się dowiedzieć od Fréda, że rosyjska mafia zszokowała kilku miejscowych ważniaków, którzy normalnie raczej nie należą do wrażliwych. Oprócz wojen o nieruchomości w stylu Onasisa, ci Rosjanie parają się też porwaniami, wymuszeniami, oszustwami, praniem pieniędzy, przemytem narkotyków i morderstwami na zlecenie.

Verlaque wciągnął powietrze i stwierdził:

– Wygląda na to, że po wizycie u Levera Pogorovskiego powinniśmy się spotkać z kierownikami kasyn i klubu polo.

– Zaczę już dzwonić – stwierdził Paulik, sięgnął po telefon i wyszedł z sali.

– Przykro mi, że przerwano nam lunch – Verlaque zwrócił się do Marine.

– Mnie też. Ale bądź ostrożny!

Verlaque otarł usta płócienną serwetką i odparł z uśmiechem:

– Nie martw się, Bruno ma broń.



## Rozdział

### osiemnasty

Choć Verlaque wielokrotnie bywał na Lazurowym Wybrzeżu, za każdym razem zdumiewały go dwie rzeczy: jak piękne i odmienne są fauna i flora w porównaniu z Aix i jak okropnie duży ruch tu panuje. Rozsiadł się wygodnie i starał się cieszyć jazdą. Jadąc wzdłuż wybrzeża, ignorował sunący zderzak w zderzak sznur samochodów. Czekanie było jeszcze bardziej irytujące za sprawą setek skuterów lawirujących między wozami. Verlaque'owi ulżyło, że zamówił samochód i kierowcę od policji z Cannes – nagle poczuł się bardzo zmęczony i chciał pozbierać myśli bez konieczności koncentrowania się na drodze. Spojrzał na Paulika; ten, podpierając głowę, zapatrzył się w widok za szybą. Verlaque zastanawiał się, o czym myśli komisarz.

Sędzia przerwał milczenie i przeczytał na głos fragmenty raportów, które wciśnięto im do rąk przed opuszczeniem komisariatu. Było to mnóstwo stron z wykazem zakupów nieruchomości z ostatniego czasu – luksusowy rynek nieruchomości na Riwierze, jak stwierdzono w jednym z raportów, był zdominowany przez około dwustu zamożnych Rosjan. Nazwisko Pogorovskiego pojawiało się nader często. Verlaque przekazał dokumenty komisarzowi, a potem szybko zadzwonił do swojego brata Sébastiena, który zajmował się między innymi sprzedażą luksusowych nieruchomości w Paryżu. Sébastien bez problemu potrafił podać bratu nazwisko swojego kolegi po fachu z Lazurowego Wybrzeża. Verlaque wybrał numer agenta Pierre'a Duponta, a ten odebrał po drugim sygnale. Sędzia śledczy szybko wyjaśnił mu, kim jest i co robi w Cannes.

– Sprzedawał pan jakieś domy Rosjanom? – zapytał po kilku minutach rozmowy.

– Tak, kilkanaście w ciągu ostatnich kilku lat. Niestety, to nie ja sprzedałem Pogorowskiemu Villa Nina, ale wiem, kto to zrobił.

– Jak to jest zadawać się z tymi ludźmi? – dociekał Verlaque.

– Niezbyt przyjemnie. Nieruchomości są dla nich jak gra. Zawsze próbują prześcignąć pozostałych w tym, kogo stać na droższy dom – odparł Dupont, potwierdzając informacje, które Verlaque wyczytał z policyjnych raportów. I ciągnął: – Jeśli nie można im pokazać domu, który jest wart co najmniej pięćdziesiąt milionów euro, wyrzucą pana za drzwi. I to w niezbyt przyjemny sposób. Od jakiegoś czasu nie miałem z nimi do czynienia, bo w tej chwili nie mam w ofercie nic w tym zakresie cenowym. Takie drogie domy nie pojawiają się aż tak często na rynku. Ale jeśli jest pan zainteresowany, mam jacht zaprojektowany

przez Philippe'a Starcka.

Antoine się roześmiał. Miał bardzo kiepskie zdanie o agentach nieruchomości, wliczając w to własnego brata, ale ten *Monsieur Dupont* przypadł mu do gustu.

– Przez Philippe'a Starcka? Tego projektanta?

– Tak, teraz to nie byle co, jeśli projektantem jachtu jest ktoś bardzo znany. Jeff Koons też jeden zaprojektował.

Verlaque się skrzywił; uwielbiał jachty, ale nie potrafił wyobrazić sobie łodzi zaprojektowanej przez Jeffa Koonsa.

– Ile za ten od Starcka? – spytał.

– Czterdzieści sześć milionów. Sam koszt paliwa za wycieczkę taką zabawką z Nicei do Cannes to jakieś dwa tysiące euro.

Verlaque był oszołomiony.

– Nicea i Cannes położone są jakieś piętnaście mil od siebie.

– Zgadza się, panie sędzio. Potrzebuje pan czegoś jeszcze?

– Nie, ale dziękuję – odparł Verlaque. – Chyba że ma pan dla mnie jakąś radę w związku z Pogorovskim.

– Niech pan sobie po prostu z przyjemnością popatrzy na dziewczyny, jeśli będą w pobliżu – odparł agent.

– Rosyjskie dziewczyny? Wysokie młode blondynki?

– Tak, modelki.

Verlaque znów się zaśmiał.

– Modelki, akurat.

Zakończył rozmowę i spojrzał na Paulika.

– Czego się dowiedziałeś, kiedy rozmawiałem przez telefon?

– Niczego – odparł komisarz.

– Jak to?

– Niczego, panie sędzio. Nie jestem w stanie czytać w samochodzie. Mam chorobę lokomocyjną.

– Mówisz poważnie? – zapytał Verlaque ze zdumioną miną.

– Tak, całkiem poważnie. To, że jestem policjantem, nie daje mi odporności na chorobę lokomocyjną. – W głosie Paulika dało się słyszeć lekko defensywny ton. Po chwili dodał: – Mojej żonie i córce także robi się niedobrze w samochodzie. Nie jesteśmy nawet w stanie czytać map w trakcie jazdy.

– No to musicie mieć niezły ubaw podczas rodzinnych wakacji – zażartował Verlaque.

Paulik się uśmiechnął, jakby mu trochę ulżyło.

– Sprawdzamy wszystko na mapie i planujemy trasę, zanim wsiądziemy do samochodu.

Pół godziny później nieoznakowany wóz policyjny zatrzymał się przy

nieoznakowanym murze z czarną bramą z żelaza. Dwóch ochroniarzy – według Verlaque’a dość drobnych jak na Rosjan czy Gruzinów – ze słuchawkami w uszach i w kamizelkach kuloodpornych podeszło do nich i zajrzało do samochodu. Pokazali im policyjne odznaki i legitymacje. Ochroniarze odsunęli się od wozu, przez jakieś piętnaście sekund rozmawiali z kimś przez zestaw słuchawkowy, a potem brama powoli się otworzyła. Kierowca wrzucił bieg i zaczęli niespiesznie sunąć podjazdem porośniętym po obu stronach cyprysami i drzewami oliwnymi.

– Nie skojarzyłem ich akcentu – stwierdził Verlaque, mając na myśli ochroniarzy przy bramie. – Nie mówili jak Rosjanie.

– To Izraelczycy, panie sędzio – poinformował kierowca, spoglądając we wsteczne lusterko, by nawiązać kontakt wzrokowy z Verlakiem. I dodał: – To tutaj dość powszechne.

Gdy pokonali już podjazd, co wydawało się trwać nieskończenie długo, teren się wyrównał i Verlaque westchnął na widok feerii barw przed nimi – setki odcieni zieleni, od srebrzystej drzew oliwnych aż po ciemną zieleń rozmarynu. Kontrastowały z tym jaskrawy pomarańcz i róż kwiatów bugenwilli, które wydawały się pokrywać niczym draperie każdą pionową powierzchnię w zasięgu wzroku. Paulik bez wątpienia również delektował się tym widokiem i zauważył:

– Szkoda, że w Aix jest za zimno dla bugenwilli.

Verlaque uśmiechnął się pod nosem na myśl o tym, jakie to wspaniałe, że pracuje z komisarzem, który potrafi odgadywać roczniki win i nie ukrywa swego podziwu dla roślin. Kiwnął głową i odparł:

– Tak, klimat w Aix by je zabił. Kiedy przeprowadziłem się tu z Paryża, kupiłem sobie na taras cytrynę w donicy, ale nawet nie dotrwała do zimy.

Przed nimi pojawił się wielki dom z kamienia. Paulik pochylił się do przodu i oznajmił:

– No to jesteśmy na miejscu.

Kierowca odchrząknął i zauważył:

– Przypuszczam, że to tylko dom dla personelu, panie komisarzu.

Paulik opadł na oparcie i mruknął coś pod nosem.

Przejechali jeszcze kilkaset metrów, mijając inny kamienny dom oraz garaże i budynki gospodarcze, wszystkie w idealnym stanie. W końcu zajechali przed front Villa Nina, gigantycznej kamiennej rezydencji z licznymi wieżyczkami, która bardziej przypominała mały zameczek. Verlaque się domyślał, że zbudowano ją gdzieś na przelomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Różne detale, a także wielkość budynku przypominały mu opustoszały teraz dom babci w Normandii. Nie skomentował tego jednak na głos. Poza tym – próbował przekonać samego siebie – ceny nieruchomości w Normandii są niczym w porównaniu z bajońskimi sumami, jakie płaci się na południu albo w Paryżu.

Pojawiło się dwóch innych ochroniarzy i otworzyli Paulikowi i Verlaque’owi

tylne drzwi samochodu. Wszyscy zakładali, że kierowca zostanie w wozie. I tak właśnie zrobił; wyciągnął ze schowka „L'Equipe”, gazetę sportową, jeszcze zanim obaj mężczyźni zdążyli wysiąść. Verlaque'a i Paulika wprowadzono do holu o rozmiarach sali balowej, w którym dominował gigantyczny kryształowy żyrandol o średnicy około dwóch metrów. Obaj w naturalny sposób zadarli głowy, by mu się przyjrzeć, i wciąż tak stali, gdy z jednego z pokoi wyszedł przystojny mężczyzna po pięćdziesiątce. Zbliżył się, wyciągając ku nim rękę.

– Witajcie, panowie. Podoba wam się? – spytał, również zerkając na żyrandol. Rosjanin perfekcyjnie mówił po francusku.

– Bardzo – odparł Verlaque. Uścisnął mu rękę i przedstawił siebie oraz Paulika.

– Jest rosyjski, a nie wenecki, jak sądzi większość moich gości. Chodźmy porozmawiać w salonie. Mam nadzieję, że ruch na drogach nie dał się panom za bardzo we znaki.

– Niestety, jak zwykle – odpowiedział Verlaque.

– Ach, szkoda. Teraz wszędzie latam helikopterem. Tak mnie to wciągnęło, że kupiłem firmę, która je produkuje.

Pogorovski otworzył dwuskrzydłowe drzwi, najwyraźniej prowadzące do salonu. Nic nie byłoby w stanie przygotować Paulika i Verlaque'a na widok, jaki roztaczał się z okien. Przed nimi rozpościerało się turkusowe morze, poza którym widać było bardzo niewiele, z wyjątkiem małego fragmentu trawnika. Wciąż stojąc, Rosjanin zwrócił się do Verlaque'a.

– A więc chciałby mi pan zadać kilka pytań o François de Bremont? Pańscy ludzie zadzwonili do mnie dziś rano i poinformowali, że nie żyje.

– Został zamordowany – odparł chłodno Verlaque. – Jakie dokładnie interesy łączyły pana z hrabią?

– Wynajmował mieszkania naszym modelkom z Rosji, oprowadzał je po mieście, pomagał im się urządzić, tego typu rzeczy.

– Jest pan właścicielem agencji modelek? – zapytał Paulik, który czekał już z długopisem i notesem, by zapisać odpowiedź Rosjanina, choć dobrze ją znał.

– Tak, ale na pewno panowie o tym wiedzieliście – mrugnął do nich Rosjanin. – Tak właściwie to firma mojej żony. Ja mam Comgaz, koncern paliwowy, ale o tym z pewnością również wiecie. – Uśmiechnął się do obu mężczyzn.

– Wiedział pan o długach Bremonta? – zapytał sędzia.

– Tak i zachęcałem go, żeby zaczął je spłacać, ale próbował to załatwić hazardem i za każdym razem pogrążał się coraz bardziej. No i na pewno słyszeliście panowie o tym meczu polo.

Verlaque kiwnął głową.

– Grożono mu?

Pogorovski odchrząknął.

– Wiele razy. Wszyscy, od właścicieli kasyn aż po wkurzonych graczy polo. Wszystkim działał na nerwy. Ale był świetnym żeglarzem i świetnie grał.

– Nie wygląda pan na przybitego, panie Pogorovski – zauważył Verlaque. Rosjanin wzruszył ramionami.

– A powinienem?

Verlaque milczał, wpatrując się w niego. Gdy do Rosjanina dotarło, że sędzia się nie odezwie, ciągnął dalej:

– Niech pan posłucha. Znałem bardzo wielu ludzi. Widziałem, jak umierają, tutaj i w Rosji. Mój brat w wieku dwudziestu dwóch lat zmarł na raka. Życie toczy się dalej.

– Jest pan fanem polo? – spytał Verlaque.

– Tak – potwierdził Pogorovski. – Wciąż czasem grywam, ale tylko dla rozrywki. – Rosjanin poklepał się po płaskim brzuchu, uśmiechnął się szeroko i bardzo dyskretnie zerknął na wystający brzuch sędziego.

– Gdzie się mieści agencja modelek pańskiej żony? – zmienił temat Paulik.

Pogorovski skrzyżował ręce na piersi i zapatrzył się w okno. Odpowiedział, wciąż wpatrzony w morze:

– Biura są w Nicei, Paryżu i Mediolanie. Z łatwością je znajdziecie. Tribeca Models, Inc.

Verlaque, który przez chwilę też spoglądał za okno, teraz odwrócił się do Pogorovskiego.

– Ma pan alibi na środę rano, między godziną szóstą a dziewiątą?

– Oczywiście – odpowiedział Rosjanin. – Byłem tutaj, pracowałem w moim gabinecie. Możecie spytać kogokolwiek ze służby albo moją żonę Marię, która w tej chwili pracuje w biurze Tribeca w Nicei.

Verlaque nie chciał jeszcze wychodzić i zaryzykował zdradzenie tożsamości Inès, mówiąc:

– Krążą plotki, że zamierzał pan wysłać François do pracy do Hiszpanii.

Pogorovski spojrział na Verlaque'a i zmrużył bladoniebieskie oczy. Natychmiast zapytał:

– Kto tak panu powiedział?

– Nieważne – odparł Verlaque. – Dlaczego Hiszpania?

– Comgaz prowadzi interesy na Gibraltarze. François miał tutaj kłopoty i nie potrafił dojść ze sobą do ład. Pomyślałem, że mogę mu pomóc, wysyłając go do Hiszpanii. Nowy początek, rozumie pan?

Verlaque mocno wątpił w to, by Rosjanin chciał komukolwiek pomagać, a zwłaszcza François. Wiedział też, że na Gibraltarze anonimowi właściciele z łatwością mogli zakładać firmy, a potem w ich imieniu wykupywać nieruchomości na półwyspie. Wszystkie te informacje usłyszał niedawno podczas

kolacji z bratem, który wyjaśnił mu również, że Hiszpania staje się nowym Lazurowym Wybrzeżem dla prania pieniędzy. Dzięki pięciu lotom Aerofłotem w tygodniu na trasie Moskwa–Malaga. Zaprzyjaźniony pilot Air France powiedział Sébastienowi, że Rosjanie wysiadają z samolotów z reklamówkami pełnymi gotówki, którą otwarcie wręczają hiszpańskim celnikom wraz z certyfikatem rosyjskiego urzędu zezwalającym na wywóz tego kapitału z Rosji. Według Sébastiena ci najdyskretniejsi otwierali firmy na Gibraltarze. Słuchając tej historii, Verlaque zjadł obiad z pięciu dań, a Sébastien tylko dziobał po talerzu i sam wypił butelkę czerwonego burgunda. Verlaque odnosił wrażenie, że jego brat był bardziej zde gustowany tymi reklamówkami niż brudnymi pieniędzmi. Pewnie bardziej pasowałyby mu papierowe torby z Le Bon Marché. A jeszcze lepiej skórzane, od Louisa Vuittona.

– Mógłby pan przekazać żonie, żeby była w agencji jutro o dziesiątej rano? – na wpół poprosił, na wpół zażądał Verlaque.

– Tak, oczywiście – powiedział Pogorovski. Sędzia odwrócił się, by wyjść, a Paulik ruszył za nim. Uścisnęli jeszcze Rosjaninowi dłoń na pożegnanie. Ten odprowadził ich do masywnych frontowych drzwi, a gdy szli do samochodu, powiedział do nich od progu:

– Dacie mi, panowie znać, gdy tylko się dowiecie, kto to zrobił François, *non?*

Verlaque nic nie odpowiedział, kiwnął tylko głową i wszedł do samochodu. Kierowca rzucił gazetę na siedzenie obok, a Verlaque polecił mu, by zawiózł ich na tereny do gry w polo w Cannes.

– Mamy szczęście, że wszyscy gracze będą tam dziś wieczorem – powiedział, zerkając na Paulika.

– Tak. Dopiero co odbyło się doroczne spotkanie, a dziś wieczorem będzie uroczysta kolacja. Prezes klubu uprzedził ich, że się pojawimy, i przekazał, że postaramy się zachować dyskrecję, na ile to będzie możliwe. Na kolacji będą również ich żony i nie chciał ich denerwować, ale będą tam też sponsorzy.

– Zakładam, że sponsorowanie klubu polo to gruba sprawa.

Paulik kiwnął głową.

– Fréd wspominał mi, że klub polo w Cannes ma niesamowitych sponsorów. Firmy wynajmujące odrzutowce, wytwórnie filmowe, grube ryby.

Zaczęli powoli zjeżdżać w dół między gajami oliwnymi i ogrodami.

Paulik odwrócił się do Verlaque'a.

– Ten facet jest tak uczciwy jak osioł chodzący do tyłu.

– Zgadza się, ale nic nie możemy zrobić, dopóki mu nie udowodnimy, że wynajął płatnego mordercę, a to będzie bardzo trudne – odparł sędzia. A potem uśmiechnął się krzywo i dodał: – Osioł chodzący do tyłu? Skąd to wytrzasnąłeś?

– To takie stare powiedzenie z gór Luberon – wyjaśnił Paulik.

Wzmianka o górach Luberon przypomniła Verlaque'owi, że Paulik nie zawsze był komisarzem, koneserem win i wielbicielem opery.

– Macie w górach Luberon jakąś operę? – spytał. – Jak to się stało, że tak pokochałeś operę?

– Kiedy miałem dziesięć lat, pojechałem na szkolną wycieczkę – odpowiedział Paulik, opadając na oparcie. – Nauczycielka zorganizowała dla nas wyjazd, żebyśmy mogli zobaczyć popołudniowe występy na festiwalu operowym w Aix. Państwo to finansowało. No wie pan, zaprosić dzieciaki ze wsi, żeby nabyły trochę oglądy. Byłem zachwycony. Zaniemówiłem. Kiedy wróciłem do domu, nucilem pod nosem fragmenty, które udało mi się zapamiętać, a starszy brat droczył się ze mną, że chyba się zakochałem. I chyba tak było. Potem całe kieszonkowe zarobione w sąsiednich gospodarstwach wydawałem na płyty z muzyką operową albo na festiwal. No i naturalnie na mój motorower – dodał z uśmiechem.

– Jesteś niesamowitym człowiekiem – stwierdził Verlaque, patrząc na wielkie, przysadziste cielsko Paulika, na jego oczy jak u mopsa i zadarty nos; na pokrytą bliznami ogoloną głowę.

Komisarz wzruszył ramionami i odparł:

– Wszyscy jesteśmy.

## Rozdział

### dziewiętnasty

Ołówek poruszał się szybko po papierze, kreskując kształt spadzistego dachu. Niemal nie odrywając go od papieru, zaczęła pracować nad drugą stroną starego domu, gdzie ciągnęły się rzędy winorośli. Marine dodała trzy wysokie, proste cyprysy, po czym przyjrzała się swojemu rysunkowi. Od lat szkicowała stare kamienne budynki i teraz całkiem nieźle wychodziło jej to z pamięci. Zaczęła to robić w szkole średniej, gdy umysł uciekał od siedzenia nad podręcznikami. Jednak to, co w jej głowie powstało jako Château Bremont w Saint-Antonin, na papierze pojawiło się jako winnica Marca Nagela.

Przez dwie godziny pracowała w pomieszczeniu socjalnym w komisariacie w Cannes. Rysowała, czekając, aż na prehistorycznym komputerze załadują się strony. W hotelu Carlton chwilowo nie działał internet, a ponieważ Verlaque i Paulik musieli jechać na posterunek, gdzie czekał na nich samochód i kierowca, Verlaque zapytał, czy Marine mogłaby tam popracować.

– Na pewno nie może pracować na policyjnym komputerze. Jest tam zbyt wiele wrażliwych danych – powiedział mu przez telefon inspektor Boutard. Rok wcześniej współpracowali przy przejściu przemycanych narkotyków i Verlaque uważał go za idiotę.

– Tak, oczywiście – zgodził się, ziewając.

– Ale w pokoju socjalnym mamy stary komputer. Jest podłączony tylko do internetu, a nie do sieci w komisariacie. – Boutard usiłował być pomocny. Gdy zaczynała się era komputerowa, francuscy pracodawcy obawiali się, że jeśli nadarzy się okazja, to pracownicy będą w godzinach roboczych surfować po internecie, i w związku z tym wiele komputerów w instytucjach publicznych nie miało internetu; do celów wyszukiwania w sieci przeznaczano jeden czy dwa komputery, zazwyczaj ustawione w pokoju socjalnym albo w osobnym biurze. Pracodawcy twierdzili, że to ze względu na bezpieczeństwo.

Marine przygotowała sobie miejsce przy zakurzonym komputerze i robiła zapiski w notatniku, który zawsze nosiła przy sobie. Drukarka była strasznie przestarzała, poza tym nie było w niej papieru ani atramentu. Wyglądała jak jedna z pierwszych drukarek na rynku, jak ta z czasów, gdy pisała pracę magisterską. Podczas pracy cała się trzęsła.

Znalazła w internecie kilka artykułów z gazet, które potwierdzały to, co słyszała o Rosjanach na Lazurowym Wybrzeżu i kupowaniu przez nich nieruchomości. Właśnie miała sprawdzić agencję modelek *Madame Pogorovski*,



ale przeciągnęła się i zdała sobie sprawę, że od wczorajszego pogrzebu Étienne'a była nieustannie w ruchu. Pożegnała przyjaciela z dzieciństwa, którego brat również został zabity; rozmawiała z innym dawnym przyjacielem, którego nie widziała od lat; dostała całkiem zasłużoną burę od Sylvie i usłyszała od Antoine'a słowa, za którymi tak tęskniła. Wstała i podeszła do automatów, bo uświadomiła sobie, że bardzo przydałaby jej się kawa. Ale za rogiem zaraz przystanąła, bo dostrzegła młodego funkcjonariusza w mundurze przy jednym z automatów. Wydawał się zaskoczony widokiem nieznajomej w pomieszczeniu socjalnym, ale uśmiechnął się uprzejmie i przywitał. Gdy sięgnął po resztę, mimowolnie podziwiała jego opalone muskularne ramiona i szerokie barki. Kiedy już zabrał swoje espresso, do pokoju wszedł inny policjant i ryknął:

– Hej, Pellegrino! Spóźnisz się na tę szykowną imprezkę.

Młody funkcjonariusz odwrócił się i odparł:

– Przez cały dzień chodziłem wzdłuż krawężników. Potrzebuję trochę kofeiny, zanim napiję się szampana!

– Ach, ty biedaku – powiedział przyjaciel.

Pellegrino, Pellegrino, usiłowała sobie przypomnieć Marine. Paulik dopiero co z nim rozmawiał.

Uśmiechnęła się i powiedziała:

– Przepraszam. Czy to pan jest tym policjantem, który grywa... albo raczej grywał w polo z François de Bremont? Proszę mi wybaczyć... Podśledzałam, że ten drugi policjant zwracał się do pana Pellegrino. Widzi pan, wykładam prawo w Aix-en-Provence i dorastałam z François i Étienne'em.

– Żartuje pani? – Przez chwilę się w nią wpatrywał, a potem spytał podejrzliwie: – Co pani tutaj robi?

– To długa historia, ale jestem w Cannes z sędzią śledczym z Aix... eee... w innej sprawie.

– Z Antoine'em Verlakiem?

– Zna go pan? – spytała Marine.

Pellegrino pokręcił głową.

– Tylko z tego, co się o nim mówi.

– Miałby pan coś przeciwko temu, żebyśmy przez chwilę porozmawiali o François?

– Chyba nie, skoro mówi pani, że jest tu razem z sędzią Verlakiem. Zszokowała mnie wiadomość o śmierci Bremonta, tak jak wszystkich graczy polo.

Marine pomyślała, że brzmiało to równie szczerze jak wtedy, gdy jej studenci wymyślają usprawiedliwienia, gdy spóźniają się z oddaniem prac. Pellegrino dodał, jakby po zastanowieniu:

– Pani też musi być zszokowana, skoro się z nim przyjaźniła.

– Tak. Ale przyjaźniliśmy się w dzieciństwie. Nie widziałam go od lat –

odparła Marine. Gdy ruszyli w stronę stolików w pomieszczeniu socjalnym, Pellegrino powiedział:

– Właśnie zszedłem ze zmiany i muszę jechać do klubu polo na uroczystą kolację. Mam nadzieję, że to długo nie potrwa, bo przez pracę przegapiłem doroczne spotkanie dziś po południu.

Marine wychwyciła niezadowolenie w jego głosie, że nie mógł przesunąć swojej zmiany. Wyobrażała sobie jednak, że młodemu policjantowi musi być trudno grywać w polo z milionerami, którzy mają o wiele bardziej elastyczne godziny pracy.

Usiadła i zaprosiła go gestem, by zrobił to samo. Znów przyjrzała się z podziwem jego szczupłym, lecz muskularnym udom i ramionom i szybko skupiła uwagę na blond włosach i opalonej twarzy. Wydawał się zadowolony ze swojego wyglądu.

– Zbierałam materiały w internecie – powiedziała, starając się, by zabrzmiało to niejasno. – Pewnie pan słyszał, że w zeszły weekend zmarł brat François. Mógłby mi pan trochę opowiedzieć o jego życiu w Cannes?

– Grałem z nim przez trzy lata. Był naprawdę utalentowany, szóstka w klasyfikacji. – Marine zauważyła, że pozornie nie przejął się tym, iż obaj bracia umarli w tym samym tygodniu. Nie wypytywał o Étienne’a de Bremont i w ogóle się nim nie interesował. – Ja mam handicap siedem.

Marine zrobiła zdziwioną minę, ale zaraz zrozumiała, że Pellegrinowi chodzi o klasyfikację polo. Coraz mniej go lubiła. Uniosła brwi i spytała, starając się ukryć kpiący ton:

– To dobrze?

Pokiwał głową i wyjaśnił:

– Najlepszy handicap w polo to dziesiątka, ale niewielu zawodników we Francji taki ma. – Wydawał się czekać, żeby Marine zadała kolejne pytania, ale ponieważ tego nie zrobiła, ciągnął dalej: – Najlepsi gracze na świecie są w Hiszpanii i w Ameryce Południowej. Bardzo często mają handicap powyżej piątki.

Lekko znudzona kiwnęła głową.

– Był pan zaskoczony, gdy się pan dowiedział o śmierci François? – spytała.

– Tak, oczywiście. – Jego oczy się rozszerzyły. – Nawet jeśli miał wielu wrogów, nie zasługiwał, żeby umrzeć. Tak jak mówiłem komisarzowi Paulikowi przez telefon, potrafił grać nieczysto, ale nigdy nie zrobił mi nic złego. Miał wszystko. Był przystojny, dowcipny i nosił szlacheckie nazwisko. Robił wrażenie na wielu ludziach w Cannes, zwłaszcza na Rosjanach. Wygląda na to, że łapią się na takie rzeczy... To znaczy na szlachectwo. Jeszcze niedawno powiedziałbym, że był lubiany. Ale od ostatniej zimy stał się naprawdę nerwowy i w zeszłym tygodniu próbował ustawić mecz. Inni gracze mówią, że miał długi z hazardu.

– Słyszałam o tamtym meczu. Myśli pan, że ktoś mógł go z tego powodu zabić? – spytała Marine.

Pellegrino odrzucił głowę do tyłu i się roześmiał.

– Nie, wątpię. Może w Argentynie, gdzie na punkcie polo mają bzika, ale nie we Francji. Inni zawodnicy i zarząd oczywiście strasznie się wkurzyli, ale François był ostatnio w takim stanie, zdenerwowany i roztrzęsiony, że to wszystko zostało raczej odebrane jako coś żalosego. Mecz w połowie odwołano i poszliśmy w kilka osób do klubowego baru, ale François kazano wyjść. To wtedy ostatni raz go widziałem.

– A jego współpraca z tym Rosjaninem, Leverem Pogorovskim? Czy miejscowa policja to monitorowała? – Marine wiedziała od Paulika, że tak, ale chciała usłyszeć wersję Pellegrina.

– Tak – odparł policjant. – François pracował dla żony Pogorovskiego, Marii, w jej agencji modelek Tribeca. Mimo powiązań z Rosjanami i ogromnego majątku jej męża, agencja wygląda na czystą. Nasi tajni agenci wielokrotnie ją sprawdzali.

– Chce pan powiedzieć, że te młode, rosyjskie dziewczyny...

– I afrykańskie – wtrącił Pellegrino.

– ...że one naprawdę są modelkami? – dokończyła Marine.

– Tak, niektóre nawet supermodelkami. Mają własne strony internetowe i tak dalej. Z tego, co udało nam się ustalić, pracują legalnie dla „Elle” i „Vogue”, tu na miejscu, w Nowym Jorku i w Mediolanie. I na pokazach najlepszych projektantów chodzą na wybiegu.

Pellegrino dostrzegł pełną niedowierzania minę Marine i dodał:

– Może mi pani wierzyć, próbowaliśmy powiązać te modelki z prostytutką, zwłaszcza gdy partnerzy biznesowi Pogorovskiego przyjechali na Lazurowe Wybrzeże. Modelki zazwyczaj towarzyszą mężczyznom podczas kolacji i chodzą na te same przyjęcia, ale nie możemy aresztować Pogorovskiego za coś takiego. Dziewczyny mogą chodzić na imprezy, jeśli mają na to ochotę. Wypytywaliśmy modelki albo ich partnerów przy kolacji, ale nic nam to nie dało.

Marine zmarszczyła brwi.

– Jak się nazywa firma Pogorovskiego? – spytała.

– Comgaz – odparł rzeczowo Pellegrino, odsuwając krzesło o kilka centymetrów na znak, że to koniec rozmowy.

Niejednoznaczne zachowanie policjanta przeszkadzało Marine, więc zapytała bez ogródek:

– Czy granie w polo nie jest przypadkiem bardzo kosztowne?

– Tak, kosztuje fortunę, zwłaszcza gdy trzyma się własne konie, co robi wielu graczy. Jak pani wie, mam pensję urzędnika służby cywilnej, więc konia wypożyczam, a za granie mi płacą dzięki mojemu handicapowi. To się w polo

często zdarza. – Wstał i ruszył do wyjścia. Machając ręką na pożegnanie, dodał jeszcze: – Oczywiście sponsorują nas też firmy.

Gdy muskularny policjant już sobie poszedł, Marine wróciła do komputera i zapatrzyła się w ekran. Zastanawiała się nad tym, co jej powiedział, i wciąż była zaskoczona, że według ustaleń policji z Cannes te Rosjanki faktycznie były modelkami. Może ludzie zbyt szybko zakładają, że za każdym biznesem, który przynosi dochody lub wiąże się z prestiżem, stoi mafia. Zbyt wiele hollywoodzkich filmów. Ostatnia próba – postanowiła, otwierając wyszukiwarkę Google, gdzie wpisała „rosyjska mafia Lazurowe Wybrzeże”, tym razem po angielsku. Pojawiły się różne artykuły, w tym wiele o luksusowych nieruchomościach zakupionych przez Rosjan. W końcu, na trzeciej stronie amerykańskiego czasopisma internetowego, o którym nigdy nie słyszała, zobaczyła kolorowe zdjęcie pięknej dziewczyny o długich blond włosach, niebieskich oczach i nienaturalnie doskonałych rysach. Obejmowała się ramionami, wpatrzona prosto w obiektyw. Według artykułu Natassja Duvanow pochodziła z Kazachstanu, ale pracowała jako supermodelka w Nowym Jorku. Oprócz zdjęcia tej szokująco pięknej dziewczyny, uwagę Marine przykuły dwie rzeczy: że reprezentowała ją agencja Tribeca Models Inc. i że w styczniu kobieta popełniła samobójstwo, skacząc z balkonu swojego mieszkania w wieżowcu na Manhattanie.

Marine wpatrywała się w artykuł zafascynowana zdjęciem Duvanow, gdy zaczęła dzwonić jej komórka. Zobaczyła, że to numer Verlaque’a.

– Tak, Antoine? – odebrała.

– Cześć. Wyjeżdżamy teraz z posiadłości Pogorovskiego i jedziemy na wzgórze do klubu polo. Wrócimy do Cannes późno, około dziewiątej wieczorem. Możesz się z nami spotkać w barze hotelu Carlton? To jakieś dziesięć minut spacerem z miejsca, gdzie jesteś. A może chcesz, żebyśmy po ciebie przyjechali? – spytał.

– Nie, krótki spacer pomoże mi zebrać myśli – odparła. – Znalazłam parę interesujących artykułów w internecie. Zostanę tu jeszcze przez kilka godzin, dopóki nie skończysz przesłuchiwać zawodników.

Wiedziała, że przyda jej się ten spacer, by przestać myśleć o Natassji Duvanow. Zakończyła rozmowę i szybko wbiegła po schodach w nadziei, że złapie jeszcze Pellegrina w budynku. Z łatwością go znalazła – oczywiście brał prysznic i przebierał się w policyjnej szatni; akurat zakładał granatową aksamitną marynarkę i zmierzał w stronę wyjścia. Rzuciła się biegiem i dopadła go, gdy kładł rękę na kłamce. Położyła mu dłoń na ramieniu i powiedziała:

– Jeszcze tylko ostatnie pytanie. Mógłby pan przyjść i obejrzeć coś na komputerze w pomieszczeniu socjalnym?

– Naprawdę nie mam czasu.

Marine użyła swojego uroku, uśmiechnęła się i wzięła policjanta pod rękę.

– To potrwa tylko chwilkę, obiecuję.

Wzruszył ramionami i pozwolił się zaprowadzić do pokoju socjalnego. Szedł za nią, przeglądając wiadomości w komórce. Pochyliła się nad komputerem i szepnęła:

– Czy François de Bremont wspominał kiedyś o rosyjskiej modelce o imieniu Natassja, która mieszkała w Nowym Jorku?

Pellegrino zagryzł wargę, przez kilka sekund się zastanawiał, po czym odpowiedział:

– Faktycznie, miał przyjaciółkę modelkę, która przeprowadziła się do Nowego Jorku, ale nie pamiętam jej imienia. Szczerze mówiąc, myliły mi się te wszystkie Iriny, Natassje i Anastazje.

Marine pokazała mu zdjęcie.

– O tak, poznaję ją. Przychodziła na niektóre mecze i towarzyszyła François i różnym dyrektorom podczas kolacji i przyjęć.

– Czy ona i François byli parą? – spytała Marine.

– Trudno powiedzieć. François chwalił się wieloma rzeczami, ale nigdy swoimi kobietami.

– Ani dziewczynami – podsunęła Marine, pukając palcem w zdjęcie. – W styczniu popełniła samobójstwo. Miała dwadzieścia lat.

Pellegrino wydawał się zszokowany.

– Słyszałem, że jedna z ich modelek umarła w Nowym Jorku, ale nie wiedziałem która ani w jaki sposób. Jasne, że to po tym mógł być taki roztrzęsiony.

– Ale nie jest pan pewny, czy byli parą.

Ku zdumieniu Marine Pellegrino stłumił ziewnięcie.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Dziękuję – powiedziała. I dodała: – Niech się pan dobrze bawi na przyjęciu.

Pellegrino mruknął coś na pożegnanie i zerkając na zegarek, szybkim krokiem wyszedł z pomieszczenia socjalnego.

## Rozdział

### dwudziesty

Marine podeszła do automatu z kawą i kupiła sobie espresso oraz czekoladowy batonik. Zamierzała to zrobić, jeszcze zanim wpadła na Pellegrina. Zaczynała odczuwać zmęczenie. Wróciła na swoje prowizoryczne stanowisko pracy i znów spojrzała na zdjęcie Natassji. Zapisała je, a potem przez godzinę szukała w internecie artykułów o Rosjanach na Lazurowym Wybrzeżu. Natrafiła na artykuł w „Le Monde” o zakupie Villa Nina przez Pogorovskiego oraz pół tuzina innych artykułów na temat jego interesów i nabywania nieruchomości. Nie udało jej się natomiast znaleźć takich, które byłyby poświęcone Pogorovskiemu na najróżniejszych imprezach. Marine zakładała, że właśnie coś takiego robią miliarderzy, że to niemal część ich pracy: przyjęcia w smokingach i prawie w każdym tygodniu jakaś impreza charytatywna. Przez kolejną godzinę czytała stronę internetową klubu polo w Cannes, która okazała się profesjonalna i zaskakująco szczegółowa, zarówno po francusku, jak i po angielsku. Od razu sprawdziła zawodników i ich handicapy. Figurowali tam François i Pellegrino i było tak, jak powiedział jej policjant: sześć i siedem. Na stronie wspomniano również, że Eric Pellegrino jest trenerem polo w klubie. O tym Marine nie powiedział. Może uznał, że to nieistotne. Kliknęła jego zdjęcie i sama przed sobą musiała przyznać, że jest naprawdę przystojny.

Tuż przed dziewiątą ruszyła korytarzami, których przejście zajęło jej jakieś pięć minut, i wyszła z budynku na balsamicznie ciepły wieczór. Nie potrafiła przestać myśleć o pięknej młodej Rosjance, która popełniła samobójstwo. Czy nie o tym marzyły miliony dziewczyn na całym świecie, bez względu na narodowość, religię czy wykształcenie? Coś w Pellegrinie również nie dawało jej spokoju. Możliwe, że chodziło o tę pewność siebie typową dla sportowców, zwłaszcza tych młodych i przystojnych. Ale dlaczego odnosiła wrażenie, że jego odpowiedzi ograniczały się do absolutnego minimum? Wyglądało na to, że rosyjskie modelki też niespecjalnie go interesowały. Co z niego za facet z południa? Pomyślała o przyjaciółach Antoine’a z klubu palaczy cygar z Le Mazarin i o tym, jak by się przymilali do ładnej dziewczyny, nie wspominając nawet o supermodelce. Roześmiała się głośno, a potem pomyślała, że to trochę głupie: po niecałych dziesięciu godzinach już tęskniła za Aix. Ale zawsze tak było, nawet gdy przyjeżdżała do Paryża. Cours Mirabeau, znajome głosy i twarze, zawsze zostawały z nią jak część bagażu przynajmniej przez jeden dzień.

Przed sobą widziała ciemne sylwetki palm i kolorowe światła na eleganckich

białych ścianach hotelu Carlton, zbudowanego na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Zaczęła się cieszyć, że wyjechała, że jest z dala od uniwersytetu i swoich rodziców, a nawet od Sylvie. Wiedziała, że jej potrzebuje, ale często potrzebowała też przerwy. Marine szybko wbiegła po schodach i powiedziała „Bonsoir” portierowi, wchodząc przez ciężkie szklane drzwi do hotelu. Z lobby sączyła się grana na żywo muzyka fortepianowa i Marine skierowała się do pogrążonego w półmroku, pokrytego boazerią baru. Tam dostrzegła wielkie cielsko Paulika, tył jego ogolonej głowy, a naprzeciw niego Antoine’a. Mrugnął na jej widok i serce zabiło jej szybciej. Paulik wstał, wysunął dla niej krzesło i szybko zaczęli omawiać wrażenia z tego długiego dnia.

– Gdzie dzisiaj nocujemy? – spytała nagle Marine. Gdy Paulik się roześmiał, dodała: – No więc gdzie?

Oboje spojrzeli na Verlaque’a, który z lubością zaciągał się właśnie cygarem marki Partagas Corona.

– Tutaj – oświadczył, lekko mrużąc oczy, gdy otoczył go dym.

– W Carltonie? – zawołała Marine. – Zwariowałeś?

– Pokazałem w recepcji odznakę i powiedziałem im, że współpracujemy z policją z Cannes w sprawie zabójstwa. Dali nam zniżkę, trzy pokoje na tyłach. Obawiam się, że nie będzie pięknych widoków.

– Jestem zbyt zmęczony na podziwianie widoków – stwierdził Paulik, a Marine pokiwała głową. Poza tym usłyszała bardzo wyraźnie: trzy pokoje, nie dwa. Tak jak powinno być, pomyślała.

Verlaque przywołał gestem kelnera, spojrzął na nich i powiedział:

– Może zamówimy na kolację coś z baru. To przecież Carlton, przypuszczam, że w barze mają całkiem niezłe jedzenie.

– Jak dla mnie może być – odparł Paulik. A potem odwrócił głowę do Marine, by mogła wyrazić swoje zdanie.

– Tak, dobrze, dobrze – odpowiedziała z wymuszonym uśmiechem. Wolałaby zjeść w sali jadalnej, ale jak zwykle Verlaque zdecydował za wszystkich. Uświadomiła sobie, że nie wspomniała obu mężczyznom o Natassji Duvanow, więc zreferowała im, czego się dowiedziała z internetu i z rozmowy z Pellegrinem. Paulik niemal natychmiast zapytał, w jaki sposób dziewczyna popełniła samobójstwo, i obaj się skrzywili, gdy im powiedziała o wieżowcu na Manhattanie.

– Czyli ta Natassja i François de Bremont się znali? – spytał Verlaque.

– Tak. I Pellegrino powiedział, że François przez kilka miesięcy był wytracony z równowagi. Być może z powodu długów, ale mogło to też mieć coś wspólnego ze śmiercią Natassji – podsunęła Marine.

– Byli parą? – spytał Paulik.

Marine podniosła wzrok znad kieliszka i zobaczyła, że Verlaque wpatruje się w nią znad okularów do czytania.

– Pellegrino tego nie wiedział – odparła. – Najwyraźniej François nie opowiadał o swoich kochankach.

– Dziwne – rzucił Paulik.

Verlaque przetoczył czubkiem cygara po popielniczce, pozwalając, by popiół powoli się wykruszył. Marine i Paulik przyglądali się temu jak urzeczeni.

– Może François nie wolno było się umawiać z żadną z modelek – powiedział sędzia. – Potrafię sobie wyobrazić, że Pogorovski wprowadził taką zasadę. Może ukrywali swój romans. Kto mógłby wiedzieć, czy coś ich łączyło?

Marine natychmiast pomyślała o swojej przyjaźni z Sylvie.

– Jej najlepsza przyjaciółka – powiedziała. I po chwili dodała: – Albo jej matka, ale ona mieszka w Kazachstanie.

– Jutro rano pójdziemy do tej agencji modelek – oświadczył Verlaque. – Może tam uda ci się dowiedzieć, z kim była blisko. A co sądzisz o Pellegrinie?

– Pojawił się przy automacie do kawy... – zaczęła Marine, odkładając widelec.

Verlaque westchnął.

– Chodzi mi o to, jak go oceniasz.

– No tak... Po pierwsze, jest egocentrykiem i bardziej go interesowało, jak zdążyć na czas do klubu polo niż rozmowa o śmierci François. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, przypominam sobie, że nawet nie skomentował, gdy oznajmiłam, że Étienne zmarł w tym samym tygodniu. Powiedziałabym, że jest zimny. Albo może po prostu trochę gruboskórny.

– Ja też odniosłem takie wrażenie, kiedy rozmawiałem z nim w klubie.

– Skąd stać go na to, żeby grać? – spytał Paulik.

– Płacą mu za to z powodu jego wysokiego handicapu – odparła Marine. – I mają firmy, które ich sponsorują.

– Kiedy rozmawiałem z nim w klubie, zauważyłem dużo... nie wiem, jak to wyrazić... Zazdrości? Był przewrażliwiony na punkcie tego, że jest urzędnikiem wśród wszystkich tych grubych ryb z klubu polo – powiedział Verlaque.

– Zwróciłam uwagę na to samo – stwierdziła Marine. – A kiedy go zapytałam, czy według niego François spotykał się z Natassją, oświadczył, że nic go to nie obchodzi.

– Przynajmniej jest szczery – zauważył Verlaque.

Przez chwilę wszyscy troje milczeli.

– To wino jest doskonałe – powiedziała Marine do Paulika, żeby przerwać to niezręczne milczenie. Ale faktycznie zauważyła, że wino jest niezwykle dobre. Zakręciła zawartością kieliszka.

– To od Marca – uśmiechnął się komisarz.

– To super! – powiedziała, dumna ze swoich nowo odkrytych kubków smakowych.



– Pellegrino podał mi swoje alibi – odezwał się Verlaque. I zwrócił się do Marine: – Co ci mówił na temat tego dnia rano, gdy zginął François?

– Wspominał, że był wtedy na dziennej zmianie. To by mu uniemożliwiło dotarcie z Cannes do Saint-Antonin.

– Na zmianie? – spytał Verlaque. – Użył dokładnie takiego słowa?

– Tak, jestem tego pewna. Zapamiętałam to, bo z jakiegoś powodu wyobraziłam sobie policjantów w mundurach chodzących w tę i z powrotem pod palmami na Croisette.

Paulik zamieszał winem w kieliszku i spytał sędziego:

– A panu co powiedział?

– Że był w pracy i jasno z tego wynikało, że chciał się urwać. Kiedy go przycisnąłem, przyznał, że nie był na patrolu, tylko na szkoleniu komputerowym. A więc nie był do końca szczery z Marine. Ty też chodziłeś na te zajęcia, prawda, Bruno? Sprawdzają tam obecność?

Paulik się zastanowił.

– Czasami.

– François zabił kogoś, kogo znał – szepnęła Marine. Obaj na nią spojrzeli. – Tak mówiliście.

– Bruno, zadzwońmy jutro do komisariatu w Cannes i dowiedzmy się, kto prowadził tego dnia kurs komputerowy – powiedział Verlaque. Czy zazdrość lub zawiść była motywem tego morderstwa? Zapamiętał słowa Pellegrina, gdy stali na tarasie klubu polo w otoczeniu opalonych mężczyzn i obwieszonych klejnotami kobiet. „Płacą mi za granie. Widział pan te samochody na parkingu?”

Przyniesiono rachunek i zapłacili, po czym ruszyli w stronę wind. W windzie Verlaque podał Paulikowi i Marine klucze. Nagle poczuła się wyczerpana i oparła się o ścianę. Przymknęła oczy i pomyślała o Natassji, o jej smukłym idealnym ciele uderzającym o nowojorski chodnik. Wzdrygnęła się i otworzyła oczy. Verlaque położył jej dłoń na ramieniu.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Tak, nic mi nie jest, to tylko zmęczenie. – Spojrzała na Paulika i powiedziała: – Od razu zapytałeś, w jaki sposób Natassja Duvanow popełniła samobójstwo.

Paulik wydawał się zaskoczony.

– Tak – odparł. – To aż takie dziwne?

– Nie, ani trochę – odpowiedziała Marine.

– Ja też o tym od razu pomyślałem – dodał Verlaque.

Marine kategorycznie pokręciła głową i uniosła palec, nie wskazując na nic konkretnego, jakby chciała pokazać, że nagle coś pojęła.

– Pellegrino o to nie spytał.

– Może już wiedział? – podsunął Paulik.

– Nie, nie. Nie znał nawet jej nazwiska. Rozpoznał ją dopiero, gdy zobaczył zdjęcie.

– Istnieją ludzie pozbawieni ciekawości albo mający bardzo ograniczone horyzonty – zauważył Verlaque. Przyszły mu do głowy lady Emily i własna matka.

– Pewnie tak – powiedziała bez przekonania Marine. I przyłapała się na myśli, że dla policjanta ciekawość powinna być czymś normalnym.

Drzwi windy otworzyły się i ruszyli korytarzem do swoich pokoi. Niemal równocześnie otworzyli drzwi kartami i życzyli sobie dobrej nocy. Marine wzięła gorący prysznic, włożyła hotelowy szlafrok i poszła do łóżka.

Właśnie miała wyłączyć nocną lampkę, gdy usłyszała pukanie. Wstała, podeszła do ciężkich drzwi i lekko je uchyliła. Po drugiej stronie stał Verlaque.

– Mogę wejść? – spytał. I mruknął: – Nie po to, żeby się z tobą przespać.

Marine wpatrywała się w niego przez chwilę, a potem spojrzała na swoje bose stopy.

– Wejdz – szepnęła, chociażby po to, by nie przeciągała się ta niezręczna chwila na korytarzu w Carltonie. Otworzyła drzwi i wpuściła go do środka. Usiadł w jednym z foteli, a potem szybko wstał i podszedł do barku.

– Napijesz się whiskey? – spróbowała Marine.

Sędzia szybko otworzył lodówkę.

– *Don't mind if I do* – odpowiedział po angielsku.

Marine wzruszyła ramionami. Nie do końca zrozumiała, ale wychwyciła sedno.

– No to częstuj się – mruknęła. W lodówce znalazł to, czego można się było spodziewać w hotelu: napoje gazowane i miniaturowe butelki z alkoholami. Verlaque wybrał Johnniego Walkera, skrzywił się na widok czerwonej etykiety, ale zdjął nakrętkę i nalał sobie całą zawartość do szklanki. Popatrzył na Marine i powiedział:

– Przepraszam. Też masz ochotę?

– Nie, dzięki. Dobrze mnie wyszkoliłeś – odparła. – Nawet ja wiem, że to byle co. O co chodzi? Chcesz mi powiedzieć coś o sprawie? Czy może porozmawiamy o tym rano?

Verlaque wypił połowę whiskey jednym wielkim haustem i udał, że smakował mu przemysłowo produkowany alkohol. Podszedł o krok bliżej do Marine i pogłaskał ją po włosach.

– W windzie nie mogłem ci się oprzeć – szepnął.

– Co ty wyprawiasz, Antoine?

Dopił resztę i usiadł na łóżku.

– Chciałem o tym z tobą porozmawiać tamtego wieczoru na moim tarasie, ale wyszłaś. – Marine próbowała coś wtrącić, ale powstrzymał ją, podnosząc rękę.

– Wyszłaś. Ale może dobrze zrobiłaś. Tamtego wieczoru to nie była właściwa

chwila. Było zbyt jasno. Ptaki robiły za dużo hałasu. Na dworze było zbyt pięknie.

Poklepał miejsce na łóżku obok siebie. Podeszła bliżej, ale nie usiadła. Oparła jedną rękę na biodrze i spojrzała z góry na Verlaque'a.

– I teraz oczekujesz, że wszystko rzucę, przestanę się spotykać z Arthurem... Co ma znaczyć ten krzywy uśmiech?! ... i rzucę ci się w ramiona?

– Wiem, powinienem był do ciebie zadzwonić, kiedy byłem w Luksemburgu, w Anglii albo w Paryżu.

– Byłoby miło – szepnęła. – Ale byłeś zajęty lady Emily.

Verlaque zignorował tę uwagę.

– Wygląda na to, że jestem dobry tylko w jednym, w mojej pracy. Moje relacje z rodziną są okropne. Popsułem to, co mieliśmy. Zbyt łatwo znajduję pociechę w samotnym pykaniu cygara i popijaniu whiskey.

– Nie mów tak. Miałeś wspaniałe relacje z Emmeline.

– Ach tak, z moją wybawczynią.

Marine zastanowiła się. Emmeline zawsze była ważniejsza od wszystkich. Czy ona sama nie mogła również zostać wybawczynią Verlaque'a?

– Przed czym cię uratowała, Antoine?

Verlaque lekko się skrzywił; teraz, gdy pozwoliła mu mówić, wydawał się tym zdegustowany. Zadzwoniła jego komórka. Zaklął, wyciągnął telefon z kieszeni i spojrzał na wyświetlacz.

– *Merde!* To Roussel! Słuchaj, Marine, muszę odebrać ten telefon i go uspokoić. Pewnie jest wściekły, że wciąż nie zamknąłem sprawy Étienne'a de Bremont.

Marine kiwnęła głową i odprowadziła go do drzwi. Odebrał w drodze do swojego pokoju. Westchnęła, zamknęła drzwi i oparła się plecami o zimne drewno. Cokolwiek chciał jej powiedzieć Verlaque, żeby to zrobić, potrzebował pełnej szklanki kiepskiej whiskey, a potem z łatwością przeszkodził mu w tym telefon od kogoś, kogo nie znosił. Może prosty, miły, choć trochę nudny facet, taki jak Arthur, byłby dla niej lepszy. Chyba była już na to za stara.

– *Putain!* Na litość boską, co ty wyrabiasz w Cannes? – wrzasnął Roussel do słuchawki.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa – odparł skonsternowany Verlaque.

– Dlaczego pojechałeś tam ze swoją partnerką? O, przepraszam... ze swoją byłą.

Verlaque wciągnął głęboko powietrze. Próbował zachować spokój.

– Kto ci powiedział, że Marine tu jest?

– Eric Pellegrino, a któż by inny? Właśnie dzwonił, żeby się poskarżyć, że był przesłuchiwany dwa razy! Raz przez ciebie, drugi raz przez jakąś nauczycielkę!

– Wykładowczynię – poprawił go Verlaque.

– Mniejsza z tym! Pellegrino jest policjantem, a Mlle Bonnet nie. Nie ma prawa tam być, a już z całą pewnością nie powinna się kręcić po komisariacie i rozmawiać z funkcjonariuszami! Tylko tego mi trzeba, żeby *commissaire* z Cannes też złożył skargę. Wyobrażasz sobie, w jakie gówno wtedy wpadniemy?

Verlaque przymknął oczy. Wiedział, że Roussel ma rację.

– Zrobiłeś jakieś postępy w sprawie Étienne’a? Bleyowie do mnie wydzwanają, a ja wciąż jestem na urlopie!

Verlaque aż się wzdrygnął, słysząc, że Roussel wspomina zmarłego po imieniu. To, że znał jego ojca, oznaczało prawdopodobnie tylko tyle, że raz siedzieli obok siebie na jakiejś oficjalnej kolacji albo spotkaniu.

– Tylko tyle, że jego brat również został zamordowany, też w Saint-Antonin – odpowiedział spokojnie sędzia.

– Te dwie sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego! Jeden z nich był dobrym katolikiem z Aix. Drugi playboyem z Riwiery!

– Tak, playboyem, którego łączono z rosyjską mafią! – Verlaque również podniósł głos. Opowiedział Rousselowi o uderzającym podobieństwie obu braci i swoim przeczuciu, że tamtej nocy na strychu ktoś mógł pomylić Étienne’a z François.

– Posłuchaj, sędzio. Nie obraż się, ale działasz, kierując się przeczuciem. Ilu znasz płatnych morderców, którzy wypychają ofiarę przez okno? To dość niezręczny sposób, aby się kogoś pozbyć. Mógł przecież przeżyć upadek!

Verlaque nie odpowiedział, ale jego milczenie było jak przyznanie Rousselowi racji. Wiedział, że zawodowi mordercy nie używali takich metod. Bardziej przypominało to działanie w afekcie. Pomyślał o tych, którzy wydawali się zdolni do czegoś takiego. Isabelle, która nie wiedziała o drugim koncie w banku i nie pofatygowała się, żeby przeczytać scenariusz męża. I zimna kochanka, jej własna siostra. Miłość i pieniądze były głównymi przyczynami morderstw i każda z tych kobiet mogła podczas zażartej kłótni popchnąć młodego arystokratę.

– Wracasz jutro? – spytał Roussel.

– Tak. – Verlaque nie wspomniał Rousselowi, że Pellegrino mógł się nie stawić na szkolenie komputerowe. Jakby czytając mu w myślach, Roussel powiedział:

– I trzymaj się z dala od Pellegrina!

Verlaque zakończył rozmowę i wyłączył komórkę. Rozebrał się i wziął długi gorący prysznic, myśląc o kobietach, które kiedyś kochał: o tych, których wolał nie pamiętać. I innych, których twarze zawsze sprawiały, że się uśmiechał, tak jak Agnès, jego pierwsza wielka miłość na studiach. Dzielili w Paryżu małe mieszkanko na strychu i rozstali się po dwóch latach jako przyjaciele; oboje doszli do wniosku, że są za młodzi, by ten związek mógł zaprowadzić ich gdzieś dalej. Po niej miał tuziny partnerek, ale za żadną nie szalał tak jak za Marine. Zastanowił się,

czy nie wrócić do jej pokoju, ale wiedział, że to kiepski pomysł. Poza tym pewnie już dawno zasnęła. Kiedyś lubił obserwować, jak zasypiała, i gdy już położył się do łóżka, pomyślał o tych cudownych popołudniowych drzemkach w Paradiso, o białych płóciennych zasłonach unoszących się na wietrze i docierających przez okno ich sypialni głosach włoskich dzieci bawiących się na plaży.

Tej nocy Marine śniły się smukłe opalone ciała unoszące się nad szarymi drapaczami chmur. Verlaque śnił o Emmeline w Normandii, tylko że w tym śnie to nie był jej dom, lecz Pogorovskiego. A gdzieś dalej w korytarzu komisarz Paulik zasnął z głową wypełnioną dźwiękami słynnej arii z opery *La Wally* i we śnie widział główną bohaterkę, która rozpaczliwie zakochana rzuca się pod lawinę w austriackich Alpach.

## Rozdział

### dwudziesty pierwszy

Agencja Tribeca Models mieściła się przy małej uliczce w starej części Nicei, lecz od sąsiednich średniowiecznych budynków ten odróżniał się fasadą z białego marmuru, automatycznymi drzwiami z przyciemnianego szkła i mosiężnymi oprawami oświetleniowymi – czyli designem typowym dla lat osiemdziesiątych. Wewnątrz wielkie oprawione fotografie prezentowały ofertę agencji – modeli, a przede wszystkim modelki, ubranych lub częściowo rozebranych. Bruno Paulik powoli obszedł hol, z przekrzywioną głową przyglądając się każdej fotografii, jakby był w galerii sztuki. Marine nie wiedziała, czy było to wyrazem kpiny, czy nie; w każdym razie musiała odwrócić głowę, by ukryć szeroki uśmiech. Verlaque porozmawiał z recepcjonistką, która sama mogłaby być modelką, a potem podszedł do Marine, wziął ją pod ramię i lekko, lecz stanowczo ścisnął jej rękę. Stalowe drzwi windy otworzyły się i natychmiast, jakby instynktownie cofnął dłoń. Z windy wysiadła siwowłosa kobieta i przedstawiła się całej trójce jako Maria Pogorovski. Była elegancka, wysoka, imponująco zbudowana. Mogła mieć o jakieś dziesięć, piętnaście lat więcej niż jej mąż. Nosiła masywną, drogą biżuterię i jasnoróżowe, szyte na miarę spodnium. Kolor szminki i lakieru do paznokci idealnie pasowały do stroju, co Marine zawsze kojarzyła z kobietami w pewnym wieku na Lazurowym Wybrzeżu.

*Madame* Pogorovski wprowadziła ich do windy i wjechali na czwarte, ostatnie piętro. Najwyraźniej uznała, że trzeba ich formalnie przywitać w lobby, a jeśli zdziwiło ją, że widzi wykładowczynię prawa w towarzystwie sędziego i policjanta, nie dała tego po sobie poznać. Drzwi windy otworzyły się bezpośrednio w jej gabinecie, wielkim pomieszczeniu z oknami od podłogi do sufitu, z którego rozciągał się widok na dachy Nicei i na południe, na morze. Widząc minę Marine, powiedziała ciepło:

– Może i Nicea nie jest centrum mody, ale jak pani widzi, muszę mieć widok na morze w miejscu, gdzie mieszkam i pracuję. – Zamaszystym ruchem wskazała wielkie okna i cały gabinet, jakby zapraszając gości z Aix, by nacieszyli się jego pięknem i luksusem. Jej francuski był bardzo dobry, choć silny rosyjski akcent sprawiał, że jej słowa brzmiały mniej płynnie i melodyjnie niż w wypadku jej męża.

Meble i dzieła sztuki były zaskakująco współczesne, biorąc pod uwagę konserwatywny strój Rosjanki. Cała czwórka usiadła przy okrągłym stoliku, zaprojektowanym przez Eero Saarinen w latach pięćdziesiątych; Verlaque

natychmiast rozpoznał białą piedestałową podstawę i marmurowy blat.

– Mąż przekazał mi, że prowadzą państwo śledztwo w sprawie śmierci François de Bremont – powiedziała *Madame* Pogorovski, patrząc głównie na Verlaque'a. Najwyraźniej założyła, że to on jest głównym śledczym.

– Zgadza się – odparł sędzia. – François de Bremont pracował dla pani agencji, *non*?

– Pracował – odparła Rosjanka, przeciągając to słowo. – Jeśli można nazwać to pracą. *Nice work if you can get it*, czy nie tak było w piosence? Tak, załatwiał mieszkania dla naszych dziewczyn, oprowadzał je po Nicei, pomagał im z papierami, tego typu rzeczy.

– Nie sprawdzał się dobrze w pracy? – spytał Verlaque, słysząc sarkazm w jej głosie.

– Trudno było nad nim zapanować. Kiedy był potrzebny, nigdy nie było go pod ręką. Ale dziewczyny go uwielbiały. Był dla nich dobry i proszę mnie źle nie zrozumieć, tu w Tribeca wszystkich nas bardzo zasmuciła wiadomość o jego śmierci.

Marine spojrzała na nią i spytała:

– Co dokładnie łączyło *Monsieur* de Bremont z Natassją Duvanow?

*Madame* Pogorovski zaskoczyło to pytanie, ale zaraz zapanowała nad swoją elegancką, opaloną twarzą.

– Dlaczego interesuje się pani Natassją? – spytała podejrzliwie.

– Wiem, że popełniła samobójstwo i że przyjaźniła się z François – odparła Marine. I czując, że Rosjanka wwierca w nią spojrzenie, dodała: – I samobójstwo, i morderstwo to gwałtowna śmierć, nawet jeśli jedna nastąpiła z własnego wyboru, a druga nie. Chcielibyśmy po prostu dowiedzieć się, czy istniał jakiś związek między jednym a drugim.

– A niby jaki? – odparła *Madame* Pogorovski łagodniejszym, ale pełnym napięcia głosem. – Jak sama pani wie, Natassja popełniła samobójstwo w Nowym Jorku. Tak, myślę, że się przyjaźnili, ale tu w Tribeca wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. – Znów zamaszystym gestem wskazała na cały gabinet.

– Wie pani, dlaczego Natassja popełniła samobójstwo?

Rosjanka spojrzała na swoje dłonie, a potem znów na Marine, której wydało się, że dostrzega w jej oczach szczery smutek.

– Nie, nie wiem. Wiem tylko, że tęskniła za Rosją, to znaczy za Kazachstanem, i dzwoniła do mnie dzień przed śmiercią, płakała. Ale sądziłam, że to przejściowa tęsknota za domem. Tak jest ze wszystkimi dziewczynami, gdy mija już pierwszy blask bycia modelką i ich rzeczywistością staje się ciężka praca. – Znów spojrzała na swoje dłonie i dodała, obracając na nadgarstku bransoletkę z brylantami. – Wciąż nie mogę sobie tego darować. – Jej ciemne oczy się zaszklily.

– Czy Natassja była blisko z jakąś inną modelką? – wtrącił się Verlaque, pragnąc ulżyć kobiecie. Jej poczucie winy wydawało mu się całkowicie autentyczne.

– Nie, nic mi nie wiadomo, by przyjaźniła się z którąś bliżej. Przynajmniej nie tutaj, we Francji – odparła szybko *Madame Pogorovski*.

Marine otworzyła usta, by zaprotestować, ale Verlaque już wstał, wyciągnął rękę i powiedział:

– Dziękujemy, *Madame*, że poświęciła nam pani czas. Sami znajdziemy drogę do wyjścia.

W windzie Marine spytała:

– Jak to możliwe, żeby dwudziestolatka dziewczyna nie miała przyjaciółki?

– Uważasz, że to dziwne? – odparł Verlaque, przypominając jej, że on również w tym wieku nie miał przyjaciela. Nie czekając na odpowiedź, sędzia zwrócił się do Paulika z pytaniem, czy on w tym wieku miał przyjaciela.

– Jasne – odparł komisarz. – *Ma moto*.

Marine i Verlaque popatrzyli po sobie i wybuchnęli śmiechem.

– Tylko żartowałem – dodał Paulik. – Kochałem mój motor, ale miałem też świetnego kumpla o imieniu Lili.

– Lili? – spytał Verlaque. – Jakie stare prowansalskie imię. I co on teraz robi?

– Prowadzi bistro w Paryżu. Od lat tam nie byłem, ale gdy ostatni raz tam jedliśmy, posiłek był przepyszny, a lokal wypełniony po brzegi. – Paulik podał Verlaque’owi nazwę i adres bistro, a sędzia od razu wprowadził te dane do swojego blackberry.

Drzwi windy otworzyły się i Marine wyszła, lecz zatrzymała się przy recepcji. Pochyliła się i przez kilka minut rozmawiała ściszym głosem z recepcjonistką. Po chwili młoda kobieta podała jej małą karteczkę. Na zewnątrz Marine pokazała Verlaque’owi i Paulikowi, co jest na niej napisane. Był to numer telefonu.

– Najlepsza przyjaciółka? – spytał Verlaque.

– Tak – potwierdziła Marine. – Jest modelką, tu w Nicei. Pracuje dla Tribeca.

– Dobra robota.

– Czyli *Madame Pogorovski* najwyraźniej nie chciała nam podać nazwiska innej modelki – zauważył Paulik.

Verlaque kiwnął głową.

– Wszystko na to wskazuje. Ale myślę, że była szczerze przejęta śmiercią tej dziewczyny.

– Też tak sędzę – odezwała się Marine. – Ale może równocześnie nie chciała, byśmy dowiedzieli się więcej o powodach, z jakich Natassja odebrała sobie



życie. Może czuje, że w pewnym sensie to była jej wina.

W milczeniu dotarli do samochodu. Otwierając drzwi, Verlaque spojrzął na Marine i spytał:

– Mogłabyś zadzwonić do tej przyjaciółki i spróbować się z nią umówić? Bruno i ja wybierzemy się w tym czasie do kasyna w Cannes.

– Pewnie – odparła Marine. Gdy wsiedli do wozu, wybrała numer modelki. Dziewczyna nie miała najmniejszej ochoty na to spotkanie i zgodziła się dopiero, gdy Marine obiecała, że pokaże jej dowód tożsamości. Verlaque podwiózł ją na Promenade des Anglais i ustalili, że spotkają się w tym samym miejscu za dwie godziny.

Marine ruszyła deptakiem, spoglądając na morze i dzielnych kąpielowiczów – głównie starszych ludzi. Zastanawiała się, o co chce zapytać najlepszą przyjaciółkę Natassji, modelkę o imieniu Tatiana. Kobieta zasugerowała, żeby spotkały się na ławce, naprzeciw Hôtel Negresco. Gdy Marine dostrzegła hotel, przyjrzała się ławkom stojącym wzdłuż promenady po drugiej stronie ulicy. Na jednej z nich dostrzegła dziewczynę w luźnych spodniach od dresu, słuchającą muzyki z iPod'a. Marine usiadła obok niej, a dziewczyna po kilku sekundach wysunęła słuchawki z uszu i spytała:

– To pani jest tą wykładowniczą?

Marine kiwnęła głową.

– Tak. Nazywam się Marine Bonnet – powiedziała, ściskając dłoń dziewczyny. – Wykładam prawo na Uniwersytecie w Aix-en-Provence. To mój dowód tożsamości. – Dziewczyna wzięła go do ręki i mu się przyjrzała, po czym bez słowa oddała go Marine. – Tak właściwie jestem w Nicei w związku z policyjnym śledztwem. Prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa François de Bremont. Dorastałam z François i jego bratem Étienne'em. Dobrze pani znała François?

Tatiana spojrzała na nią i podciągnęła pod brodę niesamowicie długie nogi. Zapatrzyła się w morze, a potem odwróciła głowę do Marine i odparła:

– Tak, oczywiście, że znałam François. Pomagał nam, modelkom z agencji.

– Spotykał się z pani przyjaciółką Natassją?

Tatiana przekrzywiła głowę i się zaśmiała.

– Wykluczone! – Przez chwilę brzmiała jak przeciętna francuska dziewczyna, a nie świetnie zarabiająca rosyjska modelka. Marine uśmiechnęła się, by zachęcić ją do mówienia. I najwyraźniej to podziałało. – Natassja kochała swojego dawnego chłopaka, Iwana. Uczy w szkole w ich rodzinnym mieście, w Kazachstanie.

Marine nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

– Zaskoczyło panią, że supermodelka chciała się umawiać z nauczycielem, *non?*

– Ma pani rację, chyba jestem zaskoczona. I nie wiem dlaczego – przyznała Marine. – To dlatego Natassja tak bardzo tęskniła za domem?

– Oczywiście. – Marine uderzyło, że obie Rosjanki, z którymi dzisiaj rozmawiała, miały nawyk zaczynania zdań od „oczywiście”, tak jak Francuzi zwykle mówią „*mais oui*”, gdy odpowiedź jest oczywista.

– W takim razie, dlaczego Natassja nie wróciła do Rosji? – Gdy Marine nie doczekała się odpowiedzi, powtórzyła pytanie. – Tatiano, dlaczego Natassja nie wróciła do domu?

– Nie mogła, to wszystko. Była modelką. Miała zobowiązania.

– Jakie zobowiązania? – przerwała jej Marine. – Mogła to rzucić, *non*?

Tatiana milczała przez kilka sekund, po czym odparła:

– Bardzo trudno jest rzucić takie pieniądze, kiedy już się do nich przyzwyczaisz.

Marine przysunęła się bliżej.

– Ale Natassja była tak smutna, że odebrała sobie życie. Przecież zrezygnowałaby z wysokich zarobków, żeby być ze swoim chłopakiem, wybrałaby miłość, nie pieniądze, *non*? Życie, a nie śmierć.

– Mówi pani jak wykładowca, pani profesor.

Marine się uśmiechnęła.

– Nie powiesz mi, dlaczego Natassja nie mogła tego rzucić i zerwać kontrakt z Tribeca, prawda?

Tatiana uśmiechnęła się zakłopotana i potrząsnęła głową.

– Posłuchaj, Tatiano – powiedziała Marine. – Tu masz moją wizytówkę z numerem na komórkę. Zapisałam też na niej nazwisko i numer telefonu sędziego. Jest bardzo uprzejmy i bardzo mądry. Możemy ci pomóc, jeśli będziesz tego potrzebowała, w porządku?

Tatiana wsunęła wizytówkę do zapinanej na suwak kieszeni w bluzie z kapturem i dopiero wtedy, patrząc, jak dziewczyna wyjmuje słuchawki, Marine zauważyła jej brzuch.

– Tatiano, jesteś w ciąży? – Żadna modelka nie mogłaby mieć takiego brzucha. Marine, która nie była w tych sprawach ekspertem, oceniała, że dziewczyna musiała być w czwartym lub piątym miesiącu ciąży.

Modelka uśmiechnęła się i położyła rękę na brzuchu.

– Tak. Nie planowaliśmy tego, ale jesteśmy bardzo szczęśliwi. – I widząc zatroskane spojrzenie Marine, dodała: – Niech się pani nie martwi, mam chłopaka, Francuza. Gra w nicejskiej drużynie piłkarskiej.

Rosjanka jeszcze raz się uśmiechnęła, po czym zeskoczyła z ławki i powoli odbiegła w stronę wschodniego końca promenady.

Jakaś starsza para z rącznikami minęła Marine, kierując się nad morze. Lazurowe Wybrzeże, mimo całego blichtru, wydawało się zdrowym miejscem na

emeryturę. Przypomniała jej się ta starsza kobieta w restauracji, która z takim apetytem jadła ostrygi. Głuchy odgłos wyrwał Marine z zamyślenia. Spojrzała w prawo. Jakiś inny uprawiający jogging człowiek zeskoczył z sąsiedniej ławki i odbiegł w tę samą stronę, co Tatiana.

## Rozdział

### dwudziesty drugi

Marine wydawało się, że na Cours Mirabeau jest ciemno, gdy jechali ulicą w stronę posągu króla Rene Andegaweńskiego. Choć na platanach dopiero pojawiły się młode listki, drzewa tworzyły tunel nad chodnikami i ulicą. Ponure wrażenie potęgował fakt, że dzień był pochmurny, co ostatnio w Aix zdarzało się coraz częściej. Marine pomyślała o palmach nad Morzem Śródziemnym i nagle zatęskniła za bezmiarem wód. Paulik, jakby czytając jej w myślach, powiedział:

– Przydałaby nam się w Aix jakaś woda. Nie mamy nawet rzeki. Avignon i Arles mają przynajmniej Rodan.

Verlaque się uśmiechnął. Wskazał głową w stronę fontanny na lewo od nich i powiedział:

– Mamy *La Moussue*.

Chodziło mu o Omszałą Skałę, fontannę zbudowaną w osiemnastym wieku, z której w zimne noce parowała ciepła woda. Ojciec Marine, gdy był dzieckiem, zaniósł leczniczą wodę z tej fontanny swojej matce, by wyleczyć jej dolegliwości. Dziś większość mieszkańców Aix, przechodząc, zanurzała ręce w letniej wodzie, robiąc to niemal nawykowo. Sylvie porównała kiedyś tę fontannę do starego, mokrego psa – wilgotnego i śmierdzącego.

– Jeśli chcesz zobaczyć wodę, morze jest tylko trzydzieści minut jazdy stąd, w Marsylii – powiedział Verlaque. Paulik i Marine jęknęli. Verlaque, który niedawno przybył na południe, dość lubił to miasto z powodu jego naturalnego piękna i ewidentnej niechęci, by dostosowywać się do wymogów turystów. Uważał, że to taka francuska Genua.

Podczas jazdy z powrotem do Aix Paulik i Verlaque opowiedzieli Marine, czego dowiedzieli się w kasynie w Cannes: dosłownie niczego. A przynajmniej niczego, o czym by już nie wiedzieli. François de Bremont miał długi z hazardu i by chronić młodego hrabiego, kierownik kasyna zabronił mu grać przy stołach z kartami. Lever Pogorowski był częstym graczem, podobnie jak inni zamożni Rosjanie; natomiast noga jego żony nigdy tam nie powstała. Marine wysłuchała ich opowieści, a potem stwierdziła:

– Ja właściwie też nic nie wyciągnęłam z Tatiany prócz tego, że Natassja Duvanow była zakochana. Ale nie we François. Nie w żadnym piłkarzu czy bogaczu, tylko w nauczycielu z Kazachstanu. Natomiast Tatiana spotyka się z piłkarzem i spodziewają się dziecka.

– Natassja zabiła się z powodu nauczyciela? – spytał podejrzliwie Paulik.

– Tak jak w tych twoich operach, Bruno – powiedział Verlaque.

– Z jakiegoś powodu czuła, że nie może wrócić do Rosji – wyjaśniła im obu Marine.

– Dlaczego po prostu nie wsiadła do samolotu? – spytał Paulik, powracając do roli policjanta i zapominając o operze *La Wally*.

– Tego właśnie Tatiana nie mogła albo nie chciała mi powiedzieć – odparła Marine.

Verlaque jechał powoli ruchliwą *rue d'Italie*, uważając, by nie potrącić starszych ludzi robiących zakupy, małych pieszków albo nieuważnych nastolatków. Skręcili w prawo, w ulicę, przy której mieszkała Marine, i gdy mijali sklepik Agnès B., udało jej się dojrzeć nową barwną kolekcję wystawioną w witrynie. Verlaque zatrzymał się pod jej domem, po czym obaj mężczyźni wysiedli i wymienili z nią *bises* na pożegnanie. Następnie Paulik wsiadł na miejsce pasażera, a Verlaque zwlekał jeszcze przez chwilę. Wpatrzył się w Marine i powiedział:

– Moglibyśmy wrócić do naszej rozmowy...?

– Nie dziś wieczorem, Antoine. Mam się spotkać z Sylvie – odparła zgodnie z prawdą Marine. Trudno byłoby to nazwać rozmową, pomyślała. Antoine głównie mruczał coś pod nosem i próbował ją uwieść.

– W porządku – odparł z napięciem w głosie. A potem wyraźnie się rozluźnił i dodał: – Dziękuję, że pojechałaś do Cannes. Bardzo nam pomogłaś.

– *C'est normal* – powiedziała Marine. – Étienne i François kiedyś byli mi bliscy. Proszę, daj mi znać, jeśli będziesz jeszcze czegoś potrzebować. Chętnie pomogę. – Wsunęła klucz do zamka i dodała z uśmiechem: – Następnym razem zrobmy to w Carltonie jak należy.

Verlaque głośno się roześmiał. To był prawdziwy, szczerzy śmiech. Marine od wieków nie słyszała, by się tak śmiał. Pochylił się i pocałował ją w usta. Oboje byli zaskoczeni tym miłym uczuciem i ostrym klaksonem czarnego dwudrzwiowego bmw, które właśnie wyjechało zza samochodu Verlaque'a. Kierowca, młody mężczyzna z przylizanymi czarnymi włosami, obwieszony złotymi łańcuchami, jak to mają w zwyczaju chuligani z południa, wymachiwał dziko rękoma. Verlaque bez pośpiechu podszedł do swojego wozu, nie zwracając na niego uwagi.

– Kiedy się zegnałeś, oddzwonił do mnie sierżant Arbadji, który prowadził kurs komputerowy w Cannes. Pellegrino tam był, ale sprawdzali obecność dopiero po lunchu.

– *Merde*.

– Powiedział też, że szukał Pellegrina podczas porannej sesji, ale nie mógł go znaleźć. Arbadji chciał go zapytać o raport, nad którym Pellegrino pracował.

– Czyli mógł mieć dość czasu, by pojechać do Saint-Antonin i z powrotem. Zadzwońmy do niego.

Paulik kiwnął głową i wybrał numer policjanta. Odczekał kilka sekund, westchnął, a potem nagrał wiadomość na skrzynkę głosową. Odwrócił się do Verlaque'a i spytał:

– Co próbujemy osiągnąć?

– Sam nie jestem pewien. Co, jeśli płacą Pellegrinowi za coś jeszcze oprócz grania w polo? Pomaga Pogorowskiemu? Właśnie przyszło mi do głowy, że Rosjanie przecież też grywają w polo.

– Bo tak mu zależy, żeby móc grać? Pellegrino traktuje polo bardzo poważnie, prawda? Czy mógł zabić François z powodu tamtego meczu?

– Trochę zbyt naciągane. Wątpię. A może z powodu dziewczyny?

– Ach, *oui*! Czy obaj mogli się zakochać w tej samej blondynie? Wydało mi się dziwne to, co powiedział Marine. Że nie potrafi się połapać w imionach Rosjanek. Ty byś nie był w stanie zapamiętać ich imion?

Verlaque uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Potrafiłbym, możesz mi wierzyć. Nie ma mowy, żebym pomylił Irinę z Nataszą.

Paulik wysadził Verlaque'a przy fontannie Quatre Dauphins; sędzia postanowił się dowiedzieć, gdzie mieszka rodzina Valoie de Saint-André i złożyć *Madame* wizytę.

Verlaque, zamyślony, ruszył *rue de 4 Septembre*. Uśmiechnął się pod nosem, mijając szumiącą *Moussue* i wszedł do Le Mazarin. Jak zwykle nie dało się tutaj wejść, jeśli nie było się przygotowanym na pięć minut powitań i ściskania rąk połowie gości, co zresztą sędzia uczynił. W końcu dostrzegł Jean-Marca Sauvata pijącego kawę przy barze; wymienili *bises* i pokleпали się po plecach. Przez kilka minut rozmawiali o bieżącej sprawie Jean-Marca, a potem obaj zaczęli narzekać na nowe plany pani mer, by zbudować centrum handlowe u wylotu *cours*. Po kilku minutach Verlaque zniżył głos i spytał:

– Wiesz, gdzie mieszka sędzia Valoie de Saint-André? Wiem, że dojeżdża z Aix do Marsylii.

– Pewnie – odparł Jean-Marc. I dodał z szerokim uśmiechem: – Myślałem, że wszyscy to wiedzą. Mieszkają w Hôtel Guimard, tuż przy katedrze.

Antoine chwilę się namyślał.

– Prawie codziennie tamtędy przechodzę. Zawsze się zastanawiałem, kto tam mieszka. Ładne miejsce. – Trzy poziomowa kamienica posiadała dwie rzeczy, których spragnieni byli liczni mieszkańcy centrum Aix: odgradzony murem ogród i parking. – Sophie de Valoie i jej siostra Isabelle de Bremont. Skąd pochodzą? Są z Aix? – spytał sędzia, wiedząc, że Jean-Marc, podobnie jak Marine, zna Aix jak własną kieszeń.

– Nie – odparł kolega. Upił łyk kawy i wyjaśnił: – Obie siostry pochodzą ze szlacheckiego rodu z Nantes. Jako nastolatki przeprowadziły się tutaj z rodzicami.

Jest jeszcze trzecia siostra, Clothilde, która też wyszła za mąż za jakiegoś „de”. Kiedy chodziliśmy do średniej szkoły, krążyła plotka, że należeli do arystokracji bez pieniędzy i posiadłości i że rodzice przenieśli się do Aix, by bogato wydać dziewczyny za mąż. Jak zakładam, wszyscy nadziani kolesie w Nantes byli już zajęci.

– No to ich rodzice musieli być szczęśliwymi ludźmi – stwierdził sarkastycznie Verlaque.

– Dziewczyny bez wątpienia się spisały, *non*? Przynajmniej jeśli chodzi o posiadłości – zgodził się z nim Jean-Marc.

– Czy Clothilde wciąż mieszka w Aix? – zapytał Antoine. Pomyślał o tym, że Jean-Marc wspomniał o „jakimś de”. Rodzice Verlaque’a daliby wszystko za tytuł. Był przekonany, że gdyby to wciąż było możliwe, zapłaciliby za niego.

Jean-Marc dał ręką znak, że prosi o rachunek.

– Nie, Clothilde mieszka w Paryżu. Zgadnij gdzie. – A potem szybko dodał: – Albo ujmę to w ten sposób: gdybyś miał pięć czy sześć milionów do wydania na mieszkanie w Paryżu i gdyby nie przeszkadzał ci hałas i turyści, to gdzie chciałbyś mieszkać?

– Place des Vosges? – strzelił na ślepo Verlaque. Nie musiał się długo zastanawiać. Jean-Marc tylko kiwnął głową i się uśmiechnął.

Obaj wyszli z kawiarni bocznymi drzwiami i rozstali się na *rue Clémenceau*. Sędzia natychmiast przeszedł na drugą stronę wąskiej uliczki i wszedł do *tabac*, gdzie piękna Carole układała cygara w humidorze. Odwróciła się, słysząc, że ktoś wchodzi do sklepu, i na widok sędziego uniosła brew i skromnie się uśmiechnęła. Posłała Verlaque’owi spojrzenie zarezerwowane dla bardzo przystojnych mężczyzn lub ważnych klientów. Tak się składało, że Verlaque był i jednym, i drugim.

Kupił swoje ulubione cygaro, Churchilla od Romeo y Julieta. Przez chwilę rozmawiali o cygarach z Nikaragui, które znalazły się na szczycie rankingu opublikowanego przez pewne amerykańskie czasopismo i które w Stanach Zjednoczonych kosztowały tylko pięć dolarów. Carole nie była w stanie ich zamówić u francuskiego dystrybutora. Verlaque zapłacił za Churchilla i się pożegnał, szybko spoglądając na pełne usta Carole, jej ciemne oczy i obfity biust, którego dziś nie krępował żaden stanik.

– *À bientôt, Monsieur le Juge* – odparła i uniosła brew, gdy wychodził ze sklepu.

Współpracownica Carole wyszła z piwnicy, niosąc cztery pudełka cygar.

– Czy to był sędzia Verlaque? – zapytała.

– Tak, właśnie wszedł – odpowiedziała Carole, która wciąż wpatrywała się w drzwi.

– *Merde* – zaklęła młoda asystentka.

– Co on takiego w sobie ma? – spytała Carole. – Przecież nie jest aż taki

przystojny.

Asystentka ostrożnie odstawiała pudełka z cygarami na ladę, założyła ręce i podobnie jak Carole spojrzała przez drzwi na *rue Clémenceau*.

– *Pouvoir* – odparła.

– Władzę? – spytała Carole, odwracając się w jej stronę.

– Władzę i inteligencję – odpowiedziała dziewczyna. – No i to spojrzenie.

Gdy Verlaque zadzwonił do drzwi Hôtel Guimard, był przekonany, że zastanie *Madame Valoie* w domu. Choć pracowała, wzięła pewnie tydzień wolnego, by być przy Isabelle de Bremont. I by opłakiwać własną stratę.

– *Oui*? – spytał głos z silnie północnoafrykańskim akcentem.

– Tu sędzia Verlaque. Czy zastałem *Madame Valoie* de Saint-André?

– *Oui* – odparła po prostu pokojówka.

– Mógłbym wejść i z nią porozmawiać? – spytał Verlaque, starając się, by jego głos nie zdradzał zniecierpliwienia.

Odpowiedź nastąpiła po kilku sekundach w postaci głośnego sygnału domofonu. Verlaque pchnął ciężką żelazną furtkę i przeszedł przez podwórze wybrukowane gładkimi otoczkami. Stało tam zaparkowane nowe białe bmw. To jej samochód, pomyślał sędzia, przypominając sobie, że wspominał o nim Marc, właściciel winnicy.

Sophie Valoie otworzyła ogromne drzwi i stanęła na progu. Uścisnęli sobie ręce, po czym *Madame Valoie* przepuściła Verlaque'a do domu. Sędzia ponownie się przedstawił i zapytał:

– Pamięta mnie pani? W niedzielę byłem z wizytą u pani siostry.

– Tak, pamiętam. Nie wiem, dlaczego pan tu jest, ale skoro jest pan głównym sędzią w Aix, muszę pana wpuścić. Proszę tedy, do salonu.

Wydawała się jeszcze chudsza niż wtedy, gdy widział ją w poniedziałek, i tak krucha, że nagle Verlaque'owi zaczęło być jej żal.

Salon był równie imponujący jak w domu Isabelle de Bremont – sufit na wysokości sześciu metrów, kryształowy żyrandol i wielkie drzwi balkonowe wychodzące na podwórze. Umeblowanie było jednak znacznie bardziej konserwatywne niż w rezydencji Bremontów. Gustowne, owszem, ale meble należały do tego rodzaju, który kupuje się w drogich sklepach, takich jak Faubourg czy Flamant – Verlaque'owi zawsze myliły się ich nazwy. Wszystkie tkaniny były płócienne – beżowe lub kremowe, nigdzie żadnych jaskrawych kolorów, rowerków na trzech kółkach ani piłek.

Usiedli w milczeniu naprzeciw siebie na fotelach będących kopiami foteli Ludwika XVI, z tapicerką z naturalnego płótna. Między nimi stał stolik z marmurowym blatem, przyozdobiony wazonem białych tulipanów.

– Przyszedłem zadać kilka pytań o Étienne'a de Bremont – zaczął Verlaque.

– *Ah bon*? Niewiele mogę panu powiedzieć prócz tego, że był moim



szwagrem.

– Czy był dla pani kimś jeszcze, *Madame*?

Sophie Valoie wstała i podeszła do dwuskrzydłowych drewnianych drzwi oddzielających salon od reszty domu. Jakby od niechcenia je zamknęła. Przez chwilę stała odwrócona, by nad sobą zapanować, a potem spojrzała na sędziego i zapytała:

– Co pan chciał przez to powiedzieć?

Verlaque odczekał, aż kobieta usiądzie, po czym pochylił się, oparł łokcie na kolanach i splótł palce.

– Byliście kochankami? – spytał prosto z mostu.

– To jakiś absurd – odparła. Bez wielkiego przekonania, jak uznał Verlaque.

– Niefortunnym trafem postanowiliście spędzać razem noce w jednej z moich ulubionych winnic w departamencie Var.

Jej twarz poczerwieniała.

– Co powiedzieli? – syknęła. – Co za tupet!

– Państwo Nagelowie nic nie powiedzieli, *Madame*. Jak już mówiłem, to był dziwny zbieg okoliczności. Poza tym sądzili, że była pani z François de Bremont. Jak długo trwał ten romans?

– A czy to ważne? Teraz i tak już się skończył.

– To ważne, bo François de Bremont został zamordowany i jestem przekonany, że Étienne również. Poza tym jeden z moich ludzi sprawdził bilety TGV zakupione w zeszłym tygodniu. Pani siostra Isabelle pojechała do Paryża w sobotę rano i w niedzielę rano wróciła do Aix. A więc to pani była z Étienne’em, zanim pojechał do Saint-Antonin, prawda?

Sophie Valoie otworzyła usta i kilka razy postukała palcami w kolano.

– Wyszedł stąd około jedenastej wieczorem. Mówił, że musi poszukać jakichś rodzinnych dokumentów w *château*.

– Wysłała go tam pani?

– Co pan insynuuje?

– A może pojechała pani z nim, a potem pokłóciliście się o coś na strychu?

– Nie ma pan prawa tak mówić. Oczywiście, że z nim nie pojechałam.

Verlaque opadł na oparcie i założył nogę na nogę.

– Dlaczego pani i siostra kłamałyście?

– Kryłyśmy się nawzajem... Widziała, że mam romans, ale jestem przekonana, iż nie miała pojęcia, że chodzi o Étienne’a. Powiedziałam jej, że tego wieczoru byliśmy razem w kinie. Isabelle nie interesuje się filmem. – Milczała przez jakiś czas wpatrzona w oparcie fotela, jakby próbowała podjąć decyzję, czy mówić dalej. – Nasz romans zaczął się trzy lata temu – powiedziała w końcu, jakby ostatnie słowa nie chciały przejść jej przez gardło. – Ale znaleźliśmy się od szkoły średniej. Przyjaźniliśmy się z Étienne’em. Ciągle żartowaliśmy, było naprawdę

wesoło. Ale wyjechałam na studia i poznałam Henriego, a wkrótce potem się z nim zaręczyłam. Mój mąż też jest sędzią, w Marsylii.

Verlaque w milczeniu kiwnął głową.

– Wyszłam za Henriego, a Isabelle za Étienne’a, oni mieli dzieci, a my niestety nie. Zawsze żartowaliśmy z Étienne’em, że lepiej dogadujemy się ze sobą niż z naszymi małżonkami. Trzy lata temu tak się złożyło, że zostaliśmy sami w moim domu na wsi, w departamencie Tarn. Mój mąż musiał wyjechać, bo wezwano go do Marsylii na proces, a Isabelle w ostatniej chwili została w Aix, bo jedno z dzieci się pochorowało. Étienne kręcił film w Tuluzie, przyjechał do domku w Tarn i... – przerwała, pocierając dłońmi o uda – ...tak to się stało. Isabelle przez jakiś czas miała kochanka w Paryżu. Była u niego w sobotę wieczorem. Proszę źle o niej nie myśleć. Isabelle nie zawsze radziła sobie ze zmiennymi nastrojami Étienne’a. Nie umiała tego kontrolować. Étienne nie rozumiał wiary Isabelle ani jej bzika na punkcie dzieci. Ponieważ ja jestem niewierząca i nie mam dzieci, lepiej do siebie pasowaliśmy. A jeśli chodzi o moje małżeństwo z Henrim, to cóż, praktycznie było zaaranżowane. Ale nie powie pan Isabelle o naszym romansie, prawda?

– Nie widzę żadnego powodu, by to robić – odparł Verlaque. Poruszył się lekko tylko w chwili, gdy Sophie Valoie wspomniała o kochanku Isabelle w Paryżu. – Hrabia Bremont był humorzasty?

– O tak. Prawdziwa huśtawka nastrojów. Miał paskudny charakter. – Przerwała, spojrzała na tulipany i dodała z uśmiechem: – Ale kiedy był w świetnym nastroju, och, jak się wtedy bawiliśmy...

– Musi być pani bardzo smutno – powiedział sędzia, gdy zauważył, że Sophie Valoie na niego patrzy. Zaczęła płakać. Jej twarz złagodniała, powoli stając się równie piękna jak twarz jej rudowłosej siostry.

– Tak, to dla mnie bardzo trudne – odparła, wycierając nos w chusteczkę. – I nie mogę okazać, że go oplakuję, prawda?

– Nie – przyznał jej rację Verlaque. – Zupełnie jak w powieści Jane Austen, nie sądzi pani? Czytała pani *Rozważną i romantyczną*?

Sophie uśmiechnęła się do sędziego.

– Ach, Elinor i Marianne Dashwood. To była jedna z ulubionych książek Étienne’a. – Otarła oczy i spytała: – Co mogę panu opowiedzieć o Étienne, oprócz tego, jakie książki lubił?

– Moje pytania są oczywiste. Czy ktoś chciał skrzywdzić *Monsieur de Bremont*? Czy ktoś mu groził?

– Nie – odparła, kategorycznie kręcąc głową. – Étienne był czarującym, interesującym, pełnym pasji człowiekiem. Wszyscy go kochali.

Verlaque uśmiechnął się na tę oczywistą wzmiankę o jej własnej miłości do Étienne’a.

– Ale nie jego zmienne nastroje – przypomniał jej.

– Silni ludzie radzili sobie z charakterem Étienne’a. Moja siostra nigdy nie była silna, panie sędzio. Podobnie zresztą jak ten dozorca z *château*. On też nie umiał sobie radzić z Étienne’em. – I ciągnęła, jakby chciała przedstawić swojego kochanka w lepszym świetle. – Nawet mafia go lubiła. Przeprowadzał wywiady z niektórymi z nich, do tego filmu dokumentalnego o Marsylii. Oczywiście nie mógł ich filmować. Potem był całkiem zadowolony z siebie. Pan też pojawił się w tym filmie, prawda?

– Tak – potwierdził Verlaque. – *Monsieur* Bremont wywarł na mnie ogromne wrażenie.

– Tak jak na wszystkich, którzy go poznali.

Verlaque już jej nie słuchał, myślał o jej uwadze „nawet mafia go lubiła”.

Wstał. Nie chciał zabierać więcej czasu *Madame* Valoie i wolał wyjść, zanim sędzia Valoie de Saint-André wróci z Marsylii.

– Bardzo dziękuję, *Madame* – powiedział szczerze. – Mogłaby pani do mnie zadzwonić, jeśli przypomni się pani coś jeszcze? – zapytał i podał jej wizytówkę.

Wzięła ją, nie patrząc, i odłożyła na kredensik, który wyglądał na drogi i zabytkowy.

– Dziękuję za poświęcony mi czas – rzekł Verlaque. – Sam trafię do wyjścia.

Gdy przechodził przez wyłożone otoczkami podwórze, odwrócił się i zobaczył, że Sophie Valoie obserwuje go przez wielkie balkonowe drzwi. Wydawała się niewiarygodnie mała.

## Rozdział

### dwudziesty trzeci

Marine mocno oplótła w pasie Charlotte i od czasu do czasu opierała głowę o plecy ośmiolatki. Dziewczynka była zajęta kolorowaniem szkicu, który zrobiła dla niej Marine; Sylvie uniosła brwi, widząc, że rysunek przedstawia taras Antoine'a.

– Wielkie, kłębiaste chmury w Aix? – spytała, przyglądając się rysunkowi.

– No wiesz – odparła Marine – dzięki temu niebo wygląda o wiele bardziej dramatycznie.

– Zbiera się na burzę – zauważyła z uśmiechem Sylvie. Charlotte ignorowała mamę i matkę chrzestną i kolorowała dalej. Zaczęła wypełniać jasnozieloną kredką liście oliwki.

– Antoine ma oliwkę na tarasie? – spytała Sylvie, patrząc na Marine.

– Nie, ja mam.

Sylvie, zmartwiona, że Marine zaczęła fantazjować o Antoine, odwróciła się do Charlotte i pochwaliła jej wybór zieleni.

– Czy liście oliwek są srebrzyście zielone czy ciemnozielone? – spytała córeczkę.

– Srebrzyście zielone – odparła poważnie Charlotte i małą pulchną rączką sięgnęła po srebrną kredkę. Obie kobiety uśmiechnęły się do siebie, obie ogarnęła fala miłości do ośmiolatki. Widząc, że córeczka jest zadowolona, Sylvie nalała Marine kieliszek białego wina i powiedziała:

– Nie widzę żadnego związku między... – ugryzła się w język, by nie powiedzieć „śmiercią”, zerknęła na Charlotte i ciągnęła – między historią Étienne'a i François.

– Ja też nie – odparła Marine, kręcąc winem w kieliszku. – Świat François to był hazard, polo i modelki. A Étienne wydawał się bardzo zżyty z Aix i oddany temu, co robił. – Marine postanowiła nie wspominać Sylvie o romansie Étienne'a z Sophie Valoie de Saint-André. Uwielbiała przyjaciółkę, ale wiedziała też, że Sylvie po paru kieliszkach wina była w stanie wypaplać najskrytsze tajemnice. – Natomiast nasunęła nam się jedna rzecz – ciągnęła Marine, zauważając w duchu, że użyła słowa „nam”, które wydało jej się tak bardzo na miejscu. – Bracia byli bardzo podobni do siebie. I morderca Étienne'a mógł go pomylić z François.

– No nieźle. Doszliście do tego, dlaczego Étienne był na strychu w sobotę w nocy? – zapytała Sylvie.

– Nie. Jego żona wspominała coś o tym, że musiał zajrzeć do jakichś dokumentów, i jestem pewna, że były w tej walizce od Louisa Vuittona. – Marine poczuła się głupio. Zapomniała o tej walizce i teraz ogarnęło ją przeczucie, że jej zawartość miała kluczowe znaczenie dla śmierci Étienne’a.

– W jakiej walizce?

– Och, ta stara walizka od Vuittona zawsze stała na strychu. Należała do dziadka Étienne’a i nie wolno nam było jej ruszać. Oczywiście czasami musieliśmy ją przesunąć i była dość ciężka. Teraz jest pusta, a Jean-Claude powiedział Antoine’owi, że w piątek wieczorem wciąż była pełna.

– Czyli dokumenty ma... ma... – Sylvie znów przypomniała sobie o dziecku w pokoju – ...ta osoba, która była na strychu z Étienne’em.

– Tak, na to wygląda.

– Nie powinniście przycisnąć o te dokumenty dozorczy? – spytała kategorycznie Sylvie. Znów wpadła w ten nastrój, który Marine tak irytował. Choć była artystką, wydawało jej się, że zna tajniki każdego zawodu, lekarza, prawnika czy kelnera.

– Powiedział Antoine’owi, że nie wie, co było w tej walizce. – Marine próbowała lekko potraktować pytanie przyjaciółki i pchnąć rozmowę na inne tory.

– I wy w to uwierzyliście? – zapytała Sylvie, dolewając wina.

– Zaufałabym Jean-Claude’owi nawet, gdyby chodziło o moje życie.

– A gdyby chodziło o życie Charlotte?

– Nie bądź głuptasem.

– Coś mi się wydaje – stwierdziła Sylvie, oblizując usta po sporym łyku wina – że kiedy balowaliście we troje na Lazurowym Wybrzeżu, powinniście być w Aix i próbować się dowiedzieć, co to za dokumenty i gdzie one są.

– Nie balowaliśmy – odparła poirytowana Marine. – Antoine musi rozwiązać sprawę morderstwa François, a on mieszkał i pracował w Cannes.

Sylvie spojrzała z troską na Charlotte, ale młoda artystka nie usłyszała słowa „morderstwo”, albo przynajmniej takie sprawiała wrażenie.

– Och, daj spokój! Verlaque po prostu chciał się popisać i mieć cię przy sobie w Cannes. Zabrał cię do trzygwiazdkowej restauracji?

Marine nie odpowiedziała, co potwierdziło domysły Sylvie. Przyjaciółka walnęła ręką w stół i kilka kredek Charlotte potoczyło się na podłogę.

– Wiedziałam!

Marine westchnęła, jak zwykle, gdy Sylvie wydawało się, że jest wszystkowiedząca. Rozległ się sygnał jej komórki. Dostała SMS-a od Jean-Marca, który zapraszał je do Le Mazarin, żeby się czegoś napić.

– Odpisz mu, że dziękujemy, ale nie – powiedziała Sylvie. – Muszę dać Charlotte kolację i położyć ją do łóżka.

Zamierzała sprowadzić Marine na dół, na ulicę, żeby zapalić papierosa.

– Ja chyba pójdę. Przyda mi się trochę rozrywki – odparła Marine. Dopła resztę wina i odstawiła kieliszek na stół.

Charlotte się odwróciła i spojrzała na Marine.

– Naprawdę musisz iść do Le Mazarin?

Sylvie, która zaniósła kieliszki do zlewu, zaśmiała się i spytała córkę:

– Słuchałaś, o czym rozmawialiśmy?

– Wszystko słyszałam – odpowiedziała zadowolona z siebie dziewczynka.

Sylvie odstawiła kieliszki na blat w kuchni i oznajmiła:

– Charlotte, to, o czym mówiłyśmy, jest związane z pracą Marine. Nie powiesz o tym nikomu, prawda?

– Nie – odparła trzecioklasistka, zdziwiona tym pytaniem. – To było zbyt nudne.

Marine delikatnie zsunęła ją z kolan i sięgnęła po torebkę wiszącą na oparciu krzesła.

Gdy weszła do Le Mazarin, zobaczyła Jean-Marca z jednym z kolegów. Siedzieli na tarasie kawiarni. Poprosiła Frédérica o kieliszek białego Château Revelette i troje przyjaciół zaczęło rozmawiać o pogodzie i o nowej restauracji, którą otwarto w dawnej fabryce *calisson*. Potem rozmowa zeszła na pogrzeb Étienne’a i to, jaki był wzruszający, oraz na morderstwo François. Marine nie wspomniała im o tym, że spędziła dwa dni w Cannes. Jean-Marc był w świetnej formie i rozbawił ich historyjkami o stukniętym starszym panu, który był jego sąsiadem. Oskarżył Jean-Marca, że ten ukradł mu kaptcie spod drzwi mieszkania.

– To było dla mnie wspaniałe zakończenie dnia. Potem, gdy właśnie wychodziłem z kancelarii, musiałem się uporać z jakąś wariatką z Cotignac z fatalnie zrobioną henną! – powiedział, dopijając piwo.

Marine usiłowała ukryć ciekawość. Zaśmiała się i spytała:

– Kto to był?

– Nie mam pojęcia. Czekala, żeby się ze mną spotkać, i było widać, że piła. Powiedziałem jej, że mam tylko kilka minut. Interesowało ją prawo dziedziczenia i prawa przysługujące z urodzenia, ale nie chciała mi podać żadnych szczegółów. Twierdziła, że ma jakieś dokumenty z lat pięćdziesiątych, ale nie przy sobie.

Marine dostała gęziej skórki. Starła się sprawiać wrażenie, jakby to jej w ogóle nie interesowało. Jean-Marc ciągnął:

– To wszystko było strasznie tajemnicze. Powiedziałem jej, żeby w przyszłym tygodniu przyniosła te dokumenty, a ona odparła, że tak robi, i sobie poszła. Potem jeszcze przez dobrych pięć minut czuć było alkohol. Zapach był tak silny, że nawet ją spytałem, czy zamierza wracać tego wieczoru samochodem do Cotignac.

Marine szybko wstała i uderzyła się o stół, prawie przewracając przy tym kufel Jean-Marca.

– Co się stało? – spytał.

Udała, że jest zmęczona, i szybko się pożegnała. Mruknęła coś, że spóźni się na spotkanie.

– Teraz? – zdziwił się Jean-Marc.

– Tak! Obiecałam mu, że do niego zajrzę, i kompletnie o tym zapomniałam!

Zręcznie wyminęła krzesła i stoliki na tarasie, starając się nie strącić nikomu drinka. To Cosette była w kancelarii Jean-Marca; Marine była tego pewna. Dokumenty spadkowe z lat pięćdziesiątych: czy to one mogły być w walizce, razem z paragonem za brioszki z tego samego okresu? Prawa przysługujące z urodzenia? Lata pięćdziesiąte? Étienne i François urodzili się w latach sześćdziesiątych. Prawo dziedziczenia?

Pobiegła na parking przy Cours Gambetta i zastanowiła się, czy nie zadzwonić do Verlaque'a, ale w ostatniej chwili postanowiła tego nie robić. Bądź co bądź to ona знаła Bremontów, a Jean-Claude ją pamiętał i lubił. Przypuszczała, że Verlaque przestraszył dozorcę, więc będzie lepiej, gdy porozmawia z Jean-Claude'em sam na sam. Jeśli Cosette też tam będzie, Marine zajrzy do dokumentów i dowie się, o co chodzi.

Antoine Verlaque wrócił do swojego biura, by sprawdzić wiadomości i przejrzeć papiery. Właśnie wychodził, gdy dostał SMS-a od Paulika. Treść brzmiała: „Pellegrino wciąż się nie odezwał”. Wyszedł z Palais de Justice i ruszył pasażem Agard i Cours Mirabeau pod numer szesnaście. Zadzwonił domofonem i odczekał. Odebrał jakiś chłopiec.

– Dzień dobry, tu sędzia Verlaque. Wpuścisz mnie? Chciałbym porozmawiać z twoją matką.

Chłopiec się nie odezwał, ale sędzia usłyszał kroki, a po chwili Isabelle de Bremont powiedziała:

– Proszę wejść na górę, *Monsieur le Juge*.

Verlaque udał się prosto do salonu. *Madame* Bremont szepnęła synkowi, żeby wyszedł. Uśmiechnęła się.

– Tak, panie sędzio?

– W sobotę pojechała pani pociągiem do Paryża, o 10:42. Dlaczego pani kłamała?

Isabelle de Bremont podeszła do wysokich dwuskrzydłowych drzwi salonu i dokładnie je zamknęła. Pokazała Verlaque'owi, by usiadł, po czym usiadła naprzeciw, przysuwając do niego krzesło.

– A co mogłam zrobić? Powiedzieć panu, że mam kochankę?

– Tak. Powinna była pani to zrobić.

– Jestem religijną osobą. I tak trudno mi prowadzić to podwójne życie w Paryżu. Nie mogłam panu powiedzieć.

– Mówiła pani, że mąż twierdził, iż w sobotę późnym wieczorem wybiera się

do *château*. Zdaje sobie pani sprawę, że zataiła pani ważne informacje? Pani mąż tamtej nocy zginął, a jego brat cztery dni później, w tym samym miejscu.

– Chroniłam siostrę. Byli razem. Sophie mówiła, że poszli do kina. – Isabelle zaśmiała się cicho. – Zawsze uważała mnie za głupią i słabą.

– Czyli wiedziała pani o jej związku z pani mężem?

– Tak, od kilku miesięcy. Ale to nie był dla mnie powód, żeby go zabić, sędzio Verlaque. Moi rodzice zabrali dzieci na weekend i dopiero co wróciłam, gdy przyszedł pan z wiadomością o śmierci Étienne’a.

– Gdzie pani była w środę rano między ósmą a dziewiątą?

Isabelle de Bremont spojrzała ze zdumieniem na sędziego.

– Zastanawiałam się, jaki czarny strój powinnam włożyć na pogrzeb męża. – Gdy Verlaque się nie odezwał, dodała jeszcze: – Moja służąca może to potwierdzić, została ze mną na noc.

– Dziękuję. Mógłbym dostać nazwisko i numer telefonu pani przyjaciela z Paryża?

*Madame* de Bremont wstała i podeszła do lustra z poślacaną ramą. Spojrzała na swoje odbicie, bawiąc się złotym krzyżykiem, który nosiła na szyi. Spojrzała w lustro na Verlaque’a i spytała:

– Muszę?

– Obawiam się, że tak, jeśli chce pani mieć mocne alibi. Nie możemy się opierać na samym bilecie na pociąg.

– Serges Tourtin, mieszka w pierwszej *arrondissement* – szepnęła. Podeszła do biurka, zapisała nazwisko i telefon na karteczce i podała ją Verlaque’owi.

Sędzia wziął ją i powiedział:

– Jeszcze ostatnie pytanie. Podśluchano, jak pani i François de Bremont kilka dni temu kłóciliście się na *cours* o pieniądze. Ponoć chciała pani sprzedać *château* Bremont, a on chciał go zatrzymać.

Isabelle podeszła do marmurowego kominka i stanęła przy dwóch zabytkowych chińskich naczyniach z suszonym wrzosem. Oparła dłoń na gzymsie kominka, odwróciła się i rzekła:

– Mój Boże! Czy w Aix nic nie jest święte? To naprawdę nie pańska sprawa.

Verlaque popatrzył na nią i powiedział:

– *Madame*, wkrótce po tej kłótni François został zamordowany. Chyba pani rozumie, dlaczego muszę o to zapytać.

– No dobrze – westchnęła. – My... to znaczy ja i dzieci, potrzebujemy pieniędzy. Jak to się mówi, brakuje nam gotówki. Posiadłości, które do nas należą, nie pomogą mi posłać dzieci na studia ani zabrać ich na wakacje nad morze.

Verlaque pokiwał głową. Pomyślał o osobnym koncie w banku, z którego wyciągi wysyłano do Saint-Antonin. Albo Isabelle de Bremont wciąż nie wiedziała o tym koncie, albo kłamała. Wstał i ruszył do drzwi.



– Do widzenia, *Madame*. Proszę pozostać w Aix do naszej dyspozycji, aż do odwołania.

Isabelle otworzyła usta, by zaprotestować, ale Verlaque powstrzymał ją, unosząc rękę. Odwrócił się, wyszedł z salonu i skierował się do drzwi. Isabelle de Bremont rzuciła w drzwi małą jedwabną poduszką, ale sędzia już tego nie usłyszał.

Na *cours* Verlaque wszedł w jakąś bramę i zadzwonił do Paulika. Przekazał komisarzowi, czego się dowiedział od Isabelle de Bremont.

– Zadzwonię na posterunek w pierwszej *arrondissement* i każę im kogoś wysłać, żeby przesłuchali *Monsieur* Tourtina – powiedział Paulik.

– Skłamała też o osobnym koncie w banku, o którym ci wspominałem, albo wciąż nie wie o jego istnieniu. Ale chyba bank do tej pory by ją powiadomił?

– Niekoniecznie – odparł komisarz. – Gdy Hélène i ja przenosiliśmy nasze fundusze emerytalne do innego banku, trwało to miesiącami. Hélène była strasznie sfrustrowana. W końcu powiedziała, że zacznie trzymać pieniądze w puszcze po ciastkach, tak jak jej dziadkowie.

– Moja babcia trzymała gotówkę w starym pudełku po akwarelach – powiedział Verlaque. – A co z Jean-Claude’em Auvieux? Mocno go przycisnęliśmy podczas przesłuchania.

– Właśnie myślałem o tym samym. Flamant powinien być na posterunku, może go pan spytać. W czwartek przez większość czasu siedział w Saint-Antonin i prowadził obserwację.

– Racja. Miłego wieczoru z Hélène i z...

– Léa – podsunął Paulik.

– Przepraszam – powiedział szczerze sędzia. – Powinienem pamiętać imię twojej córki.

– Wcale pan nie powinien, naprawdę to rozumiem. – Paulik uśmiechnął się i dodał: – Jest takim aniołkiem.

– Na pewno. Miłego wieczoru.

– Dziękuję – odparł Paulik. – Widzimy się jutro.

Verlaque wrócił pasażem Agard na posterunek i zszedł na poziom, gdzie przetrzymywano podejrzanych w bardzo miłych celach z grubymi kamiennymi ścianami pomalowanymi na naturalny kolor ochry. Verlaque nadzorował ostatni remont i razem z architektem wybrali przezroczyste plastikowe krzesła zaprojektowane przez Philippe’a Starcka i stoliki ze szklanymi blatami. Te meble miały w sobie coś z kobiecej łagodności i obaj stwierdzili zgodnie, że przyda się taki kontrast w zestawieniu ze średniowiecznymi kamiennymi murami oraz z funkcją, jaką pełniło to pomieszczenie. Wyciągano tu z ludzi informacje, sprawiając zarazem, by dobrze się w tym miejscu czuli. Oświetlenie było włoskie, dyskretne i regulowane. Jeden ze starszych policjantów podczas inauguracji zażartował – gdy Verlaque nie mógł go usłyszeć – że łatwo będzie z tych mebli

sprzątać krew i wymiociny. Yves Roussel usłyszał tę uwagę i wybuchnął śmiechem.

Verlaque przez weneckie lustro dostrzegł Flamanta, który siedział przy jednym ze szklanych stolików i coś pisał. Sędzia wszedł do pomieszczenia.

– Lubi pan tutaj pracować? – zapytał Verlaque.

Flamant aż podskoczył i odparł:

– Tak, lubię. Jest tu bardzo spokojnie, jeśli pan wie, co mam na myśli. I podobają mi się te stoliki i krzesła. – Natychmiast poczuł się głupio.

Verlaque się uśmiechnął.

– Co tam porabiał wczoraj *Monsieur Auvieux*?

– Nie czuł się za dobrze, *Monsieur le Juge*. Ciągłe powtarzał, że nic nie widział ani nie słyszał oprócz odjeżdżającego mercedesa. Wiedział, że nie zdąży odczytać numerów, więc zapamiętał tylko dwie ostatnie cyfry, zero sześć, z Lazurowego Wybrzeża.

Verlaque wyglądał na zmartwionego.

– Ale mówi pan, że nie czuł się za dobrze?

– Tak, panie sędzio. Nie wiem, czy to z powodu szoku, ale był naprawdę podenerwowany, miał czerwoną twarz i strasznie zaczerwienione oczy, jakby płakał.

– Dziękuję, panie Flamant. Jutro przeczytam zapis z przesłuchania – powiedział Verlaque. W kilka sekund doszedł do wniosku, że przesłuchując Auvieux w Palais de Justice lub nawet w *château*, nie zdobędzie potrzebnych mu informacji. Właściwie nie wiedział, czego się spodziewać, przecucie podpowiadało mu jednak, że Auvieux był w to zamieszany raczej pośrednio niż bezpośrednio, więc pośrednie podejście było prawdopodobnie najlepsze. Obu ich łączyło zamiłowanie do jedzenia i jeśli Auvieux nie czuł się za dobrze, Verlaque był pewien, że pomoże mu dobry posiłek. Dodał po chwili: – Zadzwoń do policjanta, który patroluje *château* w Saint-Antonin, i powiedz mu, żeby wracał do domu i się wyspał. – Verlaque był przekonany, że Auvieux jest niewinny, więc będzie w *château* bezpieczny. Morderca, czy też mordercy, wiedzieli, że mieszkał na miejscu, ale zostawili go w spokoju.

– Tak, panie sędzio.

Verlaque wyszedł z Palais de Justice, bo na zewnątrz był lepszy zasięg. Zadzwoił do domku Auvieux. Dozorca odebrał po jednym sygnale, jakby czekał na to przy stole, w swojej idealnie wysprzątej kuchni. Verlaque zaproponował, by spotkali się na kolacji w restauracji Les Sarments w wiosce Puylobier, gdzie Auvieux kupował wino w kartonach. Z Saint-Antonin do Puylobier zawsze miło się jechało i choć sędzia nie mógł o tym wiedzieć, była to ulubiona trasa Auvieux. Znał tam każde zagłębienie terenu, każde drzewo (było ich niewiele) i każdy skalny występ (tych z kolei było pod dostatkiem). Ta trasa przypominała Verlaque'owi

pewien odcinek Highway One w Kalifornii. Choć tam, o ile dobrze pamiętał, były krowy, a nie owce. Jechał tamtędy dawno temu podczas wycieczki z dziewczyną, która teraz mieszkała w Rzymie, miała pięcioro dzieci i była żoną dyrektora jakiegoś międzynarodowego domu mody.

Auvieux nie potrafił ukryć podekscytowania.

– Chodzi o tę małą świetną restaurację przy *rue* Qui Monte? – spytał.

– Tak – potwierdził Verlaque. Przy „ulicy, która pnie się w górę”. Uwielbiał nazwy niektórych ulic we Francji. Jego brat, Sébastien, mieszkał przy *rue* des Quatre-Vents w prestiżowej szóstej *arrondissement* Paryża. Emmeline zawsze mawiała: spotkamy się u Séba na „Czterech Wiatrach”.

Verlaque uśmiechnął się na myśl o babci i powiedział:

– Spotkam się z panem za pół godziny.

## Rozdział

### dwudziesty czwarty

Marine nuciła *My Funny Valentine* razem z Chetem Bakerem. Cieszyła się, że postanowiła pojechać do *château* i porozmawiać z Jean-Claude'em, bo dzięki temu mogła się oderwać od przytłaczającej obecności Sylvie i Antoine'a. Poza tym lubiła prowadzić – gdy była dzieckiem, jej matka nigdy nie prowadziła samochodu i Marine wciąż nie potrafiłaby wyobrazić sobie jej za kierownicą. Jej rodzice dużo spacerowali; zbudowali dom w latach sześćdziesiątych, niedaleko uniwersytetu i centrum. Należeli do pokolenia, które wychowywało się w wilgotnych, starych kamiennych domach i nie było w stanie nawet pomyśleć o tym, że te domy kiedykolwiek zostaną wyremontowane i wyposażone w centralne ogrzewanie i klimatyzację. Może w tamtych czasach to nie było możliwe, zastanawiała się Marine, usiłując usprawiedliwić ten brak wiary jej rodziców.

Trochę za szybko wzięła dwa ostre zakręty i musiała przerzucić bieg na jedynkę. Na szczycie wzniesienia skręciła w prawo do wioski i gdy mijała wojenny pomnik, powiedziała na głos:

– *Merci, les garçons.*

Zobaczyła, że brama *château* jest zamknięta, знаła jednak miejsce w ogrodzeniu, gdzie mogła się prześliznąć. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie zatrzeć klaksonem, ale robienie tak okropnego hałasu o tej porze i w tej przepięknej wiejskiej okolicy wydało jej się nie do pomyślenia. Zaparkowała na drodze naprzeciw *château*, pod wysokimi sosnami. Wysiadła z samochodu, zamknęła go i podeszła do ogromnej bramy po drugiej stronie drogi. Na prawo znajdowała się skrzynka na listy, wbudowana w wapienną kolumnę, podtrzymującą zardzewiałą osiemnastowieczną bramę z kutego żelaza. Marine minęła murek z wapienia, który po dwóch metrach zastąpiło ogrodzenie z siatki. Był to ten odcinek płotu, przez który w dzieciństwie często przeskakiwali z Étienne'em. Rodzice Étienne'a bardzo uważali, by zamykać bramę nawet wtedy, gdy byli w *château*, a Étienne regularnie zapominał kluczy. Przerzuciła torebkę przez płot, zaklęła i wspięła się na górę. Prawą ręką odgięła siatkę do siebie i korzystając z tego jak z dźwigni, dostała się na murek. Zeskoczyła na trawnik po drugiej stronie; ponieważ teren był tu pochyły, do ziemi nie było tak daleko jak od strony drogi.

Pokonała niewielkie wzniesienie i ruszyła w stronę *château*. Zaskoczyło ją, że w domku Auvieux nie palą się światła. Podeszła do jasnoniebieskich drewnianych drzwi i zapukała mosiężną kołatką w kształcie dłoni. Gdy nikt nie

odpowiedział, zajrzała przez małe okienko na lewo od niej, ale nie była w stanie niczego dostrzec. Marine musiała się pogodzić z faktem, że wybrała się tutaj w jeden z tych nielicznych wieczorów, gdy Auvieux nie było w domu. Jak pech to pech. Trasa jednak była piękna i zbyt rzadko nią jeździła. Zapukała jeszcze raz, odczekała kilka sekund, a potem odwróciła się i ruszyła w stronę samochodu. Gdy dotarła do ogrodzenia, coś sprawiło, że odwróciła się i spojrzała na *château*. Jej uwagę przykuł błysk światła. To było na strychu – światło, które do tej pory się paliło, a którego wcześniej nie zauważyła – właśnie zgasło. Była tego pewna. Szybkiem ruszyła w stronę schodów do *château* i uśmiechnęła się na myśl, że Jean-Claude jednak tu jest.

Ciężkie drzwi *château* nie były zamknięte na klucz; pchnęła je prawą ręką i lewym ramieniem. Wewnątrz było ciemno, więc wymacała ścianę po lewej stronie, znalazła włącznik i zapaliła światło. Odczekała kilka sekund, spodziewając się, że Auvieux zejdzie po schodach. Zawołała go po imieniu, ale nikt nie odpowiedział. Jeśli był na trzecim piętrze, pewnie jej nie usłyszał. Przypomniała to sobie – ściany domu były wyjątkowo masywne i ona i Étienne czasem nie słyszeli się nawzajem nawet wtedy, gdy byli w sąsiednich pokojach. Westchnęła i zaczęła wspinać się po schodach, niezbyt zachwycona perspektywą, że zobaczy wypchaną sowę, która będzie patrzeć na nią złym okiem z góry.

– Halo! – zawołała Marine na pierwszym piętrze, ale znów nikt jej nie odpowiedział. Wzruszyła ramionami i pięła się dalej. – Jean-Claude! To ja, Marine Bonnet! – krzyknęła ponownie. Ktoś na górze znów włączył światło i Marine zorientowała się, że blask sączy się spod drzwi strychu. – Ach! Widzę, że jesteś na strychu. Idę do ciebie.

Pokonała ostatni odcinek schodów i pchnęła drzwi.

Verlaque i Jean-Claude właśnie zabrali się do deseru. Był puszysty i lekki, o konsystencji musu, ale nie przypominał niczego, co Verlaque dotąd jadł. Zwykle rezygnował z deserów, ale chciał dotrzymać towarzystwa Auvieux, bo dozorca studiował menu z deserami, jakby miał zdawać z niego egzamin.

– Co to jest? – spytał w końcu sędzia, unosząc na łyżeczce zielony puch. Obaj zamówili deser dnia, opisany przez kelnerkę jako „une super surprise!”. – Jeszcze nigdy nie jadłem zielonego musu. Nie jest dość kwaskowaty, żeby to mogła być limonka.

Auvieux nabrał trochę na łyżeczkę, przyjrzał się jedzeniu i wsunął je do ust.

– Smak wydaje mi się znajomy, panie sędzio, ale nie potrafię odpowiedzieć co to.

Verlaque zjadł jeszcze trochę tajemniczego musu i uznał, że nadeszła odpowiednia pora, by zapytać Auvieux o walizkę.

– Wie pan, to zabawne, że w *château* nie ma sejfu – zauważył.

– Nie, na takie rzeczy była walizka – odpowiedział Auvieux rozkojarzony

deserem. Verlaque nie mógł uwierzyć, że dopisało mu aż takie szczęście.

– Walizka od Louisa Vuittona? – spytał, siląc się na swobodny ton. – Wie pan może, co w niej było? Jakies stare dokumenty?

Auvieux, zachwycony pięciodaniową kolacją i rozgrzany szampanem i winem, jadł dalej, nie podnosząc wzroku.

– Trzymali tam dokumenty dziadka. Philippe’a de Bremont.

– Jean-Claude, Marine mówiła, że zawsze bardzo uważałeś na zawartość tej walizki. Dlaczego? Mówiłeś mi wcześniej, że nie masz pojęcia, co w niej było, a teraz twierdzisz, że zawierała dokumenty. Musiałeś wiedzieć, co to były za papiery.

– Nie ruszałem ważnych dokumentów!

Verlaque znieruchomiał.

– Jakich dokumentów? Proszę, musisz mi powiedzieć.

Auvieux przez chwilę milczał.

– Byłem na strychu w zeszły piątek wieczorem, szukałem trofeów z polo dla François – powiedział nagle i jego oczy wypełniły się łzami. – François szukał swoich starych trofeów z polo. Mówił, że może je sprzedać, że są warte duże pieniądze i że ma przyjaciela, któremu pieniądze bardzo się przydadzą. – Odłożył łyżeczkę i wpatrzył się w swoje ręce oparte o blat.

Verlaque czekał, ale gdy Jean-Claude wciąż się nie odzywał, postanowił spróbować inaczej.

– Lubieś François, prawda?

Dozorca uśmiechnął się i nabrał trochę musu na łyżeczkę.

– O tak – odparł. – Przypadliśmy sobie do serca. Kiedy przyjeżdżał z wizytą, zawsze miał dla mnie prezent i dobre słowo, a w każde święta rozpalałem w kominku w salonie i piliśmy razem butelkę... Niech pan zgadnie, jakiego szampana kupował.

– Krug? – uśmiechnął się Verlaque.

– Jak pan to zgadł? – Auvieux uderzył grzbietem dłoni w stół.

– To było łatwe. My też pijaliśmy w domu tego szampana. Ale nie spędzam już świąt z rodzicami – dodał, zaskoczony własną szczerością.

– *Ah bon?* To niedobrze, *Monsieur le Juge*.

– Wiem – odparł Verlaque. – No i otworzyłeś tamtego wieczoru tę walizkę?

Sędzia bał się choćby drgnąć. Dozorca podjął wątek:

– Walizka stała mi na drodze, trofea były za nią i śpieszyło mi się, więc szarpnąłem ją zbyt mocno i spadła. Zamek się rozpadł, był taki stary, i wszystko wypadło. Co za bałagan! Były tam najróżniejsze papiery!

– A co to były za ważne dokumenty, Jean-Claude? – Verlaque ledwie mógł spokojnie usiedzieć.

– Papiery sporządzone przez prawnika z hrabią Philippe’em.

– I co w nich było? – zapytał sędzia.

– No dobrze, powiem panu, nie dlatego, że jest pan sędzią, tylko dlatego, że pana lubię. – Auvieux pochylił się w jego stronę i szepnął. – Było w nich, że hrabia był moim tatą.

Serce Verlaque'a zabiło szybciej. Przypomniał sobie, jak Marine mówiła mu, że Cosette i ojciec Jean-Claude'a szybko się wyprowadzili tuż po jego urodzeniu. I jaka piękna i łagodna była ich matka. Jak Jean-Claude wszędzie chodził za starym hrabią.

– Wiedziałeś o tym wcześniej? – spytał sędzia.

– Nie.

– No to musiałeś być zadowolony, prawda? Bardzo lubiłeś starego hrabiego Philippe'a de Bremont, zgadza się? – Verlaque zauważył, że użył słowa „lubiłeś”, a nie „kochaleś”. Czy sam kochał swoich rodziców?

– Tak, tak się ucieszyłem, że od razu zadzwoniłem do François! I on też się bardzo ucieszył. Powiedział, że przyjedzie do Saint-Antonin, by przejrzeć ze mną dokumenty, ale gdy się zjawiał na pogrzeb Étienne'a, musiałem mu powiedzieć, że papiery zaginęły. Odparł, żebym się nie martwił. Że je odzyskamy. Uściskał mnie. A teraz już go nie ma i nie możemy nawet o tym porozmawiać.

Verlaque zaczął się obawiać, że to wszystko staje się zbyt sentymentalne.

– Ale dlaczego nie zabrałeś tych dokumentów, gdy tylko je znalazłeś, Jean-Claude? – zapytał.

Auvieux wydawał się zaskoczony pytaniem sędziego.

– Powiedziałem François przez telefon, że zostawię je tam, gdzie są, do czasu, gdy będziemy mogli je przejrzeć razem z Étienne'em i Cosette.

– I François się na to zgodził?

– Tak – opalona twarz dozorca rozpromieniła się w uśmiechu. – Powiedział „to ty jesteś szefem”. François nazywał mnie tak za każdym razem, gdy był w Saint-Antonin. Mawiał: „to ty jesteś szefem w *château*, znasz tutaj każdy kąt”.

– A Étienne? Był dla ciebie miły?

Dozorca milczał, znów wpatrując się w swoje ręce. Potem sięgnął po łyżeczkę i zaczął bawić się resztką musu.

– Czy Étienne wiedział o tych dokumentach?

– Tak – potwierdził Auvieux i pobladł. – François mi mówił, że zadzwoni do niego następnego dnia, w sobotę.

Szef kuchni, który obserwował obu gości przez małe okrągłe okienko w drzwiach, uznał, że powinien do nich podejść. Wyglądało na to, że wciąż próbowali odgadnąć, z czego jest zielony mus, a starszy i potężniejszy z nich wydawał się niemal zrozpaczony, że mu się to nie udawało. Kucharz otworzył drzwi i podszedł do ich stolika.

– Smakowała panom kolacja? – spytał.

Verlaque spojrział na niego, w pierwszej chwili rozgniewany, ale zaraz zdał sobie sprawę, że taka chwila przerwy może trochę uspokoić Auvieux.

– Tak, była fantastyczna. Gratuluję – powiedział sędzia i wyciągnął rękę. Młody szef kuchni uścisnął ją, a Verlaque przedstawił siebie i Auvieux. Dozorca przestał czuć się jak przesłuchiwany świadek; z dumą wskazał na swojego towarzysza i powiedział:

– *Monsieur Verlaque* jest głównym *juge d’instruction* w Aix!

Verlaque uśmiechnął się, uniósł brew i spojrział na szefa kuchni. Choć mężczyzna był tuż po trzydziestce, przygotowywał już potrawy dla celebrytów i polityków w Londynie i Paryżu, więc sędzia z małego miasteczka nie zrobił na nim wrażenia. Postanowił jednak sprawić przyjemność temu starszemu, którego z radością obserwował, gdy pożerał pięciodaniowy posiłek z zapałem, jaki zwykle kojarzony jest z dziećmi i Nutellą.

– *Un juge!* – zawołał kucharz. Nie wiedział, co jeszcze dodać, więc powtórzył powitalną frazę. – Witam! Mam nadzieję, że smakował panom dziś wieczorem posiłek.

– O tak, dziękujemy – odpowiedział Verlaque. – A teraz, czy zechciałby pan pomóc nam rozwiązać pewną zagadkę? Co jest w tym musie?

Kucharz rozpromienił się, gdy uświadomił sobie, że się nie mylił. Naprawdę o tym dyskutowali.

– Awokado.

– Poważnie? – zapytał sędzia. Auvieux klepnął się ręką w czoło i wybuchnął śmiechem.

– Poznałem ten smak! – powiedział. – Ale żeby zrobić deser z awokado?!

Gawędzili jeszcze przez kilka minut, po czym twórca musu z awokado ruszył do sąsiedniego stolika, by porozmawiać z innymi gośćmi. Verlaque powiedział, że musi skorzystać z toalety, a potem dyskretnie zapłacił rachunek. Wracając do stolika, patrzył zaskoczony na Auvieux; dopiero teraz, z pewnej odległości, uświadomił sobie, jak potężnym jest mężczyzną. Verlaque usiadł przy stoliku i dozorca zapytał, czy może dorzucić się do rachunku.

– Już wszystko załatwione, Jean-Claude – odparł Verlaque. I dodał całkowicie szczerze: – Miło mi się jadło z tobą kolację. – Następnie zaproponował, by dozorca zostawił niewielki napiwek, ponieważ wiedział, że uczciwi ludzie, tacy jak Auvieux, lubią dokładać swoją część do rachunków. Auvieux z radością wyjął banknot dziesięciu euro i zostawił go pod filiżanką po kawie. Kelnerka, ewidentnie młoda dziewczyna z wioski, która miała problem z otwarciem butelki wina, a potem rozlała trochę na stoliku, na pewno będzie zachwycona.

Obaj mężczyźni wyszli z restauracji i ruszyli w dół nieco śliską *rue Qui Monte*.

– Nie ma innych dokumentów, które moglibyśmy razem przejrzeć, prawda?



– zapytał Verlaque.

– Nie! – natychmiast zapewnił go Auvieux. – Wszystko było w tej walizce, a teraz jest pusta.

Pogawędzili trochę o kolacji i o roślinach Auvieux. Verlaque wyraźnie wyczuwał, że dozorca nie chce już rozmawiać o zmarłych. Gdy dotarli do swoich samochodów zaparkowanych naprzeciw spółdzielni winiarskiej, uścisnęli sobie ręce i życzyli dobrej nocy. Auvieux pojechał pod górę, w stronę Saint-Antonin, natomiast Verlaque w dół, w kierunku *route nationale* prowadzącej do Aix.

W połowie drogi Verlaque zjechał na zamkniętą stację benzynową i zadzwonił do Yves'a Roussela. Opowiedział mu o kolacji z Jean-Claude'em i przekazał wiadomość, że jeśli te dokumenty naprawdę istniały, Jean-Claude był jednym z Bremontów.

– To wszystko w końcu zaczyna mieć sens – stwierdził Roussel. – Komisarz Paulik powiedział mi, że kiedy przesłuchiwałeś Auvieux, wydawało się, że coś ukrywał.

– Tak, sądzę, że ukrywał fakt, iż jest nieślubnym dzieckiem Philippe'a de Bremont.

– Może, ale według mnie jest w tej chwili naszym głównym podejrzanym. Co za motyw! Zabić obu braci i odziedziczyć *château*. Jest niemal tak duży jak *château* Dalego w Vauvenargues!

– Picassa – poprawił go Verlaque. – Porozmawiajmy o tym jutro, dobrze? – Przeczucie podpowiadało mu, że Auvieux ukrywa coś jeszcze oprócz swego pochodzenia. Zakończył rozmowę i zadzwonił do Marine. Włączyła się poczta głosowa i postanowił nie nagrywać wiadomości. Marine wspominała, że tego wieczoru ma się spotkać z Sylvie, a pora wciąż była na tyle wczesna, by móc tam zadzwonić. Wybrał numer stacjonarny Sylvie. Odebrała po drugim sygnale.

– Halo?

– *Salut*, Sylvie. Mam nadzieję, że nie dzwonię za późno.

Poznała głos Verlaque'a i odparła:

– Nie, nie, w porządku. Charlotte śpi, a ja oglądam kiepski program w telewizji.

Verlaque parsknął. Nienawidził francuskiej telewizji.

Sylvie zignorowała to i dodała:

– Zakładam, że szukasz Marine, ale wyszła parę godzin temu. Miała się spotkać z Jean-Markiem w Le Mazarin.

– Dzięki – powiedział Verlaque.

– *De rien* – odparła, próbując jednocześnie dalej oglądać program, operę mydlaną kręconą w Marsylii.

– Ale dopiero co dzwoniłem do niej na komórkę i nie odebrała.

– Pewnie już śpi. – Sylvie ziewnęła, jakby wzmianka o spaniu nagle

uprzytomniła jej, że ona też jest zmęczona. O dziewiątej rano miała zajęcia. Z reguły nie przyjmowała żadnych porannych zajęć, staż pracy na uczelni pozwalał jej na ten przywilej, ale dzięki tym zajęciom o dziewiątej miała wolne piątki, więc naprawdę nie miała powodów do narzekania.

– W każdym razie dzięki – powiedział Verlaque. – *Salut*.

– No to cześć – pożegnała się Sylvie. Dopadły ją wyrzuty sumienia, że być może zbyt wyraźnie okazuje Verlaque'owi niechęć, więc dodała: – Dbaj o siebie, Antoine. – A gdy Verlaque już się rozłączył, wrzasnęła w słuchawkę: – Ty snobie!

Odłożyła telefon, otuliła się kocem na sofie i zadowolona z siebie dalej oglądała *Plus belle la vie*.

Verlaque znów dodzwonił się na skrzynkę głosową Marine, a potem wybrał numer Jean-Marca.

– Już prawie zasypiałem, Antoine – odezwał się sennie kolega.

– Przepraszam. Czyli już nie jesteś w Le Mazarin.

– Nie, jeśli szukasz Marine, to długo nie zabawiła. Wybiegła w pośpiechu, mówiła, że ma się z kimś spotkać, wydaje mi się, że z jakimś mężczyzną. W sumie to myślałem, że ma się spotkać z tobą.

– Nie, nie byliśmy umówieni. Dzięki... Przepraszam, że cię obudziłem.

– Wszystko w porządku?

– *Oui, oui* – odpowiedział Verlaque. – Po prostu komunikacja nawala.

– No to dobra. W takim razie do zobaczenia – powiedział Jean-Marc i się rozłączył.

Zasłonił głowę poduszką – jego stary sąsiad oglądał jakąś idiotyczną operę mydlaną i telewizor miał włączony na pełen regulator.

Verlaque wrzucił bieg i ruszył. I wtedy to do niego dotarło: Marine była z Arthurem. Powoli pojechał do siebie, nieprzepisowo zaparkował porsche na brukowanym placu pod budynkiem i zostawił swoją odznakę w oknie. Nie chciało mu się odstawiać samochodu do garażu. Wszedł po schodach na piąte piętro – nigdy nie żałował, że nie ma windy. Jako nastolatek Verlaque był typem sportowca i całkiem nieźle grał w rugby, ale odkąd przeprowadził się do Aix i został sędzią, jego codzienna dawka ruchu ograniczała się do wchodzenia po schodach do luksusowego apartamentu na ostatnim piętrze, spacerów po Aix i od czasu do czasu pływania na jachcie wynajmowanym w Marsylii.

Zapalił napoczęte 898; zgasło mu w samochodzie i nie chciał tracić czasu, by zjeżdżać na pobocze i ponownie je zapalać. Zrobił sobie espresso, podszedł do stereo, włączył płytę Milesa Davisa i usiadł na brązowym klubowym fotelu ze skóry, który dostał w prezencie od rodziców na trzydzieste urodziny. Wypił espresso w dwóch łykach, a potem głęboko zaciągnął się cygarem i szybko wydmuchał dym w stronę sufitu. Położył głowę na oparciu fotela i przymknął oczy. Założył nogę na nogę; zaczął powoli kiwać prawą, w rytm muzyki. Siedział tak

przez jakiś czas, paląc i myśląc, póki się nie zorientował, że płyta się skończyła. Sięgnął po zbiór wierszy Philipa Larkina, który zwykle leżał obok fotela. Otworzył na przypadkowej stronie. Był tam krótki wiersz, który natychmiast skojarzył mu się z jego związkim z Marine. Nie wiedział tylko, kto powinien go recytować: on czy ona?

*We śnie powiedziałaś:*

*A więc się całujemy*

*W tym pokoju, na tym łóżku,*

*Ale gdy będzie po wszystkim*

*Nie wolno nam się więcej spotkać.*

*Gdy padło ostatnie słowo*

*Nie było nocy, gdy rodzą się jagnięta*

*Ptaka targanego wichrem*

*Skutego mrozem korzenia*

*Tak zimnych jak moje serce.*

Odłożył książkę i na kilka sekund zamknął oczy. Potem wstał, zrobił sobie kolejne espresso i wypił je powoli, oparty o kuchenny blat. Znowu zapalił i dokładnie w chwili, gdy koniuszek cygara zaczął go lekko parzyć w usta, spojrzął na zegar w kuchni. Było jeszcze przed północą, ale uznał, że jest za późno, by do kogokolwiek dzwonić. Wstawił filiżankę do zlewu, odłożył cygaro do popielniczki, powiedział na głos: „No to trudno” – i wybrał numer Jean-Claude’a Auvieux. Myślał o Marine; nie dawało mu spokoju, że nie odbierała ani komórki, ani stacjonarnego. Niepokój narastał w nim coraz bardziej. Dozorca odebrał telefon po kilku sygnałach.

– Halo?

– Przepraszam, że tak późno dzwonię, *Monsieur Auvieux*. – Verlaque zdał sobie sprawę, że zwraca się teraz do dozorca o wiele bardziej oficjalnie niż podczas kolacji.

– Nic się nie stało... – odparł Auvieux, słysząc sędziego. – Dopiero co się położyłem. Jakiś problem? – dodał, zmartwiony, że może zostawił za mały napiwek w restauracji albo podczas kolacji zrobił coś nie tak. Jego siostra zawsze narzekała, że za szybko jadł.

– Nie, nie, wszystko w porządku, Jean-Claude. W *château* spokój?

– *Ah oui* – powiedział dozorca. Verlaque nie wiedział, czy uznać to za dobry czy za zły znak.

– Siedziałem tak i myślałem – podjął – i chciałem cię jeszcze raz zapytać o tę noc, gdy zginął Étienne. Wiem, że byłeś u siostry i że jedliście razem kolację. – Umilkł na chwilę. Nie chciał wystraszyć dozorca, więc skłamał: – A potem oglądaliście film. Widzisz, jestem przekonany, że człowiek, którego poznałem w Cannes, bardzo bogaty i zły człowiek, kłamie w sprawie swojego alibi, a ja

staram się ustalić porę zgonu Étienne'a. Ten człowiek też mi mówił, że oglądał *Matrix*. To ten film leciał akurat w telewizji, prawda? – To było bardzo kiepskie kłamstwo, zupełnie pozbawione sensu, ale jedyne, jakie przyszło Verlaque'owi do głowy.

– Och! – w głosie Auvieux słyhać było ulgę, że to jakiś człowiek z Cannes ma problemy, a nie on. – Zjedliśmy kolację, a potem, koło dziewiątej, zaczęliśmy oglądać ten film. Tak, leciał na TF1.

– Czyli musiał się skończyć koło jedenastej, *non*? O której poszedłeś się położyć?

– Ach! Zasnąłem, jak tylko zaczął się film! Nie wiem dlaczego, ale poczułem się strasznie zmęczony!

Verlaque poczuł ucisk w gardle. Przymknął oczy.

– Ale Jean-Claude, opowiadałeś mi szczegółowo, co było w tym filmie, pamiętasz?

– No pewnie! Widziałem go wcześniej, ale nie chciałem denerwować Cosette, więc jej o tym nie powiedziałem. Ona tak łatwo wpada w złość, a była strasznie podekscytowana tym filmem i chciała go ze mną obejrzeć.

Verlaque poczuł nagle silną potrzebę, by wyjść z mieszkania. Nie potrafił sobie wyobrazić, by Cosette Auvieux mogła być cymkolwiek podekscytowana. Dlaczego Jean-Claude wcześniej mu nie powiedział, że przespał cały film? Podała mu coś na sen? A może dozorca tylko udawał głupiego? Był potężnym mężczyzną, fizycznie zdolnym do zabijania... i pierwszą osobą, która pojawiła się na miejscu obu zbrodni.

– O której się obudziłeś? – zapytał sędzia. – Rano stwierdziłeś, że wciąż leżysz na sofie?

– Ach! Jak pan to zgadł? Zapewniam pana, *Monsieur le Juge*, że jeszcze nigdy dotąd nie przespałem całego wieczoru na sofie. Nie wiem, co mi się stało! – Auvieux nie szanował leniwych ludzi. A tych, którzy zasypiali na sofach, uważał za leniuchów. Był pewien, że sędzia się z nim zgadza.

Verlaque jednak tego nie skomentował, powiedział tylko:

– Bardzo ci dziękuję, Jean-Claude. – Sięgnął po kluczyki do samochodu oraz klucze do mieszkania i zadał ostatnie pytanie: – Jean-Claude, czy Cosette wie o tych papierach?

Auvieux milczał przez chwilę, a potem odrzekł:

– Powiedziałem jej... przez pomyłkę. Kiedy jedliśmy potrawkę z cielęciny. Cosette obrażała *Monsieur François*, mówiła, że to nierób, a ja jej powiedziałem, że razem znaleźliśmy papiery i że François w poniedziałek ma z nimi pójść do prawnika. Chciał mi pomóc. Był dobry, nie to, co ten drugi.

– Masz na myśli Étienne'a? – Verlaque przystanął na schodach.

– Mniejsza z tym! Nie powinno się tak mówić o zmarłych! Dobranoc! –

Auvieux nagle się rozłączył.

Verlaque wepchnął komórkę do kieszeni marynarki i w drodze do drzwi chwycił płaszcz. Dozorcy podano coś na sen, to dlatego zasnął, gdy tylko zaczął się film, myślał sędzia, zbiegając po schodach. Był zły na siebie, że nie pojechał do *château* po rozmowie z Sylvie i z Jean-Markiem. Marine mówiła, że miała się spotkać z jakimś mężczyzną. Teraz Verlaque przypomniał sobie, że Arthur wyjechał przecież do Kalifornii. Czy tym mężczyzną był Jean-Claude? Gdy tylko wybiegł z budynku, zadzwonił do Paulika, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że komisarzowi za nic nie uda się dojechać ze swojego domu w Pertuis do Saint-Antonin w czasie krótszym niż godzina. Słuchając kolejnych sygnałów, Verlaque szepnął do siebie:

– Ona jest tą jedyną. Daj sobie spokój z innymi. Zdecyduj się, ty głupcze.

– *Oui?* – odezwał się zaspany głos.

– Naprawdę bardzo cię przepraszam, Bruno, ale mógłbyś zadzwonić do dyżurnego na posterunku i powiedzieć mu, żeby spotkał się ze mną w Château Bremont? – poprosił Verlaque, otwierając drzwi i wsiadając do samochodu.

Paulik opuścił głowę z powrotem na poduszkę, spojrzął na zegar przy łóżku i spytał zniecierpliwionym tonem:

– Kto mówi?

– Verlaque!

– Och! Przepraszam! – komisarz natychmiast usiadł. Verlaque jeszcze nigdy nie dzwonił do niego do domu. – Już dzwonię do Flamanta.

– Dobrze. Powiedz mu, żeby zaparkował na drodze przy *château*. Niech się tam ze mną spotka. Miejmy nadzieję, że Auvieux zostawił bramę otwartą. Nie chcę, by ktokolwiek wiedział, że tam jesteśmy. Później wszystko wyjaśnię.

– *Entendu!*

## Rozdział

### dwudziesty piąty

Marine kilka razy zamrugła, by przyzwyczaić oczy do oświetlenia na strychu, pełnego ogromnych lusterek w pozłacanych ramach, połamanych stołów i krzeseł, a także stert prastarych kartonów, które wyglądały, jakby miały się rozsypać przy byle dotknięciu.

– *Quoi?* – spytała Marine, gdy zamiast Auvieux zobaczyła jego siostrę Cosette.

– Co ty tutaj robisz? – zapytała Cosette Auvieux, niewyraźnie i bełkotliwie. Musiała oprzeć się ręką o stary wieszak na płaszcz, żeby nie stracić równowagi. Marine dostrzegła na drewnianym stole obok niej opróżnioną do połowy butelkę i porcelanową filiżankę do herbaty. – Piękna pani profesor – ciągnęła *Madame* Auvieux, patrząc na nią z uśmiechem klauna.

– Cosette – Marine ruszyła powoli w stronę pijanej kobiety, usiłując zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. – Co ty tutaj robisz?

– Przyszłam po to – odparła Cosette. Jej uśmiech zniknął.

Marine spojrzała na butelkę taniej whiskey i wtedy dostrzegła leżącą za nią stertę papierów. Cosette ją obserwowała. Znow się uśmiechnęła.

– Wiem o tych dokumentach, Cosette. Chciałabyś, żebym je z tobą przejrzała? Dobrze się znam na prawie. Może będę mogła pomóc – podsunęła Marine.

– *Bien sûr!* Założę się, że chciałabyś zobaczyć te papiery!

Marine zrobiła krok do przodu.

– Nie podchodź! – wrzasnęła Cosette. Przycisnęła papiery do chudej piersi i skrzywiła się. Marine usiadła na starym trzciniowym krześle.

Żałowała, że nie ma tu z nią Verlaque'a ani Paulika, że nie jadą do Saint-Antonin i że nie ma ich nigdzie w pobliżu. Mogła zrobić tylko jedno: sprawić, by Cosette mówiła. I piła. Może jeśli wypije więcej, urwie jej się film i Marine będzie mogła zadzwonić do Verlaque'a albo spróbować odszukać Jean-Claude'a. I wtedy uświadomiła sobie, że zostawiła w samochodzie komórkę, ale kluczyki są w kieszeni kurtki. Wskazała na whiskey i spytała:

– Mogę się z tobą napić?

– Jasne. Proszę, wybac mi moje maniery, powinnam ci była pierwsza zaproponować. – Cosette sięgnęła do otwartego kartonu i wyjęła drugą porcelanową filiżankę. Dmuchała w nią, by pozbyć się kurzu, a następnie wytarła własnym T-shirtem. Nalała Marine trochę whiskey i podała filiżankę. Marine upiła

mały łyk i do oczu napłynęły jej łzy, gdy alkohol zaczął palić w gardle. Po dobrych whiskey, które kupował Verlaque, tak nie paliło.

– Czy Étienne przeglądał te papiery w sobotę w nocy? – spytała Marine.

– Tak... ale nie wiedziałam, że tu będzie! Jak tylko Jean-Claude powiedział mi, że je znalazł, przyjechałam z Cotignac tak szybko, jak mogłam. Zawsze wiedziałam, że znajdziemy dowód. Mama nigdy nie kłamała.

– Co dokładnie jest w tych papierach, Cosette?

– Nie domyślasz się?

– Niestety nie – odparła Marine, która nagle w wyobraźni zobaczyła skrzydlatego bobaska ze *Zwiastowania*. Nie miała pojęcia dlaczego, ale nie potrafiła odsunąć od siebie tego obrazu. – Chodzi o dziecko? – spytała.

– Kto ci to powiedział? – syknęła Cosette. Marine podziękowała w duchu flamandzkiemu malarzowi. Kompletnie blefowała.

– Nikt mi nie powiedział, Cosette.

– Powinam była wiedzieć. Zawsze byłaś małą mądrą. No więc domyśliłaś się tajemnicy mamy... że hrabia Philippe de Bremont był ojcem Jean-Claude'a. I że – postukała w dokumenty – Jean-Claude miał prawo do spadku, tak jak Étienne i François.

Marine opadła na oparcie krzesła.

– O mój Boże – mruknęła. Zerknęła na Cosette, kołyszącą się w przód i w tył. – A teraz, gdy Étienne i François nie żyją... – zaczęła Marine.

– Étienne dostał to, co mu się należało! Ale to nie ja zabiłam François!

– Pchnęłaś Étienne'a!

– Miał te dokumenty i śmiał się ze mnie! Mówił, że je zniszczy... Że nikt nie uwierzy biednej fryzjerce z Cotignac!

– Étienne nigdy by czegoś takiego nie powiedział, Cosette.

– Twierdzisz, że kłamię?!

– Nie wolno ci kogoś wypychać z okna, bo powiedział coś, co ci się nie podoba!

– Mówił jeszcze inne rzeczy! Niektórych nawet nie potrafię powtórzyć! – ciągnęła Cosette. – Mówił, że François był głupi, bo chciał pomóc Jean-Claude'owi i tym modelkom. Że jeśli François nie zacznie bardziej uważać, ktoś go zabije. To wtedy zaczęłam się martwić o François. Spytałam Étienne'a, skąd to wszystko wie, a on się roześmiał i odparł: „Powiedział mi przyjaciel z Marsylii”.

Marine zamknęła oczy i przypomniała sobie słowa swojej matki: „Zupełnie, jakby jeden brat dostał wszystko, co dobre, a drugi wszystko, co złe”. Pomyślała o wybitym oknie i o tym, jak François wziął winę na siebie. A gdy odwiedzili Cosette w departamencie Var, powiedziała: „Zawsze tak było”. Gdy Marine była nastolatką, Étienne nigdy fizycznie jej nie pociągał, ale jeśli miałyby być wobec siebie naprawdę szczerą, to imponowały jej jego niesamowite pokłady energii, jego

urok i tytuł. Te dwie ostatnie rzeczy zapewniały im przez całą noc darmowe drinki na dyskotece w Aix.

– W jaki sposób François pomagał Jean-Claude’owi? – spytała Marine, którą bardziej interesował Jean-Claude niż jakiegokolwiek związku z Marsylią.

– François zwierzał się Jean-Claude’owi, zwłaszcza po tym, jak razem znaleźli te papiery. Miał wielki plan... i z pomocą Jean-Claude’a mógł to wszystko zrealizować.

– Czyli ty i Étienne pokłóciliście się o te dokumenty? – Marine chciała zrozumieć, w jaki sposób doszło do upadku Étienne’a.

Cosette kiwnęła głową i potarła oczy grzbietem dłoni.

– Tak! Dalej mnie obrażał, mówił paskudne rzeczy. Stał tuż przy otwartym oknie, w świetle księżycy. Ale nie zamknął się nawet, kiedy się na niego rzuciłam. Chciałam pchnąć go na podłogę, nie wypchnąć z okna! Powiedział, że moja matka była kurwą, tanią dziewczką i wtedy skoczyłam na niego. Krzyknęłam, kiedy wypadł z okna, i patrzyłam na jego twarz, gdy spadał. To było okropne... bo przez cały czas wyglądał, jakby się uśmiechał. Zbiegłam na dół, ale zobaczyłam, że nie żyje. Różne papiery pospadały na trawę, więc je pozbierałam i pobiegłam z powrotem do *château*, żeby posprzątać. Byłam tak zdenerwowana, że nawet pozamiatałam, a potem starłam z miotły moje odciski palców. Później wsunęłam wszystkie papiery pod jedną z desek w podłodze, pod tym starym łóżkiem. To tam chowałam różne rzeczy, kiedy byłam małą. Nie chciałam zabierać ich ze sobą, strasznie się bałam, że ktoś mnie przyłapie, kiedy będę wychodzić. Zamknęłam *château* i pobiegłam do *cabanon*. Pamiętasz ją, *non*?

Marine wyobraziła sobie małą chatkę z grubo ciosanego kamienia. Stała na szczycie wzgórza za *château*, jakieś pół kilometra za lasem. W dzieciństwie Étienne i Marine czasem wykorzystywali *cabanon* do swoich zabaw w wojnę, ale szybko przepędzili ich François i Cosette, którzy palili tam papierosy i nie wiadomo co jeszcze robili. Cosette napiła się whiskey i ciągnęła:

– Kiedyś w *cabanon* François powiedział mi, że mnie kocha. Nie uwierzysz mi, co?

Marine spojrzała na Cosette i przypomniała sobie, jak często kręciła się przy François i jak wszędzie za nim łąziła. Nie, pomyślała Marine, było na odwrót – to François wszędzie chodził za Cosette.

– A potem, po śmierci matki, przeprowadziłam się do Cotignac do ciotki i François powiedział, że po mnie przyjedzie, ale nigdy tego nie zrobił. Wyjechał do Paryża do jakiejś nieliczącej się prywatnej szkoły biznesu, a potem przeprowadził się na Lazurowe Wybrzeże. I nawet wtedy, gdy miał tak blisko do Cotignac, nie pofatygował się nawet, żeby zadzwonić.

– Dziś wieczorem zostawiłaś samochód na parkingu przy *cabanon* – przerwała jej Marine. Stamtąd prowadziła ścieżka do szlaku turystycznego, który



z kolei kończył się na małym parkingu u podnóża Góry Świętej Wiktorii. Mieszkańcy Aix nie lubili zdradzać tego turystom. Powinna była powiedzieć o tym Antoine'owi.

– Tak – przyznała Cosette. Napiała się whiskey i ciągnęła łamiącym się głosem: – Kochałam François. Kochałam go, odkąd byliśmy dziećmi. Był taki silny, taki szybki, taki dowcipny. Tamtej nocy Étienne powiedział mi, że jestem tylko żalosną fryzjerką i nigdy nie będę nikim innym. Miło, *hein?*

Marine przysunęła się bliżej niej.

– To okropne, Cosette. To nieprawda. Étienne postąpił paskudnie, mówiąc coś takiego. – Chciała sprawić, by Cosette nie przestawała mówić. Pragnęła jej pomóc. – Mówiłaś, że mama nigdy nie kłamała. Powiedziała ci o Philippe de Bremont?

– Mama wyznała mi wszystko na łożu śmierci, ale zabroniła mi komukolwiek o tym mówić. Poza tym nie miałam żadnego dowodu. – Napiała się i ciągnęła. – Mój ojciec odszedł tuż po narodzinach Jean-Claude'a, bo przyłapał hrabiego de Bremont z moją matką w *cabanon*. – Cosette czekała na reakcję Marine, która okazała się taka, na jaką liczyła: wykładowczyni gapiała się na nią z rozdziawionymi ustami. Marine chciała coś powiedzieć, ale nie była w stanie. Napłynęły kolejne wspomnienia, Jean-Claude chodzący za starym hrabią po ogrodach i po gaju oliwnym. Byli nierozłączni, a starzec uczył pełnego zapału chłopca wszystkiego, co wiedział o prowansalskich ogrodach. Dlaczego wcześniej sobie tego nie przypomniała? Gdy Marine i Étienne się bawili, a François i Cosette robili nie wiadomo co, Jean-Claude nieświadomie stworzył silną więź ze swoim biologicznym ojcem. Starszy syn hrabiego, ojciec Étienne'a i François, nie dbał o rośliny. Ciągłe coś czytał – przypomniała sobie Marine. Ale oto pojawił się syn hrabiego z nieprawego łoża, który nie bawił się z innymi dziećmi, tylko z zapałem przycinał drzewa oliwne i sadił cebulki.

Cosette mówiła teraz szybciej, jakby całe lata czekała, by opowiedzieć komuś tę historię. Pewnie wielokrotnie to ćwiczyła, pomyślała Marine, bo też robiła to samo, kiedy Verlaque z nią zerwał.

– Mój ojciec podejrzewał, że się kochali – ciągnęła Cosette – i kiedy nakrył ich razem, domyślił się, kto jest ojcem Jean-Claude'a. Wtedy po prostu odszedł. Miał klasę, *non?* Nie robił zamieszania. Kiedy matka opowiedziała mi tę historię na łożu śmierci, obiecałam, że nikomu jej nie powtórzę. Powiedziała mi, że wolno mi pójść do prawnika dopiero wtedy, gdy umrze ojciec Étienne'a i François. Mówiła, że zadbają o Jean-Claude'a i o mnie. Ale wiedziałam, że będę potrzebować dowodu. Mama o tym nie pomyślała. Nie była praktyczna.

– Jak się dowiedziałas o tych papierach?

– Jean-Claude znalazł je w zeszłym tygodniu. Ale François, ten gadatliwy kretyn, powiedział o tym Étienne'owi, a ten natychmiast tu przyjechał w sobotę

w nocy.

– Żadne z was nie wiedziało, co było w walizce? Nawet rodzice Étienne’a i François? – spytała Marine.

– Nie! Ta walizka była poza zasięgiem! Należała do *le comte*. Rodzice François byli zbyt zajęci swoimi książkami, żeby przejmować się jakimiś rzeczami na strychu. Tylko spójrz na to wszystko – Cosette wykonała zamaszysty ruch ręką.

– François nie powiedział Jean-Claude’owi, żeby zabrał te papiery i schował je w jakimś bezpiecznym miejscu? – spytała Marine.

– Nie. Ufał Étienne’owi. Ha!

Marine wstała z krzesła i ruszyła w stronę Cosette, która opierała się o jakieś stare pudła.

– Pomogę ci – powiedziała. – Powinnaś usiąść.

– Nie! Nie zbliżaj się do mnie!

– Cosette! Nie bądź śmieszna!

– Śmieszna? Ha! Całe moje życie takie jest! Śmieszne! Mogłabym mieszkać w Aix tak jak reszta z was! Ale Étienne wszystkich nastawił przeciwko mnie, a zwłaszcza swoich rodziców! Powiedział im, że chodziłam z François do *cabanon* i natychmiast odesłali mnie do Cotignac! To jemu zawdzięczam moje żałosne życie.

Marine posunęła się odrobinę do przodu i powiedziała:

– Cosette, tak mi przykro. Ale wiesz, jeszcze nie jest za późno. Musimy razem pójść na policję. Nie zabiłaś Étienne’a umyślnie i musisz im o tym powiedzieć, nie rozumiesz? – Przysunęła się jeszcze bliżej.

Cosette uniosła ręce i syknęła:

– Powiedziałam: nie!

– Cosette, posłuchaj mnie, proszę!

– Słuchać cię? Słuchać was? Arystokratów w czepku urodzonych?! Ojciec mojego brata był hrabią, a Étienne chciał mi to zabrać i ty też próbujesz!

– Cosette, nie! – W głowie Marine wybuchło czerwone światło i upadła na dębową podłogę. Cosette Auvieux spojrzała na rozbitą butelkę whiskey, którą wciąż zaciskała w dłoni, i zobaczyła rozlany na podłodze alkohol i zakrwawioną głowę wykładowczyni.

Minęło trochę czasu, nim udało jej się przeciągnąć zwiotczałe ciało Marine po podłodze i położyć je na dziewiętnastowiecznym łóżku z kutego żelaza. Nie byłoby w porządku zostawić ją na tej zimnej drewnianej podłodze. Cosette pomyślała, że Marine wygląda dziwnie z tym wielkim drewnianym krucyfiksem wiszącym nad jej głową.

Pociągnęła szybki haust z małej piersiówki, którą trzymała w kieszeni swetra, uważając, żeby nie oprzeć głowy na łóżku. „Nie zasypiaj, nie zasypiaj”, mruknęła do siebie, bo powiedziała Marine Bonnet zbyt wiele i musiała mieć się na

baczności.

– François, ty idioto – mruknęła, siadając na podłodze. – Jak mogłeś być taki miły dla Jean-Claude’a, a mnie zignorować? – Wstała i podeszła do włącznika, zgasiła światło i włączyła latarkę, tę samą, której użyła, by dostać się z parkingu do *cabanon*, a potem do *château*. Znow podeszła do łóżka, przeciskając się między stertami pudeł i meblami. Usiadła na podłodze. Nie chciała zabijać Marine Bonnet. Marine nie była snobką, tak jak ten sędzia, który przyjechał do Cotignac. Powiedziałam jej, że zabiłam Étienne’a, pomyślała. I dojdą do wniosku, że zabiłam też François. – Nikt nie uwierzy fryzjerce z Cotignac – powiedziała na głos. – Nie mam innego wyjścia.

„Nie mam innego wyjścia”. Bardzo elegancko to zabrzmiało. Pociągnęła kolejny haust whiskey i oparła głowę na łóżku. Odpocznę tylko chwilkę, pomyślała.

## Rozdział

### dwudziesty szósty

Potrzebował niewiele czasu, by wyjechać z Aix. Verlaque zabrał samochód z Place de l'Archevêché i zdjął odznakę z przedniej szyby. Stamtąd pojechał szybko, ale ostrożnie pustymi ulicami i wkrótce znalazł się na Route de Cézanne. Gdy był już poza miastem, dodał gazu – świetnie znał tę trasę, a o tej porze w nocy niewielkie były szanse, by napotkał jakiś inny samochód. W ciemności nie widział góry ani luksusowych domów, tylko drzewa oliwne, połyskujące i poruszające się w świetle reflektorów, jakby chciały mu dotrzymać towarzystwa.

W chwili, gdy wchodził w jeden z zakrętów, w ulubionym miejscu, gdzie zwykł malować ojciec kubizmu, na prawo od samochodu pojawiło się kilka ruchomych obiektów. Zwolnił i zjechał trochę na lewo. Szły gęsiego i ostatni z nich spojrział na Verlaque'a. Oczy w świetle reflektorów wydawały się czerwone. Sędzia gwałtownie wcisnął hamulec. Były rodzeństwem – *marcassins* – warchlaki, i słysząc pisk hamulców, pobiegły w krzaki. Sędzia powoli ruszył dalej, zdając sobie sprawę, że musi parę razy odetchnąć, żeby się uspokoić.

Zjechał do wioski Le Tholonet; okiennice jedynej kawiarni były już zamknięte. Jechał dalej, przyśpieszając na prostych odcinkach trasy i zwalniając na zakrętach. Nie natrafił już na żadne warchlaki ani pojazdy. Zbliżając się do Saint-Antonin, zwolnił, a potem wreszcie się zatrzymał. Zaparkował spory kawałek od posiadłości Bremontów – po lewej stronie, przy małej polanie. Zamknął samochód i ruszył dalej pieszo. Po chwili z lewej zobaczył twingo Marine i podbiegł do niego, bardzo licząc na to, że Marine siedzi w środku i rozmawia przez komórkę albo próbuje znaleźć płytę CD z brazylijskim jazzem. Samochód jednak był zamknięty i było w nim ciemno. Odwrócił się na dźwięk silnika dobiegający od strony Aix. Światła raz mrugnęły i zrozumiał, że to Flamant. Pokazał policjantowi, by zaparkował obok porsche. Mężczyzna wyskoczył z samochodu i w jednej chwili stał już przy Verlaque'u, z latarką w ręce.

– Wejźmy po cichu, brama jest otwarta – szepnął Verlaque. – Cosette Auvieux odurzyła brata tej nocy, gdy Étienne de Bremont wypadł z okna. Jest tutaj, być może z profesor Bonnet.

– Z pańską...

– Tak.

Flamant pokiwał głową. Starał się nie hałasować, gdy szli wysypanym żwirem podjazdem. Na palcach minęli chatkę dozorca, a potem szli po trawie aż do kamiennych schodów *château*. Verlaque, najciszej jak potrafił, uniósł zasuwę

drzwi z kutego żelaza i uchylił je na tyle, by mogli się przecisnąć. Instynktownie wiedział, że powinien skierować się prosto na strych. Wskazał schody, a Flamant kiwnął głową. Zaczęli się wspinać, szybko i cicho. Na każdym piętrze Verlaque wskazywał, że muszą iść wyżej.

Nie był zaskoczony, widząc, że drzwi na strych są zamknięte, ale zmartwiło go, że nie sączy się spod nich światło.

– Na trzy – szepnął do Flamanta, który położył rękę na kaburze i przesunął się w bok, by móc szybko wtargnąć do pomieszczenia. Verlaque niejasno pamiętał, że włącznik znajduje się na lewo od wejścia. Położył prawą rękę na małej porcelanowej gałce, cicho ją przekręcił, szybko otworzył drzwi i lewą ręką zapalił światło. W pierwszej chwili obaj zmrúżyli oczy, ale zaraz dostrzegli różne przedmioty – znajome lustra, krzesła i pudła. Ale nie było Marine.

– *Merde* – syknął Verlaque. Flamant powoli obszedł strych, zaglądając za większe meble. Sędzia oparł się o ścianę i zamknął oczy. – Domek dozorcę – powiedział na głos. – Chodźmy.

Czy Cosette kryła brata? To jej mógł się urwać film – biorąc pod uwagę, jak piła nalewkę, wydawało się to całkiem możliwe. Czy Jean-Claude tylko udawał, że jest taki nieśmiały i nieporadny? François został zamordowany przez kogoś, kto go znał, kogoś silnego. Verlaque nie powiedział Flamantowi, że teraz podejrzewa również dozorcę, ale zorientował się po minie policjanta, że ten myślał o tym samym.

Obaj szybko zbiegli po schodach, nie przejmując się już hałasem. Wypadli z *château* i popędzili podjazdem do domku Auvieux. Nie paliły się tam żadne światła. Verlaque już miał się włamać przez okno, kiedy zauważył, że Flamant otwiera drzwi.

– Nie były zamknięte – powiedział policjant, równie zaskoczony jak sędzia. Włączyli światło, wbiegli po schodach i zobaczyli zamknięte drzwi sypialni.

– Mam broń! – ryknął Auvieux.

– Jean-Claude, to ja, Antoine Verlaque! Otwieraj!

– *Monsieur le Juge?*

Verlaque usłyszał, że ktoś się zbliża do drzwi sypialni. Dał znak Flamantowi, by był gotów.

Drzwi się otworzyły, ukazując dozorcę, który stał na progu w piżamie i przyciskał do piersi strzelbę myśliwską. Zmrúżył oczy i spytał:

– Dlaczego pan nie zapukał? Która godzina?

– Czemu nie zamknąłeś na klucz frontowych drzwi? – spytał zdyszany Verlaque.

Flamant oparł się o ścianę i szepnął:

– *Putain.*

– Nigdy ich nie zamykam. Nie ma po co. Tak łatwo się włamać do tego

starego domku. I dlatego trzymam przy łóżku to. – Lekko uniósł strzelbę.

Verlaque łagodnie, lecz stanowczo położył dłoń na ramieniu Auvieux i powiedział:

– Myślę, że twoja siostra jest gdzieś tutaj na terenie posiadłości z profesor Bonnet. Przychodzi ci do głowy jakieś miejsce, gdzie mogą być?

– Cosette?

– Tak – szepnął Verlaque. I dodał szybko: – Jean-Claude, myślę, że twoja siostra może mieć kłopoty. Obawiam się, że mogła być w jakiś sposób zamieszana w śmierć Étienne’a de Bremont. Wiesz, gdzie one mogą być?

Auvieux stał bez ruchu, wyraźnie oszołomiony sugestią, że jego siostra mogła mieć coś wspólnego z morderstwem. Żeby go popędzić, Verlaque podsunął:

– Może gdzieś, gdzie bawiliście się jako dzieci?

– Rzadko się bawiłem z resztą – powiedział Auvieux. Zauważył frustrację na twarzy Verlaque’a i dodał niemal szeptem: – Cosette i François zawsze przesiadywali w *cabanon*. – W pierwszej chwili dozorca się skulił, czując, że zdradza własną siostrę. Zawsze się bał Cosette.

– Pokażesz nam, gdzie to jest? – spytał Flamant, zachowując spokój.

– Przyniosę drugą latarkę – zaproponował dozorca. Odwrócił się i zniknął w swojej sypialni. Pojawił się niemal natychmiast z powrotem, ubrany w niebieski kombinezon. Wszyscy trzej zbiegli po schodach i gdy Auvieux odwrócił się, by zamknąć drzwi chatki, Verlaque zauważył, że wciąż ma strzelbę zarzuconą na ramię.

– Potrzebujesz strzelby? – spytał sędzia.

Odpowiedział mu jednak Flamant.

– To na wypadek, gdybyśmy natknęli się na dziki.

– *Oui, les sangliers* – mruknął na potwierdzenie Auvieux. Szybko obeszli domek i ruszyli gęsiego przez gaj oliwny. Przodem szedł Auvieux z jedną latarką, za nim Verlaque, a pochód zamykał Flamant z drugą latarką. Nikt się nie odzywał. Dopiero gdy noga Verlaque’a wpadła do płytkiej dziury i potknął się o kopczyk ziemi, Auvieux odwrócił się i szepnął:

– *Sangliers*.

Gaj oliwny był niewielki, niecałe sto drzew, i po dziesięciu minutach znaleźli się po jego drugiej stronie. Przeszli przez niewielkie pole i dotarli do porośniętego lasem wzgórza na północ od *château*. Auvieux poświecił w górę latarką i szepnął:

– *Cabanon* jest po drugiej stronie tego wzgórza. Przez las prowadzi ścieżka. Dziki będą teraz na polach, szukają jedzenia i wody. Nie będzie ich w lesie. Śpią tam w ciągu dnia.

– No to się pośpieszmy – rzucił Verlaque. Martwił się o Marine i ta troska zmieniła się w lęk, gdy zobaczył pobladałą twarz Auvieux i jego puste spojrzenie. – Zatrzymamy się, gdy tylko *cabanon* znajdzie się w zasięgu wzroku – dodał.

Flamant poświecił latarką pod górę i ruszyli szybkim krokiem. Ścieżka była uczęszczana i nie natknęli się na żadne zarośla i krzaki, które mogłyby utrudniać im marsz. Auvieux musiał regularnie wycinać zarastającą ścieżkę. Gdy byli prawie na szczycie, Verlaque znów się potknął. Zaklął i spróbował złapać równowagę. Zahaczył nogą o jakąś kłodę i choć nic mu się nie stało, narobił sporo hałasu w cichym lesie. Po jakichś pięciu minutach dotarli na sam szczyt wzgórza, a wtedy Auvieux przystanął i wskazał na *cabanon* pośrodku pola lawendy, jakieś dwieście metrów dalej. Ze starej kamiennej chatki padało bardzo słabe światło.

– Policjant pójdzie przodem – szepnął Verlaque. – Nie pójdziemy prosto przez pole, lecz jego skrajem po prawej, i podkradniemy się do *cabanon* od północy, bo tam nie ma okna. Ja pójdę za Flamantem, a pan, *Monsieur Auvieux*, niech tu zostanie na warcie.

– Ja też muszę iść – sprzeciwił się Auvieux.

– Nie jesteśmy nawet pewni, czy tam są – odparł Flamant. – Bardziej nam pan pomoże, jeśli zostanie pan tutaj i będzie nas pan krył, gdy będzie nas widać na polu lawendy.

Następnie Flamant szturchnął Verlaque'a, by ruszyli. Zostawili dozorcę ze śrutówką na skraju lasu.

Cosette Auvieux usłyszała hałas w lesie i wyjrzała z okna *cabanon* dokładnie w chwili, gdy mężczyźni wspięli się na szczyt wzgórza i wyszli na otwarty teren. Sędzia z jakimś innym facetem, pewnie gliniarzem. Musiała działać szybko. Walnie ją łopatą w głowę i będzie mogła powiedzieć, że wykładowczyni przewróciła się i uderzyła. Marine była bardzo osłabiona, więc byłoby to szybkie i proste. Chatka nie stała daleko od *château*, ale przejście tutaj dla Marine było nieskończenie bolesne. Wielokrotnie się potykała i przewracała o dziury wykopane przez dziki. Cosette pokonałaby tę odległość w niecałe dwadzieścia minut, ale z Marine trwało to ponad godzinę.

Schowała głowę, odwróciła się i spojrzała na Marine. Ta, z głową obolałą jeszcze bardziej niż rano po imprezie u Sylvie, zerknęła na Cosette i uświadomiła sobie, że coś ją musiało przestraszyć.

Cosette chwyciła łopatę i Marine spojrzała na nią, ale nie błagalnie, jak można by się tego spodziewać. W jej strachu było coś jeszcze. Złość. Marine otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale były koszmarnie zaschnięte i nie mogła wydobyć z siebie słowa. Dziwnie wygląda w tym świetle świecy, pomyślała Cosette. Nie zdziwiło jej, że znalazła w *cabanon* świecę – ona i François zawsze dbali, by było ich tam kilka. Nabijali je na szyjki butelek po winie, tak jak tę, która się teraz pali. Butelka nie była ich – należała do dawnego ogrodnika, który w *cabanon* zwykł przechowywać wino. Pożółkła etykieta przypominała Cosette o ostatniej nocy, którą spędziła tu z François. Zatrzymała się, spojrzała w dół na wykładowczynię i powiedziała:

– Nie rozumiem, dlaczego się uparłaś, żeby nosić ten cholerny różaniec.

Marine podniosła rękę do szyi i poczuła pod palcami drewniane paciorki. Chwyciła ten różaniec, gdy wychodziły ze strychu, a Cosette zauważyła to dopiero w sadzie oliwnym. Marine nie wiedziała, dlaczego to zrobiła: może przypominał jej o Étienne. A teraz miała zginąć tak jak on. Cosette podeszła do niej z łopata w ręce i uniosła ją na wysokość ramienia. Marine zamknęła oczy, próbując wtopić się w zimną ścianę. I w tym momencie ktoś zaczął dobijać się głośno do drzwi.

Ktoś krzyczał. Głos był niski i Marine wydawało się, że ten ktoś zwraca się do Cosette i każe jej otworzyć drzwi *cabanon*. Cosette odwróciła się w stronę drzwi, ale nie ruszyła się z miejsca. Wciąż trzymała w rękach łopatę i Marine zrozumiała, że to jej jedyna szansa. Cosette była rozkojarzona i na kilka chwil zapomniała o zakładnicze. Marine kopniakiem podcięła jej nogi i kobieta upadła. Podźwignęła się na kolana, szybko zdjęła różaniec i zarzuciła go Cosette wokół szyi. Ciągnęła z całej siły, zdumiona, że prawie jest w stanie utrzymać się na nogach, a jeszcze bardziej tym, że potrafi zrobić krzywdę innemu człowiekowi. Cosette Auvieux wrzasnęła, próbowała złapać powietrze, chwycić Marine za ręce i się uwolnić. Marine zamknęła oczy i pociągnęła mocniej, ale wiedziała, że nie wytrzyma już długo. Spróbowała krzyknąć, ale udało jej się tylko wymamrotać:

– Pomocy.

W tej chwili ktoś stłukł małe okno i zobaczyła kolbę broni roztrzaskującą szybę. Broń się obróciła i teraz Marine ujrzała wymierzoną w siebie lufę. Puściła. Cosette opadła na podłogę, z różańcem wciąż zaciśniętym wokół szyi. Marine osunęła się po kamiennej ścianie i zaczęła płakać.

– Marine, możesz otworzyć drzwi? – wrzasnął ktoś i zrozumiała, że broń musi należeć do kogoś, kogo znała. Zapewne jakiegoś policjanta. Podpełzła na czworakach i zwolniła haczyk. Do środka wpadł Verlaque i ktoś jeszcze.

– Pomóżcie jej, proszę – szepnęła ochryple Marine.

Flamant i Verlaque pochylili się nad Cosette Auvieux, która krztusząc się, podźwignęła się już na czworaki i zaczęła siarczyście przeklinać. Verlaque podszedł do Marine i wziął ją w ramiona.

Flamant wyjął z kurtki kajdanki i zatrasnął je na nadgarstkach *Madame Auvieux*.

– Wezwę karetkę – powiedział Verlaque. Sięgnął po komórkę i wybrał 18. Pokierował ich na parking dla turystów, który – jak się domyślał – był po drugiej stronie pola lawendy. Potem zadzwonił do komisariatu i poprosił o wsparcie, skierował ich na ten sam parking i opisał *cabanon*.

Gdy Jean-Claude zobaczył, jak policjant wybija szybę w oknie, rzucił się biegiem w stronę chatki. W pierwszej chwili pomyślał o stłuczonej szybie, którą teraz będzie musiał wymienić, ale potem przypomniał sobie, że w środku jest jego siostra z wykładowczynią. Wcześniej tego wieczoru, po rozmowie z sędzią, miał



kłopoty z zaśnięciem. Pytanie sędziego sprawiło, że zaczął się zastanawiać nad tamtym wieczorem w Cotignac i jak to się stało, że tak szybko zasnął. Przypomniawsobie, że Cosette przyniosła mu coś do picia – to była chińska herbata, a on lubił herbatki ziołowe tylko przed pójściem do łóżka. Upierała się jednak wtedy, żeby ją wypił.

Przystanął na progu *cabanon* i zobaczył, jak ten policjant zakłada kajdanki jego siostrze, a sędzia obejmuje Marine. Wyglądała, jakby spała. Miał nadzieję, że naprawdę śpi. Że nie przytrafiło jej się nic innego, jak Étienne'owi i François. Aż podskoczył, gdy siostra spojrzała na niego i syknęła:

– Powiedziałeś im!

Auvieux potrząsnął głową.

– Nie, nie. Nic im nie powiedziałem.

Verlaque, trzymający w ramionach Marine, oparł się plecami o ścianę i spytał:

– O czym miał nam powiedzieć?

– O dokumentach w walizce.

– Nie – skłamał Verlaque. – Sam do tego doszedłem, z pomocą pani profesor.

Marine otworzyła oczy i lekko się poruszyła. Zamrugła. Verlaque trzymał ją w ramionach i głaskał po włosach. Potem spojrzał w otwarte drzwi *cabanon* i zobaczył, że Jean-Claude Auvieux siedzi na ziemi, z kolanami podciągniętymi pod brodę i ze spuszczoną głową. Wpatrywał się w czerwoną ziemię. Dozorca nie wyglądał już na mężczyznę w średnim wieku, którym przecież był. Bardziej przypominał chłopca, tego samego, który chodził za *comte* de Bremont po sadach i ogrodach. Cosette otworzyła usta, ale Verlaque rzucił:

– Zamknij się.

Wszystkie informacje, których potrzebowali, zdobędą po powrocie do Aix. W tej chwili chciał tylko, żeby Jean-Claude'a zostawiono w spokoju.

## Rozdział

### dwudziesty siódmy

Xavier Régis oparł swoje nogi w tenisówkach o biurko w Souleiado Films, upił łyk cappuccino z automatu i zaczął oglądać surowy materiał do ostatniego filmu Étienne'a de Bremont. Xavier, stażysta, był podekscytowany, kręcąc z helikoptera ujęcia Marsylii z lotu ptaka razem z Étienne'em. Zielononiebieskie morze od południa i białe skaliste wzgórza od północy. Nad morzem, skałami i ponad milionem mieszkańców miasta czuwała barokowa bazylika na wzgórzu. Xavier był w niej kiedyś ze swoim kolegą Georges'em; lekko wstawieni wsiedli do pociągu dla turystów. Xavier nigdy dotąd nie latał helikopterem i zaskoczyło go, że Souleiado Films na coś takiego stać. Wspomniał o tym Étienne'owi, który – co teraz mu się przypomniało – zaśmiał się wtedy i odparł: „Ktoś był mi winien przysługę”.

Cały film sprzed cięć z początku wydawał mu się dziwnie cichy. Do tego fragmentu nie dodano jeszcze ścieżki dźwiękowej. Pięć minut później zaczęły się wywiady: kamera znajdowała się w dzielnicy Belle de Mai, na tych samych ulicach, którymi codziennie chodził Xavier. Rozmawiano z różnymi policjantami – niektórzy byli w mundurach, inni po cywilnemu – a następnie z przestępcami i drobnymi oszustami. Później lokalizacja się zmieniła: najpierw robotnicze dzielnice, potem komisariaty, a na koniec wille multimilionerów nad morzem. Po godzinie pojawił się Fabrizio Orsani. Xavier pochylił się do przodu, obejrzał całą scenę, zaklął pod nosem, po czym przewinął film i obejrzał to jeszcze raz. Orsani szedł przez przepiękny ogród i zrzucał winę za niedawne morderstwo na innego gangstera, swojego rywala. Pod każdym względem wyglądał i brzmiał jak przywódca mafii, przynajmniej w niedoświadczonych oczach Xaviera: zmarszczone czoło, grymas na twarzy, śmiertelnie poważny ton. Odezwał się znajomy głos zza kamery i Xavier podkręcił głośność. Étienne de Bremont wyszedł zza kamery i dołączył do Orsaniego. Wziął go pod ramię i poprowadził przez ogród, szepcząc mu coś do ucha. Xavier nie potrafił powiedzieć, czy Bremont zapomniał wyłączyć kamerę, czy też nie dbał o to. W każdym razie ewidentnie namawiał Orsaniego, żeby nakręcić drugie ujęcie. Orsani roześmiał się i powiedział: „Ach, rozumiem. Coś w tym stylu?”, po czym delikatnie wziął do ręki różę. Gdy Étienne wrócił za kamerę, Orsani zaczął czule opowiadać o drzewach oliwnych, o tym, że co roku dają wspaniałe owoce i że przypominają mu o Korsyce. Kamera powędrowała za Orsanim do elegancko urządzonego domu, pełnego gustownych, abstrakcyjnych obrazów i afrykańskich rzeźb. Obaj

mężczyźni stanęli przed jakimś wielkim obrazem i Étienne powiedział coś, czego Xavier nie dosłyszał, chociaż przewinął film i starał się to zrozumieć. Miał jednak pewność co do odpowiedzi Orsaniego: „Dzięki moim funduszom będziesz mógł nakręcić swój śliczny filmik”.

Xavier przyklęknął, gumką, którą zawsze nosił na nadgarstku, związał na karku dredy i szperał w pudle, dopóki nie znalazł taśmy opisanej „Po montażu, wersja 1”. Wyjął z odtwarzacza surowy materiał i wsunął nową taśmę. Nie trwało to długo – może jakąś godzinę – a potem zobaczył, że sceny z głosem Étienne’a w tle zostały usunięte. Orsani wyglądał i mówił jak emerytowany wiejski lekarz albo urzędnik służby cywilnej. Opowiadał o swoich darowiznach na rzecz muzeów, jakiegoś sierocińca w Rumunii i marsylskiego szpitala. Morderstwa, które łączono z Orsanim, szesnastoletnie prostytutki pracujące dla niego niedaleko opery w Marsylii, bomby w samochodach – wszystkie przestępstwa, o których opowiadali policjanci i świadkowie w surowej wersji, nie wydawały się już w tak oczywisty sposób powiązane z Orsanim. Xavier wstał, wrzucił plastikowy kubek do kosza na śmieci, wyjął telefon i wybrał numer do gabinetu szefa.

– *Monsieur* Madani – powiedział – myślę, że powinien pan zajrzeć na chwilę do sali projekcyjnej. Nie będzie pan musiał dużo oglądać.

Madani zjawił się niemal natychmiast – miał nadzieję, że ten film również zdobędzie nagrody – i Xavier pokazał mu pewne fragmenty materiału z wersji sprzed montażu. Madani spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Dlaczego Étienne przerabiał te ujęcia? Te pierwsze były świetne. Orsani wydawał się zupełnie nieświadomy tego, na jakiego wyszedł brutalą. I co z tym komentarzem Orsaniego o finansowaniu filmu? Czy film Étienne’a miał być finansowany z pieniędzy mafii?

Xavier wstał, wyjął pierwszą taśmę i wsunął do odtwarzacza wersję po montażu. Odwrócił się do szefa i z teatralnym gestem powiedział:

– Niech pan ogląda. Zdziwi się pan.

Madani przewrócił oczami, spojrzał w sufit i rzekł:

– Po prostu to puść, dobrze, Xavier?

W milczeniu obejrzelik film w ostatecznej wersji.

Po jakimś czasie Madani kazał Xavierowi zatrzymać taśmę i włączyć światła.

– Jestem w szoku. Przeczuwałem, że się znają, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że to się posunęło tak daleko. Trudno powiedzieć, jaki efekt chciał uzyskać Étienne tym filmem, bo zdążył zmontować tylko niewielką część. Ale że wołał te drugie, ustawiane ujęcia od pierwszych...? Co on wyrabiał?

Xavier kiwnął głową.

– Nie wiedziałeś, szefie?

– Nie – odpowiedział Madani. – Nie miałem o tym pojęcia. Étienne upierał się, by większość kręcić samemu, pamiętasz? A jeśli potrzebował dźwiękowca, brał

różnych dorabiających u nas studentów, ale nigdy dwa razy tego samego. Wtedy wydawało mi się, że to dziwne.

Madani wpatrywał się w pusty, biały ekran.

– Tak, pamiętam – powiedział Xavier. – Myślałem, że jest na mnie zły. Tylko kilka razy poprosił mnie, żebym z nim kręcił, a wtedy chodziło wyłącznie o malownicze widoki.

Madani tego nie skomentował. Podparł ręką podbródek. Spojrzał na Xaviera i stwierdził:

– Lepiej zadzwonię do Aix. Nikomu o tym nie mów. Schowaj te materiały do szuflady. – Xavier wstał i Olivier Madani przyjrzał się swojemu młodemu stażyście, chłopakowi, którego polubił i który w życiu napotykał wciąż na przeszkody: gdy miał dziesięć lat, stracił rodziców, wychowała go ciotka, która już miała sześcioro dzieci, czarny, z dreadami, a teraz marzył o tym, by zostać filmowcem. – No chodź, dzieciaku. Zobaczmy, jakie dziś mają *plat du jour* u Lulu. Ja stawiam.

– Tak, proszę pana! – Xavier uśmiechnął się i zasalutował Madanemu. Spojrzał na swojego szefa, człowieka, którego polubił i którego w życiu spotykały same błogosławieństwa: piękna żona, bogaci rodzice, którzy oboje wciąż żyli, a w dodatku był biały i odniósł sukces jako filmowiec. Tylko ta fryzura!

Zatrzymali się przy schodach i Xavier – jak zawsze – wyjrzał przez okno. Gdy pierwszy raz przyszedł do wytwórni filmowej Madaniego, spodziewał się, że za oknem zobaczy inny budynek, jakieś fabryki albo tanie apartamentowce. To, co zobaczył, oszołomiło go i teraz wyglądał przez to okno za każdym razem, gdy tędy przechodził. Madani przyglądał mu się z uśmiechem.

– To największy sekret tej okolicy. Są tu od wieków. Marsylia zawsze ci to robi, akurat kiedy się tego nie spodziewasz. Kiedy na ulicach jest okropny ruch i wydają ci się zbyt brudne i hałaśliwe. Wtedy spada na ciebie tam bomba i przypomina ci, dlaczego tu jesteś i dlaczego to miasto jest takie magiczne.

Xavier jeszcze bardziej zbliżył się do okna, chciał się przyjrzeć szczegółom. Pomyślał o Étienne i materiale filmowym, który dopiero co oglądał.

– Nigdy nie wiadomo, prawda? – powiedział jakby do siebie.

– Nigdy nie wiadomo. Życie jest pełne niespodzianek – odparł Madani, myśląc o gwałtownej śmierci Étienne’a de Bremont. On również podszedł bliżej i obaj w milczeniu obserwowali ubrane na czarno zakonnice przy Basilique du Sacré-Coeur, jak zbierały owoce w otoczonym murami sadzie.

Popołudniowe słońce wpadło do pokoju od zachodu i Verlaque podszedł do okna i opuścił rolety. Jednak słońce obudziło już Marine. Po zabraniu na izbę przyjęć, założeniu opatrunków i zwolnieniu, Flamant i Verlaque tuż przed świtem zawieźli ją z powrotem do centrum. Verlaque nie chciał, by została w szpitalu w Aix, który miał kiepską opinię. Wolał już zapłacić za pielęgniarkę. Gdy Flamant

sobie poszedł, Verlaque ostrożnie rozebrał Marine i założył jej pasiastą piżamę od Hermès, którą kupiła mu matka. Dawała mu taką w prezencie na każde święta. Miał ich pełną szufladę i jeszcze trochę; te, których nigdy nie nosił, leżały w pudle. Zastanawiał się, czy nie wystawić ich na aukcję podczas następnej policyjnej imprezy charytatywnej.

Marine odwróciła głowę w jego stronę i zorientowała się, że nie jest u siebie.

– Jak długo spałam? – spytała.

– Całe pieprzone dwanaście godzin – ryknęła Sylvie, która wchodziła właśnie do pokoju, niosąc kawę dla Antoine’a.

Marine uśmiechnęła się, ale wiedziała, że nie wolno jej wybuchnąć śmiechem, bo to by za bardzo bolało.

– Spokojnie – powiedział Antoine. – Nie tylko paskudnie oberwałaś w głowę, ale jesteś strasznie posiniaczona z prawej strony. Przewróciłaś się?

– Tak. – Marine próbowała się unieść do pozycji siedzącej. – Ciągle się przewracałam w gaju oliwnym i chyba pośliznęłam się na schodach w *château*.

– Dlaczego nie próbowałaś uciec, kiedy szłyście do *cabanon*? – spytała Sylvie.

– Cosette miała nóż – odparł Verlaque.

Marine spojrzała na nią i powiedziała:

– Kiedy wyszłyśmy z *château*, zobaczyłam, że samochodu Jean-Claude’a ciągle nie ma, więc pomyślałam, że kiedy dotrzemy do *cabanon*, przynajmniej spróbuję krzyknąć. W pobliżu jest tamten parking, gdzie czasem przesiadują nastolatki.

– No cóż, kiedy ty spałaś, ja starałam się zabawić moim towarzystwem sędziego – Sylvie podała Verlaque’owi kawę.

Verlaque przyjął ją i uśmiechnął się, doceniając próbę Sylvie, by rozbawić przyjaciółkę.

– Cosette Auvieux się przyznała, że pchnęła Étienne’a de Bremont – powiedział, sądząc, że Marine chciałaby być na bieżąco. – Teraz jest z nią komisarz Paulik. Kategorycznie zaprzecza, jakoby zabiła François de Bremont, zresztą, to i tak niemożliwe. Nie miałyby tyle sił, żeby udusić sportowca, a całe miasteczko Cotignac daje jej alibi.

– Polo? – spytała słabym głosem Marine. – Kasyno?

– Nie, wszyscy gracze polo mają alibi z wyjątkiem jednego. Ale on jest w klubie nowy, ledwie poznał François i nie miał motywu. Ci z kasyna w Cannes też są czyści. Było tak wcześniej rano, że albo byli w domach i szykowali się do pracy, albo wciąż byli w pracy i szykowali się, by wyjść do domów.

Marine poprosiła o poduszkę i Antoine wsunął jedną pod jej głowę. Oblizła usta i poprosiła o wodę. Wypiła więcej, niż sądziła, że jest zdolna.

– Mogłabym dostać espresso? – spytała.

– Nie, ale może chcesz więcej wody? – spytał Verlaque.

Marine spojrzała na stół przy łóżku i dostrzegła wazon pełen żółtych żonkili i bombonierkę miejscowych czekoladek. Uśmiechnęła się i powiedziała:

– Dziękuję, Antoine.

Verlaque roześmiał się zakłopotany.

– Nie są ode mnie. To od Yves’a Roussela. Sam je kupił.

– Jakie to słodkie.

– Taaa, słodkie – mruknął Verlaque. Poruszył się w fotelu i utkwiał spojrzenie w Marine.

– Jest coś jeszcze, prawda? – spytała.

– Tak, dzwoniła do mnie Maria Pogorovski. Masz siły na kolejne wieści?

– Tak, mów dalej.

– *Madame* Pogorovski nagrała mi wiadomość na komórkę, więc gdy już położyłem cię do łóżka, oddzwoniłem do niej. Dowiedziałem się, że dziś wczesnie rano przyjechała do Aix. – Obolałe plecy uświadomiły Verlaque’owi, jak bardzo chciałby się położyć pod puchową kołdrą, z tomikiem Larkina w ręce. Ziewnął i ciągnął: – Spotkaliśmy się w biurze.

– W Le Mazarin.

Sędzia się uśmiechnął.

– Nie, w moim biurze, nie w twoim. Powiedziała mi, że ma już dość bezsennych nocy i że nie potrafi odsunąć od siebie obrazu Natassji Duvanow. Modelki faktycznie były wykorzystywane jako luksusowe prostytutki, tak jak podejrzewaliśmy. Ale Natassja Duvanow była nagrodą. Sto tysięcy euro za noc, zarezerwowana dla przyjaciół Pogorovskiego, kiedy przyjeżdżali do Nowego Jorku. Natassji i innym dziewczynom powiedziano, że dotrzymanie towarzystwa to tymczasowy układ, coś w rodzaju zapłaty za ich wizy, które załatwiał Lever Pogorovski. Ale oczywiście to było kłamstwo. *Madame* Pogorovski twierdzi, że podejrzewała, iż dziewczyny wykorzystywano seksualnie, ale nie chciały o tym z nią rozmawiać. Kiedy Natassja Duvanow popełniła samobójstwo, *Madame* Pogorovski nie mogła tego dłużej znieść. Spotkała się z François, który potwierdził jej podejrzenia. François wiedział o prostytucji, ale z początku przymykał na to oko, bo zdarzało się to rzadko. Tyle tylko, że interes zaczął kwitnąć i gdy François się dowiedział, że Natassja miała być trofeum, polecił do Nowego Jorku i próbował jej pomóc.

Marine oblizła usta i spytała:

– To dlatego go zabili? To było w styczniu.

– Nie, miał zostać wysłany do Hiszpanii, ale potem próbował pomóc innej modelce wrócić do Rosji i został nakryty. *Madame* Pogorovski była przy tym, jak François i Lever się kłócili. François oszalał i zagroził, że pójdzie z tym na policję. Domyśliła się, że jej modelki są coraz częściej zmuszane do prostytucji, i od razu

zwróciła się do swojego prawnika. Przygotowywali wspólnie jej akta, gdy dowiedziała się, że Tatiana, ta modelka, z którą rozmawiałaś, została brutalnie pobita.

– Co takiego? – spytały równocześnie obie kobiety.

– Ktoś ją obserwował, jak rozmawiała z tobą na promenadzie.

Marine natychmiast pomyślała o mężczyźnie, który zerwał się z ławki i pobiegł w tę samą stronę, co Tatiana. Zamknęła oczy i jęknęła.

– A co z dzieckiem?

– Obawiam się, że je straciła. – Przez chwilę wszyscy troje milczeli. – Maria Pogorovski od lat chciała się uwolnić od tego małżeństwa i dopiero teraz będzie mogła to zrobić.

– Dlaczego teraz? – zapytała Sylvie.

– Pogorovski coś miał na jej brata, rosyjskiego polityka. Jakieś przekręty związane z nieruchomościami sprzed wielu lat. Pogorovski miał na to dowody. Niestety w zeszły weekend brat Marii i jego żona zginęli w wypadku samochodowym, więc teraz *Madame* Pogorovski jest wolna.

– Ale tego Rosjanina nie da się za to pociągnąć do odpowiedzialności, prawda? – zapytała Sylvie.

Verlaque potrząsnął głową.

– Ten, kto zabił François, dobrze zatarł ślady. I wątpię, czy kiedykolwiek uda nam się powiązać to z Pogorovskim. Ale Maria Pogorovski jest gotowa zeznawać przeciwko mężowi w sprawie zorganizowanej prostytucji.

Marine spojrzała na Verlaque'a.

– W nocy Cosette napomknęła, że François i Jean-Claude mieli jakiś projekt. Sędzia kiwnął głową.

– François chciał wyremontować *château* w Saint-Antonin, zrobić z niego luksusowy hotel, a Jean-Claude'a uczynić swoim partnerem. Zarządzałyby budynkami i całym terenem. Miało tam być kilka wielkich, luksusowych apartamentów i ekologiczny ogród, który dostarczałyby owoców i warzyw dla restauracji, która, jak liczyli, dostałaby gwiazdkę od Michelin. François potrzebował trzeciego wspólnika do tego interesu, bo brakowało mu gotówki, zwrócił się więc do Pogorovskich. Maria Pogorovski była przy tym spotkaniu i twierdzi, że jej mąż kategorycznie odmówił robienia interesów z kimś, kto jest beznadziejnie uzależniony od hazardu. To wtedy François nie wytrzymał i zagroził, że ujawni interesy Pogorovskiego związane z prostytucją. Nazwał go alfonssem. To było szalone z jego strony, ale potwierdziło podejrzenia Marii, że dziewczyny są wykorzystywane.

– *Il était perdu* – mruknęła Sylvie.

– Tak, był już stracony. Uzależnienie od hazardu w połączeniu z dzikim temperamentem i próbą ratowania modelek przypieczętowały jego los. Pogorovski

wyrzucił go za drzwi, kazał go odprowadzić do wyjścia i wsadzić do samochodu. Wtedy Maria Pogorovski widziała François po raz ostatni. Kilka dni później został zamordowany. Lever Pogorovski rzucił na podłogę portfolio z projektem hotelu opracowane przez François, a Maria je podniosła i schowała do torebki. W ciągu kolejnych kilku dni je przejrzała. Powiedziała, że François wykonał niesamowitą pracę i że dostrzegła w jego pomysły ogromny potencjał.

Verlaque zauważył, że Marine słabnie. Wyglądała na zamyśloną.

– Mimo wszystko są w tym i dobre wieści – oznajmił.

– Myślę, że bardzo by nam się jakieś przydały – powiedziała Sylvie.

Verlaque podał Marine trochę wody.

– Maria Pogorovski mówiła, że po śmierci François nie mogła zapomnieć o tamtym hotelu. To był jeden z powodów, z jakich rano przyjechała do Aix. Jutro Jean-Claude ma ją oprowadzić po *château*. Jeśli spodoba jej się to, co zobaczy, a myślę, że tak będzie, bo Jean-Claude mimo braku pieniędzy zachował to miejsce w świetnym stanie, to Maria Pogorovski w nie zainwestuje. Najwyraźniej ona też jest bogata, nawet bez męża. Zamierza również przyjąć dzieci swojego zmarłego brata, które mają po dwadzieścia kilka lat. Niesamowite jest to, że jej bratanica skończyła hotelarstwo i włada pięcioma językami, a bratanek jest ponoć strasznie potężnym facetem i zgadnijcie, jaką ma pasję!

Marine zamknęła oczy i szepnęła:

– Ogród.

Do oczu Sylvie napłynęły łzy.

– Zgadza się. Niesamowite, prawda? – Verlaque usiłował zignorować emocje kobiet i mówił dalej: – Kiedy widziałem Marię Pogorovski, była wyczerpana, ale równocześnie zachwycona. Chciała sprzedać agencję i osiąść gdzieś na wsi, to znaczy w Saint-Antonin, by pomagać w prowadzeniu hotelu. Będzie mogła spędzać czas z bratankiem i bratanicą. Są jedyną rodziną, jaka jej została. Kiedy sprawa już trochę przycichnie, zamierza zabrać tych dwoje do Nowego Jorku, do luksusowych hoteli i restauracji. I chce się spotkać z jakimś Amerykaninem, który pisze książkę o Natassji Duvanow.

Verlaque zauważył, że Marine go nie słucha. Zmarszczyła brwi i spytała:

– Czy Maria przyjechała do Aix też po to, żeby się z tobą dogadać?

– Dobra robota – odparł Verlaque. Zerknął na Sylvie, na której ustach pojawił się uśmiech jak u dumnej matki. – Przekazała nam informacje o mężu w zamian za policyjną ochronę i zwolnienie od odpowiedzialności karnej. W tej chwili są z nią Paulik i Roussel.

– Tak mi przykro, François – szepnęła Marine, osuwając się na poduszkę.

– Tak – powiedział Verlaque. – Wygląda na to, że myliliśmy się co do braci. Jeden dostał wszystko, co dobre, drugi wszystko, co złe. Obaj mieli dziki temperament, bez dwóch zdań, ale François był honorowy.



– Pogrzeb François? – spytała Marine ledwie słyszalnym szeptem.

– Lekarz powiedział, że będziesz mogła na niego pójść. Ma się odbyć w poniedziałek. W kościele w Le Tholonet, bo w Saint-Antonin nie ma kościoła. Ma się na nim pojawić większość graczy polo, a Maria Pogorovski zorganizowała wyjazd dla modelek i znajomych François z Lazurowego Wybrzeża. W małym kościółku będzie straszny tłok.

Marine kiwnęła głową i się uśmiechnęła.

– To dobrze – powiedziała i zamknęła oczy.

Verlaque okrył ją dokładniej, pocałował w czoło i dał znak Sylvie, by razem z nim wyszła z pokoju. Kiedy byli przy drzwiach, Marine mruknęła:

– Mimo wszystko był honorowym człowiekiem.

– Tak – potwierdził Verlaque. – Pełnym wad, ale honorowym.

## Rozdział

### dwudziesty ósmy

Dwudziesty trzeci kwietnia zaczął się bardzo obiecująco – błękitne niebo i zupełnie bezwietrzna pogoda. O wpół do dziewiątej rano było na tyle ciepło, by Verlaque mógł otworzyć okna w salonie. Małe *martinets* ze spiczastymi skrzydełkami krążyły po niebie wokół ośmiokątnej wieży katedry. Spróbował przypomnieć sobie, jak się nazywają po angielsku. Chyba *swifts*, jerzyki. Rozległ się sygnał domofonu i sędzia wpuścił gościa ze słowami:

– Ostatnie piętro.

Miał kilka minut, nim gość pokona pięć pięter, i wykorzystał ten czas, by zajrzeć do Marine. Wciąż spała i najwyraźniej przez całą noc nie zmieniała pozycji; dalej miała ręce na głowie. Zawsze tak sypiała. Verlaque pościelił sobie sofę w salonie i natychmiast zasnął, ale po telefonie od Oliviera Madaniego spało mu się już gorzej.

Paulik wszedł do mieszkania i uściśnął dłoń Verlaque'a. Sędzia zamknął drzwi sypialni i komisarz podał mu torbę.

– Przynoszę informacje i brioski – powiedział.

– Świetnie, dziękuję. I dzięki, że przyjechałeś w sobotę. – Verlaque zajrzał do torby. – Gdzie je kupiłeś?

– Michaud nie za bardzo było po drodze. Są z *boulangerie* za rogiem – odparł Paulik. – A tak w ogóle, w końcu odezwał się Pellegrino.

– Ach! No to zrobię nam kawy, a ty mi opowiesz, co nasz gracz polo miał nam do opowiedzenia. – Verlaque odwrócił się do lśniącego czerwonego ekspresu marki Gaggia i uśmiechnął się pod nosem, zadowolony, że komisarz czuje się swobodnie u niego w mieszkaniu. Paulik z rękoma w kieszeniach przechadzał się po salonie i jadalni i nucił coś pod nosem. Od czasu do czasu przystawał, by przeczytać tytuł jakiejś książki albo wziąć coś do ręki. Podszedł, by z bliska zobaczyć mały olejny obraz przedstawiający Wenecję, który wisiał nad stołem w jadalni: miasto i Canal Grande skąpane były w złocistym i fioletoworóżowym świetle. Pochylił się, by przyjrzeć się dokładniej, a potem odwrócił do Verlaque'a i spytał:

– Zaraz, zaraz, czy to przypadkiem nie... – Umilkł, nie mogąc sobie przypomnieć nazwiska weneckiego malarza.

Verlaque się roześmiał.

– Nie, to nie Canaletto. Ale namalował to jego uczeń. To był ulubiony obraz mojej babci.

Paulik gwizdnął pod nosem, jeszcze raz przyjrzał się obrazowi, a potem odwrócił się do sędziego i powiedział:

– Pellegrina nie było rano na kursie komputerowym.

Verlaque podał komisarzowi kawę.

– Tego się obawiałem – odparł. – Gdzie był?

– Sprawdzał konie.

– Co?

– Tak, jeździł konno, by ocenić, czy zwierzę nadaje się do zawodowych meczy polo. Twierdzi, że robi to od czasu do czasu i dostaje za to tysiąc euro w gotówce. Właściciel konia miał czas tylko w środę rano, a ponieważ Pellegrino nie pełnił tego dnia służby, pojeździł na koniu, a potem, po lunchu, wśliznął się na kurs komputerowy.

– Alibi?

– Tak. Zadzwońłem do właściciela konia i do stajennego z klubu polo. Był tam.

– Całe szczęście. Ulżyło mi – stwierdził Verlaque. – Przydał się na coś jeszcze? Bo ostatnio zapomniał nam powiedzieć o paru rzeczach.

– Ha! Tak. Zdradził, z kim grała drużyna z Cannes tego popołudnia, kiedy François de Bremont próbował ustawić mecz. Grali z Monaco, głównym rywalem klubu z Cannes. Nieoficjalnie jest w rękach właściciela kasyna Monte Carlo, który nienawidzi Pogorovskiego.

– Dlaczego Pellegrino nam o tym nie powiedział, kiedy byliśmy w klubie polo?

– Twierdzi, że nie skojarzył faktu, że mieli grać z Monaco. Dopiero w ciągu kilku ostatnich dni w klubie polo i w Cannes rozeszły się plotki, że François w zamian za ustawienie meczu i przegraną drużyny z Cannes mieli anulować znaczną część długu w kasynie. – Paulik przerwał, by upić łyk kawy, po czym zapytał Verlaque'a: – Co zrobimy z Pellegrinem? Kłamał i dorabiał na boku.

Verlaque milczał, wpatrując się w komisarza zza okularów do czytania.

– A ty co mu powiedziałaś?

– Zdrowo go opieprzyłem.

Verlaque się zaśmiał. Czuł taką ulgę, że Marine jest bezpieczna, że trudno mu się było przejmować Erikiem Pellegrino.

– Świetnie. Może uda nam się wymyślić jakąś kreatywną karę. Mógłby uczyć dzieci z domu dziecka grać w polo albo przyjechać do Aix i posprzątać policyjną stajnię.

Zadzwońla komórka Paulika i Verlaque skorzystał z okazji, by zajrzeć do Marine. Wciąż spała w tej samej pozycji, z białą pościelą podciągniętą pod brodę i kasztanowymi włosami rozrzuconymi na poduszce. Zamknął sypialnię i wrócił do salonu, gdzie Paulik właśnie zakończył rozmowę.

– Dzwonił *Monsieur le Procureur*. Mówił, że wczoraj przesłuchiowano modelki i że dziś będą kontynuować przesłuchania. Te dziewczyny dostarczają nam więcej informacji o François de Bremont niż ktokolwiek inny. Roussel mówi, że dotrzymanie towarzystwa i sypianie z klientami rozkręcało się powoli i z początku odbywało się dyskretnie.

– François się na to wszystko zgadzał?

– Modelki twierdzą, że nie był tym zachwycony, ale też nie protestował. Potrzebował pieniędzy, a Pogorovski był zadowolony, że pracuje dla niego hrabia. To mu dodawało prestiżu i pozorów legalności. Ale gdy seks stał się obowiązkowy, a jedna z dziewczyn została poturbowana przez rosyjskiego klienta, François dostał szału. Najwyraźniej ktoś ze służby powiedział Inès, że podsłuchał ostatnią kłótnię François i Levera Pogorovskiego, podczas której François groził, że pójdzie na policję i wszystko wyda.

– *Bon*. To by się zgadzało z wersją Marii Pogorovski. Słuchaj, miałbyś coś przeciwko temu, żeby tu posiedzieć przez pół godziny, póki się nie zjawi przyjaciółka Marine, Sylvie? Muszę jeszcze komuś złożyć wizytę.

– W porządku. Zabiorę się do papierkowej roboty – odparł Paulik.

Verlaque otworzył torbę i poczęstował komisarza brioszką.

Obaj w milczeniu zjedli po kęsie. Paulik przez chwilę przeżuwał, odgryzł kolejny kęs i zmarszczył brwi.

– Przepraszam, panie sędzio.

– Co się stało?

– Powinienem być pójść do Michaud.

Verlaque się uśmiechnął.

– Tak, te są dość kiepskie.

Po tym jak zabrali Cosette, Jean-Claude Auvieux nie był w stanie zasnąć. Raz za razem przywoływał w pamięci wydarzenia ostatniego wieczoru: bieg przez gaj oliwny i przez las, zakrwawione włosy wykładowczyni, skute ręce siostry.

Nie, nie widział zielonego twingo zaparkowanego pod sosnami, bo gęsty cyprys zasłaniał je przed oczami tych, którzy nadjeżdżali od wschodniej strony. To chyba nie była jego wina? Przypomniawszy sobie, że otworzył bramę kluczem, a potem jej nie zamknął, bo był zbyt zmęczony, by wysiadać z samochodu. Poza tym rzadko zamykał bramę, gdy przebywał na terenie posiadłości. Zaparkował samochód przed swoim domkiem i jak co wieczór spojrzął na *bastide*, ale było ciemno i cicho. To dlatego nie wiedział, że Marine jest na strychu z Cosette. A może wtedy były już w *cabanon*? Nie chciał, żeby sędzia był na niego zły, tak jak często bywał Étienne.

Kontynuował spacer po gaju oliwnym, doglądając drzew. Wiatr się nasilił i nagle stał się przenikliwie zimny – dziwne, bo rano było tak przyjemnie. Auvieux wyszedł z sadu i ruszył do swojej chatki. Zapalił światła i wstawił czajnik, by

zrobić sobie herbatkę ziołową. To by mu dobrze zrobiło; wypije ją, przeglądając tę śliczną książkę o ogrodnictwie, którą *Monsieur* François podarował mu na gwiazdkę. Zamknął oczy i pomyślał o François de Bremont. Tak łatwo się z nim rozmawiało, zupełnie jak ze starym hrabią Philippe'em.

– *Mon père* – powiedział na głos i się uśmiechnął.

Rozległ się klakson samochodu i dozorca aż podskoczył. Szybko ruszył do drzwi, obszedł chatkę i znalazł się na wysypanym kamykami podejździe. Zobaczył sędziego wysiadającego ze staromodnego samochodu. Auvieux uśmiechnął się nerwowo i wyciągnął rękę na powitanie.

– Dzień dobry, *Monsieur le Juge*. Jak się dziś czuje profesor Bonnet?

– W porządku, Jean-Claude, dziękuję. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś tyle spał.

Dozorca nie ruszał się z miejsca. Nie był pewny, po co przyjechał sędzia. Verlaque przerwał milczenie.

– Od ostatniej niedzieli coś nie daje mi spokoju. Miałem wrażenie, jakbyś nie był do końca szczery, jakbyś coś pomijał. Teraz już wiem, że widziałeś zawartość walizki, ale tamtego wieczoru przy kolacji czułem, że chodzi o coś jeszcze prócz twojej metryki urodzenia. Zgadza się? Konkretnie wyraziłeś to słowami: „Niczego stąd nie zabrałem”. Czy w walizce były pieniądze?

Auvieux przełknął i odparł:

– Pieniądze? Nie. Ale były tam inne papiery i je zabrałem. Były stare... i nie mogłem ich odczytać. Chciałem je tylko przejrzeć u siebie w kuchni, przy lepszym świetle.

– Aha. Wejdziemy do środka i o tym porozmawiamy?

– W porządku – powiedział Auvieux. Gdy szli do domku, rzucił przez ramię:

– Zamierzałem je odłożyć na miejsce! Naprawdę!

Weszli do kuchni. Auvieux wysunął krzesło dla Verlaque'a.

– Pójdę po nie. Byłem z nimi bardzo ostrożny. Zobacz pan! Są strasznie kruche.

Po chwili Auvieux wrócił i podał Verlaque'owi białe bawełniane rękawiczki.

– Widziałem, że noszą takie na filmach – wyjaśnił. – Kupiłem je w mieście.

Verlaque kiwnął głową i je założył. Auvieux otworzył małą teczkę i podsunął ją Verlaque'owi. Ten nasunął na nos okulary do czytania, otworzył ją i przyjrzał się pierwszej stronie, nie dotykając jej.

– To jakiś list – stwierdził.

– Tak, panie sędzio. Niech pan spojrzy na datę.

Verlaque pochylił się i dojrzał ją: 1776.

– *Ma chère Sophie* – odczytał na głos, a potem resztę pierwszego akapitu już po cichu. Szybko, lecz delikatnie odwrócił stronę, by zobaczyć zakończenie listu i imię autora. – Mirabeau! – zawołał Verlaque, gwizdnął i spojrzął na Auvieux.

Dozorca się uśmiechał. – To jeden z listów miłosnych Mirabeau do Marie Thérèse de Monnier! Nazywał ją Sophie! Tylko słyszałem o tych listach. Czy to erotyk?

Dozorca się zarumienił.

– *Oui, Monsieur.*

– Jean-Claude, miejsce tego listu jest w muzeum.

– W Luwrze?

– Może nie w Luwrze – uśmiechnął się Verlaque. – Wydaje mi się, że wszystko, co ma związek z Mirabeau, jest przechowywane w Musée Carnavalet w Paryżu. Powinieneś im to zawieźć.

– Zamierzałem odłożyć to z powrotem do walizki, ale potem poszliśmy razem na strych i odkryliśmy, że jest pusta. Nie wiedziałem, co robić. Byłem bardzo ostrożny z tymi kartkami.

– Jestem tego pewny. Mirabeau... Wow! Wielki mąż stanu, dyplomata i kochanek.

– O tak! Ale zabawne, że nazwali naszą słynną ulicę w Aix imieniem zdrajcy! – powiedział Auvieux, a potem szybko dodał. – W szkole byłem dobry z historii, więc pamiętam, co o nim mówił nasz nauczyciel! Zdrajca rewolucji!

– Taka była opinia twojego nauczyciela, ale nie moja. Po rewolucji Mirabeau chciał monarchii konstytucyjnej, takiej jak w Anglii. – Verlaque dostrzegł konsternację na twarzy dozorca. – Mają króla albo królową i parlament. Szkoda, że go nie posłuchali. Zawsze uważałem, że to dobry ustrój. Jeśli ten list to jeden z cyklu listów miłosnych do Sophie, to jest bardzo cenny.

Auvieux przestąpił z nogi na nogę i spuścił głowę.

– Muszę to oddać, prawda?

– To zależy od ciebie. Ale możesz być z tego dumny. Może nawet muzeum umieści przy tym liście tabliczkę z napisem w stylu „Hojny dar Jean-Claude’a Auvieux”.

– W takim razie w porządku! Chętnie bym coś takiego zobaczył.

– Zastanów się nad tym. Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu. Jeśli chcesz, mógłbym nawet pojechać z tobą do Paryża. A teraz dam ci już spokój. – Verlaque wstał, położył dłoń na ramieniu dozorca i się uśmiechnął. – Nie martw się, Jean-Claude. Odpocznij trochę.

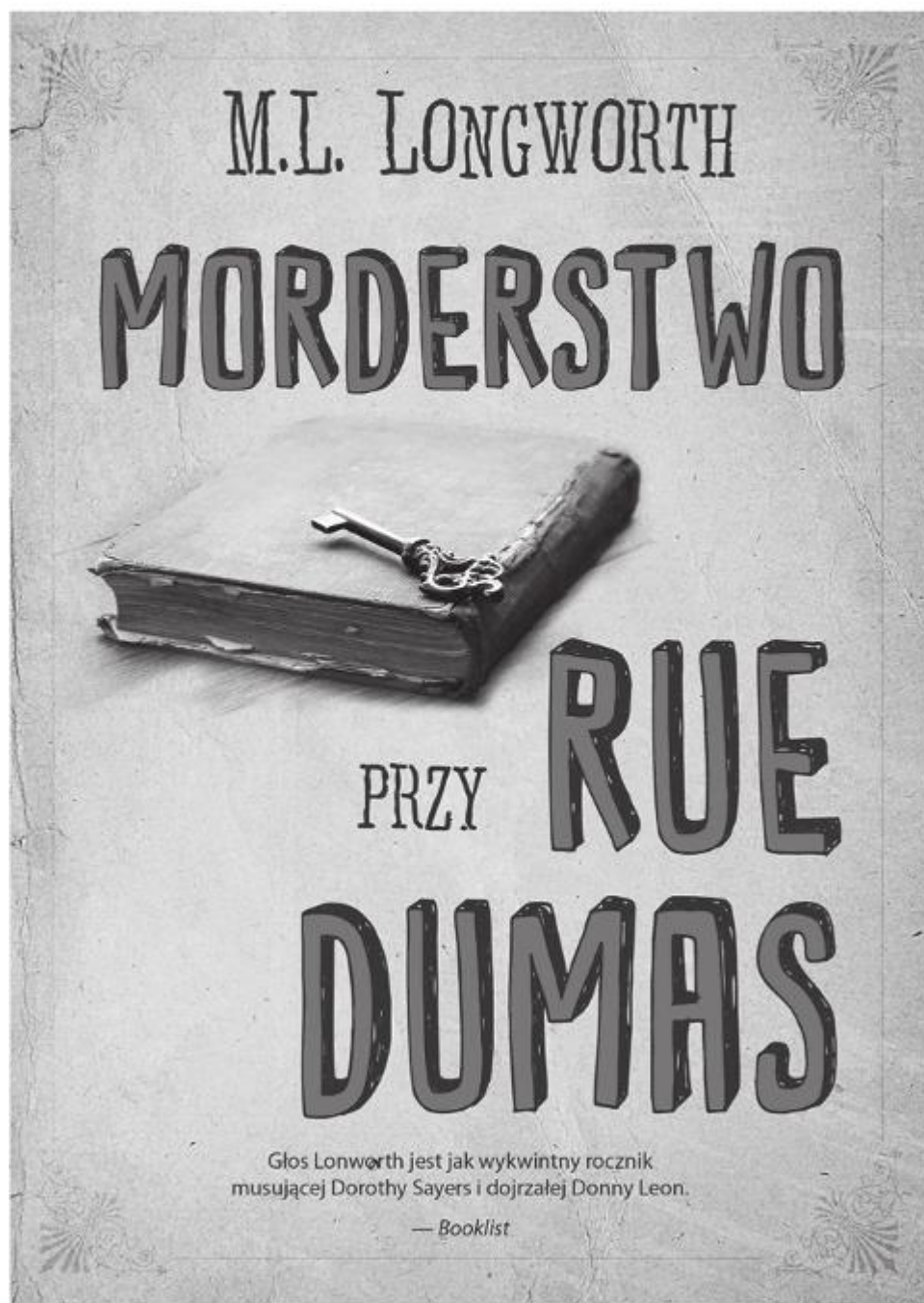
Verlaque wyszedł i jeszcze raz spojrzął w górę: najczystsza biel na tle błękitnego nieba, wyglądało to niemal dwuwymiarowo. W domku Auvieux, nucąc pod nosem, wyjął torebkę herbaty z ceramicznego dzbanka. Zdał sobie sprawę, że od miesiący nie był na grobie hrabiego ani swojej matki. Po południu pójdzie na mały cmentarz w Saint-Antonin, który mieścił się u podnóża góry, i posprząta na grobach.



**Już wkrótce**

**kolejny tom serii**

Verlaque i Bonnet  na tropie





## Chcąc zrobić wrażenie

Przyjaźń pomiędzy Yannem Falquerho a Thierryem Marchive'em dziwiła wszystkich na uniwersytecie. Nie tylko rywalizowali oni o to samo stypendium doktoranckie, ale też różnili się od siebie pod każdym względem zarówno towarzysko, jak i fizycznie. Yann, wysoki blondyn, był synem producenta telewizyjnego z Paryża i projektantki wnętrz, którzy nie tak dawno się rozwiedli. Thierry – niski, krępy, ciemnowłosy – miał mniej wyrafinowane pochodzenie. Jego ojciec pracował jako nauczyciel w marsyjskim liceum, a matka była nie dość dobrze wynagradzaną dietetyczką w Hôpital du Nord. Wciąż pozostawali przy tym w związku małżeńskim.

Dwaj studenci szli teraz szybko, głośno rozmawiając. Prawie nie przerywali rozmowy, bo jako najmłodsze dzieci z trójki rodzeństwa dobrze znali sposoby, by zawsze zwrócić na siebie uwagę.

– Pośpiesz się – rzucił przez ramię Yann. – Zanim tam dotrzemy, wszystko zniknie z bufetu.

– Nic na to nie poradzę, nie mam twoich żyrafich nóg – odparł Thierry, podskakując, by dotrzymać kroku koledze. – Wyszlibyśmy na czas, gdybyś nie odebrał telefonu i nie wdał się w długą pogawędkę z tą... Jak-jej-tam.

– Suzanne – powiedział Yann powoli. – Suzanne, otrzymała imię z piosenki.

– A no tak... twoja ukochana z dzieciństwa... Jej ojciec to lekarz miejski w Carnac, gdzie twoja burżujska rodzina spędzała idylliczne wakacje. – Thierry zatrzymał się. Udawał, że gra na gitarze i całkiem udatnie naśladował Leonarda Cohena.

– „And she feeds you tea and Orange/ that come all the way from China...” – śpiewał tak zapamiętale, że aż ześlizgnął się z wąskiego chodnika na ulicę.

– Zamknij się, imbecylo – roześmiał się Yann. – Rzeczywiście, idylliczne wakacje. Tak idylliczne, że w końcu moi rodzice się rozwiedli. To może przez te sierpniowe deszcze... Skazały ich na swoje towarzystwo w naszym idealnie zaprojektowanym domu na plaży.

To między innymi Yann lubił w Thierryem: fakt, że przyjaciel nie zauważyłby doskonale zaprojektowanego wnętrza i nie zainteresował się nim, nawet gdyby było naprawdę piękne. Yann ruszył do przodu, marszcząc brwi. Myślał o matce i ojcu, i o ich obecnych partnerach, którzy w najmniejszym stopniu go nie obchodzili.

Dwaj młodzi mężczyźni dotarli do misternie rzeźbionych drewnianych drzwi na placu des Quatre Dauphins i nacisnęli na dzwonek umieszczony na polerowanej mosiężnej tabliczce z napisem „Profesor Moutte”. Drzwi zabrzęczały i otworzyły

się z głuchym dźwiękiem. Thierry przytrzymał je dla przyjaciela, mówiąc: – Ty pierwszy!

Wtedy zauważył, że Yann nagle ucichł, jak to się często zdarzało, gdy pojawiał się temat jego rozwiedzionych przed dwoma laty rodziców. Postanowił zmienić temat. Wyobraził sobie rodzinę Falquerho w pokoju dziennym wypełnionym meblami, które zupełnie nie sprawdzają się w domu letnim – na przykład białymi. Wszyscy przyglądają się w milczeniu szarym falom rozbijającym się o brzeg. Odezwał się, próbując przypomnieć Yannowi o przyjemniejszych sprawach:

– Myślisz wyłącznie o jedzeniu. No i naturalnie o Suzanne.

Yann roześmiał się i szybko wszedł do zimnego, wilgotnego holu kamienicy, nie mogąc się już doczekać darmowej kolacji. Myślał też o Suzanne, którą miał zobaczyć w ferie Bożego Narodzenia.

\*

Nadwaga stanowiła dla Thierry'ego problem od czasów gimnazjalnych. W liceum nie miał dziewczyny, a w romantyczny związek z kobietą zaangażował się na drugim roku studiów. Ale co też to było za spotkanie! Ulla była Szwedką przebywającą we Francji w ramach wymiany studenckiej – *cliché*, zauważalne nawet dla Thierry'ego, który nigdy nie opuszczał Francji. Uśmiechnął się do siebie, kiedy wspinali się po szerokich kamiennych schodach do znajdującego się na trzecim piętrze mieszkania profesora Moutte'a. Ale wspomnienie Ulli, nagiej w jego łóżku, przybladło, kiedy rozglądał się po siedemnastowiecznej rezydencji. Zachwycił się holem wejściowym – tak różnym od tego w mieszkaniu, w którym się wychował, a także od tego w swoim obecnym mieszkaniu, które dzielił z Yannem. W tym ostatnim stronek stopnie z czerwonej cegły były tak wąskie, że wniesienie fotela czy roweru do środka graniczyło z cudem. Idąc, celowo stawiał stopy w zagłębieniu na każdym stopniu, wytartym przez stulecia przez bogatych mieszkańców Aix oraz przez ich służących, kiedy wchodzili i wychodzili z arystokratycznej rezydencji, podzielonej teraz na trzy eleganckie mieszkania.

– Czuję zapach hors d'oeuvres – zauważył Yann, wchodząc do góry co dwa stopnie. – Paszteciki z ciasta francuskiego, kawałeczki pizzy, być może taca z zimnym mięsem i półmisek z serem brie oraz jeszcze jakimś innym. Założę się, że to sery z supermarketu. Dlaczego bogaci ludzie tak często podają takie tanie jedzenie?

Zatrzymał się na kolejnym stopniu i popatrzył w dół na Thierry'ego, którego wyrwał tym z zamyślenia: – Czy ty mnie słuchasz? Jestem też więcej niż pewien, że czeka na nas wino z kartonów. – Patrzył, jak przyjaciel stawia małe, szerokie stopy w wyżłobieniach w kamiennych stopniach.

– Z braku laku i kit dobry – odparł Thierry. – Poza tym jestem koneserem...

masowo sprzedawanych win.

Yann roześmiał się i zastukał w drzwi. Obrócił się do swego marsylskiego towarzysza, który teraz głośno sapał, i powiedział szybko: – Obiecuję, że kiedy znajdę pełnoetatową pracę, a mam nadzieję, że to wkrótce nastąpi, nigdy nie będę kupował supermarketowego sera ani taniego wina.

Thierry potaknął z udawaną powagą i odparł: – Bardzo na to liczę.

Thierry wychowywał się na przemysłowo wytwarzanym serze, bo na to pozwalała nauczycielska pensja ojca, lecz teraz, dzięki paryskiemu przyjacielowi, wiedział, jak smakuje ser produkowany tradycyjnie. W głębi duszy miał nadzieję, że on także będzie mógł pozwolić sobie na żywność wysokiej jakości, na wszystko wysokiej jakości. Wierzył, że ten dzień nadejdzie.

Wielkanocny tydzień, który spędził w penthousie pana Falquerho z widokiem na Les Invalides, stanowił jedno z najważniejszych wydarzeń w jego dwudziestoczteroletnim życiu. Nigdy przedtem nie jadał w tylu eleganckich restauracjach. W każdej z nich ojciec i syn Falquerho otrzymywali najlepszy stolik i radośnie gawędzili z właścicielami, kelnerami i szefami kuchni. Thierry podziwiał pana Falquerho, ponieważ mimo wielkiego bogactwa wypłacał Yannowi takie same skromne środki, jakimi dysponowali rówieśnicy syna.

Drzwi mieszkania otworzyła wysoka, przystojna, około czterdziestopięcioletnia kobieta z gęstymi czarnymi włosami i dużymi brązowymi oczyma. Thierry ucieszył się, widząc, że kobieta ma na sobie tę wełnianą sukienkę z głębokim dekoltem, którą tak lubił – eksponowała ona nie tylko jej oliwkową skórę, ale też wydatny biust.

– Nasz doskonały duecik – powiedziała ze śmiechem. – Wchodźcie! Przyszliście w samą porę – szepnęła, puszczając do nich oko. – Właśnie nakryli do stołu!

– Dziękujemy, profesor Leonetti! – odpowiedzieli jednogłośnie.

Chociaż to dzisiejszy gospodarz, doktor Georges Moutte, decydował o tym, w czyje ręce trafi stypendium Dumasa, to zarówno Thierry, jak i Yann woleli kontakty z młodszą od niego doktor Annie Leonetti. Lubili też jej dynamiczne, często pełne humoru wykłady. Ale to do doktora Moutte'a należało ostatnie słowo w sprawie stypendium. Z tego właśnie powodu zrezygnowali dziś z tradycyjnego piątkowego rytuału podrywania amerykańskich dziewcząt, które spędzały czas w pubach Aix-en-Provence i kręciły się wokół swoich profesorów. Na widok morza głów, w tym wielu siwych, Thierry'emu ścisnął się żołądek. Odczuł niejaką ulgę, gdy pomyślał, że jest tam też doktor Leonetti. Yann pewnie niż przyjaciel czuł się w dużych grupach ludzi. Thierry zazwyczaj obserwował Yanna i próbował go naśladować, dzisiaj jednak obiecał sobie, że zachowa większą niezależność.

Doktor Leonetti zaprowadziła studentów do gospodarza, po czym zniknęła.

– Spróbuj nie gapić się dookoła – cicho ostrzegł przyjaciela Yann.

Thierry nie pozostał mu dłużny: – Jeśli tylko ty nie będziesz powtarzał „w rzeczy samej” tym swoim sztucznym tonem, który zawsze przybierasz, rozmawiając z doyenem<sup>[1]</sup>.

– Profesorze Moutte, *bonsoir* – powiedział Yann, uprzejmie ściskając dłoń starszego białowłosego mężczyzny.

– Dobry wieczór, doktorze – odezwał się Thierry i również uściśnął naznaczoną wiekiem, słabą dłoń. – Dziękujemy za zaproszenie.

– Nie ma za co. Nie ma za co – zająknął się doktor Moutte. – Moi profesorowie też nas tak traktowali, kiedy byłem w waszym wieku. Poza tym wy obaj macie dobry powód, by tu być, nieprawdaż? – roześmiał się z własnego dowcipu.

Thierry uśmiechnął się uprzejmie na tę aluzję do stypendium. Yann szybko uznał, że nie będzie się przejmował tym, co myśli Moutte. Chciał zdobyć to stypendium, które jego zdaniem otworzyłoby mu drzwi do programu MBA, i nie widział powodu, żeby to ukrywać.

– Mmm... w rzeczy samej – odparł ze śmiechem.

Thierry podniósł wzrok ku sufitowi i jego uwagę przykuły namalowane w żywych barwach freski, przedstawiające postaci z mitologii. Przestrzeń unoszących się w powietrzu bogów i bogiń została ograniczona misterną białą gipsową ramą, uformowaną w roślinne i zwierzęce kształty – *gypseries*, był niemal pewien, że tak się nazywały. Odwrócił się, by sprawdzić, czy Yann, który nie tylko pochodził z bogatej rodziny, ale też kochał sztukę i korzystał z każdej okazji, by podzielić się swoją wiedzą, także zauważył sufit. Ten jednak patrzył ponad ramieniem doktora Moutte’a na długi drewniany stół uginający się pod ciężarem jedzenia. Thierry spostrzegł, że jego przyjaciel trafnie przewidział menu: pokrojona w małe kwadraciki pizza, ser brie ułożony na półmiskach, chleb i zimne mięsa. Ale za to wino serwowano w butelkach. Yann nagle przeprosił i podryfował w kierunku stołu, gdzie doktor Leonetti nalewała sobie wina i przyglądała się dwóm młodym mężczyznom z uśmiechem na szerokich ustach. Lubiała ich obu, zastanawiała ją tylko, dlaczego studiują teologię. Sądziła, że Yann Falquerho wybrał ten kierunek, ponieważ wydział otrzymywał lepsze finansowanie. Co więcej, łatwiej się dostać tutaj niż na historię, z tego prostego powodu, że na tym kierunku studiowało mniej osób. W innym wypadku zdecydowałby się zapewne na prawo albo zarządzanie. Miała przyjaciela, który pracował dla firmy finansowej w Londynie i powiedział jej, że finansiści obecnie zachęcali absolwentów teologii i historii, by wkraczali w świat akcji i obligacji. Niższy ze studentów, pochodzący z Marsylii, stanowił większą zagadkę. Być może tego wieczoru zapyta go o plany na przyszłość, jeśli tylko uda jej się odciągnąć go od studiowania fresków.

– Masz ochotę na odrobinę wina? – zapytała, podnosząc butelkę w stronę Yanna. Stał obok, zwrócony w jej stronę i z głową przekrzywioną o prawie

dziewięćdziesiąt stopni. Podążyła za jego wzrokiem, martwiąc się, że jej suknia była zbyt *décoletté*. Ale wtedy zauważyła, że jego dziwne zachowanie nie wiązało się ze śmiałością jej stroju, ale ze staraniami, by odczytać etykietę na butelce.

– Czerwone Bandol – zawołał w końcu. – O tak, poproszę! Doktor Moutte przeszedł dziś sam siebie!

Annie Leonetti się uśmiechnęła.

– Wino to mój wkład. Życie jest za krótkie na kiepskie wino, *non?* Przyrowadź tu swojego towarzysza, a jemu także naleję kieliszek.

Ale Thierry już był przy nich. Widział profesor Leonetti z butelką wina w ręce i zręcznie lawirował pomiędzy profesorami i magistrantami, by znaleźć się obok niej i przyjaciela. Nie miał czasu na szukanie czystego kieliszka, gdyż butelkowane wino mogło się skończyć lada moment, chwycił więc ze stołu jakiś używany. Właśnie wtedy ponad rozmowami teologów dał się słyszeć głos doktora Moutte'a.

– Nie, Bernardzie! Będzie tak, jak powiedziałem ci dzisiaj w biurze... moja decyzja jest nieodwołalna!

Profesor Bernard Rodier, mężczyzna w średnim wieku, który w opinii wielu współpracowników był zbyt przystojny, by zajmować się teologią, obrócił się na pięcie i skierował do drzwi wejściowych. Annie Leonetti nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ludzie uważali, że Bernard był „zbyt przystojny” – czy to oznaczało, że trzeba być brzydkim, by wykładać teologię? Oczywiście na wydziale filozofii zauważało się jakieś brzydactwa, ale kompensowało to prawo pewnymi bardzo wyrafinowanymi, jeżeli nie pięknymi okazami. I gdzie w tym wszystkim było jej miejsce?

Thierry i Yann wymienili niespokojne spojrzenia, zakładając, że profesorowie kłócili się o stypendium. Annie uśmiechnęła się i ponownie napełniła ich kieliszki.

– Nie martwcie się – powiedziała. – To nie ma nic wspólnego z Dumasem.

Słusznie domyślała się, że Bernard nieopatrznie zapytał Moutte'a o jego przejście na emeryturę, które ogłoszono tydzień wcześniej na spotkaniu wydziału. Padły trzy nazwiska kandydatów do kierowania fakultetem. Stanowisko to wiązało się z wysokim wynagrodzeniem, wieloma urlopami naukowymi oraz prawem do użytkowania historycznego dwustumetrowego mieszkania, w którym się teraz znajdowali. Jego okna wychodziły na plac, który zdaniem wielu mieszkańców Aix mógł się poszczycić najpiękniejszą fontanną w mieście – les Quatre Dauphins. Poza freskami, które z góry przyglądały się mieszkańcom, to lokum oferowało jeszcze jedną atrakcję: w ogrodzie otoczonym trzymetrowym kamiennym murem kryło się coś wyjątkowego, o czym w lecie czasem słyszano w Aix, lecz nikt tego nigdy nie widział. Tą unikatową rzeczą był basen.

Tak atrakcyjne stanowisko należało w Prowansji do rzadkości, ale wydział

teologii zawsze potrafił odciąć się od pozostałej części uniwersytetu. Pod koniec lat dwudziestych ojciec Jules Dumas, ksiądz i poprzednia głowa wydziału, przekazał uniwersytetowi rodzinną rezydencję i cały swój majątek. Ustanowił, że nowy doyen zajmie wypełnione antykami mieszkanie na trzecim piętrze, a dwa niżej położone mieszkania zostaną wynajęte przez uniwersytet, co pomoże finansować stypendium jego imienia. Ulica oraz budynek, obecnie mieszczący także biura i sale wykładowe, nosiły jego imię. W taki sposób chciał odpłacić się światu. W czasie pierwszej wojny stracił dwóch braci, a na ironię zakrawa fakt, że jego rodzina zbiła fortunę, produkując części do czołgów, które w 1917 roku testowano na błotnistych polach Pikardii i Belgii.

Zgodnie z oczekiwaniami Annie Leonetti, jej nazwisko znalazło się wśród trojga kandydatów. Chociaż młodsza od kolegów, a na wydziale uważana za modernistkę, mogła się poszczycić stopniem doktorskim z Yale oraz licznymi publikacjami. Przeciwno niej przemawiało – bardziej niż niegroźnie radykalna postawa – jej pochodzenie z Korsyki. Miejsce, gdzie spędziła pierwsze osiemnaście lat życia, wpływało na jej karierę w większym stopniu, niż mogłaby sobie wyobrazić. Czasem żałowała, że nie została w Stanach, gdzie jako Korsykanka nie byłaby nazywana ani „chłopką”, ani „terrorystką”. Oboje z mężem uwielbiali tę wyspę i kiedy Annie otrzymała tytuł doktorski, przeprowadzili się z powrotem do Francji, ale w każde wakacje wracali na Korsykę.

Drugie nazwisko na liście to Bernard Rodier – solidny, choć nudny naukowiec specjalizujący się w działalności zakonu cystersów. Trzecia kandydatura, gdy ją wymieniono, spotkała się ze śmiechem i okrzykami – Giuseppe Rocchia, „teolog zwykłych ludzi”, jak lubił o sobie mówić. Wykładał na uniwersytecie w Perugii, siostrzanym mieście Aix, i zarabiał dziesięciokrotność swojej akademickiej pensji, pisząc książki i poświęcone teologii artykuły w magazynach mody. Występował też we włoskiej telewizji, gdzie przedstawiał swoje interpretacje światowych religii. Dlatego właśnie Annie go broniła – Rocchia ubierał w proste słowa to, co zdaniem wielu ludzi stanowiło temat skomplikowany, a zarazem wyczerpany. Doceniała też jego wkład w rozwój włoskiej telewizji, która rozpaczliwie potrzebowała kroku naprzód. Przeczytała jego książki, światowe bestsellery, i odnalazła pewne wartości w tym, co głosił. Podczas niedawnej podróży do Perugii zapytała jednego z kolegów, dlaczego Rocchia nadal wykładał, skoro tak dużo zarabiał na książkach i spotkaniach.

– To zapewnia mu powszechny szacunek – powiedział jej Dario, sącząc campari na jednym z placów Perugii. Poza tym my, Włosi, uwielbiamy, gdy inni zwracają się do nas per *dottore*.

A więc Bernard Rodier odstawił pusty kieliszek na konsolę. Była wykonana z egzotycznego drewna i pochodziła z jednej z byłych francuskich kolonii. Po czym wypadł z pokoju jak burza – jak określili to Annie w rozmowie z mężem jeszcze

tego samego wieczoru. Kobieta popatrzyła na Yanna i Thierry'ego i wróciła myślami do własnych lat studenckich – do całotygodniowego świętowania, które jej rodzina zorganizowała w ich korsykańskiej willi, kiedy przyjęto ją do *grande école* w Paryżu; do wysiłku i czasu, jakie poświęciła na naukę angielskiego; do lat pracy nad doktoratem w Connecticut i opłacania chesnego za pieniądze zarobione na kelnerowaniu w restauracji w New Haven. A potem nadal późno kładła się spać – wtedy, kiedy powinna czytać bajki swoim małym dzieciom lub leżeć w łóżku z mężem, ona siedziała do późna w gabinecie i zbierała informacje. Ale już wkrótce nagroda za to wszystko okaże się tego warta. Mogła – i powinna – zostać następnym doyenem wydziału teologii i przenieść swoją rodzinę z pozbawionego uroku mieszkania z lat siedemdziesiątych, przypominającego pudełko, do najbardziej pożądanego budynku w Aix. Nie znajdowała w sobie współczucia dla Bernarda, który nie opublikował tak dużo jak ona ani nie studiował na prestiżowym zagranicznym uniwersytecie.

– *Pauvre Bernard* – szepnęła, uśmiechając się szeroko.

...

<sup>[1]</sup> Doyen – najstarszy członek grupy, w tym wypadku dziekan (przyp. aut.).

## **Śmierć w Chateau Bremont**

### **Spis treści**

OkładkaKarta tytułowaDedykacja\*\*\*Rozdział pierwszyRozdział drugiRozdział trzeciRozdział czwartyRozdział piątyRozdział szóstyRozdział siódmyRozdział ósmyRozdział dziewiątyRozdział dziesiątyRozdział jedenastyRozdział dwunastyRozdział trzynastyRozdział czternastyRozdział piętnastyRozdział szesnastyRozdział siedemnastyRozdział osiemnastyRozdział dziewiętnastyRozdział dwudziestyRozdział dwudziesty pierwszyRozdział dwudziesty drugiRozdział dwudziesty trzeciRozdział dwudziesty czwartyRozdział dwudziesty piątyRozdział dwudziesty szóstyRozdział dwudziesty siódmyRozdział dwudziesty ósmy\*\*\*Karta redakcyjna



Tytuł oryginału: *Death at the Château Bremont*

Copyright © Mary Lou Longworth, 2011.

Published by arrangement with Macadamia Literary Agency and Curtis Brown, Ltd.

All rights reserved.

Copyright © 2018 for the Polish edition by Smak Słowa

Copyright © for the Polish translation by Anna Krochmal

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani żadna jej część nie może być publikowana ani powielana w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Edytor: Anna Świtajska

Redakcja: Anna Mackiewicz

Projekt okładki: Agnieszka Karmolińska

Zdjęcie na okładce: ©istockphoto / ollo

ISBN 978-83-65731-41-8



Smak Słowa

ul. Sobieskiego 26/4,

81-781 Sopot

Tel. 507-030-045

Szukaj nas także na

facebook



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: [konwersja@elib.pl](mailto:konwersja@elib.pl)

[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)



